

*Graham  
Greene*

# Podróże z moją ciotką

**W  
Z  
S  
O  
LITERY**

Prószyński i S-ka

**Graham Greene**

# **Podróże z moją ciotką**

**(przełożyła: Zofia Kierszys)**

*Dla H.H.K.*

*- z niewysłowioną wdzięcznością  
za okazaną pomoc*

# **Część pierwsza**

## I

Ciotkę Augustę po raz pierwszy od półwiecza z górą zobaczyłem na pogrzebie mojej matki. Matka, starsza od ciotki Augusty o jakieś jedenaście czy dwanaście lat, miała osiemdziesiąty szósty rok, kiedy umarła. Dwa lata wcześniej przeszedłem na odpowiednio wysoką emeryturę, żegnany w banku serdecznie po dwudziestu pięciu przepracowanych latach. Wszyscy uważali mnie za szczęściarza, ale ja nie wiedziałem, czym sobie wypełnić czas. Nigdy nie byłem żonaty, zawsze prowadziłem spokojny tryb życia i poza tym, że interesuję się hodowlą dalii, nie mam żadnego hobby. Z powyższych względów sprawa pogrzebu matki stanowiła dla mnie miłe urozmaicenie.

Mój ojciec nie żyje już od lat ponad czterdziestu. Był przedsiębiorcą budowlanym o usposobieniu tak ospałym, że zwykł sobie ucinać popołudniowe drzemki w najróżniejszych, dziwnych miejscach. Matkę, kobietę energiczną, bardzo to irytowało i zazwyczaj szukała go i budziła. Pamiętam, jak w dzieciństwie wchodząc raz do łazienki - mieszkaliśmy wówczas w Highgate - zastałem ojca śpiącego w wannie. Wzrok mam raczej krótki, więc myślałem, że matka zostawiła w wannie płaszcz, który czyściła, a tu nagle słyszę szept ojca: „Zamknij drzwi na zasuwkę od wewnątrz, kiedy wyjdiesz”. Po prostu nie chciało mu się wstać z wanny, a zaspany nie mógł pojąć, że takie polecenie jest niewykonalne. Potem znów, kiedy prowadził budowę nowego bloku mieszkalnego w Lewisham, nieraz drzemał w kabinie olbrzymiego dźwigu i prace budowlane wstrzymywano, dopóki się nie zbudził. Matka, wolna od lęku wysokości, wspinała się po drabinach na najwyższe rusztowania, wtedy gdy on, dla odmiany, spał w kącie któregoś z nie wykończonych garaży podziemnych. Zawsze uważałem, że rodzice są dość ze sobą szczęśliwi: ściśle wszak połączone role łowcy i zwierzyny chyba obojgu im odpowiadały, bo matka zawsze chodziła z głową czujnie przechyloną i to ostrożnym truchcikiem, niczym pies myśliwski. Należy mi te wspomnienia przeszłości wybaczyć; w czasie pogrzebów takie refleksje nasuwają się bez udziału woli, tyle tam trzeba czekać.

Na nabożeństwie, odprawionym w jednym ze słynnych krematoriów, ludzi było niewiele, ale panowało przyciszone podniecenie, jakiego nigdy przecież nie odczuwa się na cmentarzu. Czy drzwiczki pieca otworzą się na oścież? Czy trumna w nich nie utkwie, zamiast wjechać prosto w ogień? Doleciały mnie czyjeś bardzo wyraźnie po staroświecku akcentowane słowa:

- Kiedyś byłam przy spaleniu przedwczesnym.

To powiedziała, jak z pewnym trudem poznałam na podstawie fotografii w albumie rodzinnym, ciotka Augusta. Weszła dopiero przed chwilą, ubrana nie inaczej niż mogłaby się ubrać nieodżałowanej pamięci królowa Mary, gdyby jeszcze żyła i przystosowała się trochę do współczesnej mody. Zdumiały mnie lśniące rude włosy ciotki Augusty, spiętrzone monumentalnie, i wielkość jej dwóch przednich zębów, z którymi wyglądała jak pełen wigoru Neandertalczyk. Ktoś syknął:

- Ciicho!

I pastor zaczął odmawiać modlitwę ułożoną, przypuszczam, przez niego samego, bo nigdy dotąd takiej nie słyszałem, a swego czasu na nabożeństwach żałobnych bywałem przecież często. Dyrektor banku powinien składać ostatnie uszanowanie każdemu ze starych klientów, który nie jest, jak my to określamy „deficytowy”, a zresztą ja i tak mam jakąś słabość do uroczystości żałobnych. Na ogół widuje się wtedy ludzi w ich najlepszej formie, poważnych, trzeźwych, nastawionych optymistycznie, jeśli chodzi o własną nieśmiertelność.

Spalenie zwłok mojej matki odbyło się bez żadnych komplikacji. Kwiaty dla oszczędności usunięto z trumny, zanim za naciśnięciem guzika zniknęła nam sprzed oczu. Później w blasku mizernego słońca współczująco ściskali mi rękę liczni siostrzeńcy i siostrzenice oraz kuzyni, których nie widziałem od lat, więc nawet nie potrafiłem rozpoznać. Jasne było, że muszę czekać na popioły, toteż czekałem, kiedy z komina krematorium snuł się łagodnie dym.

- To ty chyba jesteś Henry - powiedziała ciotka Augusta, w zadumie patrząc na mnie morskoniebieskimi oczami.

- Tak - odpowiedziałem - a ciocia to chyba ciocia Augusta.

- Bardzo dawno nie widziałam twojej matki - poinformowała mnie. - Mam nadzieję, że śmierć miała lekką.

- O tak, w jej wieku, wiadomo... serce po prostu przestało bić. Umarła ze starości.

- Ze starości? Zaledwie o dwanaście lat starsza ode mnie! - W głosie ciotki zabrzmiał wyrzut.

Ruszyliśmy na mały spacerek we dwoje po ogrodzie krematorium. Ogrody krematoriów upodabnia się do ogrodów prawdziwych mniej więcej tak, jak tereny do gry w golfa do naturalnego krajobrazu. Drzewa rosną zbyt uroczyście, zbyt sztywno, trawniki są

zbyt wypielegnowane, urny podobne do tych małych skrzynek z piaskiem, które umieszcza się w miejscu pierwszego uderzenia.

- Powiedz mi - zagaiła ciotka Augusta - nadal pracujesz w banku?

- Nie, od dwóch lat jestem na emeryturze.

- Na emeryturze? Taki młody człowiek! Na litość boską, czym ty sobie zapelniasz ten cały wolny czas?

- Hoduję dalej, ciociu.

Zawracając, bo doszliśmy do końca alejki, wykonała obrót iście po królewsku widmem staromodnej tiurniury.

- Dalie! Co by twój ojciec na to powiedział!

- Tatuś rzeczywiście nie interesował się kwiatami. Zawsze uważał, że ogrody to marnowanie placów dobrych pod budowę. Wyliczał, ile sypialń jedna nad drugą mógłby dobudować, gdyby nie ogród. Był wielkim śpiochem.

- Sypialnie potrzebne mu były nie tylko do spania - oświadczyła ciotka Augusta tak szorstko, aż się zdziwiłem.

- Sypiał w najdziwniejszych miejscach. Pamiętam, jak kiedyś w łazience...

- W sypialni on nie spał, tylko robił inne rzeczy - ucięła. - Ty jesteś tego dowodem.

Teraz zrozumiałem, dlaczego moi rodzice widywali się z ciotką Augustą tak rzadko. Jej usposobienie nie mogło odpowiadać mojej matce. Bo matka, jakkolwiek nie purytanka, lubiła, żeby wszystko, co się robi i mówi, miało swoje stosowne po temu miejsce i porę. Przy posiłkach mówiliśmy o jedzeniu albo czasami o cenach artykułów spożywczych. Kiedy byliśmy w teatrze, mówiliśmy w antraktach o danej sztuce bądź też o innych sztukach. W czasie śniadania omawialiśmy wiadomości z gazet porannych. Jeżeli rozmowa zbaczała na inne tory, matka potrafiła sprawnie naprowadzić ją na tor właściwy. Upominała wtedy: „Kochanie, to nie jest chwila...”. Zapewne więc w sypialni - pomyślałem teraz prawie tak bez ogródek, jak poruszyła ten temat ciotka Augusta - matka rozmawiała o miłości. Z tej racji to fakt, że ojciec sypia nie tam, gdzie powinien, wywoływał u niej sprzeciw. A odkąd zainteresowałem się daliami, często przestrzegała, żebym na czas urzędowania w banku o nich zapominał.

Kiedy wróciliśmy z naszego spacerku, popioły już czekały. Wybrałem uprzednio jak najbardziej klasyczną urnę z czarnej stali i dla własnego spokoju chciałem teraz się upewnić, czy nie zaszła jakaś pomyłka, ale paczka, którą mi wręczono, niczym prezent na

Boże Narodzenie, schludnie zawinięta w brązowy papier, była opatrzona czerwonymi pieczęciami.

- Co z nią zrobisz? - zapytała ciotka Augusta. - Myślałem o postawieniu małego piedestału dla tych prochów pośród moich dali.

- W zimie to będzie wyglądało raczej ponuro.

- Nie wziąłem tego pod uwagę. Zawsze jednak mógłbym wnosić urnę do domu na całą zimę aż do wiosny.

- Tak wnosić i wynosić... Nie będzie to dla mojej siostry wieczny odpoczynek.

- Jeszcze się nad tym zastanowię.

- Nie jesteś żonaty, prawda?

- Nie.

- I dzieci nie masz?

- Oczywiście, że nie.

- Pozostaje więc pytanie, na kogo przejdzie spadek po mojej siostrze. Bo ja prawdopodobnie umrę wcześniej niż ty.

- Nie można myśleć o wszystkim naraz.

- Lepiej byłoby tę urnę zostawić tutaj - doradziła ciotka Augusta.

- Wyobraziłem sobie, że będzie wyglądała ładnie między daliami - uparłem się, gdyż przez cały poprzedni wieczór szkicowałem cokół, pełen prostoty i doprawdy nobliwy.

- *Chacun a son goût* - rzekła ciotka ze zdumiewająco dobrym akcentem francuskim.

Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że w naszej rodzinie są jakiegokolwiek skłonności do kosmopolityzmu.

- No, ciociu - powiedziałem przy bramie krematorium (gotów już do odejścia, bo mój ogród mnie wzywał) - tyle lat się nie widzieliśmy... mam nadzieję, że... - Zostawiłem kosiarkę przed domem, nie zakrytą, a gnane wiatrem ołowiane chmury świadczyły, że zbiera się na deszcz. - Ogromnie bym chciał, żeby któregoś dnia ciocia wypła herbatkę u mnie w Southwood.

- W tej chwili wolalabym wypić coś mocniejszego i bardziej kojącego nerwy. Nie co dzień się zdarza, że rodzona siostra zostaje wydana na pastwę płomieni. Jak *la Pucelle*.

- Nie rozumiem...

- Dziewica Orleańska.

- Mam w domu trochę kseresu, ale to dosyć daleko stąd, więc może...



- Ja jednakże mieszkam na północnym brzegu rzeki - powiedziała stanowczo ciotka Augusta - i mam wszystko, czego nam potrzeba.

Nie pytając, czy się zgadzam, machaniem ręki przywołała taksówkę. Była to pierwsza i chyba - kiedy myślę o tym teraz - najbardziej pamiętna z podróży, które mieliśmy odbyć we dwoje.

## II

Zupełnie słuszne były moje przewidywania, jeśli chodzi o pogodę. Te ołowiane chmury przyniosły ulewę i mimo woli pograżyłem się w smutnej zadumie, przejęty swymi osobistymi troskami. Wszędzie na połyskliwych od deszczu ulicach ludzie otwierali parasole albo chronili się do przedsiionków firmy Burton, Mleczarni Zjednoczonych, Hurtu Ryb i ABC. Nie wiem dlaczego, ale deszcz na przedmieściu zawsze kojarzy mi się z niedzielą.

- Co ci leży na sercu? - zapytała ciotka Augusta.

- Zrobiłem kolosalne głupstwo. Zostawiłem na trawniku kosiarkę, nie zasłoniętą.

Ciotka nie okazała współczucia.

- Nie myśl teraz o kosiarce - powiedziała. - Dziwne to, ale jakoś spotykamy się tylko przy obrzędach religijnych. Ostatnio, kiedy cię widziałam, był twój chrzest. - Parsknęła śmiechem. - Nie zaprosili mnie, ale przyszłam. Jak zła wróżka.

- Dlaczego cioci nie zaprosili?

- Zbyt dużo wiedziałam. O nich obojgu. Pamiętam, że dałeś się ochrzcić znacznie za cicho. Nie wrzeszczałeś, żeby wypędzić z siebie diabła. Ciekawe, czy on jeszcze w tobie siedzi. - Zawołała do kierowcy: - Niech się panu nie pomyli plac ze skwerem. Jedziemy na plac.

- Nie wiedziałem, że istniały jakieś animozje. Cioci fotografia zawsze była w naszym rodzinnym albumie.

- Tylko dla zachowania pozorów. - Ciotka lekko westchnęła, co wzbilo z jej twarzy chmurkę wonnego pudru. - Twoja matka żyła bardzo świątobliwie. Ze wszech miar miała prawo do pogrzebu na biało. *La Pucelle* - powtórzyła.

- Nie rozumiem... *La Pucelle* znaczy... no, postawmy sprawę jasno: przecież ja jestem na świecie.

- Tak. Ale byłeś dzieckiem swojego ojca, a nie matki.

Rankiem tego dnia niezwykle mnie ożywiła, a nawet cieszyła perspektywa uroczystości żałobnej. Doprawdy, gdyby nie fakt, że chodzi o moją matkę, stanowiłoby to w monotonnym trybie życia na emeryturze wyłom jak najbardziej pożądany, mile przypominając mi dawne czasy bankowe, kiedy składałem ostatnie dowody szacunku tyłu

wspaniałym klientom. Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie takiego wyłomu, jakim było owo niedbałe oświadczenie mojej ciotki Augusty. Czkawkę podobno można wyleczyć nagłym wstrząsem, ale właśnie wstrząs czkawkę powoduje. W rezultacie sam nie mogłem zrozumieć pytania, które wykrztusiłem.

- Przecież mówię, że twoja oficjalna matka żyła świętobliwie - powiedziała ciotka. - Tamta dziewczyna, rozumiesz, nie chciała poślubić twojego ojca, chociaż on szalenie... jeśli można tak określić jego ówczesny stan ducha... pragnął postąpić, jak przystoi honorowemu mężczyźnie. Więc moja siostra, żeby ją wyręczyć, wyszła za niego. (Zbyt silnej woli to on nie miał). Następnie przez kilka miesięcy wypychała się coraz większymi poduszkami. Nikt w ogóle niczego nie podejrzewał. Miała te poduszki nawet pod nocną koszulą w łóżku i była tak głęboko zgorzozona, kiedy twój ojciec raz spróbował się do niej zalecać... po ślubie, ale przed twoimi narodzinami... że i później, chociaż już zostałeś szczęśliwie dostarczony do domu, odmawiała mu tego, do czego Kościół uprawnia mężów. Tylko że on nie był z tych mężczyzn, którzy działają na podstawie takich uprawnień.

Prawie leżałem w tej taksówce ani rusz nie mogąc powstrzymać czkawki. Słowa jednego bym nie wykrztusił, choćbym się bardzo starał. Przypomniałem sobie te wszystkie pościgi po rusztowaniach. Czy były one przejawem zazdrości mojej matki, czy jej obawą, że znów będzie musiała przez wiele miesięcy chodzić opatulona poduszkami w odpowiednich rozmiarach?

- Nie - powiedziała ciotka Augusta do kierowcy - to przecież skwer. A ja już mówiłam... jedziemy na plac.

- Więc skrócić w lewo, proszę pani?

- Nie. W prawo. Nie powinieneś tak tego przeżywać, Henry - zwróciła się do mnie. - Moja siostra... czyli twoja macocha, bo może ustalmy, że tak ją będziemy nazywać... była naprawdę osobą bardzo szlachetną.

- A mój... czkgh... ojciec?

- Trochę łajdak, ale tacy przeważnie są mężczyźni. Może to ich najlepsza cecha. Mam nadzieję, że i ty, Henry, jesteś poniekąd łajdakiem.

- Nie... czkgh... sądzę.

- Może jednak z czasem to stwierdzimy. Przecież jesteś synem swojego ojca. Na czkawkę najlepiej wypić coś z drugiej strony szklanki. Stul dłoń, to będziesz miał szklankę na niby. Sam płyn nie jest konieczny.

W końcu odetchnąłem przeciągle, swobodnie i zapytałem:

- Więc kim, ciociu, była moja matka?

Ale ona już rozmawiała z kierowcą.

- Nie, nie, człowieku. To jest skwer.

- Pani powiedziała, żeby skręcić w prawo.

- No, to przepraszam. Pomyliłam się. Zawsze mi się myli, gdzie jest w prawo, a gdzie w lewo. Lewa burta... to zawsze pamiętam, bo ten kolor... czerwony oznacza lewą stronę. Pan powinien był skręcić na lewą burzę, nie na prawą.

- Nie jestem żadnym, do diabła, żeglarzem, proszę pani.

- Mniejsza z tym. Niech pan dalej jedzie naokoło i znów tam skręci, ale już w lewo. Moja wina.

Podjechaliśmy pod jakiś bar. Kierowca rzekł z wyrzutem:

- Od razu, proszę pani, trzeba mi było powiedzieć, że „Pod Koronę i Kotwicę...”

- Henry - rzekła ciotka Augusta - może byś jednak zapomniał o czkawce na chwilę.

- Czkggh...? - zapytałem.

- Sześć szylingów sześć pensów według licznika - oznajmił kierowca.

- Więc zaokrąglimy do siedmiu szylingów - powiedziała ciotka. - Henry, zanim wejdziemy, powinnam cię uprzedzić, że pogrzeb na biało w moim przypadku byłby zgola nie na miejscu.

- Przecież ciocia jest panną - wypaliłem jednym tchem, żeby ubiec czkawkę.

- Prawie zawsze przez minione sześćdziesiąt parę lat miałam przyjaciela - oznajmiła ciotka. I dodała, zapewne dlatego, że patrzyłem na nią z niedowierzaniem: - Wiek może trochę zmienia nasze uczucia, Henry..., ale nigdy ich nie zabija.

Nawet te słowa nie przygotowały mnie należycie na sytuację, jaką u niej zastałem. Życie w banku nauczyło mnie, oczywiście, nigdy się nie dziwić, nawet wtedy, gdy ktoś przekroczył swoje konto w sposób wręcz zaskakujący, i zawsze bardzo się pilnowałem, żeby ani nie prosić o wyjaśnienia, ani ich nie słuchać. Na czeki bez pokrycia albo wypłacałem pieniądze, albo ich nie wypłacałem, w zależności od poprzedniego kredytu danego klienta. Jeżeli wydaję się czytelnikowi postacią raczej skostniałą, niechże zechce on uwzględnić klimat mojej pracy zawodowej w ciągu całych lat dwudziestu pięciu. Ciotka Augusta, jak wkrótce się okazało, nigdy nie była uzależniona od niczego, więc i teraz nie miała zamiaru udzielić mi dokładniejszych wyjaśnień, niż udzieliła.

### III

Bar „Pod Koroną i Kotwicą” przypominał od frontu bank w stylu króla Jerzego. Przez okna widziałem kilku mężczyzn z przesadnie przystrzyżonymi wąsikami i w marynarkach z samodziału, z tyłu rozciętych jak do konnej jazdy, oraz dziewczynę w bryczesach. Nie były to typy, którym udzieliłbym dużego kredytu, i wątpiłem, czy choć jeden z nich (co do dziewczyny nie miałem wątpliwości) w ogóle jeździł kiedyś konno. Wszyscy pili piwo i doznałem wrażenia, że pieniądze, jakie mogliby po pokryciu niezbędnych wydatków odłożyć, przepuszczają na krawców i fryzjerów. Długie doświadczenie nabyte w obcowaniu z klientami sprawia, że wolę obdartusów pijących whisky niż elegantów pijących piwo.

Weszliśmy bocznymi drzwiami. Mieszkanie ciotki Augusty mieściło się na drugim piętrze, a na pierwszym stała nieduża kozetka, którą, jak później się dowiedziałem, ciotka kupiła, żeby mieć gdzie odpocząć w drodze na górę. Charakterystyczny szeroki gest - po cóż kozetka ledwie dająca się wcisnąć na podest, kiedy wystarczyłyby fotelik dla jednej osoby.

- Zawsze trochę odpoczywam w tym miejscu. No i ty także przysiadź sobie, Henry. Te schody są strome, chociaż może tobie w twoim wieku wcale się takie nie wydają. - Popatrzyła na mnie krytycznie. - Z pewnością bardzo się zmieniłeś od czasu, kiedy cię ostatnio widziałam, ale włosów masz niewiele więcej niż wtedy.

- Miałem więcej, tylko mi powypadały - wyjaśniłem.

- Ja mam bardzo mocne. Nadal mogę siedzieć na nich. - I ku mojemu zdumieniu dodała: - Rapunzel, Rapunzel, rozpuść włosy. Co nie znaczy, że mogłam kiedykolwiek rozpuścić je tak, by zwisały do chodnika z mieszkania na drugim piętrze.

- Nie przeszkadza cioci hałas z tego baru?

- Och, nie. I bar tak blisko to wielka wygoda, kiedy zapasy nagle mi się wyczerpią. Po prostu posyłam Wordswortha na dół.

- Kto to jest Wordsworth?

- Nazywam go tak, bo nie mogę się przemóc, żeby go nazywać Zachariaszem. W jego rodzinie od wielu pokoleń wszyscy najstarsi synowie mają na imię Zachariasz... dla uczczenia pamięci Zachariasza Macaulaya, który tyle dla nich zrobił na Błoniach Clapham. Nazwisko przejęli od tego biskupa, a nie od poety.

- To lokaj ciotki?

- Powiedzmy, że służy zaspokajaniu moich potrzeb. Bardzo łagodny, miły, silny człowiek. Ale nie pozwól mu napraszać się o CTC. Daję mu wystarczająco dużo...

- Co to znaczy CTC?

- Tak w Sierra Leone, w czasie wojny, kiedy był dzieckiem, nazywano wszelkie napiwki albo prezenty. Inicjały gatunku papierosów „Cape to Cairo”, które tam hojnie rozdawali marynarze.

Rozmowa toczyła się zbyt szybko, żebym zdążył cokolwiek zrozumieć, kiedy więc ciotka Augusta nacisnęła dzwonek, właściwie nie byłem przygotowany na to, że drzwi otworzy nam bardzo duży, niemłody Murzyn w pasiastym, rzeźnickim fartuchu.

- Co to, Wordsworth - powiedziała ciotka raczej kokieteryjnie - zmywasz po śniadaniu, nie czekając na mnie?

Murzyn stał i przyglądał mi się spode łba, aż nie wiedziałem, czy on przypadkiem nie czeka, żebym dał mu CTC, zanim wpuści mnie do mieszkania.

- To jest mój siostrzeniec - poinformowała go ciotka Augusta.

- Mówisz mi całą prawdę, kobieto?

- Oczywiście. Och, Wordsworth, Wordsworth! - powtórzyła przekornie a czule.

Wpuścił nas. Teraz, kiedy dzień deszczowo pociemniał, a światła paliły się w saloniku, przez chwilę raziło mnie migotanie szklanych ozdób, których wszędzie było pełno. Na niskim kredensie stały anioły w szatach pasiastych jak lizaki miętowe; we wnęce stała Madonna z twarzą złocistą i złocistą aureolą, obleczona w szatę niebieską. Na barku stał puchar granatowy na złotej nóżce, o pojemności co najmniej czterech butelek wina, wokół pucharu wiła się złota kratka, którą obrastały małe różyczki i zielony bluszcz. Na półkach z książkami stały bociany o barwie ćwikły, czerwone łabędzie i niebieskie ryby. Murzynki w szkarłatnych sukienkach podtrzymywały zielone kinkiety, a ponad tym wszystkim jaśniał przezroczysty żyrandol, jakby był z cukru lodowatego, obwieszony jasnoniebieskim, różowym i żółtym kwieciem.

- Bardzo kiedyś kochałam Wenecję - powiedziała raczej niepotrzebnie ciotka.

Nie uważam się za mecenasa sztuki, ale uznałem, że skutki tej miłości dowodzą braku umiaru i nie są w najlepszym guście.

- Taka misterna robota - powiedziała ciotka. - Wordsworth, bądź kochany i podaj nam dwie whisky. Augusta jest smutna odrobineczkę po tym smutnym, przesmutnym obrzędzie. - Mówiła do niego jak do dziecka... albo do kochanka, jednak myśl o tym, że on mógłby być jej kochankiem, odsunąłem od siebie.

- Wszystko szło dobrze? - zapytał Wordsworth. - Bez żadnych złych czarów?

- Żadnych zgrzytów nie było - odparła. - O Boże, Henry, ta paczka! Chyba nie zapomniałeś jej zabrać?

- Nie, nie. Mam ją tutaj.

- Może Wordsworth powinien włożyć ją do lodówki.

- Zgoła zbyteczne, ciociu. Popioły się nie psują.

- Racja. Jakaż jestem niemądra. Jednakże niech ją Wordsworth zanieś do kuchni. Po cóż miałyby ciągle nam przypominać moją biedną siostrę. Teraz pokażę ci sypialnię. Jeszcze więcej tam jest skarbów z Wenecji. Istotnie było ich tam jeszcze więcej. Na toalecie iskrzyło się od lusterek, pudernic, popielniczek, miseczek z agrafkami.

- Nadają blask najciemniejszym dniom - powiedziała ciotka Augusta. Stało w jej sypialni wielkie podwójne łóżko, równie ornamentacyjne jak te szkła. - Jestem szczególnie przywiązana do Wenecji - wyjaśniła - bo tam zaczęłam swoją prawdziwą karierę, swoje podróże. Zawsze ogromnie lubiłam podróże. Głęboko boleję nad tym, że teraz muszę je ograniczać.

- Starość nas powala, zanim się spostrzegamy - powiedziałem.

- Starość? Wcale nie mówię o starości. Mam nadzieję, że nie wyglądam na zgrzybiałą staruszkę. Tylko widzisz, Henry, ja lubię podróżować w towarzystwie, a Wordsworth jest obecnie bardzo zajęty, bo uczy się, żeby zdać egzamin do Londyńskiej Akademii Ekonomicznej. Oto gniazdko Wordswortha. - Otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju.

To wnętrze ozdobiły szklane figurki disneyowskie i jeszcze gorsze - wszystkie te uśmiechnięte myszki i koty, i zające z ostatnich amerykańskich filmów rysunkowych - wydmuchane niemniej starannie niż żyrandol w saloniku.

- Także z Wenecji - zaznaczyła ciotka Augusta. - Kunsztowne, ale już nie takie ładne. Moim zdaniem jednak w sam raz do pokoju mężczyzny.

- Jemu się podobają?

- Niewiele czasu tu spędza - powiedziała ciotka Augusta. - Zajęty tą nauką i wszystkim innym...

- Ja bym nie chciał budzić się wśród nich - wyznałem.

- Rzadko się tu budzi.

Ciotka poprowadziła mnie z powrotem do saloniku, gdzie Wordsworth postawił na stole trzy również weneckie szklanki ze złotymi obwódkami i dzbanek z wodą, żyłkowy pstrokato jak marmur. Butelka Black Label wyglądała zwyczajnie i wskutek tego zgoła

niestosownie, niczym jedyny gość w smokingu na zabawie kostiumowej, które to porównanie przyszło mi na myśl, gdyż sam nieraz bywałem w takiej niezręcznej sytuacji żywiąc wrodzoną niechęć do przebierania się i masek.

- Telefon się urywał cały ten cholerny czas - powiedział Wordsworth. - Mówiłem im, że pani poszła na bardzo elegancki pogrzeb.

- To tak wygodnie, kiedy można ludziom mówić prawdę - rzekła ciotka Augusta. - Nikt nie prosił, żeby mi coś powtórzyć?

- Och, biedny stary Wordsworth nie rozumie ani słowa tak cholernie szybko. Mówiłem im, żeby do mnie nie po angielsku. W mig się odłączali.

Ciotka naląła mi do szklanki więcej whisky, niż mam zwyczaj pić.

- Poproszę jeszcze trochę wody, ciociu.

- Mogę teraz wam obu powiedzieć, jaką ulgę mi sprawia fakt, że wszystko poszło tak gładko. Kiedyś byłam na bardzo ważnej kremacji... żony sławnego pisarza, który nie należał do najwierniejszych mężów. Właśnie skończyła się pierwsza wojna światowa, mieszkałam wtedy w Brighton i żywo interesowałam się fabianami<sup>1</sup>. Słyszałam o nich od twojego ojca będąc jeszcze młodziutką dziewczyną. Przyszłam na tę kremację wcześniej, żeby popatrzeć, i wychyliłam się za balustradę komunijną... jeżeli tak to nazywają w kaplicy krematorium... bo chciałam odczytać nazwiska na wieńcach. Jeszcze nikogo nie było, zupełnie sama stałam przed tymi kwiatami i trumną. Wordsworth niech mi wybaczy, że opowiadam tę historię rozwlekle... słyszał ją już nieraz. Daj swoją szklankę, to ci naleję.

- Nie, nie ciociu. Już i tak wypilem za dużo.

- No, chyba zanadto tam się kręciłam i musiałam przypadkiem nacisnąć jakiś guzik. Trumna ruszyła z miejsca, drzwiczki pieca się otworzyły i poczułam stamtąd gorący podmuch, usłyszałam ryk płomieni i akurat, kiedy trumna wsunęła się do pieca i drzwiczki się za nią zamknęły, wkroczyło to całe wspaniałe towarzystwo: pan Bernard Shaw z małżonką, pan H. G. Wells, panna E. Nesbit (że użyję panieńskiego jej nazwiska) i doktor Havelock Ellis, i pan Ramsay MacDonald, no i wdowiec, i w tej samej chwili pastor (bezwyznaniowy, oczywiście) wyszedł z jakichś drzwi po drugiej stronie balustrady. Ktoś zaczął grać hymn humanistów Edwarda Carpentera „Wszechświecie, o wszechświecie, wszechświatem mamy cię zwać?” Ale trumny nie było.

- I co ciocia wtedy zrobiła?

---

<sup>1</sup> angielska organizacja reformistyczna, która weszła jako autonomiczna organizacja do Partii Pracy.



- Z twarzą ukrytą w chustce do nosa udawałam, że się smucę, ale wiesz, jakoś nikt (może oprócz tego pastora, bardzo opanowanego) w ogóle nie zauważył, że trumny nie ma. Wdowiec z pewnością nie, no, ale on samej żony nie zauważał już od lat. Doktor Havelock Ellis wygłosił bardzo wzruszającą mowę (czy też takie odniosłam wrażenie, bo ostatecznie nie przeszłam na katolicyzm, chociaż byłam tego bliska) o dostojności nabożeństwa żałobnego odprawianego bez złudzeń i bez retoryki. Zgodnie z prawdą mógłby powiedzieć, że i bez zwłok także. Wszyscy słuchali zupełnie zadowoleni. Teraz rozumiesz, dlaczego dzisiaj bardzo się pilnowałam, żeby nie dotknąć czegoś niepotrzebnie.

Ukradkiem znad whisky patrzyłem na ciotkę Augustę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. „Jakież to smutne” wydawało mi się niezbyt na miejscu. Wątpiłem zresztą, czy rzeczywiście do takiego spalenia zwłok doszło kiedykolwiek, ponieważ dopiero w ciągu następnych miesięcy miałem się przekonać, że wszystkie opowieści ciotki są zasadniczo zgodne z prawdą - dodawała tylko pomniejszych szczegóły dla lepszego skomponowania obrazu. Wordsworth wszakże podjął temat w sposób właściwy.

- My na pogrzebach za każdym razem musimy się pilnować... - powiedział. - W Mendeland... moja pierwsza żona była z plemienia Mendę... otwierają plecy zmarłej osoby i wyciągają śledzionę. Jak śledziona jest duża, to ta zmarła osoba była czarownicą i wszyscy natrzęsają się z niej i z całej rodziny, i odchodzą z pogrzebu czym prędzej. Tak było z tatą mojej żony. On umarł na malarię, ale ci ludzie ciemni nie wiedzą, że przy malarii ma się dużą śledzionę. Dlatego moja żona z mamą od razu we dwie odjechały z Mendeland i przyjechały do Freetown. Nie chciały, żeby sąsiedzi się natrzęsali.

- Chyba więc mnóstwo czarownic i czarowników było w Mendeland - zauważyła ciotka.

- Ano pewnie. O wiele za dużo. Powiedziałem:

- Naprawdę myślę, że już czas na mnie, ciciu. Wciąż mi stoi przed oczami ta kosiarka. Zupełnie zardzewieje w deszczu.

- Brak ci będzie, Henry, twojej matki?

- O tak... tak - potwierdziłem.

W gruncie rzeczy jeszcze o tym nie myślałem, zajęty przygotowaniem do pogrzebu, rozmowami z radcą prawnym matki, z dyrektorem jej banku i z agentem biura sprzedaży nieruchomości, mającym spieniężyć jej mały domek w północnym Londynie. Dla człowieka nieżonatego pozbycie się tych wszystkich damskich fatalaszków też nie jest najłatwiejsze.

Meble można sprzedać na licytacji, ale co zrobić z niemodną bielizną starszej pani, z na pół pustymi słoikami jakiegoś staromodnego kremu do twarzy? Zapytałem ciotkę.

- Ja niestety miałam odmienne upodobania niż twoja matka, jeśli chodzi o stroje, a nawet kremy. Dałabym te rzeczy jej sprzątacze pod warunkiem, że ona weźmie wszystko... wszystko.

- Cieszę się bardzo, ciociu, z naszego spotkania. Teraz ciocia jest moją jedyną bliską krewną.

- O ile mi wiadomo - powiedziała ciotka - twój ojciec miał momenty aktywności.

- Moja biedna macocha... Nigdy nie będę zdolny do tego, by pomyśleć, że moją matką była jakaś inna kobieta.

- Lepiej bądź zdolny.

- Ojciec w blokach, które budował, zawsze urządzał bardzo starannie mieszkanie pokazowe. Czasami chyba chodził na popołudniową drzemkę właśnie do takich mieszkań. Możliwe, że w jednym z nich ja zostałem... - Przez szacunek dla ciotki Augusty ugryzłem się w język, żeby nie wypowiedzieć słowa „poczęty”.

- Lepiej nie snuj domysłów.

- Ciocia odwiedzi mnie któregoś dnia i obejrzy moje dalie, prawda? Są teraz w pełnym rozkwicie.

- Oczywiście, Henry. Kiedy już cię odnalazłam, nie tak łatwo cię puszczę od siebie. Czy lubisz podróżować?

- Nigdy nie miałem sposobności.

- Moglibyśmy, skoro Wordsworth taki zapracowany, wybrać się raz czy dwa w jakąś krótką podróż we dwoje.

- Bardzo chętnie, ciociu. - Nawet mi na myśl nie przyszło, że ona mówi o wybraniu się dalej niż nad morze.

- Zatelefonuję do ciebie - powiedziała.

Wordsworth odprowadził mnie do drzwi i dopiero na ulicy, kiedy już minąłem bar „Pod Koroną i Kotwicą”, uświadomiłem sobie, że zostawiłem moją paczkę. Nie przypomniałbym sobie wcale, gdybym nie usłyszał przez otwarte okno, jak ta dziewczyna w bryczesach mówi:

- Peter nie potrafi opowiadać o niczym poza krykietem. I tak przez całe lato. Nic tylko takie pieprzone zasypywanie gruszek w popiele.

Nie lubię przymiotników tego rodzaju w ustach młodych, przystojnych panien, a przecież jej słowa uprzytomniły mi raptownie fakt, że wszystko, co pozostało z mojej matki, jest jeszcze w kuchni ciotki Augusty. Zawróciłem więc do drzwi domu. Był tam rząd dzwonek i nad każdym z nich coś w rodzaju mikrofonu. Nacisnąłem właściwy dzwonek, po czym usłyszałem głos Wordswortha:

- Kto tam? Odpowiedziałem:

- Henry Pulling.

- Nie znam nikogo, co się tak nazywa.

- Przed chwilą od was wyszedłem. Jestem siostrzeńcem cioci Augusty.

- Och, to ten facet - stwierdził głos.

- Nie zabrałem paczki z kuchni.

- A chce pan ją zabrać?

- Proszę, jeżeli to nie za wielka fatyga... Porozumiewanie się ludzi - takie nieraz odnoszę wrażenie - pochłania stanowczo za dużo czasu. Jakże krótko i do rzeczy ludzie rozmawiają na scenie i w filmach, gdy tymczasem w prawdziwym życiu brniemy od zdania do zdania i powtarzamy się w nieskończoność.

- Paczka w brązowym papierze? - usłyszałem pytanie Wordswortha.

- Tak.

- Chce pan, żebym ją zniósł zaraz?

- Tak, jeżeli to nie za wielka...

- To cholerna fatyga - powiedział Wordsworth. - Pan niech zaczeka.

Byłem gotów, kiedy przyniesie paczkę, okazać mu bardzo wyraźnie oziębłość, ale on otwierając drzwi na ulicę, przyjaźnie się uśmiechał.

- Dziękuję - powiedziałem najbardziej chłodno, jak tylko umiałem - że zadał pan sobie tę ogromną fatygę.

Zauważyłem, że paczka już nie jest zapieczętowana.

- Czy ktoś to rozpakował?

- Tylko ja. Chciałem zobaczyć, co pan w niej ma.

- Można mnie było zapytać.

- No, człowieku - powiedział - pan chyba nie obrażony na Wordswortha?

- Nie podoba mi się to, co słyszałem przed chwilą.

- Człowieku, to przecież mówił tylko ten mikrofonik. Ja lubię, jak on mówi różne niegrzeczne rzeczy. Ja jestem tam na górze, a tu na dole mój głos wyskakuje na ulicę, gdzie nikt nie widzi, że tak naprawdę ten głos to stary Wordsworth. To jakaś potęga, człowieku. Jak ten krzak gorejący, kiedy On mówił do starego Mojżesza. Raz pastor z kościoła Świętego Jerzego przyszedł do nas. I mówi tak ckliwie jakby zaczynał kazanie „Drodzy bracia w Chrystusie, czy mógłbym, panno Bertram, wejść na górę i pogawędzić z panią o naszej wencie dobroczynnej?” „Ty, człowieku – ja mówię - masz pewnie kołnierzyk jak psia obroża?” „No, tak - on na to - koloratkę, księży kołnierzyk, oczywiście. Kto to mówi?” „Człowieku - ja mu na to - skoro masz obrożę, to włóż także i kaganiec, zanim wejdiesz tutaj na górę”.

- I co on wtedy powiedział?

- Poszedł sobie i już nie przyszedł nigdy. Pana ciocia śmiała się jak diabli, kiedy jej opowiedziałem. Ale ja nie chciałem mu zrobić przykrości. Tyle że korcił starego Wordswortha ten mikrofonik.

- Naprawdę pan się uczy, żeby wstąpić do Londyńskiej Akademii Ekonomicznej? - zapytałem.

- Och, to tylko pana ciocia tak sobie żartuje. Ja pracuję w Grenada Palace. Mam mundur. Jak generał. Jej się mój mundur podoba. Raz podeszła i zapytała mnie: „Jesteś cesarz Jones?” „Nie, pszpani - ja mówię - jestem tylko stary Wordsworth”. „Och - ona mówi - ty dziecinnie radości, pokrzykuj tu przy mnie, niech ja tego słucham, pastuszkule mój szczęśny”. „Pani mi to napisze - ja mówię - bo to ładne. Podoba mi się”. I mówię to sobie w kółko i w kółko. I umiem to już z pamięci jak hymn.

Trochę byłem jego gadulstwem oszołomiony.

- No, Wordsworth - powiedziałem - dziękuję za ten cały trud i mam nadzieję, że kiedyś zobaczymy się znowu.

- To szalenie ważna paczka?

- Tak. Chyba tak.

- Więc ja myślę, że pan jest winien staremu Wordsworthowi dodatek.

- Dodatek?

- CTC.

Pamiętając przestrogę ciotki, szybko odszedłem.

Tak jak się spodziewałem, moja nowa kosiarka bardzo zmokła. Wytarłem ją starannie i naoliwiłem ostrza, jakkolwiek były nierdzewne. Dopiero potem zaparzyłem

herbatę i ugotowałem dwa jajka na obiad. Miałem wiele do przemyślenia. Czy mogę uwierzyć w historię, którą mi opowiedziała ciotka Augusta, i jeśli tak, to kto mnie urodził? Spróbowałem przypomnieć sobie przyjaciółki matki, będące jej rówieśnicami, ale co z tego? Przyjaźń z tą właśnie musiała się chyba skończyć przed moim przyjściem na świat. I jeśli matka rzeczywiście była dla mnie tylko macochą, czy nadal chcę umieścić jej prochy pośród moich dali? Zmywając po obiedzie doznałem dręczącej pokusy, żeby zawartość urny też splukać do zlewu. Urna ogromnie by mi się przydała, bo obiecywałem sobie, że w przyszłym roku zajmę się smażeniem owoców - emeryt powinien przecież mieć niejedno hobby, jeżeli nie chce starzeć się zbyt szybko - i napelniona dżemem wyglądałaby estetycznie na nakrytym do podwieczorku stole. Trochę żalobna, to fakt, ale do powideł albo do dżemu jabłkowo-jeżynowego słój w takim stylu przecież jest odpowiedni. Poważnie mnie to kusilo, przypomniałem sobie jednakże, jaka dobra na swój surowy sposób była dla mnie moja macocha, i ponadto czyż mogłem wierzyć, że ciotka powiedziała prawdę? Więc ostatecznie wyszedłem do ogrodu i wybrałem wśród dali miejsce, gdzie dałoby się wznieść cokół.

## IV

Odchwaszczałem dalej; Piękności Polarne, Złociste Przewodniczki i Requiem, kiedy zaczął dzwonić telefon. Ponieważ niezwykle było to dzwonienie, rozbijające pełną spokoju ciszę mojego ogródka, uznałem, że pewnie ktoś nakręcił numer przez omyłkę. Przyjaciół los mi raczej poskąpił, chociaż, zanim przeszedłem na emeryturę, mogłem się szcycić sporą liczbą znajomych. Przez dwadzieścia lat miałem do czynienia z wieloma klientami, którzy znali mnie jako urzędnika, kasjera, a później dyrektora naszej filii, pozostawali jednak tylko znajomymi. Rzadki to przypadek, żeby pracownik danej filii awansował na jej dyrektora i ostatecznie sprawował w niej władzę, ale jeśli chodzi o mnie, okoliczności były specjalne. Dyrektor, mój poprzednik, zachorował i prawie przez rok go zastępowałem, przy czym tak się złożyło, że jakoś mnie sobie upodobał jeden z naszych najpoważniejszych klientów. Zagroził, że przeniesie swoje okazałe konto do innego banku, jeżeli nie pozostanę na kierowniczym stanowisku. Nazywał się on sir Alfred Keene; zrobił majątek na cemencie i fakt, że mój ojciec prowadził przedsiębiorstwo budowlane, wytworzył między nami płaszczyznę porozumienia. Sir Alfred zapraszał mnie na kolację co najmniej trzy razy do roku i zawsze radził się mnie w sprawach inwestowania kapitału, chociaż nigdy w myśl moich rad nie postępował. Mówił jednak, że zasięganie u mnie rady pomaga mu podjąć decyzję. Miał niezamężną córkę imieniem Barbara, bardzo lubiącą robić frywolitki, które, przypuszczam, dawała na kościelne wenty dobroczynne. Panna Barbara Keene zawsze odnosiła się do mnie nader uprzejmie, aż moja matka zaczęła mi podsuwać myśl, że mógłbym uderzyć do niej w konkury, skoro ona z pewnością odziedziczy pieniądze sir Alfreda, ale uważałem, że to byłaby pobudka z mojej strony nieuczciwa, a zresztą kobiety nigdy mnie zbytnio nie obchodziły. Interesowałem się wówczas wyłącznie pracą w banku, tak jak teraz interesuję się hodowlą dali. Niestety, sir Alfred zmarł przed samym moim przejściem na emeryturę, a panna Keene wyjechała do Południowej Afryki, żeby tam zamieszkać u krewnych. Rzecz jasna, przejmowałem się trudnościami, jakie miała w związku z wywozem funtów; to ja pisałem do Banku Angielskiego prosząc o rozmaite zezwolenia dla niej i wciąż przypominając, że jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi na moje pismo z dnia tego to a tego ubiegłego miesiąca. W ostatni więc swój wieczór w Anglii, zanim wsiadła na statek w Southampton, zaprosiła mnie na kolację. Rzewny był nastrój tej wizyty bez sir Alfreda, człowieka bardzo wesołego, śmiejącego się do rozpuku nawet z własnych żartów. Panna Keene życzyła sobie, żebym ja zajął się sprawą trunków, wobec

czego wybrałem Amontillado i do kolacji Chambertin, ulubione wino sir Alfreda. Dom jego w Southwood to jedna z tych wielkich tutejszych rezydencji otoczonych krzewami rododendronów, które tamtego wieczoru ociekały wodą, bo siąpił nieprzerwanie listopadowy deszcz. Ponad miejscem sir Alfreda przy stole w jadalni wisiał obraz olejny jakiegoś malarza ze szkoły Van de Veldego przedstawiający łódź rybacką w czasie burzy. Wyraziłem nadzieję, że podróż panny Keene burzliwa nie będzie.

- Sprzedałam ten dom tak jak stoi, ze wszystkimi meblami - powiedziała mi. - Będę zawsze już mieszkała u kuzynostwa.

- Czy zna ich pani dobrze? - zapytałem.

- Nigdy ich nie widziałam - odrzekła. - To dalsza rodzina. Prowadziliśmy tylko korespondencję. Ich znaczki pocztowe wyglądają jak zagraniczne. Bez portretu królowej.

- Tam będzie pani miała słońce - spróbowałem dodać jej otuchy.

- Pan zna Południową Afrykę?

- Rzadko wyjeżdżam z Anglii - powiedziałem. - Kiedyś za młodu pojechałem z kolegą szkolnym do Hiszpanii, ale szkodziły mi na żołądek skorupiaki... czy może ta oliwa.

- Mój ojciec był bardzo silną indywidualnością - westchnęła panna Keene. - Nigdy nie miałam przyjaciół... z wyjątkiem pana, oczywiście, panie Pulling.

Zdumiewające jest dla mnie to, że prawie gotów byłem w tamten wieczór oświadczyć się o jej rękę, a przecież się powstrzymałem. Zainteresowania, naturalnie, mieliśmy odrębne - frywolitki i dalej nie mają ze sobą nic wspólnego, poza tym, że zarówno jedno jak drugie może wypełniać ludziom raczej samotnym życie. Krążyły już pogłoski o fuzji banku. Nieuchronnie czekało mnie przejście na emeryturę i wiedziałem doskonale, że przyjacielskie stosunki, jakie nawiązałem z innymi moimi klientami, nie wytrzymają próby czasu. Gdybym się jej oświadczył, czy by wyraziła zgodę? Niewykluczone. W wieku jesteśmy dla siebie odpowiednim: panna Keene zbliżała się wtedy do czterdziestki, a mnie miało wkrótce stuknąć pięćdziesiąt pięć lat, i matka z pewnością by nasz związek aprobowała. Jakże inaczej mogłoby się wszystko ułożyć, gdybym wtedy powziął decyzję. Wcale bym nie usłyszał niepokojącej historii moich narodzin, ponieważ w obecności żony ciotka Augusta przecież by zachowała dyskrecję. I nie wybrałbym się z ciotką w żadną podróż. Wiele by mi zostało zaoszczędzone, chociaż wiele też chyba by mnie ominęło. Panna Keene rzekła:

- Będę mieszkała w okolicach Koffiefontein.

- Gdzie to jest?

- Właściwie nie wiem. Słyszysz pan? Leje jak z cebra.

Wstaliśmy od stołu i przeszliśmy na kawę do salonu. Ścianę zdobiła kopia Canaletta, jakaś scena wenecka. Wszystkie obrazy w tym domu, wydaje mi się, przedstawiały obce kraje, a ona miała wyjechać do Koffiefontein. Pomyślałem, że nigdy nie odbędę tak dalekiej podróży i że wołałbym, by panna Keene nadal mieszkała w Southwood.

- Kawał drogi pani przejedzie - powiedziałem.

- Gdyby tu było coś, co by mnie zatrzymywało... Dwie kostki dla pana czy jedna?

- Ja bez cukru, dziękuję.

Czy to była zachęta, żebym się oświadczył? - potem wciąż sam siebie o to pytałem. Nie kochałem jej i wiedziałem, że ona mnie nie kocha, ale może jakoś ułożylibyśmy wspólne życie. Wiadomość od niej dostałem w rok później:

Szanowny Panie, ciekawa jestem, co słyhać w Southwood i czy deszcz pada? My tu mamy piękną słoneczną zimę. Kuzynostwo moi posiadają małą (!) farmę liczącą dziesięć tysięcy akrów i uważają, że to nic przejechać siedemset mil, żeby kupić tryka. Jeszcze niezupełnie do wszystkiego przywykłam i często myślę o Southwood. Jak tam dalej? Ja przestałam robić frywolitki. Przebywamy bardzo dużo na świeżym powietrzu.

Odpisałem pannie Keene w miarę możliwości wyczerpująco, chociaż wtedy już przeszedłem na emeryturę i znalazłem się niejako na uboczu życia w Southwood. Poinformowałem ją o niedomaganiu mojej matki i o tym, jak się sprawują dalej. Hodowałem pewną dość smutną odmianę w kolorze fioletowym, zwaną Deuil du Roy Albert, ale mi się nie udało. Nie żałowałem. Dziwna to nazwa dla kwiatu. Moje Ben Hury kwitły.

Nie odbierałem więc tego telefonu pewny, że to jakaś pomyłka, ale kiedy dzwonek uparcie rozbrzmiewał nadal, zdecydowałem się zostawić dalej i wejść do domu.

Telefon stał na szafce do akt, gdzie przechowywałem rachunki i całą korespondencję wynikłą ze zgonu mojej matki. Nigdy, odkąd przestałem być dyrektorem, nie otrzymywałem tylu listów co teraz: pisma od radcy prawnego i od przedsiębiorcy pogrzebowego, pisma z urzędu podatkowego, kwity z krematorium, rachunki doktora, formularze ubezpieczalni społecznej i nawet kilka liścików z kondolencjami. Mogłem prawie uwierzyć, że jestem znów człowiekiem interesu.

Usłyszałem w słuchawce głos ciotki Augusty:



- Nie śpieszysz się do telefonu.  
- Byłem zajęty w ogrodzie.  
- Skoro już mowa o ogrodzie, jak zastałeś kosiarkę?  
- Bardzo mokrą, ale bez uszkodzeń, których nie dałoby się naprawić.  
- Mam ci coś niezwykłego do powiedzenia - oznajmiła ciocia. - Policja zrobiła u mnie rewizję.

- Rewizję... policja?

- Tak. Powinieneś słuchać uważnie, bo oni mogą odwiedzić ciebie.

- Po co, na Boga?

- Czy masz jeszcze prochy matki?

- Oczywiście.

- Bo oni chcą je zobaczyć. Może nawet zechcą poddać je analizie.

- Ależ ciociu... musi mi ciocia dokładnie powiedzieć, co się stało.

- Usiłuję, tylko że wciąż mi przerywasz zgoła niepomocnymi okrzykami. Była północ, Wordsworth i ja już położyliśmy się spać. Na szczęście miałam na sobie najlepszą nocną koszulę. Zadzwonili do drzwi na dole i powiedzieli nam przez domofon, że są z policji i mają nakaz dokonania w mieszkaniu rewizji. „Po co?” - zapytałam. Wiesz, przez chwilę myślałam, że to może jakaś sprawa rasowa. Tyle jest tych zarządzeń dla ras i przeciwko rasom, że trudno się zorientować.

- Ciocia jest pewna, że oni byli z policji?

- Oczywiście zażądałam, żeby mi pokazali ten nakaz, ale czy to wiadomo, jak taki dokument wygląda? Dla mnie mógł to być równie dobrze abonament do biblioteki Muzeum Brytyjskiego. Wpuściłam ich ostatecznie, bo byli grzeczni i jeden z nich był w mundurze, wysoki i przystojny. Dosyć się zdziwili, kiedy zobaczyli Wordswortha... czy może kolor jego piżamy. Zapytali: „Czy to pani mąż, proszę pani?” Odpowiedziałam: „Nie, to Wordsworth”. Brzmienie tego nazwiska wyraźnie poruszyło jednego z nich... tego młodego w mundurze... bo wciąż zerkał na Wordswortha ukradkiem, jak gdyby próbował coś sobie przypomnieć.

- Ale czego oni szukali?

- Powiedzieli, że mają wiarygodne informacje o narkotykach przechowywanych w moim mieszkaniu.

- Och, ciociu, nie sądzi ciocia, że Wordsworth...

- Oczywiście, że nie. Wydłubali wszystkie kłaczki ze szwów jego kieszeni, a potem wyszło na jaw, dlaczego. Zapytali go, co było w tej paczce w brązowym papierze, którą, jak widziano, wręczył jakiemuś człowiekowi kręcącemu się podejrzanie przed domem. Biedny Wordsworth powiedział, że nie wie, więc wtrąciłam się i wyjaśniłam, że to były prochy mojej siostry. Nie wiem dlaczego, ale od razu zaczęli mnie podejrzewać. Ten starszy, w cywilnym ubraniu, powiedział: „Taka nonszalancja, proszę pani, raczej tu nie pomoże”. Odparłam: „Jeśli chodzi o moje poczucie humoru, to nie widzę zupełnie nic nonszalanckiego w prochach mojej siostry nieboszczki”. „A więc jakiś proszek to był?” - zapytał ten młodszy policjant... bystrzejszy, ten, któremu się wydawało, że skądś zna nazwisko Wordsworth. „Może pan nazywać to sobie, jak pan chce - odpowiedziałam - szary proszek, czyli prochy ludzkie”, a oni wtedy mieli takie miny, jak gdyby wygrali jeden punkt. „A kim był odbiorca tego proszku?” - zapytał ten nieumundurowany. „Mój siostrzeniec - odpowiedziałam - syn mojej siostry”. Bo nie widziałam powodu, żeby policji stołecznej opowiadać te dawne dzieje, które ci opowiedziałam wczoraj. Zapytali mnie wtedy o twój adres, więc im podałam. Ten bystry zapytał: „Czy on to wziął do swego prywatnego użytku?” „On chce - odpowiedziałam - umieścić to wśród swoich dali”. Rewizję zrobili bardzo dokładnie, zwłaszcza w pokoju Wordswortha, i wzięli próbki wszystkich papierosów, jakie tylko zdołali znaleźć, i parę aspiryn, które mi zostały w fiolce. Potem bardzo grzecznie powiedzieli: „Dobranoc pani” i wyszli. Wordsworth musiał zejść na dół, żeby im otworzyć drzwi, i ten bystry przed samym odejściem jeszcze go zapytał: „Jak panu na imię”? Kiedy dowiedział się, że Zachariasz, odszedł z miną wielce zaintrygowaną.

- Bardzo dziwne rzeczy zdarzają się na tym świecie - zauważyłem.

- Nawet niektóre listy czytali i pytali, kto to jest Abdul.

- A kto to jest?

- Ktoś, kogo znałam bardzo dawno temu. Na szczęście zachowałam kopertę ze stemplem: Tunis, luty, rok tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty. Inaczej by myśleli, że wszystko, co on napisał w tym liście, jest aktualne teraz.

- Przykro mi, ciociu. To musiało być straszne przeżycie.

- Poniekąd mnie ubawiło. Ale istotnie wywołało też we mnie poczucie winy...

Ktoś zadzwonił do drzwi frontowych, więc powiedziałem:

- Ciocia będzie łaskawa poczekać chwilę przy telefonie. - Wyjrzałem przez okno jadalni i zobaczyłem hełm policjanta. Wróciłem do telefonu i zawiadomiłem ją: - Cioci znajomi są tutaj.

- Już?

- Odezwę się, kiedy sobie pójda.

To była pierwsza w moim życiu wizyta policji. Weszło ich dwóch, niski niemłody człowiek w miękkim kapeluszu, o twarzy szorstkiej, ale dobrotliwej, i ze złamanym nosem, oraz wysoki, przystojny młodzieniec w mundurze.

- Pan Pulling? - zapytał ten w cywilu.

- Tak.

- Możemy wejść na parę minut?

- Mają panowie nakaz? - zapytałem.

- Och, nie, do tego nie doszło. Chcemy tylko z panem porozmawiać.

Miałem chęć coś napomknąć o gestapo, ale uznałem, że roztropniej będzie nie napomykać. Poprowadziłem ich do jadalni i wcale nie zaproponowałem, żeby usiedli. Ten w cywilu pokazał mi legitymację, z której się dowiedziałem, że jest to sierżant policji śledczej Sparrow, John.

- Zna pan niejakiego Wordswortha, panie Pulling?

- Tak, to znajomy mojej ciotki.

- Czy otrzymał pan paczkę od niego na ulicy w dniu wczorajszym?

- Owszem, otrzymałem.

- Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy tę paczkę obejrzel?

- Owszem, miałbym.

- Pan wie, proszę pana, że łatwo uzyskalibyśmy nakaz dokonania rewizji, ale wolimy załatwić tę sprawę delikatnie. Czy tego Wordswortha dawno pan zna?

- Poznałem go wczoraj.

- Może on pana poprosił o doręczenie komuś tej paczki, a pan nie widział w tym nic złego, zważywszy w dodatku, że zatrudnia go pańska ciotka...

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Ta paczka jest moją własnością. Tak się złożyło, że zapomniałem ją zabrać z kuchni...

- Ta paczka jest pańską własnością, proszę pana? Przyznaje pan to?

- Wicie przecież doskonale, co zawiera. Ciotka wam powiedziała. To urna z prochami mojej matki.

- Pańska ciotka już porozumiała się z panem, prawda?

- Tak jest. A co panowie myśleli? Żeby tak budzić starszą panią w środku nocy!

- Było nie później niż parę minut po dwunastej, proszę pana. Więc te prochy... To pani Pulling?

-Właśnie. Sami panowie mogą zobaczyć. Na biblioteczce.

Na razie, do czasu zbudowania cokołu wśród dali, postawiłem urnę ponad kompletem dzieł sir Waltera Scotta, który odziedziczyłem po ojcu. Na swój leniwy sposób ojciec czytał dużo, chociaż nie szukał przygód intelektualnych. Wystarczało mu posiadanie dzieł kilku ulubionych autorów. Kiedy już czytał dalsze tomy Scotta, stwierdził, że wcale nie pamięta treści tomów wcześniejszych, toteż później zaczął na nowo od „Guy Manneringa” zresztą z dużym zadowoleniem. Miał też komplet dzieł Marion Crawford i ogromnie lubił poezję dziewiętnastowieczną, którą również po nim odziedziczyłem - Tennysona, Wordswortha, Browninga i „Złoty skarbiec” Palgrave'a.

- Pozwoli pan, że rzucę okiem? - zapytał sierżant Sparrow, ale rzecz jasna, nie potrafił urny otworzyć. - Zapieczętowana - powiedział - przezroczystym plastrem.

- Naturalnie. Nawet puszka herbatników...

- Chciałbym wziąć próbkę do analizy.

Już mnie to zaczęło gniewać.

- Jeżeli pan myśli, że pozwolę, żebyście zabawiali się moją biedną matką w jakimś laboratorium policyjnym...

- Potrafię zrozumieć, co pan odczuwa, proszę pana - powiedział sierżant Sparrow - ale opieramy się na dosyć poważnym materiale dowodowym. Wzięliśmy trochę kłaczków z kieszeni tego Wordswortha i, jak analiza wykazała, jest w nim marihuana. A także haszysz.

- Nie macie nakazu...

- Nakaz, proszę pana, moglibyśmy uzyskać bez trudu, ale zważywszy, że może pan jest kozłem ofiarnym, wolałbym zabrać tę urnę na jakiś czas za pańską zgodą. Dzięki temu w sądzie zrobiłby pan znacznie lepsze wrażenie.

- Możecie sprawdzić w krematorium. Spalono zwłoki zaledwie wczoraj.

- Już sprawdziliśmy, proszę pana, ale pan rozumie, nie jest wykluczone... proszę nie myśleć, że pozwalam sobie sugerować linię pana obrony, to już sprawa wyłącznie pańskiego adwokata... otóż nie jest wykluczone, że ten Wordsworth wysypał prochy nieboszczki i wsypał na ich miejsce marihuanę. Może wiedział, że jest pod obserwacją. No więc chyba, proszę pana, byłoby ze wszech miar lepiej upewnić się, co właściwie ta urna zawiera? Ciotka pańska mówiła nam, że ma pan zamiar trzymać ją w ogrodzie... chyba nie

chciałby pan patrzeć na nią co dzień zastanawiając się, czy to rzeczywiście są prochy ukochanej zmarłej czy nielegalna przesyłka marihuany?

Wyraźnie mi współczuł, aż zacząłem naprawdę rozumieć jego punkt widzenia.

- Wzięlibyśmy tylko maleńką szczyptę, proszę pana, niecałą łyżeczkę do herbaty. Resztę potraktowalibyśmy z należyтым szacunkiem.

- Dobrze - ustąpiłem - bierzcie panowie tę swoją szczyptę. Przypuszczam, że wypełniacie tylko obowiązek.

Młody policjant przez cały czas notował. Sierżant Sparrow zwrócił się do niego:

- I zaznacz, że pan Pulling wykazał pełną gotowość do współpracy i wypożyczył urnę dobrowolnie. To zrobi dobre wrażenie w sądzie, jeżeli dojdzie do najgorszego.

- Kiedy otrzymam urnę z powrotem?

- Nie później niż jutro... jeżeli wszystko jest tak, jak być powinno.

Uścisnął mi rękę dosyć serdecznie, jak gdyby przekonany o mojej niewinności, ale możliwe, że taki już miał zawodowy sposób bycia.

Oczywiście po ich odejściu natychmiast zatelefonowałem do ciotki.

- Wzięli urnę - powiedziałem. - Myślą, że prochy matki to marihuana. Gdzie jest Wordsworth?

- Wyszedł po śniadaniu i nie wrócił.

- Znaleźli pył marihuany w kłaczkach z jego ubrania.

- Ojej, jakaż to lekkomyślność ze strony tego biednego chłopca. Wydawał mi się trochę zaniepokojony. I zanim wyszedł, poprosił o CTC.

- Dała mu ciocia?

- Wiadomo. Naprawdę bardzo go lubię, a powiedział, że dziś jego urodziny. W zeszłym roku nie miał żadnych urodzin, więc mu dałam dwadzieścia funtów.

- Dwadzieścia funtów! Ja nigdy takiej dużej sumy nie trzymam w domu!

- Dojedzie za to aż do Paryża. Teraz sobie uprzytomniam, że wyszedł dość wcześnie, żeby zdążyć wsiąść w Złotą Strzałę, a paszport ma przecież zawsze przy sobie, na wypadek gdyby go wzięli za nielegalnego imigranta. Wiesz, Henry, sama bardzo chętnie zaczerpnęłabym morskiego powietrza.

- Nigdy go ciocia nie znajdzie w Paryżu.

- Nie myślałam o Paryżu. Myślałam o Stambule.

- Stambuł nie leży nad morzem.

- Chyba się mylisz. Jest coś takiego, co nazywa się morze Marmara.

- Ale dlaczego właśnie Stambuł?

- Przypomniał mi o tym mieście list od Abdula, który znaleźli ci policjanci. Dziwny zbieg okoliczności. Najpierw tamten list, a potem, dzisiaj rano z poczty następny... pierwszy od wielu lat.

- Od Abdula?

- Tak.

Okazałem słabość, ale wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, jaką namiętność ciotka Augusta żywi do podróży. Gdybym sobie z tego zdawał sprawę, na pewno bym się wahał, zanim bym wystąpił z tą brzemiennej w skutki propozycją:

- Nie mam dziś nic szczególnego do roboty. Może ciocia chciałaby przejechać się do Brighton...

## V

Podróż do Brighton była pierwszą z moich podróży w towarzystwie ciotki Augusty. Dała mi dziwny przedsmak tego, co miało nastąpić później.

Przyjechaliśmy do Brighton wczesnym wieczorem, żeby tam przenocować. Zdumiała mnie szczupłość bagażu ciotki, który składał się tylko z białego skórzanego neseserka, zwanego przez nią *baise en ville*. Ja bym nie wyjechał z domu na noc nie biorąc dosyć ciężkiej walizki, gdyż czuję się nieswojo, jeżeli nie mam co najmniej jednego ubrania na zmianę, a to z kolei pociąga konieczność wzięcia drugiej pary butów. Zapasowa koszula, zapasowe kalesony i skarpetki są dla mnie rzeczą wprost zasadniczą i zważywszy kaprysy naszej angielskiej aury, lubię też mieć w walizce kilka swetrów. Ciotka krzywo patrząc na mój bagaż, powiedziała:

- Musimy wziąć taksówkę. A miałam nadzieję, że pójdziemy pieszo.

Zarezerwowałem dla nas pokoje w „Królewskim Albionie”, ponieważ ciotka życzyła sobie być w pobliżu Przystani Pałacowej i Starej Steine. Objawiła mi, chyba niezgodnie z faktami, że ta ostatnia nazwa to hołd oddany niegodziwej markizie z „Targowiska próżności”.

- Zawsze mi przyjemnie - powiedziała - przebywać w samym tym ośrodku mocy diabelskich, skąd autobusy odjeżdżają do tych wszystkich kąpielisk.

I mówiła to tak, jak gdyby one kursowały do Sodomy i Gomory, a nie do Lewes i Patcham, Littlehampton i Shoreham. Najwidoczniej po raz pierwszy była w Brighton za młodu, pełna nadziei, które, obawiam się, częściowo jej nie zawiodły.

Liczyłem na prysznic, kieliszek kseresu, potem spokojną kolację w barze hotelowym i wczesne udanie się na spoczynek przed męczącym porankiem nad morzem, ale ciotka się sprzeciwiła.

- Z kolacją możemy poczekać ze dwie godziny - powiedziała. - Chcę przede wszystkim, żebyś poznał, Hatty, jeżeli Hatty jeszcze żyje.

- Kto to jest Hatty?

- Pracowałyśmy kiedyś obie z jednym panem, który się nazywał Curran.

- Dawno to było?

- Czterdzieści lat temu, o ile nie więcej.

- No, to raczej nieprawdopodobne, żeby...

- Ja przecież żyję - stwierdziła ciotka Augusta rzeczowo - i dostałam widokówkę od niej na Boże Narodzenie dwa lata temu.

Wieczór był szary, ołowiany, i wschodni wiatr od strony Kemp Town dmuchał nam w plecy. Morze wzbierało, kamyczki obracały się i zgrzytały pod cofającymi się falami. Był prezydent Nkrumah w popielatym ubraniu ze stojącym kołnierzykiem patrzył na nas z okna gabinetu figur woskowych. Ciotka przystanęła i obejrzała go chyba troszeczkę rzewnie.

- Ciekawa jestem, gdzie Wordsworth obraca się teraz - rzekła.

- Spodziewam się, że ciocia wkrótce dostanie od niego wiadomość.

- Bardzo wątpię - westchnęła. - Drogi Henry - powiedziała po chwili - w moim wieku już się nie liczy na trwałość stosunków z kimkolwiek. Pomyśl, jakie życie byłoby skomplikowane, gdybym utrzymywała kontakt ze wszystkimi mężczyznami, których znałam bliżej. Niektórzy pomarli, niektórych ja porzuciłam, nieliczni porzucili mnie. Gdyby wszyscy byli ze mną teraz, musielibyśmy zająć całe skrzydło „Królewskiego Albionu”. Do Wordswortha byłam bardzo przywiązana, dopóki miałam go przy sobie, ale uciec już nie doznaję tak silnych jak kiedyś. Potrafię znieść jego nieobecność, chociaż może przez chwilę pomyślę o nim z żalem dziś w nocy. Wspaniałe były te jego kastaniety.

Wiatr porwał mi kapelusz i cisnął go o słup latarni. Tak się zdumiałem wulgarnością ciotki, że trudno mi go było złapać, a ona śmiała się jak młoda kobieta. Wróciłem, czyszcząc kapelusz. Jeszcze stała przed oknem gabinetu figur woskowych.

- To jakaś forma nieśmiertelności - powiedziała.

- Co?

- Nie mówię o tym gabinecie w Brighton, bo to raczej drugi garnitur, ale tak stać w gabinecie Madame Tussaud. Z Crippinem i z królową.

- Ja bym wolał, żeby ktoś namalował właśnie mój portret.

- Ale na portrecie nie widać człowieka ze wszystkich stron, a u Madame Tussaud nawet biorą ci coś z twojej garderoby, żeby w to ubrać twoją figurę, czy też tak tylko pisali. Mam jedną niebieską suknię, którą chętnie bym dała dla siebie... No ale - dorzuciła ciotka z westchnieniem - mało jest prawdopodobne, że kiedykolwiek będę aż tak sławna. Mrzonki...

- Ruszyła dalej, chyba trochę przygnębiona. - Zbrodniarze - powiedziała - i królowe, i politycy. Miłość z wyjątkiem Neli Gwynn i „Piękności w kąpieli” nie cieszy się wielkim poważaniem.



Doszliśmy do drzwi gospody „Pod Gwiazdą i Podwiązką” i ciotka zaproponowała, żebyśmy się czegoś napili. Ściany w tej gospodzie były przyozdobione napisami o charakterze filozoficznym: „Życie to ulica jednokierunkowa, na której nie można zawrócić”, „Małżeństwo to wspiana instytucja dla tych, którzy lubią instytucje”, „Nigdy nie przekonasz myszy, że czarny kot przynosi szczęście”. Wisiały tam ponadto stare programy teatralne i fotografie. Zamówiłem kseres, a dla ciotki, ponieważ sobie życzyła, portwajn i koniak. Odwracając się od lady zobaczyłem, że przygląda się jakiejś fotografii. Owo zdjęcie zrobiono przed Przystanią Pałacową: stały tam dwa tresowane psy na tylnych łapach i słoń, a między nimi krępy mężczyzna we fraku i cylindrze, z dewizką zwisającą z kieszonki kamizelki oraz zgrabna młoda kobieta w trykotach, z batem w ręce jak stangret.

- To Curran - wyjaśniła mi ciotka. - Tak właśnie się zaczęło. - Wskazała tę młodą kobietę. - A to jest Hatty. Dobre dawne czasy.

- Przecież w cyrku ciocia nigdy nie pracowała, ciociu Augusto?

- Och, nie, ale przypadkiem byłam tam wtedy, gdy ten słoń nadepnął Curranowi na duży palec u nogi, i odtąd żyliśmy w bardzo serdecznej przyjaźni. Biedak, musiał pójść do szpitala, a kiedy wyszedł, cyrk odjechał już bez niego do Weymouth. Hatty także, chociaż ona później wróciła, kiedyśmy się zainstalowali.

- Zainstalowali? Jak to?

- Któregoś dnia ci opowiem, teraz jednak musimy odnaleźć Hatty.

Wypiła co do kropli swój portwajn i koniak, i znów ruszyliśmy w drogę pod zimny wiatr. Naprzeciwko gospody był sklepik z materiałami piśmiennymi, gdzie ciotka od razu wstąpiła, żeby zasięgnąć informacji. Na wystawie szczękały i obracały się jak skrzydła wiatraka metalowe kołowroty z dużym asortymentem komicznych pocztówek. Jedna z nich przedstawiała butelkę Guinnessa i grubą kobietę lecącą w podmuchu wichury głową w dół. Wyjaśniał to napis „Do dna!” Na innej pocztówce pacjent w szpitalu mówił do chirurga: „Ale ja prosiłem, żeby tylko odczołować, panie doktorze” i właśnie jej się przyglądałem, gdy ciotka wyszła ze sklepiku.

- To tutaj - rzekła - wiedziałam, że nie mogę bardzo się mylić.

I rzeczywiście w oknie najbliższego domu przyczepiona do siatkowej franki widniała tekturowa tabliczka: „Herbatka u Hatty. Tylko na zamówienie”. Przy drzwiach wisiały fotografie Marilyn Monroe, Franka Sinatry i księcia Edynburga, z autografami tych osób, chociaż w przypadku księcia nie wydawało mi się to możliwe.

Zadzwoniliśmy do drzwi i otworzyła nam jakaś starsza pani. Miała na sobie czarną sukienkę wieczorową, a kiedy się poruszała brzękało mnóstwo fidrygałków z dżetów.

- Późno państwo przychodzą - powiedziała surowo.

- Hatty! - wykrzyknęła ciotka Augusta.

- Zamykam punkt o pół do siódmej, chyba że jest specjalne zamówienie.

- Hatty, Augusty nie poznajesz?

- Augusta!

- Hatty! Wcale się nie zmieniłaś.

Ale ja, kiedy sobie przypomniałem tę młodą pannę trzymającą bat i z ukosa patrzącą na Currana, pomyślałem, że przecież zaszły w niej zmiany.

- Mój siostrzeniec Henry. Pamiętasz, Hatty, jak to z nim było.

Wymieniły spojrzenia, które z lekka mnie zakłopotwały. Czy wypada roztrząsać tę historię sprzed lat? Czy ciotka istotnie dopuściła Hatty do tajemnicy moich narodzin?

- Wejdźcie, bardzo proszę. Właśnie zaparzałam herbatkę... herbatkę niezawodowo - dodała Hatty, chichocząc.

- Tu? - ciotka otworzyła jedne drzwi.

- Nie, kochanie, tam jest poczekalnia.

Przez szparę w tych drzwiach zdążyłem tylko zobaczyć jakiś sztych, była to cała gromada nagich dam w łaźni rzymskiej. Sir Alma Tademy zapewne.

- Oto moje gniazdko, kochanie - powiedziała Hatty otwierając inne drzwi.

W małym, zagraconym pokoiku chyba wszystko - stół, oparcia krzeseł, kominek - przysłaniała mnogość fioletoworóżowych szali z frędzlami. Szal zwisał nawet z gabinetowej fotografii jakiegoś krępego mężczyzny, w którym prawie od razu rozpoznałem pana Currana.

- Wielbiony - rzekła ciotka Augusta patrząc na tę fotografię.

- Wielbiony - powtórzyła Hatty.

I obie się roześmiały, jak gdyby krył się w tym zrozumiały tylko dla nich, świetny dowcip.

- Wiel, w skrócie, czyli wielebny - powiedziała ciotka. - Ale oczywiście to tylko zbieg okoliczności. Pamiętasz, jak tłumaczyliśmy to wtedy tym policjantom? Wiesz, Hatty, „Pod Gwiazdą i Podwiązką” wciąż jeszcze wisi jego zdjęcie.

- Od lat tam nie chodzę - powiedziała Hatty. - Nie wolno mi pić mocnych trunków.

- Ty tam jesteś i ten słoń także. - Ciotka zastanowiła się. - Jakże ten słoń się wabił?

Hatty wyjmowała teraz z oszklonej szafki jeszcze dwie filiżanki. Na szafce też wisiał szal z frędzlami. Spróbowała sobie przypomnieć.

- To nie było takie pospolite imię jak Jumbo. Coś starożytnego. W naszym wieku, Augusto, pamięć nieco szwankuje.

- Czy nie Cezar?

- Nie, nie Cezar. Pan z cukrem, panie...

- Mów mu Henry po prostu.

- Jedną kostkę - powiedziałem.

- Ojej, jej... taką kiedyś miałam doskonałą pamięć.

- Woda się gotuje, kochanie.

Imbryk z wodą stał na maszynie spirytusowej obok dużego kamionkowego czajnika. Hatty zajęła się herbatą.

- Och, zupełnie zapomniałam o sitku! - wykrzyknęła.

- Nie szkodzi, Hatty.

- To przez tych moich klientów. Im nigdy nie nalewam przez sitko, więc potem, kiedy jestem sama, też zapominam.

Podawała talerz z imbirowymi kruchymi ciasteczkami. Wziął jedno przez grzeczność.

- Ze Starej Steine - poinformowała mnie ciotka. -O, ty zacna stara piekarnio... Nie dostanie się takich doskonałych imbirowych chrupanek nigdzie indziej na świecie.

- Oni teraz z niej zrobili kantor totalizatora - powiedziała Hatty. - Pluto, czy to nie był właśnie Pluto, kochanie?

- Nie, chyba nie Pluto. Mnie się zdaje, że to się zaczynało na T.

- I jego nazwa miała przecież jakieś znaczenie.

- Z pewnością.

- Historyczne.

- Właśnie.

- A te psy, pamiętasz, kochanie? One też są tam na tym zdjęciu.

- To one nasunęły Curranowi ten pomysł.

- Wielbionemu - powtórzyła ciotka Augusta i znowu obie parsknęły śmiechem, jak gdyby je rozbawiło jakieś wspólne osobiste wspomnienie. Czując się bardzo samotny, wziąłem jeszcze jedno kruche ciasteczko imbirowe.

- Chłopiec lubi słodczy - zauważyła Hatty.

- I pomyśleć, że ta mała piekarenka przetrwała dwie wojny światowe.

- Myśmy też przetrwały - powiedziała Hatty - ale nas nie przerobią na kantory totalizatora.

- Och, na nas trzeba będzie bomb atomowych - powiedziała ciotka Augusta.

Uznałem, że to chwila odpowiednia, żeby wziąć udział w rozmowie.

- Sytuacja na Środkowym Wschodzie jest dosyć poważna - powiedziałem - sądząc z tego, co piszą w dzisiejszym „Guardian”.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekła Hatty i obie zadumały się na moment.

Potem ciotka wyciągnęła ze swojej filizanki listek herbaty, położyła go na wierzchu dłoni i trzepnęła drugą ręką; przywierał uparcie do żyłki między brunatnymi plamkami na skórze, które moja matka zwykła nazywać „stempelkami mogiły”.

- Nie mogę się pozbyć tego faceta - stwierdziła ciotka. - Mam nadzieję, że jest wysoki i przystojny.

- To przecież ktoś, kogo już znasz - poprawiła ją Hatty. - Myślisz o kimś, kto odszedł, i ta myśl chodzi za tobą.

- O żyjącym czy zmarłym?

- Może być i tak, i tak. Sztywny ten listek?

- Jeżeli o żyjącym, to chyba o biednym Wordsworthie.

- Wordsworth nie żyje, kochanie - powiedziała Hatty. - Już od dawna.

- Mój Wordsworth żyje. Listek sztywny jak drewno. Ciekawe, który to zmarły.

- Może biedny Curran.

- Myślę o nim rzeczywiście sporo, odkąd przyjechaliśmy do Brighton.

- Chcesz, żebym zaparzyła zawodowo, kochanie, dla ciebie i twojego przyjaciela?

- Siostrzeńca - z kolei ciotka Augusta poprawiła Hatty. - Byłoby nam bardzo miło, kochanie.

- To zaparzę jeszcze jeden czajnik. Listki muszą być świeże do wrózenia, a ja zawodowo zaparzam zwykle Lapsang Souchong, chociaż sama pijam Ceylon... Ale właśnie Lapsang ma duże listki, więc są dobre rezultaty.

Kiedy wróciła już po umyciu czajnika i naszych filiżanek, ciotka powiedziała:

- Pozwól nam jednak zapłacić.
- Ani mi się śni, kochanie. Tak już dawno nie byliśmy razem.
- Z wielbionym.

I znów się rozchichotały.

Hatty nalala wrzątku do czajnika.

- Zanim naciągnie. Listki wróżą lepiej, kiedy są świeże. - Od razu napelniła nam herbatą filiżanki. - A teraz odlej herbatę, kochanie, w tę miseczkę.

- Wiem! - wykrzyknęła ciotka. - Hannibal.

- Hannibal?

- Ten słoń, który nadepnął Curranowi na nogę.

- Chyba rzeczywiście masz rację, kochanie.

- Kiedy tak patrzyłam na tę herbatę, raptem mi się przypomniało.

- Nieraz już zauważyłam, że te listki mają to do siebie. Różne rzeczy wracają do głowy. Patrzy się na listki i wracają.

- Hannibal chyba także już nie żyje.

- Ze słoniami nigdy nic nie wiadomo, kochanie.

Hatty podniosła filiżankę ciotki i uważnie w nią zajrzała.

- Ciekawe - rzekła - bardzo ciekawe.

- Źle czy dobrze?

- I dobrze, i źle po trochu.

- Powiedz mi tylko to dobre.

- Będiesz mnóstwo podróżowała. W czyimś towarzystwie. Przepłyniesz ocean. Czeka cię wiele przygód.

- Z mężczyznami?

- Tego listki nie mówią, kochanie, ale ja, znając ciebie tak jak znam, wcale bym się nie dziwiła. Życiu twojemu i twojej wolności będzie groziło niejedno niebezpieczeństwo.

- Ale wyjdę z tego szczęśliwie?

- Widzę jakiś nóż... czy może to strzykawka.

- Albo też jeszcze coś innego... ty wiesz, Hatty, co mam na myśli.

- Jest w twoim życiu jakaś tajemnica.

- To dla mnie nie nowość.

- Widzę mnóstwo zamieszania... mnóstwo jakiejś bieganiny to tu, to tam. Przykro mi, Augusto, ale żadnego spokoju w najbliższej przyszłości nie widzę. Jest jakiś krzyż. Może się nawrócisz. Może ktoś pokrzyżuje ci plany.

- Religia zawsze mnie pociągała - oświadczyła ciotka. - Już od czasów Currana.

- To może też być i ptak, oczywiście... chyba sęp. Trzymaj się jak najdalej od pustkowiec. - Hatty westchnęła... - Już nie tak łatwo mi wróżyć jak kiedyś. Wyczerpuję się przy wróżeniu obcym.

- Ale mogłabyś, kochanie, rzucić okiem i na filiżankę Henry'ego także, jeżeli to ci nie sprawi różnicy. Tylko rzucić okiem.

Hatty odlała herbatę z mojej filiżanki i zajrzała na dno.

- Z mężczyznami trudniej - powiedziała. - Tyle mają zajęć, na których kobiety się nie znają, a to przecież komplikuje odczytywanie wróżb. Miałam kiedyś klienta, który powiedział, że jest dłużnikiem. Skąd mogę wiedzieć, co on przez to rozumiał. Pan jest przedsiębiorcą pogrzebowym?

- Nie.

- Coś mi tu jednak wygląda na urnę jak gdyby. Widzi pan? Na lewo od ucha filiżanki. Niedawna przeszłość.

- Może być urna - przyznałem patrząc w filiżankę.

- Będzie pan mnóstwo podróżował.

- Mało prawdopodobne. Zawsze byłem raczej domatorem. Już sam przyjazd do Brighton to dla mnie przygoda.

- Jednakże będzie pan podróżował. Pojedzie pan za ocean. Z jakąś przyjaciółką.

- Możliwe, że właśnie ze mną - powiedziała ciotka Augusta.

- Niewykluczone. Te listki nie kłamią. I jest tu coś okrągłego, jak gdyby tarcza strzelnicza. A więc jakaś tajemnica też i w pana życiu.

- Niedawno się ujawniła - powiedziałem.

- I widzę mnóstwo zamieszania i jakąś bieganinę. Zupełnie tak samo jak w filiżance Augusty.

- To już zupełnie nieprawdopodobne - zaprzeczyłem. - Prowadzę tryb życia bardzo regularny. Brydż raz na tydzień w Klubie Konserwatystów. Praca w ogródku. Dalie.

- Ta niby tarcza strzelnicza to może być kwiat - rzekła Hatty. - Pan daruje. Jestem zmęczona. Obawiam się, że niezbyt dobrze odczytałam tę wróżbę.

- Nad wyraz interesująca - zapewniłem ją, ponieważ chciałem być uprzejmy. - Ale, oczywiście, ja w żadne wróżby nie wierzę.

- Zje pan jeszcze jedno ciasteczko? - zapytała.

## VI

Kolację tego wieczora spożyliśmy u krykiecistów, w niedużym barku prawie naprzeciwko antykwariatu, gdzie zobaczyłem pełny komplet dzieł Thackeraya po bardzo umiarkowanej cenie. Przyszło mi na myśl, że ładnie by taki komplet wyglądał na moich półkach poniżej dzieł wybranych Waverleya, które odziedziczyłem po ojcu. Może jutro - myślałem - wrócę, żeby tego Thackeraya kupić. I rzewnie wspominałem ojca, czując, że naprawdę mamy ze sobą coś wspólnego. Przecież tak jak on zaczęłam od pierwszego tomu i będę czytał, i czytał aż do samego końca, a kiedy zamknę już tom ostatni, zawrócę na nowo do początku. Posiadanie zbyt wielu książek napisanych przez zbyt wielu autorów to tak jakby się miało w szafie zbyt wiele koszul i ubrań. Ja jestem przywiązany do mojej garderoby i uzupełniam ją nowymi rzeczami tylko wtedy, gdy już naprawdę muszę. Niektórzy ludzie zapewne są zdania, że to samo odnosi się i do moich poglądów, ale życie w banku nauczyło mnie wystrzegać się kaprysów. Kaprysy zbyt często prowadzą do bankructwa.

Napisałem, że jedliśmy u krykiecistów kolację, ściślej jednak byłoby nazwać to pożywną przekąską. Stały tam na ladzie koszyki z gorącymi kiełbaskami, które sobie braliśmy i popijaliśmy Guinnessem z beczki. Zdumiewające, ile szklanek ciotka potrafiła wychylić, aż zacząłem się trochę obawiać o jej ciśnienie.

Po drugiej półkwarcie powiedziała:

- Dziwna rzecz z tym krzyżem. Mówię o listkach. Religia zawsze mnie interesowała... zawsze, odkąd tylko poznałam Currana.

- Właściwie, jakiego ciocia jest wyznania? - zapytałam. - Mówiła ciocia, jeśli się nie mylę, że prawie rzymskokatolickiego.

- Tak to sama nazywam dla wygody - odrzekła. - Katolicyzm należy do moich okresów: francuskiego i włoskiego. Kiedy już odeszłam od Currana. On bezsprzecznie miał na mnie duży wpływ, a później wszystkie dziewczęta, moje tamtejsze znajome, też były katoliczkami, no a ja nie lubię wydawać się czymś lepszym. Zdziwisz się chyba, ale ci powiem, że myśmy... ja i Curran... tutaj w Brighton prowadzili kościół.

- Prowadziliście? Nie rozumiem, ciociu.

- To te psy cyrkowe podsunęły nam taki pomysł. Dwa z nich, zanim cyrk pojechał dalej, przyszły do szpitala odwiedzić Currana. Był właśnie dzień wizyt i mnóstwo tam



siedziało kobiet przy swoich chorych mężach. Z początku nie pozwolono psom wejść do sali. Zrobił się niemały rwetes, ale Curran nabrał siostrę przełożoną, że to nie są zwykłe psy, tylko stworzenia uczłowieczone. Kąpie się każdego psa, powiedział tej siostrze, w środkach dezynfekcyjnych, zanim wolno mu wystąpić na arenie. To oczywiście nieprawda, ale on mówił bardzo przekonująco. No więc oba w spiczastych kapelusikach i kryzach podeszły do łóżka, i najpierw jeden, potem drugi podał Curranowi łapę i tak po eskimosku trącił go w twarz nosem na przywitanie. I zaraz je wyprowadzono, bo mógłby wejść doktor. Trzeba ci było słyszeć te kobiety. „Przemile psiaki, jakie to mądrale”. Całe szczęście, że żaden z nich nie podniósł tylnej łapy. „Zupełnie jak ludzie - powiedziała któraś. - Nikt mi nie powie, że psy nie mają duszy”. A inna zapytała: „Czy to panowie pieski, czy panie suczki?” - jak gdyby była zbyt subtelna, żeby popatrzeć. „Pan i pani - odpowiedział Curran i tak sobie dla facecji dodał: - W istocie nawet małżeństwo”. „Och, uroczo! Och, milutcy! Czy już mają szczeniątka?!” „Jeszcze nie - odpowiedział Curran. - Bo widzi pani, pobrali się zaledwie miesiąc temu. W psim kościele w barze Potters”. „Ślub w kościele!?” - kwiknęły te damy i ja wtedy rzeczywiście pomyślałam, że Curran jednak posunął się trochę za daleko, ale one wszystko przełknęły. Zostawiły swoich mężów i zebrały się przy łóżku Currana. Co nie znaczy, żeby mężowie mieli o to pretensje. W szpitalu dzień wizyt to zawsze dla mężczyzny okropne przypomnienie domu.

Ciotka wzięła jeszcze jedną kielbaskę i zamówiła jeszcze jedno piwo Guinness.

- Wszystkie chciały wiedzieć, co to za kościół w barze Potters. „I pomyśleć - powiedziała któraś - że my, kiedy idziemy do Świętej Ethelburgi musimy naszych czworonożnych przyjaciół zostawić w domu. A przecież mój pies to równie dobry chrześcijanin jak proboszcz z tymi swoimi loteriami fantowymi i podwieczorkami na plebanii”. A Curran na to: „Raz do roku organizujemy dla nich zabawę ze zbiórką herbatników. Na rzecz biednych psów bezdomnych”. Kiedy w końcu te kobiety dały nam spokój i wróciły do swoich mężów, powiedziałam: „No, coś puściłeś w ruch”. A Curran powiedział: „Czemuż by nie?”

Ciotka odstawiła piwo i zapytała barmankę:

- Słyszała pani kiedy o kościele dla piesków?

- Coś sobie tak jakby przypominam, ale to było dawno temu, prawda? Jeszcze zanim się urodziłam. Gdzieś w Hove, prawda?

- Nie, moja droga. Nie dalej niż o sto jardów od miejsca, gdzie pani teraz stoi. Zwykle po nabożeństwie przychodziliśmy tutaj do krykiecistów. Wielbiony Curran i ja.

- I policja się nie wtrącała?

- Próbowali wykazać, że on nie ma prawa do tytułu „wiel.” Ale myśmy wykazali, że w naszym kościele to jest skrót od wielbiony, a nie wielebny, i że do tego ustanowionego już nie należymy. Więc nawet tknąć nas nie mogli, bo przecież oderwaliśmy się jak Wesley, i w dodatku mieliśmy za sobą wszystkich właścicieli psów z Brighton i z Hove... i nawet niektórych aż z Hastings. Potem znów usiłowali nas dosięgnąć na zasadzie ustawy o bluźnierstwie, ale nikt żadnego bluźnierstwa w naszych nabożeństwach nie zdołał się doszukać. To były nabożeństwa bardzo, bardzo uroczyste. Curran chciał odmawiać modły nad suzkami, które powiły szczeniątka, tylko że mu odradziłam, bo posunąłby się jednak troszeczkę za daleko... przecież nawet Kościół anglikański zaniechał modłów po połogu. Następnie wyłoniła się kwestia udzielania ślubów rozwiedzionym. Uważałam, że to by potroilo nasze dochody, ale Curran oparł się stanowczo... „Nie uznajemy rozwodów” - powiedział i miał zupełną rację... to by rzuciło cień na nasze intencje.

- Czy policja w końcu wygrała? - zapytałem.

- Policja zawsze wygrywa. Aresztowali go za to, że rozmawiał z dziewczynami na nabrzeżu, i mnóstwo w sądzie było gadania nie mającego nic do rzeczy. Ja byłam wtedy młoda, zła na niego i niewyrozumiała, więc już mu nie chciałam pomóc. Nic dziwnego, że mnie rzucił i pojechał szukać Hannibala. Żaden człowiek nie zniesie tego, że mu się nie chce wybaczyć. Niewybaczenie to przywilej Boga.

Wyszliśmy z baru u krykiecistów i ciotka zaczęła mnie prowadzić skracając to tu, to tam, aż znaleźliśmy się przed zamkniętą na cztery spusty halą i tabliczką z napisem: „Tekst na ten tydzień: Jeśli z pieszymi bieżąc spracowałeś się, jakoż będziesz mógł ubiegać się z końmi? Jeremiasz 12”. Nie powiem, żebym zrozumiał zbyt dobrze sens tego tekstu, jeżeli nie miało to być ostrzeżenie przed wyścigami konnymi w Brighton, ale może właśnie ta niejasność przyciągała ludzi. Owa sekta, jak zauważyłem, nazywała się: Dzieci Jeremiasza.

- Tutaj odprawialiśmy nasze nabożeństwo - powiedziała ciotka Augusta. - Czasami prawie nie słyszałam słów: tak one szcekały. Curran mawiał, że to ich forma modlitwy: „Każdy niechaj się modli na swój własny sposób”, a czasami leżały zupełnie cicho i lizały się po podbrzuszach. „Oczyszczają się do Domu Pana” mawiał Curran. Trochę mi smutno widzieć tu teraz jakichś obcych. I ten prorok Jeremiasz nigdy szczególnie mnie nie obchodził.

- Niewiele wiem o Jeremiaszu.

- Zatopili go w błocie - powiedziała ciotka. - Bardzo starannie studiowałam Biblię w tamtych czasach, jeśli jednak chodzi o Stary Testament, mało tam jest tekstów korzystnych dla psów. Tobiasz zabrał psa na swoją wędrówkę z aniołem, ale ten pies nie odegrał w ogóle żadnej roli, nawet wtedy, gdy Tobiasza próbowała zjeść jakaś ryba. Pies był oczywiście w tamtej epoce zwierzęciem nieczystym. Wyszedł na swoje dopiero z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa. To właśnie chrześcijanie zaczęli rzeźbić psy z kamienia i stawiać je w katedrach, i nawet kiedy jeszcze nie bardzo byli pewni, czy kobiety mają dusze, zaczęli przypuszczać, że psy może jednak tak, chociaż nie zdołali nakłonić papieża, żeby się wypowiedział w tej kwestii, ani nawet arcybiskupa Canterbury. Aż musiał zrobić to Curran.

- Duża odpowiedzialność - przyznałem. W żaden sposób nie mogłem się zorientować, czy ona mówi o Curranie poważnie, czy żartuje.

- To Curran posadził mnie do czytania dzieł teologicznych - mówiła dalej ciotka. - Chodziło mu o wzmianki o psach. Wcale nie tak łatwo było je znaleźć... nawet u świętego Franciszka Salezego. Naczytałam się u świętego Franciszka mnóstwo o pchłach i motylach, i jelonkach, i słoniach, i pająkach, i krokodylach, ale on dziwnie pomijał psy. Kiedyś przeżyłam okropny wstrząs. Powiedziałam Curranowi: „Nic z tego. Nie możemy naszej pracy kontynuować. Popatrz tylko, na co trafiłam w Apokalipsie. Pan Jezus mówi, kto może wkroczyć do miasta Boga. Posłuchaj tylko: „...Nie wnijdą psy i czarownicy, i niewstydlivi, i mężobójcy, i bałwochwálcy, i każdy, kto miłuje i czyni kłamstwo”. „Czy ty rozumiesz - zapytałam Currana - komu psy mają dotrzymywać towarzystwa?”

„To tylko dowodzi naszej racji - odpowiedział Curran. - Niewstydlivi i mężobójcy, i ta cała reszta... wszyscy oni przecież mają dusze, prawda? Tyle że muszą żałować za grzechy, i tak samo jest z psami. Psy, które przychodzą do naszego kościoła, żałują. Nie zadają się już z niewstydliwymi i czarownikami. Mieszkają u przyzwoitych ludzi na Brunswick Square albo na Royal Crescent”. I czy ty wiesz, nie tylko go Apokalipsa nie zniechęciła, ale nawet wygłosił kazanie na temat tego właśnie tekstu i powiedział ludziom, że ich obowiązkiem jest pilnować, żeby ich psy nie popadły znowu w grzech. „Popuścić smyczy, to zepsuć psa - powiedział. - Aż za dużo jest mężobójców w Brighton i niewstydliwych w hotelu „Metropol”, gotowych podjąć to, co im się popuści. A co do czarowników...” Na szczęście Hatty, która była wtedy z nami, jeszcze nie została wróżką. To by zamąciło nasz obraz.

- Czy on był dobrym kaznodzieją?

- Słuchało się go jak muzyki - rzekła ciotka z radosnym rozrzewnieniem i ruszyliśmy z powrotem na nabrzeże. Z daleka dolatywał grzechot kamyków przemiatanych przez fale.

- On nie lubił ekskluzywności - powiedziała ciotka. - Chociaż w psach widział Dom Izraela, był również apostołem pogan... a do pogan zaliczał wróble, papugi i białe myszki... koty nie, koty zawsze uważał za faryzeuszy. Oczywiście żaden kot nie odważył się wejść do naszego kościoła w czasie nabożeństwa, ale pamiętam jednego, który zwykle siedział w oknie domu naprzeciwko i szydził, kiedy nasi wierni wychodzili. Curran wykluczał też ryby... zbyt gorszące byłoby jadać coś, co ma duszę, powiedział. Do słoni miał wręcz słabość. To świadczyło o jego szlachetności, zważywszy, że Hannibal nadepnął mu na nogę. Usiądźmy tutaj, Henry. Po piwie zawsze jestem trochę ociężała.

Usiedliśmy pod daszkiem. Światła Przystani Pałacowej wybiegały w morską dal i brzeg był biały od fosforescencji. Fale wciąż podpływały do plaży i odpływały jak gdyby ktoś słał łóżko i nie mógł się zdecydować, którą stroną położyć prześcieradło. Urywki popularnej muzyki dolatywały z lokalu dansingowego jak gdyby unoszącego się na morzu niczym okręt blokady. Ta podróż z ciotką jest doprawdy przygodą, pomyślałem, nie wiedząc, że w retrospekcji okaże się tylko małą wycieczką.

- Znalazłam kiedyś u świętego Franciszka prześliczny kawałek o słoniach - powiedziała ciotka. - I Curran wykorzystał go w swoim ostatnim kazaniu... kiedy ja się już zdenerwowałam tą całą sprawą z dziewczynami. Chyba on rzeczywiście chciał mi powiedzieć, że kocha tylko mnie, ale byłam wtedy młoda i twarda, więc bym go nie wysłuchała. Zawsze jednak noszę ten kawałek w torebce i kiedy czytam, wcale nie słonie widzę przed sobą, tylko Currana. To był chłop na schwał... co prawda, nie aż tak duży jak Wordsworth, ale znacznie bardziej wrażliwy.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła portfelik.

- Przeczytaj mi to, mój drogi, bo w tym świetle niedowidzę.

Ująłem tę dosyć pożółkłą, pozaginaną od składania kartkę pod takim kątem, żeby padał na nią blask latarni. Zagięcia utrudniały czytanie, chociaż pismo ciotki widziałem dobrze, młode i zamaszyste.

- „Słoń - odczytałem - to tylko ogromne stworzenie, ale najzaczniejsze ze wszystkich zwierząt, jakie żyją na tej ziemi, i najinteligentniejsze. Podam wam przykład jego doskonałości. Słoń...”

Tu właśnie było zagięcie, które zatarło litery, ale ciotka włączyła się łagodnie:

- „Słoń nigdy nie zmienia swojej towarzyszki i zawsze kocha czule tę, na którą raz padnie jego wybór...” No, czytaj dalej, mój drogi.

- „Z którą jednakowoż - czytałem - kojarzy się tylko co trzy lata i to przez pięć dni zaledwie, i w takiej tajemnicy, że nigdy słoni przy tym nie widziano...”

- On chciał się wytłumaczyć - przerwała mi ciotka. - Teraz jestem tego pewna... jeśli trochę osłabł w okazywaniu mi względów, to wyłącznie przez te dziewczyny, wcale nie dlatego, żeby mnie kochał mniej.

- „Ale szóstego dnia już można go zobaczyć, jak przed przystąpieniem do jakiegokolwiek czynności idzie prosto nad rzekę, gdzie kąpie się cały, ponieważ nie chciałby wrócić do stada, dopóki się nie oczyści”.

- Curran był zawsze czyściutki - powiedziała ciotka. - Dziękuję ci, kochanie, czytasz bardzo ładnie.

- Ale to chyba nie bardzo nadaje się dla psów - zauważyłem.

- On wtedy mówił tak pięknie, że nikt się nie zorientował, no i przecież tak naprawdę było to skierowane do mnie. Pamiętam jego specjalny szampon dla piesków, pobłogosławiony przy ołtarzu, zanim zaczęliśmy go sprzedawać przed kościołem w tamtą niedzielę.

- I co się z Curranem stało?

- Nie mam pojęcia. - Ciotka westchnęła. - Zostawił ten swój kościół pewnie dlatego, że nie mógłby go dalej prowadzić beze mnie. Hatty brakowało właściwego podejścia jak na diakonkę. Czasem widuję go we śnie... ale miałyby teraz dziewięćdziesiąt lat i jakoś nie bardzo wyobrażam go sobie jako staruszka. No, Henry, myślę, że już pora pójść spać.

Jednakże usnąć nie mogłem nawet w takim wygodnym łóżku, jakie dostałem w „Królewskim Albionie”. Światła z Przystani Pałacowej migotały na suficie i w kółko, w kółko przesuwają mi się przed oczami postacie Wordswortha i Currana, słonia i psów z Hove, i myślałem też o tajemnicy spowijającej moje przyjście na świat, i o prochach mojej matki, która moją matką nie była, i o moim ojcu, jak spał w wannie. To już nie jest - wiedziałem - tanto proste dawne życie w banku, gdzie charakter każdego klienta można osądzić na podstawie jego „ma” i „winien”. Czułem lęk i rozradowanie jednocześnie, kiedy muzyka dudniła z Przystani i podpływały na plażę fosforyzujące fale.

## VII

Sprawa prochów mojej matki nie została załatwiona tak szybko, jak się spodziewałem. (Nazywam ją moją matką, ponieważ wówczas jeszcze nie miałem żadnego konkretnego dowodu na to, że ciotka mówi prawdę). Kiedy wróciłem z Brighton, urna nie czekała na mnie w domu, więc zadzwoniłem do Scotland Yardu i zażądałem rozmowy z sierżantem Sparrowem. Niezwłocznie połączono mnie z głosem najwyraźniej kogoś innego. Brzmienie tego głosu przypomniało mi pewnego kontradmirała, który był kiedyś naszym klientem. Przeniósł on swoje konto do Narodowego Banku Prowincjonalnego, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, bo zwykł traktować urzędników bankowych jak zwykłych marynarzy, a mnie jak podporucznika postawionego przed sąd wojenny za nienależyte prowadzenie ksiąg mesy.

- Czy mogę mówić z sierżantem Sparrowem? - zapytałem.

- W jakiej sprawie? - wyklekotał ów ktoś tam przy telefonie.

- Jeszcze nie otrzymałem prochów mojej matki - powiedziałem.

- To jest Scotland Yard, biuro zastępcy komisarza, a nie krematorium - usłyszałem odpowiedź, i stuknięcie odkładanej słuchawki.

Dużo czasu mi zabrało (ponieważ linie u nich są wiecznie zajęte) ponowne połączenie się z tym klekoczącym głosem.

- Chcę mówić z sierżantem Sparrowem - powiedziałem.

- W jakiej sprawie?

Tym razem postanowiłem być bardziej niegrzeczny niż ów głos.

- W sprawie policyjnej, rzecz jasna. A jakimi innymi sprawami wy się zajmujecie? - To było prawie tak, jakby przemawiała przeze mnie ciotka Augusta.

- Sierżant Sparrow wyszedł. Może pan powie, co mu powtórzyć.

- Proszę go poprosić, żeby zatelefonował do pana Pullinga, pana Henry'ego Pullinga.

- Adres? Numer telefonu - zaklekotał głos, jak gdyby podejrzewał, że jestem niepoważnym informatorem.

- On zna i adres, i numer telefonu. Nie będę tego raz po raz podawał niepotrzebnie. Proszę mu powiedzieć, że sprawił mi zawód nie dotrzymując swojej solennej obietnicy.

Wyłączyłem się, zanim tamten zdążył mi odpowiedzieć. Po drodze do moich dalii zrobiłem sobie ową rzadką przyjemność, jaką jest uśmiech satysfakcji. Do kontradmirała nigdy tak się nie odzywałem.

Moje nowe dalie kaktusowe wyglądały dobrze i po wycieczce do Brighton nazwy ich miały dla mnie jakiś miły posmak podróży: Rotterdam, kwiaty ciemnoczerwone, ciemniejsze niż skrzynka pocztowa, i Dentelle de Venice z pręcikami iskrzącymi się jak szron. Uznałem, że chyba w przyszłym roku powinienem zasadzić trochę dalii Chluba Berlina, żeby mieć w ogrodzie trio miast. I nagle w radosne rozwijanie tej myśli wdarł się telefon. Dzwonił sierżant Sparrow. Powiedziałem mu stanowczo:

- Mam nadzieję, że pan może jakoś logicznie usprawiedliwić fakt niezwrócenia mi dotychczas prochów matki.

- Mogę z pewnością, proszę pana. W pańskiej urnie więcej jest haszyszu niż prochów.

- Nie wierzę panu. Czyż jest w ogóle możliwe, żeby moja matka...?

- Jej raczej nie podejrzewamy, proszę pana. Jak panu już mówiłem, myślę że to ten Wordsworth wykorzystał pana wizytę. Na szczęście dla pańskiej wersji, istotnie prochy ludzkie w tej urnie są, jakkolwiek Wordsworth musiał, ze względu na brak miejsca, większą ich część wyrzucić, być może, do zlewu. Czy słyszał pan w czasie swojej wizyty u ciotki plusk wody z kranu?

- Piliśmy whisky. On oczywiście nalał wody do dzbanka.

- Najwidoczniej zrobił to w tym właśnie momencie, proszę pana.

- Tak czy inaczej, chciałbym dostać z powrotem prochy, które zostawił.

- To niewykonalne, proszę pana. Prochy ludzkie mają te właściwości, że są dosyć lepkie. Przywierają mocno do każdej substancji, a w tym wypadku ową substancją jest narkotyk. Zwrócę panu urnę pocztą, przesyłką poleconą. I doprawdy niech pan ją umieści tam, gdzie pan ją umieścić zamierzał, i postara się o tych niefortunnych okolicznościach zapomnieć.

- Przecież teraz urna będzie pusta.

- Pomniki ku pamięci zmarłych nieraz stoją w zupełnym oderwaniu od szczątków danego nieboszczyka. Pomniki bohaterów wojennych, na przykład.

- No - powiedziałem - widzę, że już nic na to nie da się poradzić. Przykro mi jednak bardzo. Nie podejrzewa pan, mam nadzieję, że moja ciotka mogła brać w tym udział?

- Taka starsza pani? Och, nie! To oczywiste, że była oszukiwana przez swojego kamerdynera.

- Kamerdynera?

- No, przez Wordswortha, proszę pana... a przez kogóż by, jak nie przez niego?

Uznałem, że lepiej sierżanta Sparrowa nie oświecać w kwestii stosunków łączących ciotkę Augustę z Wordsworthem.

- Ciotka przypuszcza, że Wordsworth jest w Paryżu.

- To bardzo prawdopodobne, proszę pana.

- I co zrobicie?

- Nic zrobić nie możemy. Nie popełnił przestępstwa objętego konwencją o wydaniu przestępców. Oczywiście, jeżeli kiedykolwiek wróci... Paszport ma brytyjski. - W głosie sierżanta Sparrowa zabrzmiała nuta tak złośliwego rozmarzenia, że sama przyzwoitość nakazała mi przejść chwilowo na stronę Wordswortha.

Powiedziałem:

- Całym sercem żywię nadzieję, że on nie wróci.

- Pan mnie zdumiewa i rozczarowuje, proszę pana.

- Czemuż to?

- Nie zaliczałem pana do takich.

- Do jakich?

- Do takich, którzy twierdzą, że narkotyki to nic złego.

- A to coś złego?

- Jak nam z naszego doświadczenia wiadomo, wszystkie ciężkie wypadki narkomanii biorą początek od narkotyków.

- A jak mnie wiadomo z mojego doświadczenia, panie Sparrow, prawie wszyscy alkoholicy, których znam, zaczynali od małego kieliszka whisky bądź wina. Miałem nawet klienta, który wpadł, jak wy to nazywacie, przez słabe piwo tylko zaprawione mocniejszym gorzkim. W końcu ze względu na swoją częstą nieobecność, ponieważ przechodził kurację odwykową, musiał dać pełnomocnictwo żonie.

Położyłem słuchawkę na widelki. Pewną przyjemność sprawiła mi myśl, że jednak posiałem w umyśle sierżanta Sparrowa trochę wątpliwości - nie tyle co do narkotyków, ile co do mojego charakteru, charakteru emerytowanego dyrektora banku. Po raz pierwszy odkryłem w sobie pierwiastek anarchizmu. Czy to rezultat wyjazdu do Brighton, czy wpływ



ciotki Augusty, co nie jest wykluczone (jakkolwiek niełatwo ulegam wpływom), czy po prostu jakieś bakterie krążące we krwi Pullingów? Raptem stwierdziłem, że zmartwychwstaje z niepamięci głęboko w sercu moim zagrzebane uczucie do ojca. Ojciec poza tym, że był śpiochem, był bardzo cierpliwy, a przecież ta jego cierpliwość miała w sobie coś nieuchwytnego: mogła równie dobrze wynikać z roztargnienia, z obojętności nawet. Przez cały czas, chociaż myśmy o tym nie wiedzieli, ojciec może przebywał duchem gdzie indziej. Przypomniałem sobie niejasne wyrzuty, jakie czyniła mu moja matka. I chyba w nich znalazłem niejako potwierdzenie opowieści ciotki Augusty, ponieważ przepajała je dokuczliwość kobiety niezaspokojonej. Moja matka, nieświadoma niewolnica swych świątobliwych ambicji, nigdy nie zaznała wolności. Wolność - myślałem - jest przywilejem jedynie tych, którym się powodzi, a ojcu w branży budowlanej przecież się powiodło. Jeśli jego sposób bycia czy jego oceny nie odpowiadały jakiemuś klientowi, to ten klient szedł do innej firmy. Ojciec nie dbał o to. Może właśnie owej wolności w słowach i postępowaniu, a nie posiadania pieniędzy ani nawet nie władzy, tak bardzo łakną i zazdroszczą ci, którym się nie powiodło.

Takie to zawile i niezwykle snując rozmyślenia, oczekiwałem przybycia ciotki, bo jeszcze przed przyjazdem z Brighton na dworzec Victoria poprzedniego dnia umówiliśmy się, że zjemy razem kolację u mnie.

Ledwie ciotka przestąpiła mój próg, powiedziałem jej oczywiście o sierżancie Sparrowie, ale ku mojemu zdumieniu nie okazała żadnego zainteresowania mówiąc tylko, że Wordsworth powinien być „bardziej uważać”. Więc wyprowadziłem ją do ogrodu, żeby pokazać dalie.

- Zawsze wolę kwiaty cięte - oświadczyła, a ja nagle wyobraziłem sobie tych nieznanomych panów z Kontynentu, przynoszących jej bukiety róż z paprotkami, opakowane w bibułę.

Pokazałem także miejsce, w którym zamierzałem postawić pustą urnę dla uczczenia pamięci matki.

- Biedna Angelika - powiedziała ciotka - ona nigdy nie rozumiała mężczyzn. - I to było wszystko. Jak gdyby czytała w moich myślach i tylko je komentowała.

Upřednio zatelefonowałem do „Kurczaka”, toteż kolację zgodnie z zamówieniem przysłało punktualnie i główne danie wymagało tylko podgrzania przez parę minut, kiedy jedliśmy wędzonego łososa. Mieszkając sam, dawniej dosyć często korzystałem z usług „Kurczaka”, żeby ugościć zarówno kogoś z klientów od czasu do czasu, jak i matkę, która

przyjeżdżała raz na tydzień. Teraz już miesiącami „Kurczaka” zaniedbywałem, gdyż klienci mnie nie odwiedzali, a matce w czasie jej ostatniej choroby brak sił nie pozwalał przyjeżdżać aż z Golders Green.

Do lososia piliśmy kseres, ale do kurcząt po królewsku, czyli a la king, chcąc niejako zrewanżować się ciotce za hojność okazaną mi w Brighton, kupiłem butelkę burgunda, Chambertin rocznik 1959, ulubionego wina sir Keene’a. Przyjemnie nas oboje to wino rozgrzało i wtedy ciotka powróciła do mojej rozmowy z sierżantem Sparrowem.

- On nie ma wątpliwości - powiedziała - że sprawcą jest Wordsworth, a przecież równie dobrze to mogłoby być któreś z nas. Nie sędzę, żeby ten sierżant był rasistą, ale najwidoczniej jest uświadomiony klasowo i dlatego chociaż palenie haszyszu wcale od różnic klasowych nie zależy, wygodniej mu mniemać, że taka zależność jednak istnieje, i zrzucić całą winę na biednego Wordswortha.

- Ciocia i ja możemy nawzajem wykazać swoje alibi - zaprotestowałem - a Wordsworth uciekł.

- Mogliśmy być w zмовie, a Wordsworth ma przecież prawo wyjechać na swój doroczny urlop. Nie - ciągnęła ciotka - policjant zawsze rozumuje według utartych wzorów. Pamiętam jak za mojej bytności w Tunisie jakaś trupa objazdowa grała tam „Hamleta” po arabsku. Ktoś się postarał, żeby w czasie przedstawienia aktor, który grał króla, został naprawdę zabity... a raczej nie tyle zabity, co ciężko poparzony, kiedy mu w prawe ucho nalano płynnego ołowiu. I jak ci się zdaje, kogo policja zaczęła natychmiast podejrzewać? Wcale nie aktora, który wlał ten ołów, chociaż on musiał wiedzieć, że chochla nie jest pusta i czuć, że jest gorąca. O nie, na to oni za dobrze znali Szekspira, więc aresztowali stryja Hamleta.

- Sporo ciocia w swoim czasie podróżowała, ciociu Augusto.

- Jeszcze mój zmierzch nie zapadł - powiedziała. - Gdybym miała towarzysza, wyjechałabym w podróż nawet jutro, no, ale sama nie udźwignę ciężkiej walizki, a tak deprymująco zaznacza się obecnie brak tragarzy. Chyba to zauważyłeś na dworcu Victoria.

- Moglibyśmy kiedyś - powiedziałem - wybrać się znowu na wycieczkę nad morze. Pamiętam, że przed laty byłem w Weymouth. Bardzo miły pomnik Jerzego Trzeciego jest w Weymouth na wybrzeżu, cały zielony.

- Zamówiłam dwa miejsca sypialne w Orient Ex-pressie z datą od dziś za tydzień. Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

- Dokąd? - zapytałem.

- Do Stambułu, oczywiście.

- Ależ tam się jedzie kilka dni...

- Trzy noce, jeśli już mam być ścisła.

- Jeżeli ciocia chce się wybrać do Stambułu, to przecież i łatwiej, i taniej byłoby polecieć tam samolotem.

- Samolotem latam tylko wtedy - oświadczyła ciotka - kiedy nie ma żadnych innych środków lokomocji.

- To naprawdę zupełnie bezpieczne.

- Kwestia gustu, a nie nerwów - wyjaśniła. - W swoim czasie bardzo dobrze, zaiste, znałam Wilbura Wrighta. Latałam z nim kilka razy. Byłam spokojna o siebie w tych jego latających maszynach. Ale nie znoszę, jak się mówi do mnie przez jakieś idiotyczne megafony. Na dworcu kolejowym mniej człowiekowi dokuczają. Natomiast dworzec lotniczy zawsze przypomina mi Obóz Butlina.

- Jeżeli ciocia myśli, że ja mógłbym być towarzyszem...

- Oczywiście, że tak myślę, Henry.

- Przykro mi, ciociu, ale emerytura dyrektora banku nie jest wysoka.

- Ja naturalnie pokryję wszelkie koszty. Poproszę o jeszcze jeden kieliszek tego wspaniałego wina, Henry. Jest wyborne.

- Doprawdy nie przywykłem do podróży za granicę. Zobaczyłaby ciocia, że...

- Zasmakujesz w tym dosyć szybko, kiedy będziesz ze mną. Pullingowie to urodzeni podróżnicy. Przypuszczam, że złapałam ten bakcyl od twojego ojca.

- Chyba mój ojciec nie... On nigdy nie jeździł dalej niż do śródmieścia Londynu.

- On jeździł od jednej kobiety do drugiej, Henry, przez całe swoje życie. To mniej więcej na to samo wychodzi. Nowe krajobrazy, nowe obyczaje. Nagromadzenie wspomnień. Długie życie nie jest sprawą lat. Człowiek bez wspomnień może dożyć lat stu i uważać, że jego życie było bardzo krótkie. Twój ojciec kiedyś mi powiedział: „Pierwsza dziewczyna ze wszystkich, z którymi kiedykolwiek spałem, miała na imię Rose. Dziwne to dosyć, ale pracowała w kwiaciarni. Wydaje mi się, że cały wiek upłynął od tego czasu”. No i jeszcze twój stryjek...

- Nie wiedziałem, że miałem stryjka.

- Był o piętnaście lat starszy od twojego ojca i umarł, kiedy byłeś bardzo mały.

- Wiele podróżował?

- U niego to przyjęło dziwną formę - rzekła ciotka - pod koniec.

Żałuję, że nie potrafię opisać dokładniej poszczególnych tonów jej głosu. Ona lubi mówić, lubi opowiadać. Układa zdania starannie jak pisarz, który tworząc jedno zdanie, już przewiduje zdanie następne i bez pośpiechu wiedzie ku temu swoje pióro. Nie będzie zdań urywała, nie będzie zatracala wątku. I w jej dykcji jest jakaś klasyczna precyzja czy też może, mówiąc ściślej, coś staroświeckiego. Tym bardziej rzeczy cudaczne i nieraz, trzeba to przyznać, gorszące odbijają się jaskrawo od swej zacnej starej oprawy. Zacząłem uważać ciotkę Augustę za kobietę o spizowym raczej niż miedzianym czole - o czole, że tak powiem, ze spizu wygładzonym na połysk dotknięciami, jak kolano owego konia w holu „Hotel de Paris” w Monte Carlo, wypieszczone, o ile wiem właśnie od niej, przez całe pokolenie hazardzistów.

- Twój stryjek był bukmacherem i wszyscy nazywali go Jo - ciągnęła dalej. - Bardzo otyły mężczyzna. Może niepotrzebnie o tym nadmieniam, ale ja zawsze lubiłam mężczyzn otyłych. Tacy rezygnują ze wszelkich zbędnych wysiłków, bo logika im mówi, że kobiety, wprost przeciwnie niż mężczyźni, zakochują się nie w urodzie. Curran był zażywny i twój ojciec także. Łatwiej jest czuć się swojsko przy grubasie. Podróżując ze mną, może i ty przybierzesz trochę na wadze. Miałeś nieszczęście wybrać sobie nerwowy zawód.

- Z pewnością nigdy nie odchudzałem się dla kobiety - powiedziałem żartobliwie.

- Musisz mi kiedyś o swoich kobietach wszystko opowiedzieć, Henry. W Orient Expressie będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Ale teraz ja ci opowiem o twoim stryjku Jo. Bardzo ciekawy jest jego przypadek. Jako bukmacher zbił spory majątek, a jednak jego jedynym prawdziwym, coraz gorętszym pragnieniem było podróżować. Może to, że te konie stale biegały, kiedy on musiał tkwić na małym podium z szyldem „Ucziwy Jo Pulling”, tak podrywało go z miejsca. Zwykle mawiał, że jedne wyścigi konne wtapiają się w drugie i życie przebiega obok galopem jak roczniak urodzony z „Indyjskiej Królowej”. Chciał zwolnić bieg życia i zupełnie słusznie uważał, że w podróży czas by mu nie mijał z taką szaloną szybkością. Mam nadzieję, że sam to zauważyłeś na swoich urlopach. Jeżeli siedzi się w jednej tylko miejscowości, każde wakacje przelatują błyskawicznie, ale jeśli się pobędzie trochę w jednej, trochę w drugiej, a potem jeszcze w trzeciej, wakacje wydają się trzy razy dłuższe.

- Czy to dlatego ciocia tyle podróżowała, ciociu Augusto?

- Z początku podróżowałam, żeby zarobić na utrzymanie - rzekła ciotka. - To było we Włoszech. Po Paryżu i po Brighton. Wyjechałam z kraju, zanim przyszedłeś na świat. Twój

ojciec i twoja matka życzyli sobie być sami, a zresztą ja i tak nigdy się zbyt z Angeliką nie zgadzałam. Dwie „A”, tak zawsze nas nazywano. Ludzie mówili, że moje imię do mnie pasuje, bo w młodości wydawałam się dumna, nikt jednak nigdy nie powiedział, że Angelika ma imię równie stosowne. Święta może ona była, ale święta bardzo surowa. Z pewnością nie anielska.

Jedną z nielicznych oznak starości, jakie u ciotki Augusty spostrzegłem, to jej gotowość do przeskakiwania z anegdoty w anegdotę, przed ukończeniem tej pierwszej. Pod tym względem ciotka jest jak amerykański magazyn, w którym, żeby doczytać nowelkę do końca, trzeba przetrząsnąć stronicę od dwudziestej do dziewięćdziesiątej ósmej natrafiając po drodze na wszelkie tematy: przestępczość wśród dzieci, koktajle i najnowszy sposób ich przyrządzania, życie miłosne słynnej gwiazdy filmowej, a nawet na jeszcze jakąś nowelkę, zupełnie inną, niż ta, rozpoczęta przedtem i tak raptownie na stronie dwudziestej przzerwana.

- Zagadnienie imion - ciągnęła ciotka - jest w ogóle interesujące. Ty masz imię bezpieczne, bo bezbarwne. O ileż lepsze niż na przykład imię Ernest, do którego trzeba przecież się podciągnąć. Kiedyś znałam dziewczynę imieniem Nadzieja, a jej życie było bardzo smutne. Nieustannie miała wokół siebie nieszczęśliwych mężczyzn zwabionych właśnie tym jej imieniem, kiedy to ona sama, biedaczka, szukała nadziei u nich. Zakochała się beznadziejnie w pewnym Leonie, który był lwem po łacinie tylko nominalnie, bo rozpaczliwie bał się myszy, chociaż to i tak wszystko jedno, bo ostatecznie wyszła za Łazarza i zabiła się w toalecie, a jak wiadomo Amerykanie nazywają to miejsce „przybytkiem nadziei”. Ubawiłabym się tym setnie, gdyby nie fakt że osobiście znałam tę dziewczynę.

- Opowiadała ciocia o stryжку Jo - przypomniałem.

- Wiem. Otóż on chciał, żeby życie trwało dłużej. Więc zdecydował się wyruszyć w podróż dookoła świata (w tamtych czasach nie było ograniczeń walutowych) i rozpoczął tę podróż... powiedziałabym, że to nawet dziwny zbieg okoliczności... od jazdy Simplon Orientem, tym właśnie pociągiem, którym my pojedziemy w przyszłym tygodniu. Z Turcji zamierzał jechać do Persji, Rosji, Indii, na Malaje i do Hongkongu, i do Chin, i do Japonii, na Hawaje, na Tahiti i do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Południowej, Australii i Nowej Zelandii chyba... i gdzieś tam miał wsiąść na statek, żeby wrócić do kraju. Niestety wyniesiono go z pociągu w Wenecji, ledwie się ta podróż zaczęła... na noszach go wyniesiono, bo dostał udaru.

- Jakież to smutne.

- Nadal jednakże pragnął długiego życia. Pracowałam wówczas w Wenecji i odwiedziłam go. Powziął już decyzję, że skoro nie może podróżować ciałem, będzie przynajmniej podróżował duchem. Zapytał, czy nie dałoby się znaleźć jakiegoś domu, w którym jest trzysta sześćdziesiąt pięć pokoi, co by mu pozwoliło przez cały rok każdą dobę spędzać w innym. W ten sposób, jego zdaniem, życie nabrałoby pozorów nieskończoności. Dobrze wiedział, że prawdopodobnie długo już nie pociągnie, więc tym żarliwiej chciał przedłużyć dni, które miał jeszcze przed sobą. Powiedziałam mu, że wątpię, czy poza pałacem królewskim w Neapolu taki dom istnieje. Bo tylu pokoi chyba nie ma nawet w pałacu królewskim w Rzymie.

- Mógłby przecież trochę rzadziej przenosić się z pokoju do pokoju w jakimś mniejszym domu.

- Powiedział, że wtedy by zauważył, że układ się powtarza. To byłoby mniej więcej to samo, do czego już przywykł podróżując pomiędzy Newmarket, Epsom, Goodwood i Brighton. Potrzebował czasu, żeby zapomnieć jak wygląda pokój, z którego się wyprowadził, zanim do tego pokoju znowu wróci, no i czasu, żeby coś niecoś przemeblować, zmienić jakieś istotne szczegóły. Wiesz, w okresie międzywojennym (och, oczywiście w tym ostatnim. Wiele mieliśmy już wojen, ale one wszystkie jakoś nie wydają się tak bardzo naszymi wojnami tak jak te dwie, prawda?) był w Paryżu przy rue de Provence dom publiczny. I pokoje w tym domu publicznym były umeblowane w rozmaitych stylach: orientalnym, chińskim, indyjskim, różnie. Otóż stryjek mniej więcej taki dom umyślił dla siebie.

- Chyba nigdy takiego nie znalazł! - wykrzyknąłem.

- W końcu chcąc nie chcąc poszedł na kompromis. Przez jakiś czas obawiałam się, że w najlepszym razie będzie musiał mu wystarczyć dom dwunastopokojowy... jeden pokój na miesiąc... jednak wkrótce za pośrednictwem jednego z moich gości w Mediolanie...

- Myślałem, że ciocia pracowała w Wenecji - przerwałem nieco podejrzliwie.

- Przedsiębiorstwo, w którym pracowałam - wyjaśniła ciotka - było objazdowe. Jeździliśmy... sezon dwutygodniowy w Wenecji, tak samo w Mediolanie, we Florencji, i w Rzymie, i znowu w Wenecji. Nazywało się ono *la quindicina*.

- Była ciocia w trupie teatralnej?

- Dajmy na to - odrzekła ciotka znowu na swój sposób dosyć niejasno. - Powinieneś pamiętać, że byłam w tamtych czasach bardzo młoda.

- Występowanie w teatrze nie wymaga usprawiedliwień.

- Ja się nie usprawiedliwiam - oświadczyła ostro ciotka. - Ja ci tylko tłumaczę. W takim zawodzie wiek jest przeszkodą. Miałam szczęście, że wycofałam się w porę. Dzięki panu Viscontiemu.

- Kto to był Visconti?

- Mówiliśmy o twoim stryжку Jo. Znalazłam stary dom na wsi, dawny *palazzo* czy *castello*, czy coś w tym rodzaju. Prawie w ruinie i Cyganie tam obozowali w paru pokojach na parterze i w piwnicy... ogromnej piwnicy, rozciągającej się pod całym domem. Dawniej w tej piwnicy musiało być dużo wina i jeszcze stała tam wielka pusta beczka pozostawiona dlatego, że popękała od starości. Kiedyś ten dom otaczały winnice, ale przez sam środek posiadłości przeprowadzono autostradę i jeździły tamtędy trasą Mediolan-Rzym przez cały dzień samochody i przez całą noc wielkie ciężarówki. Z winnic zostało zaledwie kilka sękatych starych korzeni dawnych winorośli. I w tym całym domu była tylko jedna łazienka (dopływ wody zamknięto przed laty wskutek uszkodzenia pompy elektrycznej) i tylko jeden klozet na najwyższym piętrze w czymś w rodzaju baszty, ale oczywiście również bez wody. Możesz sobie wyobrazić, że takiej rezydencji nikt by nie zdołał sprzedać od ręki... czekała więc wystawiona na sprzedaż od dwudziestu lat, a właściciel, mongoidalny sierota, przebywał w szpitalu wariatów. Jego radcy prawni mówili o wartości historycznej, ale pan Visconti historię znał na wylot, co zresztą można wywnioskować z samego jego nazwiska. Siłą rzeczy odradzał stanowczo zakupienie tego domu, ale ostatecznie biedny Jo nie miał przecież żyć długo, i należało go jak najszybciej na resztkę życia uszczęśliwić. Policzyłam, ile jest pokoi, i przy podzieleniu piwnicy czterema przepierzeniami, liczba ich łącznie z łazienką, klozetem i kuchnią dochodziła do pięćdziesięciu dwóch. Jo, kiedy mu o tym powiedziałam, był zachwycony. Inny pokój co tydzień jak rok okrążył, wykrzyknął. Musiałam do każdego, nawet do łazienki i do kuchni, wstawić po jednym łóżku. W klozecie miejsca na łóżko nie było, ale specjalnie kupiłam wygodny fotel i podnózek z myślą, że i tak zawsze zostawi się klozet na sam koniec, przy czym mało mi się wydawało prawdopodobne, żeby Jo tego dożył. Miał pielęgniarkę, która przenosiła się z pokoju do pokoju w ślad za nim tak, że nocowała o tydzień w tyle, można by powiedzieć. Bałam się, że on będzie chciał na każdym etapie mieć inną pielęgniarkę, ale na szczęście tę polubił dostatecznie, żeby ją sobie zatrzymać jako towarzyszkę podróży.

- Nadzwyczajna organizacja.

- Szło to bardzo dobrze. Jo, już w swoim piętnastym z kolei pokoju, powiedział mi... byłam wtedy na objeździe znowu w Mediolanie i przyjechałam do niego z panem Viscontim w mój wolny dzień... że naprawdę jest mu taić, jakby cały rok minął, odkąd zamieszkał w

tym domu. Nazajutrz miał się przenieść do szesnastego pokoju o piętro wyżej z innym widokiem i jego walizy już czekały zapakowane (życzył sobie, żeby wszystko było przenoszone w walizkach, więc wyszukałam mu używane, oblepione nalepkami z najrozmaitszych słynnych hoteli... „Jerzy V” w Paryżu, „Quisisana” na Capri, „Excelsior” w Rzymie, „Raffles” w Singapurze, „Shepherd” w Kairze, „Pera Palace” w Stambule).

Biedny Jo! Rzadko kiedy widywałam ludzi bardziej zadowolonych. Wierzył, że śmierć go nie dosięgnie, zanim on nie pomieszka we wszystkich pięćdziesięciu dwóch pokojach, i skoro piętnaście pokoi wydaje mu się rokiem, to czeka go jeszcze dobrych kilka lat takiej podróży. Pielęgniarka mówiła mi, że mniej więcej czwartego dnia w każdym pokoju Jo zaczyna się trochę denerwować, opanowany gorączką przedwyjazdową, a potem pierwszy dzień w nowym pokoju prawie cały przesypia, zmęczony drogą. Od piwnicy jechał tak coraz wyżej, aż w końcu dojechał na najwyższe piętro i już nawet mówił o ponownym odwiedzeniu dawno nie widzianych, ulubionych zakątków. „Objadę je tym razem w innej kolejności - powiedział - dojeżdżając do nich z innej strony”. Rad był, że na zakończenie został mu klozet. „Po tych wszystkich komfortowych pokojach - powiedział - zabawnie będzie mieć trochę niewygody. Prymityw pomaga zachować młodość. Nie chcę być jednym z tych starych przyków, którzy podróżują tylko pierwszą klasą i skarżą się, że im szkodzi kawior”. I właśnie wtedy w pięćdziesiątym pierwszym pokoju dostał udaru po raz drugi. Skończyło się to jednostronnym paralizem i porażeniem mowy. Pracowałam w tym czasie w Wenecji, ale dostałam dwa dni urlopu okolicznościowego i pan Visconti zawiózł mnie do palazzo Jo. Mieli tam z Jo sporo kłopotów. W pięćdziesiątym pierwszym pokoju, zanim stracił przytomność, spędził cały tydzień, ale doktor zaopiniował, że należy go trzymać w tym samym łóżku bez żadnej przeprowadzki jeszcze co najmniej przez dziesięć dni. „Každy zwykły człowiek - powiedział mi doktor - byłby rad, że może przez jakiś czas poleżeć spokojnie”.

„On chce żyć możliwie jak najdłużej” - wyjaśniłam doktorowi.

„W takim razie powinien zostać tam, gdzie jest, już do końca. Jeżeli będzie miał szczęście, pożyje jeszcze dwa albo trzy lata”.

Jo, kiedy mu powtórzyłam orzeczenie doktora, poruszył ustami w odpowiedzi. Myślę, że go zrozumiałam. Powiedział: „Za mało”.

Leżał cicho tamtej nocy i nazajutrz rano też cicho, więc pielęgniarka była pewna, że się pogodził z pozostaniem w pięćdziesiątym pierwszym pokoju. Odeszła od niego, ledwie zasnął, i podjęłam ją w moim pokoju herbatą. Pan Visconti kupił ciastka z kremem w Mediolanie, w tej dobrej cukierni przy katedrze. Nagle z góry doleciało dziwne zgrzytanie.



„*Mamma mia* - wykrzyknęła pielęgniarka - co się dzieje?" To zgrzytanie brzmiało tak, jakby ktoś przesuwiał meble. Pobieglyśmy na górę i jak myślisz, cośmy zobaczyły? Jo Pulling wygrzebał się z łóżka. Przeciągnął swój stary krawat z barwami klubu...

Piwoszów czy Klubu Musztardowego, czy jakiegoś tam... przez uchwyt walizki i wlokąc tę walizkę za sobą, czołgał się bezsilnie korytarzem do klozetu w baszcie. Wrzasnęłam, żeby się zatrzymał, ale nie zwrócił na mnie uwagi. Aż serce bolało patrzeć, jak on sunie wolniutko z takim ogromnym wysiłkiem. Podłoga w tym korytarzu była wykładana kafkami i przebycie każdego kafka kosztowało go potwornie dużo. Osłabł zupełnie, zanim do niego dobieglyśmy, i leżał tam dysząc, ale największym smutkiem przejęło mnie to, że zrobił na te kafki trochę siusiu. Bałyśmy się go ruszyć stamtąd, dopóki nie przyjdzie doktor. Przyniosłyśmy poduszkę i podłożyłyśmy mu pod głowę i pielęgniarka dała mu do połknięcia tabletkę. „*Cattivo*" - skarciła go po włosku, co znaczy: „Ty starcze niegrzeszny", a on uśmiechnął się do nas obu i wypowiedział swoje ostatnie słowa nieco bełkotliwie, ale ja świetnie je zrozumiałam: „To trwało długo jak życie całe" i umarł jeszcze przed przybyciem doktora. Ze swego punktu widzenia postąpił słusznie odbywając tę ostatnią wycieczkę doktorowi na przekór. Bo doktor obiecywał mu nie więcej niż parę lat.

- Więc umarł w korytarzu? - zapytałem.

- Umarł w podróży - z nutą nagany odrzekła ciotka. - Tak właśnie jak sobie tego życzył.

- „Tutaj spoczywa, dokąd się wyrывał" - zacytowałem, żeby zrobić ciotce przyjemność, chociaż nie mogłem nie pamiętać o tym, że jednak stryjowi Jo nie udało się dotrzeć do drzwi klozetu.

- „Na swe miejsce myśliwy oto wrócił z mórz - dokończyła ciotka ów cytat po swojemu. - Na swe miejsce marynarz wrócił z górskich puszczy".

Potem dosyć długo siedzieliśmy w milczeniu jedząc kurczę po królewsku. To było trochę jak te dwie minuty ciszy w Dzień Zawieszenia Broni. Przypomniało mi się, że w dzieciństwie nieraz się zastanawiałem, czy rzeczywiście w Grobie Nieznanego Żołnierza leżą jakieś zwłoki, zważywszy, że tam, gdzie chodzi o uczucia, rządy państw zwykle zaprowadzają oszczędności i robią wszystko, żeby wzbudzenie uczuć w narodzie możliwie jak najmniej obciążało budżet. Kiedy jest inteligentny slogan reklamowy, zwłok nie potrzeba, wystarczy zamiast nich skrzynka z ziemią. Teraz zacząłem podobnie zastanawiać się nad stryjkiem Jo. Czy ciotka nie popuściła z lekka wodzy fantazji? Może te opowieści o Jo, o moim ojcu i mojej matce niezupełnie zgodne są z prawdą?

Nadal w ciszy ze stosownym uszanowaniem wypilem kieliszek Chambertina ku pamięci stryjka Jo niezależnie od tego, czy on istniał. W głowie nie przywykłej do wina dziwnie płocho mi zaszumiało. Czy tutaj prawda w ogóle ma jakieś znaczenie? Wszystkie postacie zmarłych, jeśli nie odchodzą w niepamięć, nabierają cech postaci zmyślonych. Hamlet przecież stał się nie mniej realny niż Winston Churchill, a Jo Pulling to postać nie mniej historyczna niż Don Kichot. Zdradziła mnie czkawka, kiedy zmieniałem talerze, po czym zielonkawy ser przywrócił mi poczucie rzeczywistości i związanych z nią problemów natury materialnej.

- Stryjek Jo - powiedziałem - miał szczęście, że wtedy nie było ograniczeń walutowych. Teraz przy tej ilości funtów, jaką się przydziela turystom, nie stać by go było na taką śmierć.

- To były wspaniałe czasy - oświadczyła ciotka Augusta.

- Jak my sobie damy radę w tych naszych? - zapytałem. - Mając po pięćdziesiąt funtów na głowę nie będziemy mogli zbyt długo siedzieć w Stambule.

- Ograniczenia walutowe nigdy mnie poważnie nie trapiły - oświadczyła ciotka. - Są na to sposoby.

- Ciocia chyba nie planuje nic sprzecznego z prawem?

- Nigdy w życiu nie planowałam nic sprzecznego z prawem - powiedziała ciotka Augusta. - Jakże bym mogła, kiedy nigdy nie czytałam żadnych ustaw i pojęcia nie mam, czego one zabraniają?

## VIII

To jednak ciotka zaproponowała, żebyśmy do Paryża polecieeli samolotem. Pamiętając, co tak niedawno mi mówiła, trochę byłem zdumiony, gdyż z pewnością w tym przypadku mieliśmy przecież inne środki lokomocji. Wykazałem jej brak konsekwencji.

- Istnieją powody - odrzekła ciotka. - Powody niepodważalne. Znam warunki na lotnisku Heathrow.

Zaintrygował mnie również upór, z jakim nalegała, żebyśmy pojechali na lotnisko autobusem ze stacji końcowej w Kensington.

- Najłatwiej byłoby mi - powiedziałem - zabrać ciocię z domu samochodem prosto do Heathrow. I ciocia znacznie mniej by się zmęczyła.

- Musiałbyś wynająć tam garaż i na pewno zdarliby z ciebie skórę - zaprotestowała ciotka, ale nie bardzo mogłem uwierzyć w to, że nagle zrobiła się oszczędna.

Nazajutrz poprosiłem sąsiada, niejakiego majora Charge, człowieka o dosyć szorstkim sposobie bycia, żeby podlewał dalej. Major Charge widział sierżanta Sparrowa i policjanta podchodzących do moich drzwi i pożerała go ciekawość. Kiedy mu powiedziałem, że chodzi o mandat za nieostrożną jazdę, natychmiast okazał współczucie.

- Co tydzień ginie jakieś zamordowane dziecko - zauważył - a oni potrafią tylko prześladować kierowców.

Kiedy już dopuściłem się kłamstwa, sumienie nakazało mi przynajmniej bronić sierżanta Sparrowa, który słowa przecież dotrzymał i odesłał urnę ekspresem poleconym.

- Sierżant Sparrow nie jest w wydziale zabójstw - powiedziałem - a kierowcy zabijają rocznie więcej ludzi niż mordercy.

- Samych tylko zagapionych przechodniów - burknął major Charge - mięso armatnie.

Jednakże zgodził się podlewać dalej.

Zabrałem ciotkę z baru „Pod Koroną i Kotwicą”, gdzie wypiła strzemiennego, i taksówką pojechaliśmy do Kensington na końcowy przystanek autobusu. Zauważyłem, że wzięła dwie walizki, jedną bardzo dużą, chociaż kiedy zapytałem, jak długo pozostaniemy w Stambule, odpowiedziała:

- Dwadzieścia cztery godziny.

- Czy nie za krótko po tak długiej podróży?

- Celem przecież jest podróż - rzekła ciotka. - Lubię podróżować, a nie siedzieć w miejscu.

- Nawet stryjek Jo - wysunąłem argument - zadowalał się jednym pokojem w swoim domu przez cały tydzień.

- Jo był chory - odparowała - a ja cieszę się doskonałym zdrowiem.

Ponieważ lecieliśmy pierwszą klasą (luksus, który również wydawał mi się zgoła zbyt cenny na trasie Londyn-Paryż), nie mieliśmy nadwagi, jakkolwiek tę większą walizkę ledwie mogłem udźwignąć. W autobusie dałem ciotce do zrozumienia, że prawdopodobnie koszt wynajęcia garażu dla mojego samochodu byłyby jednak niższe od różnicy pomiędzy pierwszą klasą a klasą turystyczną.

- Tę różnicę - zapewniła ciotka - prawie niweluje to, że będziemy za darmo jedli kawior i wędzonego łososa, i mówiąc między nami, chyba uda nam się schować pół butelki wódki. I nie zapominajmy o szampanie i koniaku. Zresztą mam jeszcze ważniejsze powody, żeby jechać autobusem.

Kiedyśmy już podjeżdżali do Heathrow, szepnęła mi w ucho:

- Bagaż jest z tyłu w przyczepie.

- Wiem o tym.

- Dwie moje walizki: zielona i czerwona. Masz, weź nasze bilety.

Wziąłem je, nic nie rozumiejąc.

- Przed lotniskiem od razu wysiądź i zobacz, czy przyczepa jest nadal za autobusem. Jeżeli tak, szybko mnie powiadom, to ci wydam dalsze instrukcje.

Coś w zachowaniu się ciotki dziwnie mnie zdenerwowało.

- Oczywiście, że przyczepa będzie - zapewniłem siebie i ją.

- Z całego serca żywię nadzieję, że nie - powiedziała ciotka. - Inaczej dziś bym nie wyjechała.

Wskoczyłem z autobusu, ledwie się zatrzymał, i wypisz wymaluj, przyczepy nie było.

- Co teraz? - zapytałem.

- Zupełnie nic. Wszystko w porządku. Możesz oddać mi bilety i już się nie denerwować.

Usiedliśmy w poczekalni lotniska nad dżinem z tonikiem, gdy megafon wrzasnął:

- Pasażerowie samolotu odlatującego do Nicei, rejs numer trzysta siedemdziesiąt osiem, proszeni są do odprawy celnej.

Siedzieliśmy przy stoliku sami wśród gwaru, brzęku szkła i dudnienia megafonów, więc ciotka nawet nie zniżyła głosu.

- Tego właśnie pragnęłam uniknąć - powiedziała.

- Oni teraz lubią na chybił trafił sprawdzać pasażerów wyjeżdżających z kraju. Uszczuplają nasze swobody obywatelskie jedną po drugiej. Za mojej młodości można było wszędzie po całej Europie, z wyjątkiem Rosji carskiej, podróżować bez paszportu i brało się ze sobą pieniądze, jakie kto chciał. Do niedawna tylko pytali, ile pieniędzy ma się przy sobie i w najgorszym, ale to najgorszym wypadku, żądali, żeby im pokazać portfel. Jeśli w ogóle czegoś w istotach ludzkich nienawidzę, to właśnie takiej nieufności.

- Słyszając, jak ciocia to mówi - rzekłem żartobliwie - zaczynam podejrzewać, że doprawdy mamy szczęście, skoro nie ciocie walizki oni w tej chwili rewidują.

Świetnie mogłem sobie wyobrazić ciotkę Augustę wpychającą w czubki swoich rannych pantofli tuzin banknotów pięcioletnich. Chociaż po latach pracy na stanowisku dyrektora banku jestem może aż nazbyt skrupulatny, muszę przyznać, że sam z domu zabrałem dodatkowych pięć funtów zwiniętych w małej kieszonce spodni, jednak naprawdę mogło to być z mojej strony przeoczenie.

- Szczęścia nie biorę pod uwagę w kalkulacjach - powiedziała ciotka. - Tylko dureń zawierzyłby szczęściu i prawdopodobnie wśród tych pasażerów do Nicei jest jakiś dureń, który teraz gorzko swojej głupoty żałuje. Ilekroć oni wprowadzają nowe ograniczenia, badam starannie sposoby stosowania się do nich. - Westchnęła lekko. - Jeśli chodzi o Heathrow, sporo wiem od Wordswortha. Przez jakiś czas Wordsworth działał tu jako bagażowy. Odszedł, kiedy wynikły kłopoty z pewną przesyłką złota. Jemu nigdy niczego nie udowodniono, ale owo przedsięwzięcie było zbyt spontaniczne i pozostawiło w nim niesmak. Opowiadał mi o tym wszystkim. Bardzo dużą sztabę złota przywłaszczył sobie jeden z bagażowych i brak jej stwierdzono za wcześnie, jeszcze zanim ci ludzie zeszli ze służby. Wiedzieli, że w rezultacie policja będzie rewidowała ich przy wyjściu i wszystkie taksówki też, i pojęcia nie mieli, co z taką rzeczą zrobić, aż Wordsworth doradził wytarzać ją w smole, żeby jak pierwsze lepsze żelastwo służyła chwilowo do podpierania drzwi komory celnej. No i ta sztaba pozostawała tam przez całe miesiące. Za każdym razem, kiedy przenosili do komory celnej skrzynie, widzieli swoją sztabę przytrzymującą otwarte

drzwi. Wordsworth powiedział, że na jej widok dostawał takiego szału, że po prostu musiał rzucić tę pracę. Właśnie wtedy został portierem w Grenada Palace.

- A co się stało z tą sztabą złota?

- Przypuszczam, że władze przestały jej szukać, odkąd zaczęło się rabowanie diamentów. Diamenty to superpieniądze, Henry. Worki z takim cennym ładunkiem są specjalnie zapieczętowane i wkłada się je do worków zwyczajnych, żeby tragarze ich nie wypatrzyli. Mentalność urzędniczą cechuje niezwykła naiwność. Przecież po tygodniu czy dwóch ładowania worków nietrudno wymacać, w którym jest drugi worek. Wtedy wystarcza tylko rozciąć obydwie i wyciągnąć to swoje szczęście. Tak jak dzieci wyciągają schowane w cebrzyku z otrębami prezenty na Gwiazdkę. I nikt rozcięcia nie zobaczy, dopóki samolot nie wylądowuje w miejscu wylądunku. Wordsworth znalazł takiego, który już za pierwszym razem trafił szczęśliwie i wyciągnął szkatułkę z pięćdziesięcioma drogimi kamieniami.

- Ktoś jednak chyba tego pilnuje?

- Tylko inni tragarze, a oni dostają swój udział. Oczywiście, od czasu do czasu zdarza się, że człowiek ma pecha. Kiedyś znajomy Wordswortha wyłowił grubą paczkę banknotów, ale okazało się, że to pieniądze pakistańskie. Warto około tysiąca funtów, jeżeli się mieszka w Karaczi, ale tutaj, kto mu je wymieni? Biedak zawsze kręcił się na pasie startowym, ilekroć jakiś samolot odlatywał do Karaczi, ale nigdy nie znalazł klienta godnego zaufania. Wordsworth powiedział, że on strasznie zgorzkniał.

- Nie miałem pojęcia, że takie rzeczy dzieją się w Heathrow.

- Mój drogi Henry - powiedziała ciotka Augusta - gdybyś był młody, stanowczo bym ci radziła zostać tragarzem. Życie tragarza to jedna wielka przygoda, która daje znacznie konkretniejszą możliwość zbitcia majątku niż ty kiedykolwiek miałeś na to szansę w swojej filii banku. Nie wyobrażam sobie nic lepszego dla ambitnego młodzieńca poza, być może, nielegalnym wykopywaniem diamentów. Najlepiej wykopywać diamenty w Sierra Leone, skąd pochodzi Wordsworth. Tam służba bezpieczeństwa nie jest tak wyrafinowana i bezwzględna jak w Południowej Afryce.

- Czasami ciocia mnie doprawdy gorszy, ciociu Augusto - powiedziałem, ale zanim domówiłem tych słów, moje oświadczenie już prawie nie było szczere. -Mnie nigdy niczego nie ukradziono z walizki i nawet nie zamykam jej na kluczyk.

- Prawdopodobnie to właśnie cię chroni od kradzieży. Nikt przecież nie będzie sobie głowy zawracał nie zamkniętą walizką. Wordsworth znalazł tragarza, który miał kluczyki do

wszelkich walizek i kufrów. Tak znów wielu ich odmian nie ma, chociaż kiedyś ani rusz nie mógł sobie dać rady z jedną rosyjską.

Megafon zawiadomił, że pasażerowie naszego samolotu proszeni są o zajęcie miejsc, wobec czego ruszyliśmy do wskazanej nam bramy numer 14.

- Jak na osobę, która nie lubi lotnisk - stwierdziłem - ciocia wie o Heathrow rzeczywiście sporo.

- Zawsze interesuje mnie natura człowieka - powiedziała ciotka. - A już szczególnie jej przejawy bardziej zaskakujące.

Ledwieśmy usiedli w samolocie, zamówiła kolejne dwa dziny z tonikiem.

- I już zwraca się dziesięć szylingów z ceny biletów pierwszej klasy - stwierdziła z zadowoleniem. - Jeden mój znajomy kiedyś obliczył, że w czasie długiego lotu na Tahiti... w tamtych czasach to trwało ponad sześćdziesiąt cztery godziny... odzyskał prawie dwadzieścia funtów, no, ale on, rzecz jasna, tego pił.

I znów doznałem wrażenia, że przerzucam stronicę w amerykańskim magazynie, żeby odszukać dalszy ciąg felietonu, chwilowo zaginionego.

- Wciąż jeszcze nie rozumiem - przypomniałem ciotce - o co chodziło z tą przyczepą i walizkami. Dlaczego cioci tak zależało na tym, żeby przyczepa zniknęła?

- Wydaje mi się - odrzekła - że drobne wykroczenia prawne istotnie gorszą cię nieco. Kiedy dojdiesz do mojego wieku, będziesz bardziej wyrozumiała. Przed laty za ośrodek grzechu tego świata uważano Paryż, tak jak przedtem Buenos Aires, tylko że pani de Gaulle raz dwa wszystko w Paryżu zmieniła. Rzym, Mediolan, Wenecja i Neapol wytrwały o dziesięć lat dłużej, ale później cieszyły się taką opinią już tylko Macao i Hawana. Do oczyszczenia z grzechów Macao zabrała się Chińska Izba Handlowa, a do oczyszczenia Hawany Fidel Castro. Otóż w tej chwili Heathrow jest Hawaną Zachodu. Długo to nie potrwa, oczywiście, trzeba jednak przyznać, że teraz nasz londyński port lotniczy jaśniej jak gwiazda i tym samym Wielka Brytania zdecydowanie przoduje. Nie znajdzie się trochę wódki do tego kawioru? - zapytała ciotka stewardesę, która przyniosła nam tace. - Bo ja wolę wódkę niż szampana.

- Ale, ciociu, wciąż jeszcze mi ciocia nie mówi o tej przyczepie.

- Sprawa bardzo prosta - wyjaśniła ciotka. - Jeśli bagaże mają być bezpośrednio załadowane do samolotu, przyczepę zostawia się przed budynkiem Królowej Elżbiety... w tym miejscu są zawsze korki na jezdni, więc pasażerowie nic nie widzą. Ale jeśli przyczepa nadal jest za autobusem przy wjeździe bramą BEA albo Air France, to znaczy, że bagaże

zostaną przekazane do komory celnej. Ja osobiście czuję głęboko zakorzenioną odrazę do nieznanych rąk, które po grzebaniu w najrozmaitszych cudzych rzeczach, czasami niezbyt czystych, zaczynają przebierać w moich.

- I co ciocia wtedy robi?

- Żądam zwrotu moich walizek i mówię, że chcę je zostawić w przechowalni, bo ostatecznie nie są mi w tej podróży potrzebne. Albo odwołuję swój lot i próbuję kiedy indziej. - Skończyła jeść wędzonego łososa i zabrała się do kawioru. - Tak wygodnego systemu nie da się zastosować w Dover. Gdyby nie to, wolałabym popłynąć statkiem.

- Ciociu Augusto - zapytałem - co ciocia wiezie w tych walizkach?

- Tylko jedna jest troszeczkę niebezpieczna... ta czerwona. Zawsze używam czerwonej do tych celów. Czerwień oznacza niebezpieczeństwo - dodała z uśmiechem.

- Ale co ciocia ma w tej czerwonej?

- Błahostkę - odrzekła ciotka Augusta - coś, co nam pomoże w podróżowaniu. Ja naprawdę już nie mogę znieść tych absurdalnych przydziałów na wyjazdy. Przydziały! Dla dorosłych ludzi! Kiedy byłam dzieckiem, dostawałam szylinga tygodniowo na drobne wydatki. Biorąc pod uwagę, ile jest wart funt obecnie, to było więcej niż suma, jaką nam przydzielają na podróże rocznie. Nie zjadłeś swojej porcji *foie gras*.

- Szkodzi mi - powiedziałem.

- No, to ja zjem. Steward, jeszcze kieliszek szampana i jeszcze jedna wódka.

- Już podchodzimy do lądowania, proszę pani. - Tym szybciej należy mi to podać, młodzieńcze. - Ciotka zapięła na sobie pas przymocowany do jej fotela. - Cieszę się, że Wordsworth rzucił pracę na Heathrow, zanim go poznałam. Groziło mu zepsucie. Och, nie mam tu na myśli złodziejstwa. Mała uczciwa kradzież nie przynosi ujmy nikomu, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi złoto. Przecież złoto musi swobodnie krążyć. Rozkład imperium hiszpańskiego nastąpiłby znacznie wcześniej, gdyby nie to, że sir Francis Drake puścił w obieg pewną część hiszpańskiego złota. Ale są inne sprawy. Mówiłam o Hawanie, nie posądzaj mnie jednak o pruderię. Zawsze jestem za fachowością w dziedzinie seksualnej. Prawdopodobnie czytałeś o aktywności Nadczłowieka. Otóż jestem pewna, że sam jego widok uleczyłby niejedną oziębłą kobietę. Dziękuję, steward. - Wychyliła swoją wódkę do dna. - Nieźle nam się powodzi. Powiedziałabym, że prawie wyrównaliśmy różnicę pomiędzy ceną pierwszej klasy i ceną turystycznej, jeśli się w to wliczy tę niewielką nadwagę mojej czerwonej walizki. Był taki dom publiczny w Hawanie, w którym trzy sympatyczne dziewczyny prześlicznie odtwarzały „cesarską koronę”. Te lokale uratowały wiele



małżeństw przed rozpadnięciem się z nudów. I był tam w chińskiej dzielnicy Hawany teatr Szanghaj, gdzie za łączną cenę jednego dolara wyświetlano w przerwach między pokazami nagości aż trzy sprośne filmy, przy czym w kącie holu sprzedawano jeszcze wydawnictwa pornograficzne. Wprowadził mnie tam kiedyś pan Fernandez, który miał hodowlę bydła w Camaguey. (Poznałam go w Rzymie, po chwilowym zniknięciu pana Viscontiego i zostałam przez niego zaproszona na miesiąc urlopu na Kubę). Ten lokal jednak zszedł na psy dawno przed rewolucją. Podobno oni tam, walcząc z konkurencją telewizji, zainstalowali duży ekran. Te filmy oczywiście mieli wszystkie szesnastomilimetrowe, kiedy więc wyświetlali je w powiększeniu do wymiarów cineramy, doprawdy trzeba było aktu wiary, żeby rozpoznać jakikolwiek szczegół ludzkiego ciała.

Samolot karkołomnie przechylił się przy skręcaniu nad Le Bourget.

- To było przedsiębiorstwo zupełnie nieszkodliwe - powiedziała ciotka - i dawało zatrudnienie bardzo wielu ludziom. Natomiast te rzeczy, jakie się dzieją na Heathrow...

Steward przyniósł jeszcze jedną wódkę i ciotka błyskawicznie ją wypila. Miała mocną głowę - to już zauważyłem - ale myśl jej pod wpływem alkoholu bujała jak motyl.

- Mówiliśmy o Heathrow - nawiązałem, bo to mnie zaciekało. W towarzystwie ciotki uświadamiałem sobie, że mam dziwnie skąpy zasób informacji o własnym kraju.

- W okolicach Heathrow jest kilka dużych firm - powiedziała ciotka - elektroniczne, inżynieryjne, wytwórnie filmowe. Po godzinach pracy niektórzy z tych techników urządzają prywatne przyjęcia; załogi samolotów zawsze są gorąco witane, byleby tylko były i stewardesy. Zapraszają nawet tragarzy. Wordswortha zawsze zapraszali, ale pod warunkiem, że przyprowdzi dziewczynę i będzie gotów wymienić ją w czasie zabawy na jakąś inną. Pokazuje się tam filmy pornograficzne dla podniety. Wordsworth był jeszcze przywiązany do swojej dziewczyny, a przecież musiał ją oddać w zamian za żonę jednego z tych techników, nieładną kobiecinę pięćdziesięcioletnią, która miała na imię Ada. Wydaje mi się, że dawny system domów publicznych z siłami zawodowymi był znacznie zdrowszy niż takie przeszarżowane rozrywki amatorskie. No, ale amator zawsze posuwa się za daleko. Amator nigdy w sposób właściwy nie panuje nad swoją sztuką. W staroświeckich domach publicznych przestrzegano się dyscypliny. Madame pod wieloma względami odgrywała rolę przełożonej jak na pensji dla dorastających panienek. Dom publiczny jest poniekąd szkołą i to w dużej mierze szkołą dobrych manier. Znałam niejedną madame rzeczywiście dystyngowaną, która tak samo byłaby na swoim miejscu w Roedean i mogłaby dystynkcją nadawać ton każdej szkole.

- Jakżeż, na Boga, doszło do tego, że ciocia je znała? - zapytałem, ale samolot właśnie wpadł w dziurę powietrzną nad lotniskiem Le Bourget i ciotka zaczęła się niepokoić o bagaż.

- Myślę, że lepiej będzie - powiedziała - jeżeli przez cło i imigrację przejdziemy oddzielnie. Ta czerwona walizka jest dosyć ciężka, więc wolałabym, żebyś ty się nią zajął. Weź bagażowego. Z bagażowym zawsze łatwiej dostać taksówkę. I okaż swoim sposobem bycia, jeszcze zanim dojdiesz do komory celnej, że dasz sowity napiwek. Często bagażowy i celnik są ze sobą w jakimś porozumieniu. Spotkamy się na podjeździe. Tu masz kwit bagażowy na tę czerwoną walizkę.

## IX

Nie mogłem się zorientować, dlaczego ciotka Augusta stosuje tak wymyślne środki ostrożności. Było oczywiste, że niebezpieczeństwo raczej nam nie zagraża ze strony celnika, który przepuścił mnie po prostu machnięciem ręki z ową beztroską kurtuazją, jakiej brak tak często zauważam u aroganckich młodych ludzi w Anglii. Ciotka zamówiła pokoje w St. James i Albany, staromodnym hotelu złożonym z dwóch części, jednej, Albany, wychodzącej na rue de Rivoli i drugiej, St. James, wychodzącej na rue Saint Honore. Pomiędzy tymi dwoma hotelami jest wspólny nieduży ogród. Na fasadzie St. James od strony ogrodu zwróciła moją uwagę tablica z informacją dla gości, że tutaj La Fayette podpisał jakiś traktat czy też może obchodził uroczyste swój powrót z rewolucji amerykańskiej. Zapomniałem czy to pierwsze, czy to drugie.

Z naszych pokoi w Albany rozciągał się widok na Tuileries i ciotka zajęła cały apartament, co wydawało mi się raczej zbyteczne, skoro mieliśmy w Paryżu tylko przenocować przed wyjazdem w dalszą drogę Orient Expressem. Jednakże, kiedy o tym napomknąłem, skarciła mnie dosyć ostro:

- Już po raz drugi dzisiaj - powiedziała - poruszasz temat oszczędności. Zachowujesz ducha dyrektora banku, nawet teraz, chociaż już przeszedłeś na emeryturę. Zrozum w końcu, że jestem daleka od oszczędzania. Mam lat ponad siedemdziesiąt pięć, więc wątpię, czy pożyję dłużej niż jeszcze dwadzieścia pięć lat. Moje pieniądze należą wyłącznie do mnie i nie zamierzam ich oszczędzać na rzecz spadkobierców. Duże sumy odkładałam za młodu i to raczej bezboleśnie, bo młodym tak bardzo na luksusach nie zależy. Interesują się sprawami innymi niż wydawanie pieniędzy i potrafią kochać się zadowolająco po butelce coca-coli, napoju, który osoby starsze przyprawia o mdłości. Mgliste jednak mają pojęcie o prawdziwej rozkoszy; nawet ich miłość jest na chybcika i niepełna. Na szczęście w średnim wieku zaczyna się rozkoszowanie: miłością, winem i jedzeniem. Tylko pociąg do poezji trochę słabnie, ale ja chętnie bym straciła pociąg do sonetów Wordswortha (tamtego Wordswortha, oczywiście), gdybym tylko mogła za to wyczulić sobie podniebienie na wino. Miłość także jest z reguły źródłem rozkoszy znacznie dłuższej i bardziej urozmaiconej, kiedy się ukończyło czterdzieści pięć lat. Aretino to pisarz nie dla młodych.

- Może więc i dla mnie jeszcze nie za późno, żeby zacząć - powiedziałem krotkochwilnie, usiłując już odwrócić tę stronicę jej wywodów, trochę mnie zenującą.

- Po pierwsze, powinieneś ulegać lekkomyślnym zachciankom - rzekła ciotka. - Bieda może złapać niespodziewanie jak grypa i wtedy dobrze mieć w zapasie na chude lata garść wspomnień o swoich wybrykach. Zresztą ten apartament to nie są pieniądze wyrzucone. Muszę przyjąć paru panów, a nie przypuszczam, żebyś chciał, bym zapraszała ich do sypialni. Jednym z nich, mówiąc nawiasem, jest pewien dyrektor banku. Czy ty odwiedzałeś swoje klientki w ich sypialniach?

- Oczywiście, że nie. Wszystkie sprawy załatwiałem w banku.

- Może w Southwood nie miałaś klienteli zbyt znakomitej.

- Ciocia się myli! - I powiedziałem ciotce o tym nieznośnym kontradmirał i o moim przyjacielu, sir Alfredzie Keene.

- Ani też żadnych spraw naprawdę poufnych.

- Z pewnością nic takiego, o czym nie dałoby się rozmawiać w dyrektorskim gabinecie.

- Zapewne nie było u ciebie podsłuchu. Na takim przedmieściu.

Człowiek, który do niej przyszedł, zgoła nie odpowiadał mojemu pojęciu o bankierach. Wysoki, elegancki, z czarnymi baczkami prezentowałby się bardzo dobrze w stroju matadora. Ciotka poprosiła, żebym przyniósł czerwoną walizkę, więc przyniosłem i zostawiłem ich samych, ale kiedy przez ramię spojrziałem od drzwi, zobaczyłem, że walizka już jest otwarta i po brzegi pełna banknotów, jeśli mnie wzrok nie mylił, dziesięciofuntowych.

Usiadłem w mojej sypialni i zacząłem czytać „Pun-cha” starając się uspokoić. Widok tyłu przemyconych pieniędzy wywołał we mnie wstrząs, tym bardziej że to była walizka nawet nie ze skóry tylko z jednej z owych imitacji słabych jak tektura. Wprawdzie żaden doświadczony tragarz w Heathrow nie odgadłby, że zawiera ona małą fortunę, ale chyba szczytem nieopatrzności - rozmyślałem - jest taki bluff, mogący się udać albo nie udać, zależnie od stopnia doświadczenia złodzieja. Jakże łatwo ciotka Augusta mogła się potknąć o nowicjusza.

Najwidoczniej ciotka spędziła za granicą wiele lat i to wpłynęło zarówno na jej charakter, jak na zasady moralne. Rzeczywiście nie sposób osądzić ją jak zwykłą jakąś Angielkę. Dalej czytając „Puncha” pocieszałem się jednak tym, że charakter czysto angielski pozostaje niezmienny. „Punch”, to prawda, miał swój niedobry okres, nawet Winston Churchill był przedmiotem kpinek, a przecież zdrowy rozsądek wydawców „Puncha” i przemysłowców zamieszczających w nim reklamy spowodował, że ten tygodnik

powrócił szczęśliwie na dawne ścieżki. Nawet kontradmirał zaczął znów prenumerować „Puncha”, ledwie redaktor naczelny został, moim zdaniem ze wszech miar słusznie, przeniesiony na skromniejsze stanowisko do telewizji, która jest, mówiąc najogólniej, prostackim środkiem przekazu. Jeżeli te banknoty dziesięciofuntowe - rozmyślałem - są poukładane w pakietach po dwadzieścia sztuk, to walizka zupełnie lekko może zawierać sumę trzech tysięcy funtów albo nawet sześciu tysięcy, bo chyba pakiety po czterdzieści sztuk nie byłyby za grube... Potem przypomniałem sobie, że wierzchnie pudło walizki jest typu „Rewelacja”. A więc i dwanaście tysięcy funtów mogłoby się zmieścić. Ta myśl nieco mnie uspokoiła. Przemysł na tak wielką skalę to już chyba nie przestępstwo, tylko poważna operacja finansowa.

Zadzwoił telefon. Odebrałem.

- Co byś radził? - usłyszałem głos ciotki. - Union Carbide, Genesco, Deutsche Texaco? Czy może General Electric?

- Wolałbym cioci nic nie radzić - odpowiedziałem. - Ja tu się nie znam na rzeczy. Moich klientów nigdy nie interesowały obligacje amerykańskie. Cena dolara na czarnym rynku jest zbyt wysoka.

- We Francji kurs dolara nie stanowi problemu - powiedziała ciotka zniecierpliwiona. - Widać, że miałeś klientelę szczególnie wypraną z wyobraźni.

Rozłączyła się. Czyżby wymagała, żeby kontradmirał przemyślał banknoty?

Nie mogłem usiedzieć na miejscu, wyszedłem więc do tego niedużego ogrodu, gdzie jakieś małżeństwo amerykańskie (z hotelu St. James albo z hotelu Albany) właśnie piło herbatę. Żona wyciągała ze swojej filiżanki małą torebeczkę na nitce, jakby to było utopione zwierzątko. Przygnębiony tym widokiem poczułem się daleko od Anglii i z ukłuciem bólu uświadomiłem sobie, jak bardzo będę w towarzystwie ciotki Augusty tęsknił do Southwood i do dalii. Poszedłem na place Vendôme i stamtąd przez rue Daunou na Boulevard des Capucines. Przed barem na rogu zagadnęły mnie dwie kobiety i ni stąd, ni zowąd z radosnym powitalnym uśmiechem rzucił się ku mnie ktoś, kogo nie bez przerażenia od razu rozpoznałem.

- Pan Pullen? - wykrzyknął. - Chwała Bogu na wysokościach...

- Wordsworth!

- ...we wszystkich dziełach swoich najcudowniejszemu! Pan chce te dwie lale?

- Ja tylko odbywam przechadzkę - wyjaśniłem.

- Kobyty takie jak te naciągają - powiedział Wordsworth. - Pracują na łapu capu. Poskaczą raz dwa trzy i wychodź. Chce pan lalę, to niech pan idzie z Wordsworthem.

- Ale ja nie chcę, Wordsworth. Jestem tutaj z ciotką. Wybrałem się sam na mały spacer, bo ona załatwia teraz interesy.

- Pana ciocia jest tutaj?

- Tak.

- Gdzie mieszkacie?

Wolałem nie podawać naszego adresu bez pozwolenia ciotki. Wyobraziłem sobie, że Wordsworth już się wprowadza tam do sąsiedniego pokoju. I co by było, gdyby Wordsworth zaczął w St. James i Albany palić marihuanę... Nie dałbym grosza za pobłażliwość ustawodawstwa francuskiego w tym względzie.

- Zatrzymaliśmy się u znajomych - odrzekłem wymijająco.

- U jakiegoś mężczyzny? - zapytał Wordsworth z nagłą pasją.

Niewiarygodna wydawała się zazdrość o kobietę siedemdziesięcioletnią, a przecież Wordsworth był wyraźnie zazdrosny. Ujrzałem teraz bankiera z baczkami w zupełnie innym świetle.

- Mój drogi Wordsworth - powiedziałem - masz jakieś urojenia - i pozwoliłem sobie na nieszkodliwe kłamstwo. - Mieszkamy u pewnych starszych państwa.

Po czym uznając, że raczej nie wypada tak o ciotce rozmawiać na rogu ulicy, ruszyłem dalej przed siebie bulwarem, cóż, kiedy Wordsworth zrównał krok ze mną.

- Ma pan CTC dla Wordswortha? - zapytał. - Ja ci, nauczycielu, wyszukam śliczną lalę.

- Ja nie chcę, Wordsworth - powtórzyłem, ale dałem mu banknot dziesięciofrankowy.

- No, to napije się pan ze starym Wordsworthem. Znam jeden lokal pierwsza klasa, akurat tutaj.

Zgodziłem się napić, więc wprowadził mnie do przedsiionka, teatru chyba, „Comedie des Capucines”. Kiedyśmy schodzili pod ten teatr, wyła szafa grająca.

- Wolałbym napić się gdzieś, gdzie jest ciszej - powiedziałem.

- Pan zaczeka. To hałas pierwsza klasa.

Bardzo gorąco było w tej piwnicy. Sporo samotnych młodych kobiet siedziało przy barze, a kiedy się odwróciłem w stronę muzyki, zobaczyłem kobiety prawie nagie

przechodzące między stolikami, przy których siedziało sporo mężczyzn w nędznych płaszczach nieprzemakalnych, nawet nie pijąc podanych im trunków.

- Wordsworth - powiedziałem już zły - jeżeli to nazywasz skakaniem, to ja tego nie chcę.

- Nie ma skakania tutaj - powiedział Wordsworth. - Chce pan skakania, to pan bierze ją do hotelu.

- Kogo biorę?

- Którąś lalę... pan chce którąś?

Dwie z tych dziewcząt przysły do baru i usiadły przy mnie z obu stron. Poczułem się uwięziony. Wordsworth, jak zauważyłem, już zamówił cztery whisky, na co, rzecz jasna, nie wystarczyłoby mu dziesięciu franków, które dostał ode mnie.

- Zak, *chéri* - powiedziała jedna z dziewcząt - proszę, przedstaw swojego przyjaciela.

- Pan Pullen, a to jest Rita. Urocza lala. Nauczyciel.

- Czego on uczy?

Wordsworth parsknął śmiechem. Pojąłem, że mogą mnie mieć za głupca, więc skonsternowany patrzyłem na niego, kiedy wdał się w długie targi z dziewczętami.

- Wordsworth - zapytałem - co ty robisz?

- One chcą dwieście franków. Ja się nie zgadzam. Powiadam im, że my mamy paszporty brytyjskie.

- I cóż, na Boga, to ma do rzeczy?

- One wiedzą, że Brytyjczyków nie stać na szeroki gest, bo są bardzo biedni. I znów zaczął im coś prawić dziwną francuszczyzną, zgoła dla mnie niejasną, chociaż dla nich chyba zupełnie zrozumiałą.

- Po jakimu ty mówisz, Wordsworth?

- Po francusku.

- Ani słowa nie rozumiem.

- Przecież to dobry francuski zachodnioafrykański. Ta pani zna Dakar doskonale. Mówię jej, że raz pracowałem w Konakri. Teraz one mówią, że sto pięćdziesiąt franków.

- Możesz im serdecznie podziękować, Wordsworth, ale powiedz, że mnie to nie interesuje. Muszę wrócić do ciotki.

Jedna z tych kobiet roześmiała się na cały głos. Widocznie знаła słowo „ciotka”, chociaż za żadne skarby świata nie zdołałbym pojąć, dlaczego *rendez-vous* z ciotką ma być

zabawniejsze niż *rendez-vous* z kuzynką czy wujem, czy nawet z matką rodzoną. Ale ta kobieta przetłumaczyła tej drugiej:

- *Tante, tante.*

I już obie śmiały się do rozpuku.

- Jutro? - zapytał Wordsworth.

- Wybieram się z ciotką do Wersalu, a wieczorem wyjeżdżamy Orient Expressem do Stambułu.

- Do Stambułu? - wykrzyknął Wordsworth. - Po co to jej? Kogo jedzie zobaczyć?

- Przypuszczam, że zobaczymy Błękitny Meczet, Hagia Sophię, Złoty Róg, muzeum Topkapi.

- Pan niech uważa, panie Pullen.

- Proszę wymawiać moje nazwisko w sposób właściwy. - Spróbowałem naganę złagodzić żartobliwością. - Przecież byś nie chciał, żebym stale mówił do ciebie Coleridge.

- Coleridge?

- Coleridge to był poeta, przyjaciel Wordswortha.

- Nigdy takiego nie znałem. Jeżeli mówił, że jest mój przyjaciel, nabierał pana.

Powiedziałem tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Ja naprawdę muszę już iść, Wordsworth. Natychmiast poproś o rachunek, bo inaczej zostawię cię z nim i będziesz musiał płacić.

- Dobrą White Horse pan zmarnuje?

- Sam ją możesz wypić albo podzielić się z tymi paniami.

Zapłaciłem rachunek - wygórowany, moim zdaniem, ale może dlatego, że doliczono działalność rozrywkową. Naga czarna dziewczyna właśnie tańczyła w boa z białych piór. Zastanowiłem się, z czego żyją ci wszyscy mężczyźni, którzy siedzą teraz przy stolikach. Niezwykle wydawało się to, że człowiek może oglądać takie rzeczy w godzinach, kiedy banki są czynne.

Wordsworth powiedział:

- Pan da trzysta franków tym paniom za pokaz prywatny.

- Cena, jeśli się nie mylę, podskoczyła.

- Może je namówię, żeby opuściły na dwieście. Pan zaufa Wordsworthowi, w porządku?



Na nic by się zdało odwoływanie do poczucia moralności Wordswortha. Wyjaśniłem:

- Skoro masz paszport brytyjski, powinieneś wiedzieć, że Anglikowi wolno wywieźć z kraju gotówką tylko piętnaście funtów. Dwieście franków wyczerpałoby całą tę kwotę.

To była racja, którą Wordsworth potrafił zrozumieć. Spojrzał na mnie z wyżyn swego ogromnego wzrostu melancholijnie i ze współczuciem:

- Rządy wszystkie tak samo niedobre. - Człowiek musi składać ofiary. Koszty obrony i usług społecznych są bardzo wysokie.

- Czeki turystyczne - podsunął szybko Wordsworth.

- Można je wymieniać tylko w bankach, w urzędowych punktach wymiany i w hotelach zarejestrowanych. Zresztą potrzebne mi będą w Stambule.

- Pana ciocia ma ich mnóstwo.

- Tak jak wszyscy ma na podróż tylko przydział dewiz - powiedziałem.

I natychmiast uświadomiłem sobie słabość tego ostatniego mojego argumentu, ponieważ Wordsworth mieszkając u ciotki Augusty z pewnością bardzo szybko musiał się dowiedzieć, że ona stosuje rozmaite sposoby. Żeby więc zmienić temat, natychmiast przystąpiłem do ataku.

- Jak mogłeś wyprawić mnie z narkotykiem w urnie mojej matki, Wordsworth, ty sprzeniewierco!

Myślał o czymś innym, być może o dewizach na podróż, więc dotarło do niego tylko ostatnie słowo i to zniekształcone.

- Nie ma ludożerców - powiedział - w Anglii. I w Sierra Leone nie ma ludożerców.

- Ja mówię o tych prochach.

- Ludożercy są w Liberii, nie w Sierra Leone.

- Nie mówiłem nic o ludożercach.

- Jest w Sierra Leone Stowarzyszenie Lampartów. Lamparty zabijają mnóstwo ludzi, ale nigdy nie na kotlety.

- O ten narkotyk mi chodzi, Wordsworth. Dosypałeś narkotyki do prochów mojej matki.

Wreszcie wprowadziłem go w zakłopotanie. Szybko wypił whisky.

- Pan pójdzie stąd ze mną - powiedział - to panu pokażę bardziej cholerny lokal. Na rue de Douai.

Przez całą drogę po schodach z tego podziemia nie przestawałem go nękać:

- Nie miałeś prawa zrobić mi czegoś takiego, Wordsworth. Policja przyszła i urnę zabrała.

- Zwrócili panu? - zapytał.

- Tylko urnę. Prochy były tak wymieszane z haszyszem, że nie dało się ich oddzielić.

- Stary Wordsworth nie chciał nic złego, człowieku - oświadczył Wordsworth zatrzymując się na chodniku. - Ci policjanci, psiakrew.

Z radością zobaczyłem w pobliżu rząd taksówek. Bo już się obawiałem, że on może pójdzie za mną i odkryje, gdzie jest ciotka Augusta.

- W Mendeland - powiedział - jak się zakopuje swoją mamę, to się zakopuje z nią jedzenie też. No więc można i haszysz. Na jedno wychodzi.

- Moja matka nawet nie paliła papierosów.

- A z tatą zakopuje się najlepszy topór.

- Dlaczego nie jedzenie także?

- Tata chodzi polować na jedzenie z toporem. Zabija ptactwo w buszu.

Wsiadłem do taksówki i odjechałem. Przez tylną szybę widziałem, jak Wordsworth stoi przy skraju chodnika niczym człowiek nad rzeką czekający na prom. Pomachał mi ręką niepewnie, bo nie wiedział, czy odjeżdżam od niego z sympatią, czy z gniewem. I zaraz przysłoniły go samochody. Szkoda, pomyślałem, że nie dałem mu większego CTC. Ostatecznie on nie miał złych intencji. Nawet sama jego wielka sylwetka świadczyła o niezdarnej niewinności.

## X

Ciotkę Augustę zastałem siedzącą samotnie pośrodku dużego, tandetnego salonu, pełnego foteli obitych zielonym pluszem i parapetów z marmuru. Nie zadała sobie trudu, żeby schować walizkę, która otwarta, już pusta stała na podłodze. Miała oczy podpuchnięte, jakby płakała. Zapaliłem mętne światło nie odkurzonego żyrandola i wtedy uśmiechnęła się do mnie blado.

- Czy stało się coś, ciociu? - zapytałem. Przyszło mi na myśl, że może ten bankier ją obrabował i zacząłem żałować, że zostawiłem ją samą z taką dużą gotówką.

- Nic, Henry - odrzekła głosem zdumiewająco łagodnym i drżącym. - Zdecydowałam się ostatecznie na otwarcie konta depozytowego w Bernie. Do strasznie banalnych postępów oni nas zmuszają tymi swoimi zarządzeniami i przepisami. - Mówiła teraz z owym znużeniem, jakiego właśnie należało oczekiwać u takiej starszej pani siedemdziesięciopięcioletniej.

- Ciocia jest zdenerwowana.

- Tylko wspomnieniami - powiedziała ciotka Augusta. - Dla mnie w tym hotelu roi się od wspomnień i to bardzo dawnych na domiar wszystkiego. Ty byłeś wówczas jeszcze małym chłopczyną...

Raptownie poczułem prawdziwe przywiązanie do mojej ciotki. Może po to, by wzbudzić w nas uczucia, potrzebny jest jakiś przejaw słabości ze strony danej osoby. Przypomniałem sobie, jak pannie Keene palce zadrżały na frywolitce, kiedy mi mówiła o tej nieznannej Południowej Afryce - to przecież wtedy, jeśli już w ogóle, byłem bliski oświadczyć.

- Jakie ciocia ma tu wspomnienia, proszę cioci?

- Pewnego romansu, Henry. Bardzo szczęśliwego, dopóki trwał.

- Niech mi ciocia o tym opowie.

Ogarnęło mnie wzruszenie, jakie nieraz odczuwam w teatrze, widząc staruszków unoszących się na fali wspomnień. Wyblakły zbytek tego hotelowego salonu wydał mi się nagle dekoracją sceny w teatrze Haymarket. Stały mi przed oczami fotografie Doris... nie pamiętam nazwiska w „Romansie” i tamtej - która to była? - w „Kamieniach milowych”. Ponieważ niewiele do rozpamiętywania mam wspomnień własnych, tym bardziej doceniam wartość wspomnień cudzych.

Ciotka delikatnie chusteczką otarła oczy.

- Znudziłoby cię to, Henry. Nie dopita butelka szampana znaleziona w starym kredensie, pozbawiona już tych musujących iskierek... - Banalna metafora godna była akurat dramaturgów piszących dla Haymarket.

Przyciągnąłem fotel i ująłem ciotkę za rękę. Ta mała ręka wydawała się pod dotknięciem jakaś śmietankowa i niewymownie wzruszyła mnie na niej brunatna plamka nie przypudrowana chyba przez zapomnienie.

- Niech mi ciocia opowie - powtórzyłem.

A potem milczeliśmy oboje myśląc o zupełnie różnych rzeczach. Czułem się tak, jakbym grał we wznowieniu „Drugiej pani Tanqueray”. Ciotka Augusta prowadziła kiedyś życie bardzo bujne - z całą pewnością - ale w swoim czasie kochała głęboko i to tutaj w hotelu St. James i Albany, i kto wie, może owa przeszłość usprawiedliwiała jej dziwną przyjaźń z biednym Wordsworthem? Salonik w tym francuskim hotelu przypomniiał mi tamten salonik w innym hotelu Albany, londyńskim, gdzie zatrzymał się kapitan Tanqueray.

- Kochana ciociu Augusto - powiedziałem i objąłem jedną ręką jej ramiona - czasem dobrze jest się zwierzyć komuś. Ja wiem, że należę do innego pokolenia... być może, do pokolenia bardziej konwencjonalnego...

- To historia dosyć zenująca - rzekła ciotka i spuściła wzrok z miną skromną, jakiej nigdy dotąd na jej twarzy nie widziałem.

Zanim się spostrzegłem, już przy niej klęczałem, niewygodnie z jednym kolaniem w tej pustej walizce i oburącz ścisnąłem jej dłonie:

- Niech mi ciocia zaufa - powiedziałem.

- Ja tylko do twojego poczucia humoru, Henry, jakoś nie bardzo mam zaufanie. Nie sądzę, żeby nas zawsze śmieszyło to samo.

- Spodziewałem się smutnej historii - oświadczyłem dosyć surowo i wylazłem z walizki.

- Na swój sposób to historia szalenie smutna - powiedziała ciotka - ale też i dosyć zabawna. - Puściłem już jej rękę i teraz zaczęła sobie oglądać palce ze wszystkich Stron zupełnie tak, jakby oglądała rękawiczki na wyprzedaży. - Muszę zrobić jutro manicure - zauważyła.

Poczułem niejaki rozdrażnienie wobec tych jej nagłych zmian nastroju. No, bo przecież dałem się nabrać tak dalece, że popuściłem wodze sentymentom wbrew swojej naturze.

- Przed chwilą widziałem się z Wordsworthem - oznajmiłem, pewny, że tym wprawię ciotkę w zakłopotanie.

- Co? Tutaj? - wykrzyknęła.

- Przykro mi ciocię rozczarować, ale nie. Nie tu, w hotelu. Na ulicy.

- Gdzie on mieszka?

- Nie pytałem. Ani też nie dałem mu adresu cioci. Nie wiedziałem, że cioci tak będzie zależało na spotkaniu się z nim.

- Twardy z ciebie człowiek, Henry.

- Nie twardy. Roztropny.

- Nie wiem, czy roztropność odziedziczyłeś po mieczu czy po kądzieli. Twój ojciec był leniwy, owszem, ale roztropny nie był nigdy, nigdy.

- A moja matka? - zapytałem w nadziei, że ją złapię.

- Gdyby była roztropna, nie siedziałbyś tu teraz. - Ciotka podeszła do okna i wyjrzała poprzez rue de Rivoli na ogrody Tuileries. - Tyle tych bon i wózków dzieciennych - westchnęła. Na tle ostrej jasności popołudnia wyglądała staro i wątro.

- Cioci nie irytowałyby dziecko?

- Na ogół bardzo by zawadzało - odrzekła. - Curran nie budził zaufania jako ojciec, a pana Viscontiego poznałam dosyć późno, nie za późno, oczywiście, ale dziecko to sprawa wczesnych godzin poranka, natomiast z panem Viscontim to byłaby sprawa godzin po największym żarze południa. Zresztą wcale nie nadawałam się na matkę. Bóg jeden wie, gdzie bym ciągnęła to biedne dziecko za sobą i w razie gdyby z biegiem czasu ten syn okazał się człowiekiem do szpiku kości szacownym...

- Takim jak ja? - zapytałem.

- Nad tobą jeszcze nie rozpaczam - powiedziała ciotka Augusta. - Byłeś względnie życzliwy, jeśli chodzi o biednego Wordswortha. I miałeś zupełną rację nie podając mu mojego adresu. On by nie pasował do St. James i Albany. Jaka szkoda, że czasy niewolnictwa się skończyły, bo wtedy mogłabym udawać, że on mi służy do jakichś celów użytecznych. I może ulokowałabym go w St. James za ogrodem. - Z uśmiechem coś sobie przypominała. - Naprawdę powinnam ci chyba opowiedzieć o monsieur Dambreuse.

Kochałam go szalenie i jeżeli nie mieliśmy ze sobą dziecka, to wyłącznie dlatego, że to była późna miłość. Nie stosowałam żadnych środków ostrożności, żadnych w ogóle.

- O nim ciocia myślała, kiedy tu wszedłem?

- Właśnie. To sześć najszcześniejszych miesięcy w moim życiu, ten okres z nim od początku do końca spędzony tutaj w Albany. Poznałam go w pewien wieczór poniedziałkowy przed kawiarnią Fouqueta. Poprosił, żebym z nim weszła na kawę, i w czwartek już tu mieszkaliśmy, stało co się zowie, w dobrych stosunkach z pokojówką i z portierem. Fakt, że on jest żonaty, wcale mnie nie trapił, bo nie jestem ani trochę zazdrosna, a zresztą miałam większą jego część niż ta żona, czy też mi się tak wydawało. Powiedział mi, że ma dom na wsi, gdzie żona mieszka z sześciorgiem dzieci, szczęśliwa, zawsze zajęta, nie wymagająca dużo uwagi, gdzieś tam pod Tulużą. Zostawiał mnie w sobotę rano po *petit déjeuner* i wracał na czas, żeby pójść do łóżka w poniedziałek wieczorem. Może chciał tym zadokumentować swoją wierność, ale właśnie w nocy z poniedziałku na wtorek był zawsze tak rozkochany, że środek tygodnia najczęściej mijał już bardzo spokojnie. To odpowiadało mojemu usposobieniu... zawsze wolałam sporadyczną orgię niż conocny nawyk. Naprawdę kochałam monsieur Dambreuse, może nie tak czule, jak przedtem Currana, ale bardziej wolna od trosk, z większą swobodą, niż kiedykolwiek kochałam pana Viscontiego. Bo najgłębsza miłość bynajmniej nie jest miłością najbardziej bez troską. Jakżeśmy oboje z monsieur Dambreuse się zaśmiewali. Oczywiście później zrozumiałam, że on miał bardzo konkretny powód do śmiechu.

Nie wiedziałem dlaczego, ale w tym momencie przysłała mi na myśl panna Keene.

- Czy była ciocia kiedy w Koffiefontein? - zapytałem.

- Nie - odrzekła ciotka. - A bo co? Gdzie to jest?

- Bardzo daleko stąd - rzekłem.

- Naprawdę strasznie mnie zaskoczyło - snuła dalej swoje wspomnienia ciotka - odkrycie, że monsieur Dambreuse nigdy nie wyjeżdżał bardzo daleko. Nie wyjeżdżał nawet do Tuluzy. Był faktycznie rdzennym paryżaninem. I w rzeczywistości, jak się dowiedziałam, miał żonę i czworo dzieci (jedno już pracowało na poczcie) nie dalej niż na rue de Miromesnil... dziesięć minut drogi piechotą z hotelu St. James idąc rue Saint-Honore... i miał jeszcze jedną przyjaciółkę zainstalowaną w apartamencie na pierwszym piętrze, dokładnie w takim samym apartamencie jak mój (bo to był człowiek bardzo sprawiedliwy) w St. James. Soboty i niedziele spędzał z żoną i dziećmi na rue de Miromesnil, a popołudnia we wtorki, środy, czwartki i piątki, kiedy myślałam, że on pracuje, poświęcał

tej dziewczynie, Louise Dupont, w St. James za ogrodem. Muszę przyznać, że to wyczyn jak na człowieka dobrze po pięćdziesiątce i już nie pracującego na pełnym etacie (tylko zasiadał w zarządzie jakiejś spółki metalurgicznej) z powodu słabego zdrowia.

- Czy był starszy niż ja teraz? - zapytałem, zanim sobie uświadomiłem, o co pytam.

- Z pewnością. Mówił tamtej zupełnie to samo, co mówił mnie. Ona też wiedziała o żonie w Tuluzie i pojęcia nie miała, że jest jeszcze jedna jego kobieta w tym samym mniej więcej hotelu. To był człowiek o wielkiej fantazji i lubił kobiety nie za młode. Przeżyłam z nim pół roku bardzo radośnie i chwilami przypominał mi trochę twojego ojca... miewał okresy letargu przeplatane wybuchami energii. Później, kiedy już cała prawda wyszła na jaw, powiedział mi, że zawsze uważał mnie za panią swoich nocy. Bo ja tak dobrze wyglądam, powiedział, w pełnym świetle elektrycznym. Tamta była dla niego popołudniową dziewczyną... chociaż młodsza ode mnie tylko o rok czy dwa lata. Wszetecznik był z niego, ho, ho, zgoła nie na miejscu, powiedziałabym, w spółce metalurgicznej.

- Jak ciocia dowiedziała się prawdy?

- On zanadto liczył na swoje szczęście. Wszystko szło gładko przez pół roku. Po sprawunki zawsze wychodziłam z tego hotelu od strony rue de Rivoli. Kiedy już nakupiłam dosyć, szłam na herbatę do księgarni W. H. Smitha. A Louise, oczywiście, po południu była zwykle zajęta. Sprawunki załatwiała rano, kiedy ja jeszcze nie mogłam wyjść, bo monsieur Dambreuse nigdy nie wstawał przed jedenastą, i zawsze wychodziła z hotelu od strony rue Saint-Honore. Aż pewnego dnia coś go napadło. To była niedziela i zabrał żonę i dwoje młodszych dzieci do Luwru, żeby popatrzyły na obrazy Poussina. Później dzieci chciały zjeść podwieczorek i żona zaproponowała Ritz. „Tam za duży hałas - powiedział jej - zupełnie papuzia klatka z bogatymi wdowami. A ja znam spokojny ogródek, do którego nikt nie przychodzi...” No, ale właśnie w tamto popołudnie myśmy przyszły obie... ja i Louise.

Nigdy przedtem nie piłam herbaty w tym ogrodzie pomiędzy St. James i Albany ani Louise nigdy tam nie bywała, ale jakiś impuls... czasami doprawdy wierzę w Siłę Wyższą, pomimo że jestem katoliczką... nakazał mnie i jej iść tam wtedy po południu. Oprócz nas nie było nikogo, a ty wiesz, jakie towarzyskie są Francuzki. Grzeczny ukłon i „*bonjour, madame*”, wymiana słów od stolika do stolika przy tej cudownej pogodzie, no i już po paru minutach siedziałyśmy razem, podawałyśmy sobie kanapki i cukier, obie aż nazbyt zadowolone z takiej okazji do pogawędki czysto damskiej, po całych sześciu miesiącach w pokoju hotelowym z mężczyzną.

Przedstawiłyśmy się jedna drugiej i obie mówiłyśmy o swoich tak zwanych mężach. Dziwny tylko wydawał mi się fakt, że ci dwaj mężowie zasiadają w zarządzie tej samej spółki metalurgicznej. Spośród wszystkich zalet monsieur Dambreuse, szczególnie miło mi wspominać jego prawdomówność. On zawsze, kiedy tylko mógł, mówił prawdę... doprawdy bardziej zaufania godny niż większość mężczyzn, którzy kłamią bezużytecznie z czystej próżności. „Ciekawe, czy oni się znają” - mówiła Louise akurat w chwili, kiedy do ogrodu wkroczył monsieur Dambreuse prowadząc za sobą dosyć przysadzistą żonę i dwoje wyrosniętych dzieci, jedno płci żeńskiej trochę zezowate i cierpiące na katar sienny. Louise wykrzyknęła: „Achille!” i jeszcze teraz widzę tę jego minę, z jaką odwrócił się i zobaczył nas we dwie przy podwieczorku razem, i wprost muszę się uśmiechnąć. - Ciotka znów delikatnie chusteczką otarła oczy. - I popłakać troszeczkę też - dodała - bo to był koniec idylli. Mężczyzna nie potrafi wybaczyć kobiecie, wobec której wyszedł na głupca.

Z niejakim oburzeniem powiedziałam:

- Przecież wybaczyć mogła tu tylko ciocia.

- Och nie, mój drogi. Ja bym chętnie to wszystko kontynuowała. Louise także zgodziłaby się dzielić go ze mną, a madame Dambreuse chyba w ogóle nie połąpała się w sytuacji. On miał na imię rzeczywiście Achille i przedstawił jej nas obie jako żony dwóch jego kolegów-dyrektorów z tej spółki metalurgicznej. Już nigdy jednak nie odzyskał całkowicie szacunku dla samego siebie. I odtąd, kiedy w połowie tygodnia zachowywał się dosyć spokojnie, przecież wiedział, że ja wiem, dlaczego, i to go żenowało. Nie był człowiekiem rozwiązłym. Tkliwie przedtem piastował w sercu swój sekrecik. A teraz poczuł się nagi, biedaczek, wystawiony na pośmiewisko.

- Ależ, ciociu - wykrzyknąłem - jakżeż by ciocia mogła znosić tego człowieka po odkryciu, że on ciocię przez cały czas oszukiwał?

Ciotka Augusta wstała i podeszła do mnie zaciskając małe piąstki. Myślałem, że chce mnie uderzyć.

- Durniu młody - zwróciła mi uwagę jak uczniakowi. - Monsieur Dambreuse był mężczyzną i mogę tylko żałować, że ty nie miałeś możliwości wyrosnąć na takiego.

I raptem już z uśmiechem pogłaskała mnie uspokajająco po policzku.

- Przepraszam cię, Henry, to nie twoja wina. Zostałeś przecież wychowany przez Angelikę. Czasami miewam straszne uczucie, że tylko ja jedna jedyna na tym świecie jeszcze umiem czerpać z życia radość. To dlatego płakałam sobie troszeczkę... zanim wróciłeś. Wtedy powiedziałam do monsieur Dambreuse: „Achille, Kocham to wszystko, co



robimy, tak samo jak kochałam przedtem. I nie szkodzi, że wiem, dokąd chodzisz po południu. To mi nie sprawia żadnej różnicy". Ale oczywiście jemu sprawiała różnicę, bo już nie miał żadnego sekretu. A on przecież czerpał swoją radość z tej tajemniczości, więc porzucił nas obie tylko po to, by gdzie indziej znaleźć nowy sekret. Nie miłość. Właśnie sekret. Najsmutniejsze ze wszystkiego, co mi kiedykolwiek mówił, były słowa: „Nie ma już drugiego St. James i Albany w całym Paryżu". Spróbowałam go pocieszyć. „A nie mógłbyś - zapytałam - wynająć dwóch pokoi u Ritza na dwóch innych piętrach?" Wyjaśnił, że nie mógłby: „Windziarz by wiedział. To by nie była prawdziwa tajemnica".

Słuchałam ze zdumieniem i, muszę przyznać, dosyć poruszony. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z grożących mi niebezpieczeństw. Jak gdyby ciotka Augusta wlokła mnie za sobą - niczym Don Kichot włókł Sancho Panse - na jakiś niedorzeczny rycerski wypad, tylko że w sprawie nie rycerskiej, będącej dla niej zabawą.

- Dlaczego ciocia jedzie do Stambułu? - zapytałam.

- Czas pokaże - odrzekła.

Dalekosiężna myśl przyszła mi do głowy:

- Chyba ciocia nie szuka monsieur Dambreuse?

- Nie, nie, Henry. Achille prawdopodobnie, tak jak Curran, już nie żyje... zresztą miałby teraz prawie dziewięćdziesiąt lat. A pan Visconti... biedny, niemądry pan Visconti. On także musiałby mieć około... osiemdziesięciu pięciu co najmniej, czyli już nie te lata, w których się potrzebuje towarzystwa kobiet. Krążyła opowieść, że kiedy wrócił po wojnie do Wenecji, nieznanymi sprawcy utopili go w Canale Grande po bójce z jakimś gondolierem o kobietę, ale ja w to nigdy naprawdę nie wierzyłam. On nie z tych, którzy biją się o kobiety, znał się na wielu sztuczkach i zawsze potrafił ze wszystkiego się wywinąć. Jakież długie jest moje życie... zupełnie jak życie twojego stryjka Jo.

Znów ogarnął ją smutek i po raz pierwszy pomyślałam, że hodowanie dali to może za mało, żeby wypełniać dni mężczyźnie na emeryturze.

- Cieszę się, że spotkałam ciocię, ciociu Augusto - powiedziałam impulsywnie.

Odpowiedziała mi przysłowiem zgoła niestosownym:

- Och, w starym piecu diabeł pali.

I uśmiechnęła się tak filuternie, tak niefrasobliwie, tak dziewczęco, że przestała mnie dziwić zazdrość Wordswortha.

## XI

Orient Express wyjechał z Gare de Lyon zaraz po północy. Dla nas obojga ten dzień był męczący - najpierw w Wersalu, który ciotka, rzecz dosyć dziwna, zwiedzała po raz pierwszy (oświadczyła, że pałac jest trochę za wulgarny).

- Nie zapuszczałam się zbyt daleko w teren - wyjaśniła mi - przez te pół roku z monsieur Dambreuse, a przedtem, kiedy mieszkałam w Paryżu, nie miałam czasu.

Bardzo mnie już zaciękawiły dzieje mojej ciotki Augusty i chciałem sobie uporządkować poszczególne okresy w kolejności chronologicznej.

- Czy to wszystko było, zanim ciocia zaczęła występować na scenie, czy już później? - zapytałem ją.

Staliśmy wtedy na tarasie z widokiem na jezioro i stwierdziłem, że znacznie ładniejszy i bardziej swojski jest Hampton Court niż ten Wersal. No, ale Henryk VIII był człowiekiem bardziej swojskim niż Ludwik XIV. Anglik łatwiej może się utożsamiać z królem przyzwoicie żonatym niż z rozpustnym kochankiem madame de Montespan. Przypomniałem sobie starą piosenkę kabaretową „He-ne~ryk ósmy jestem ja”:

*Za żonę pojąłem wdowę z domu obok.*

*He-neryków ją siedmiu okryło żałobą.*

*He-neryk ósmy jestem ja...*

Król-Słońce natomiast nie mógłby nigdy posłużyć za temat piosenki kabaretowej.

- Na scenie, powiedziałaś? - zapytała ciotka raczej z roztargnieniem.

- Właśnie. We Włoszech.

Zastanowiła się usiłując odszukać to w pamięci i jak nigdy dotąd uprzytomniłem sobie jej podeszły wiek.

- Aha - rzekła po chwili - tak, tak, już sobie przypominam. Chodzi ci o ten zespół objazdowy. To nastąpiło po moim pobycie w Paryżu. Bo właśnie w Paryżu wypatrzył mnie pan Visconti.

- Pan Visconti był dyrektorem teatru?

- Nie, ale był wielkim miłośnikiem tego, co ty upierasz się nazywać sceną. Poznaliśmy się w pewne popołudnie na rue de Provence i powiedział, że mam ogromny talent, po czym namówił mnie, żebym opuściła zespół, do którego wówczas należałam. Tak więc pojechaliśmy razem do Mediolanu, gdzie rzeczywiście zaczęła się moja kariera. Szczęśliwie się złożyło; gdybym została we Francji, nigdy bym nie mogła pomóc twojemu stryjkowi Jo, a Jo przecież tak się pokłócił z twoim ojcem, że wszystkie pieniądze zostawił w spadku mnie. Biedaczek, wciąż jeszcze mam go przed oczami, jak czołga się, czołga po korytarzu w stronę klozetu. Wracajmy już do Paryża, żeby zwiedzić Musee Grevin. To mnie chyba podniesie na duchu.

Z pewnością podniósł ją na duchu widok tych figur woskowych. Przypomniałem sobie, jak mi powiedziała w Brighton, że dla niej uwieńczeniem sławy byłoby mieć swoją figurę w Gabinecie Madame Tussaud, ubraną w którąś z jej własnych sukien, i doprawdy myślę, że wolałaby figurować nawet w Komnacie Okropności, niż nie figurować w gabinecie figur woskowych wcale. Myśl cudaczna, gdyż ciotka Augusta nie ma usposobienia przestępczyni, jakkolwiek czasem niezbyt ściśle przestrzega prawa. Przypuszczam, że jednym z jej dziesięciu przykazań jest owo dziecięce powiedzonko: „Znalezione należy do znalazcy”.

Ja osobiście chętniej bym zwiedził Luwr i zobaczył Wenus z Milo i Nike z Samotraki, ale ciotka nie chciała o tym słyszeć.

- Te wszystkie nagie kobiety z poobtłukiwanymi częściami ciała - rzekła - to makabra. Kiedyś znałam dziewczynę, którą tak właśnie porąbano na trasie pomiędzy Gare du Nord i Calais Maritime. Poznała ona tam, gdzie wtedy pracowałam, pewnego człowieka, komiwojażera, który działał w bieliźnie damskiej... czy też tak mówił, ale faktem jest, że miał przy sobie walizeczkę pełną dosyć wyszukanych biustonoszy i namówił ją, żeby je przymierzyła. Wśród nich był jeden uszyty w taki sposób, że wyglądał jak dwie ściskające czarne ręce, i to ją ogromnie ubawiło. Ów człowiek zaproponował jej wspólny wyjazd do Anglii, więc zerwała umowę z naszą patronne i wyjechała. Zrobiła się z tego wręcz *cause célèbre*. W gazetach nazwano go „Potwór z pociągu” i został zgilotynowany, ale umarł świętobliwie, bo przed śmiercią się wyświadczył i otrzymał sakrament. Jego adwokat powiedział, że on po prostu dawał niewłaściwe ujście swojej czei dla dziewictwa, jaka się w nim rozwinęła dzięki wykształceniu odebranemu u jezuitów, i właśnie dlatego usiłował usunąć z tego padoku wszystkie dziewczyny tak rozwiązłe jak biedaczka Annę Marie Callot, na przykład. Te biustonosze stanowiły niejako próbę. Dziewczyna, jeżeli wybierała nieodpowiedni, sama na siebie wydawała wyrok, zupełnie jak ci nieboracy w „Kupcu

weneckim". To oczywiście nie był zwykły zbrodniarz i pewna młoda kobieta modląc się za niego w kaplicy na rue du Bac miała widzenie: ukazała jej się Najświętsza Pani i rzekła: „Ścieżki kręte zostaną naprostowane", z czego jasno dla tej młodej kobiety wynikało, że on dostał się do nieba. Z drugiej jednak strony pewien znany kaznodzieja dominikanin próbował w tym przemówieniu adwokata doszukać się aluzji stawiającej pod znakiem zapytania zdolności pedagogiczne jezuitów, u których on również się kształcił. Tak czy owak, rozwinął się wręcz kult „zacnego mordercy", jak też nazywano tego komiwojażera. Jedź oglądać swoją Wenus, jeżeli chcesz, ale pozwól, że ja pojedę do gabinetu figur woskowych. Nasz dyrektor musiał wtedy zidentyfikować te zwłoki i powiedział, że zostało już tylko popiersie, i to mnie raz na zawsze odstręczyło od wszystkich starych posągów.

Wieczorem zjedliśmy spokojnie kolację u Maxima w mniejszej sali, ponieważ ciotka Augusta uciekła przed plagą, jaką są nasi turyści. Znalazła się tam jednakże pewna turystka, od której uciec nie było sposobu. Ubrana w kostium sportowy z krawatem panowała nie tylko nad swoją towarzyszką, małą kobietką o jasnych, mysich włosach w wieku nieokreślonym, ale nad całą salą. Podobnie jak wielu innych Anglików za granicą, najwyraźniej lekceważyła obecność cudzoziemców i mówiła donośnie, bez żadnego skrepowania. Głos miała męski, szczególny, niczym głos bruchomówcy, toteż w pierwszej chwili myślałem, że mówi nie ona tylko starszy pan z rozetką Legii Honorowej w butonierce, który siedział przy stoliku naprzeciw naszego i jadł tak, jakby specjalnie go wyuczono przeżuwać każdy kęs w ustach trzydzieści dwa razy.

- Czworonogi, moja droga, zawsze przypominają mi stoły. O ileż są stateczniejsze i rozsądniejsze od istot dwunogich. Można by spać na stojąco...

Każdy, kto znał język angielski, odwrócił się, żeby spojrzeć na starszego pana. On sam wzdrygnął się i raptownie zamknął usta widząc, jakie wzbudza zainteresowanie.

- I na człowieku o grzbiecie dostatecznie szerokim można by nawet podawać obiad - rozbrzmiewał dalej ten głos.

Mysia blondynka zachichotała i rzekła:

- Och, Edith - tym samym wskazując, kto to wszystko powiedział.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ta kobieta pojęcia nie miała, jaki wywołuje efekt - była bruchomówczynią bezwiedną i teraz w otoczeniu nic nie rozumiejących, jak jej się wydawało, obcokrajowców, być może, trochę podniecona winem, do którego nie przywykła, rzeczywiście popuściła sobie cugli.

Jej głos świadczył o bardzo starannym wykształceniu, głos profesorski. Nieomal słyszałem, jak wyklada literaturę angielską na którymś z najstarszych uniwersytetów, i po raz pierwszy na chwilę zapomniałem, że jestem w towarzystwie ciotki Augusty.

- Darwin... tamten Darwin... napisał wiersz o miłości roślin. Czyż nie można by napisać wiersza o miłości stołów? Miłość w ciasnocie, być może, ale jakże urocza, kiedy się pomyśli o takim skompletowaniu stołów, żeby jeden idealnie wsuwał się, moja kochana, w drugi.

- Dlaczego wszyscy gapią się na ciebie? - zapytała ciotka.

Nastąpiła chwila dla mnie kłopotliwa, tym bardziej że ta kobieta nagle umilkła i już pałaszowała *carré d'agneau*. Rzecz w tym, że kiedy o czymś rozmyślam, mam zwyczaj bezwiednie poruszać ustami, wszystkim więc z wyjątkiem moich najbliższych sąsiadów mogło się wydawać, że to ja wygłosiłem owo dwuznaczne spostrzeżenie.

- Nie wiem, dlaczego, ciociu - powiedziałem.

- Widocznie, Henry, robiłeś coś bardzo dziwnego.

- Tak sobie tylko rozmyślałem.

Jakże bym pragnął wyzbyć się tego nawyku. Nabyłem go zapewne w czasach, kiedy jeszcze na stanowisku kasjera po cichu liczyłem stosy pieniędzy. Nawyk ten zdradził mnie kiedyś fatalnie przed kobietą, niejaką panią Blennerhasset, która była głucha jak pień, więc umiała z samego ruchu warg odczytywać słowa. Ta kobieta, bardzo piękna, żona burmistrza Southwood, przysłała raz do mojego gabinetu w sprawie jakichś inwestycji i ja wtedy przeglądając teczkę z jej papierami nie mogłem powstrzymać się od dość tęsknego rozmyślenia o jej nadobności. Człowiek zawsze myśli swobodniej niż mówi, nic więc dziwnego, że pani Blennerhasset się zaczerwieniła, co stwierdziłem, kiedy podniosłem oczy znad teczki. Zakończyła rozmowę o interesach bardzo szybko i wyszła. Później, ku mojemu zdumieniu, wpadła do mnie na chwilę znowu. Zmieniła w jednym drobnym szczególe decyzję, jaką podjęliśmy w sprawie jej pożyczki wojennej, po czym zapytała:

- Czy pan poważnie myślał to, co mi pan powiedział?

Sądziłem, że chodzi o radę, jakiej udzieliłem jej w kwestii zaświadczeń o oszczędnościach narodowych.

- Oczywiście - przytaknąłem - takie jest moje szczere zdanie.

- Dziękuję - rzekła. - Niech się panu nie wydaje, że choć trochę jestem obrażona. Żadna kobieta by się nie obraziła, skoro sformułował pan to tak poetycko, ale, panie dyrektorze, muszę panu powiedzieć, że ja naprawdę kocham mojego męża.

Straszne było oczywiście to, że ona w swojej głuchocie nie mogła odróżnić samego poruszania ustami od słów istotnie wypowiedzianych na głos, toteż myśli moje po prostu uważała za wyznanie. Odtąd zawsze okazywała mi wiele uprzejmości, ale nie odwiedziła mnie w gabinecie już nigdy.

Na Gare de Lyon ulokowałem ciotkę Augustę w przedziale sypialnym i zamówiłem dla niej u konduktora *le petit déjeuner* na godzinę ósmą rano. Potem czekałem na peronie, aż pociąg londyński przyjedzie z Gare du Nord. Orient Express musiał czekać na pasażerów z Londynu, chociaż ten pociąg miał już pięć minut spóźnienia.

Kiedy wjeżdżał powoli, zasnuwając peron kłębami pary, zobaczyłem nagle, jak przez te kłęby wielkimi krokami idzie Wordsworth. On mnie też zobaczył i wykrzyknął:

- Hej, koleś!

Takich amerykańizmów widocznie nauczył się w czasie wojny, bo to właśnie w porcie Freetown Amerykanie gromadzili konwoje wysyłane na Środkowy Wschód. Niechętnie ruszyłem ku niemu.

- Co ty robisz tutaj? - zapytałem. Nigdy nie lubiłem rzeczy nieoczekiwanych, czy to wydarzeń, czy spotkań, ale w towarzystwie ciotki Augusty zaczynałem już do tego się przyzwyczajać.

- Panie Pullen, panie Pullen - powiedział Wordsworth - pan jest uczciwy człowiek, panie Pullen. - Sięgnął po moją rękę zwieszoną u boku i mocno ją uścisnął. - Ja zawsze byłem pana przyjacielem, panie Pullen. - Mówił tak, jakbyśmy znali się lata całe i jakbym ja był mu winien dużo pieniędzy. - Pan mnie nie oszachruje, panie Pullen? - Rozejrzył się zapamiętale wzdłuż Orient Expressu. - Gdzie jest ta lala? - Popatrzył z przejęciem dziecka.

- Moja ciotka - rzekłem - jeżeli to ją masz na myśli, już smacznie śpi w swoim przedziale.

- Więc proszę, pan pobiegnie szybko i powie jej, że Wordsworth tu przyszedł.

- Nie mam zamiaru jej budzić. To pani w podeszłym wieku i ma długą podróż przed sobą. Jeżeli chcesz pieniędzy, to możesz wziąć ode mnie. - Podałem mu banknot pięćdziesięciofrankowy.

- Nie chcę żadnych CTC - powiedział Wordsworth, jedną ręką machając na znak protestu, a drugą biorąc banknot. - Ja chcę moją lalunię.

Obrażony takim określeniem ciotki Augusty, odwróciłem się, żeby po stromych stopniach wejść do wagonu, ale on ujął mnie za ramię i odciągnął. Był bardzo silny.

- Podskakuje pan z moją lalunią - wysunął mi zarzut.

- Śmieszny jesteś, Wordsworth. Przecież to moja ciotka. Siostra mojej matki.

- Nie szachrajstwo?

- Nie szachrajstwo - powiedziałem, chociaż nie cierpię tego wyrażenia. - Nawet gdyby ona nie była moją ciotką, czyż nie rozumiesz, że to pani bardzo stara?

- Nikt nie jest za stary na podskoki - odrzekł Wordsworth. - Pan jej powie, żeby ona przyjechała z powrotem tu do Paryża. Wordsworth czeka na nią długo, długo. Pan jej powie miłe rzeczy. Że ona ciągle jeszcze jest moją lalunią. Wordsworth nie może spać dobrze, kiedy jej nie ma.

Konduktor poprosił, żebym już wsiadł, bo zaraz odjeżdżamy i Wordsworth niechętnie mnie puścił. Stałem na stopniach wagonu, kiedy pociąg ruszył krótkimi szarpnięciami, a Wordsworth biegł za nim po peronie brnąc przez te kłęby pary. Płakał i wyglądał trochę jak samobójca, który całkowicie ubrany wbiega w przybrzeżne fale. Wpatrując się w okno poza mną, nagle zaczął śpiewać:

*Laluniu, oczka zmruż,  
Lecz popatrz na mnie chwilkę  
Nim smacznie zaśniesz już.*

Pociąg nabrał szybkości i z ostatnim szarpnięciem i sapnięciem pozostawił go w tyle.

Przecisnąłem się korytarzem do przedziału ciotki i jej miejsca opatrzonego numerem 72. Łóżko było posłane, ale siedziała na nim jakaś obca dziewczyna w spódniczce mini, a ciotka wychylona przez okno machała ręką i przesyłała całusy w powietrze. Oboje z dziewczyną popatrzyliśmy na siebie zakłopotani. Jakoś nie wypadało nic mówić, żeby nie przerwać tego obrzędu rozstania. Była to dziewczyna bardzo młoda, może osiemnastoletnia, umalowana wymyślnie, o twarzy kredowobiałej i oczach w ciemnych sztucznych sińcach. Włosy długie, kasztanowe, opadały jej na ramiona. Muśnięciami ołówka dorysowała sobie końce rzęs poniżej dolnych i powyżej górnych powiek tak, że jej rzęsy prawdziwe sterzące do przodu widziało się w złudnym zbliżeniu, jak w fotoplastikonie. Przy bluzce u góry brakowało jej dwóch guzików, jak gdyby one odleciały pod naporem jej szczenięcej pulchności, i oczy miała wybałuszone jak pekińczyk, ale pomimo to ładne. Wyraz tych oczu nazwałbym, że sięgnę tu po jedno z określeń używanych przez moje pokolenie, zmysłowym, może jednak powodowała to u niej krótkowzroczność bądź obstrukcja. Jej uśmiech, kiedy pojęła, że nie jestem w przedziale ciotki nieznanym intruzem, zdziwił mnie, nadzwyczaj nieśmiały jak na dziewczynę wyglądającą tak

skandalicznie. Można by nieomal pomyśleć, że ktoś specjalnie ją ucharakteryzował i wystroił, żeby przyciągała uwagę. Była jak dzieciak przywiązany do drzewa po to, by wywabić tygrysa z dżungli.

Ciotka wycofała głowę z okna i odwróciła się do mnie twarzą całą w smugach sadzy i łez.

- Kochany człowiek - powiedziała. - Musiałam przyrzeć się mu przed odjazdem. W moim wieku nigdy nic nie wiadomo.

Wyraziłem dezaprobatę:

- Sądziłem, że to rozdział zamknięty. - I ze względu na tę dziewczynę dodałem: - Ciociu Augusto.

- Pewności przecież nigdy nie ma - odrzekła ciotka. - To jest numer siedemdziesiąt jeden - dodała wskazując dziewczynę.

- Siedemdziesiąt jeden?

- Sąsiednie łóżko. Jak się pani nazywa, moja droga?

- Tooley - przedstawiła się dziewczyna. Mogło to być jej zdrobniałe imię, mogło też być jej nazwisko, trudno powiedzieć.

- Tooley także jedzie do Stambułu. Prawda, moja droga?

- *En passant* - odpowiedziała dziewczyna z akcentem amerykańskim.

- Bo ona właściwie jedzie do Katmandu - wyjaśniła mi ciotka.

- Myślałem, że Katmandu jest w Nepalu.

- Chyba w Nepalu - rzekła dziewczyna - czy gdzieś tam.

- Myśmy już ze sobą porozmawiały - mówiła ciotka dalej - bo... jeszcze raz, jak ty się nazywasz, moja droga?

- Tooley - powiedziała dziewczyna.

- Tooley wiezie ze sobą worek żywności. Czy ty to pojmujesz, Henry... Orient Express bez wagonu restauracyjnego? Jakże czasy się zmieniły. Bez wagonu restauracyjnego aż do granicy tureckiej. Czekają nas dwa dni głodu...

- Mam bardzo dużo mlecznej czekolady - powiedziała dziewczyna - i niedużo szynki w plasterkach.

- ...i pragnienia... - mówiła ciotka.

- Mam dwanaście butelek coca-coli, tylko że już trochę za ciepłej.



- I pomyśleć, w jakim towarzystwie jechałam kiedyś tym właśnie pociągiem - mówiła ciotka. - Pan Visconti i generał Abdul. Kawior i szampan. Właściwie mieszkaliśmy wtedy w wagonie restauracyjnym. Jeden posiłek przechodził w drugi, dzień przechodził w noc.

- Będzie mi bardzo miło podzielić się z państwem moją colą - zapewniła Tooley. - I mleczną czekoladą. Tą szynką też oczywiście, tylko że jej jest niewiele.

- Przynajmniej konduktor obiecał nam podać kawę i *croissants* - powiedziałem - jutro rano.

- Postaram się spać jak najdłużej - powiedziała ciotka - i będziemy mogli przegryźć coś niecoś na dworcu w Mediolanie. Z Mariem - dodała.

- Kto to jest Mario? - zapytałem.

- Zatrzymamy się w Lozannie, w Mürren i w St. Moritz - rzekła ta dobrze poinformowana dziewczyna.

- Szwajcaria jest znośna tylko pod śniegiem - zaopiniowała ciotka - tak jak niektórzy ludzie są znośni tylko pod prześcieradłami. No, kładę się już spać. Wy, dwoje młodych, jesteście dosyć starzy, żeby was można było zostawić sam na sam.

Tooley spojrzała na mnie z ukosa, jak gdybym to ja mógł być owym tygrysem wywabionym z dżungli.

- Och, także się już położę - rzekła - uwielbiam spać. - Spojrzała na swój ogromny zegarek z czterema tylko cyframi na tarczy i to szkarłatnymi. Skórzany pasek tego zegarka miał szerokość cala. - Dochodzi ledwie pierwsza - rzekła niezdecydowanie - lepiej będzie, jak wezmę tabletkę.

- Będiesz spała - powiedziała tonem kategorycznym ciotka Augusta.

## XII

Wyjeżdżaliśmy już z Lozanny, kiedy się obudziłem. Zobaczyłem jezioro pomiędzy dwiema wysokimi kamienicami czynszowymi, jedną zdobila gustowna reklama czekoladek, drugą - zegarków. To konduktor mnie wyrwał ze snu, przynosząc kawę i *brioche*s (a prosiłem o *croissants*).

- Czy pani spod siedemdziesiątki dwójki już nie śpi? - zapytałem.

- Nie życzyła sobie, żeby ją obudzić przed Mediolanem - odpowiedział.

- Czy to prawda, że tu nie ma wagonu restauracyjnego?

- Prawda, *monsieur*.

- To przynajmniej pan poda nam jutro śniadanie?

- Nie, *monsieur*. Jestem na służbie tylko do Mediolanu. Stamtąd będzie już inny konduktor.

- Włoch?

- Jugosłowianin, *monsieur*.

- Mówi po angielsku albo po francusku?

- Chyba nie.

Poczułem się beznadziejnie na obczyźnie.

Wypiłem kawę, a potem przez okno w korytarzu patrzyłem, jak przesuwają się gładko małe szwajcarskie miasteczka: pałac Montreux w stylu edwardiańskiego baroku, niczym siedziba jakiegoś króla Rurytaniańców, i z tyłu wśród ławicy mgieł porannych góry blade przypominające niedoświetlony negatyw: Aigle, Bex, Visp... Zatrzymywaliśmy się prawie na każdej stacji, ale rzadko kiedy ktoś wsiadał albo wysiadał. Podobnie jak ciotka Augusta pasażerowie nie interesowali się Szwajcarią bez śniegu, a przecież mnie właśnie w Szwajcarii poważnie kusiło, żeby ciotkę opuścić. Miałem w czekach turystycznych pięćdziesiąt funtów i Turcja właściwie wcale mnie nie frapowała. Migwały łąki pośród jezior, stare zamczyska na wzgórzach zjezonych winnicami i dziewczęta na rowerach: wszystko wydawało się czyste, uporządkowane i bezpieczne tak jak moje życie przed pogrzebem matki. Myślałem o Southwood. Zacząłem tęsknić do dali, a na jakiejś małej stacyjce za Mürren, gdzie listonosz nie schodząc z roweru doręczał ludziom listy, był klomb kwiatów fioletowych i czerwonych. I chyba rzeczywiście wysiadłbym z pociągu, gdyby w owej chwili

ta dziewczyna, Tooley, nie dotknęła mojego ramienia. No, bo gdybym wysiadł, czyż nie mógłbym się usprawiedliwić umiłowaniem spokoju, od którego przemocą odciągnęła mnie ciotka?

- Dobrze pan spał? - zapytała Tooley.

- O tak, a pani?

- Prawie nie spałam. - Oczami pekińczyka wpatrywała się we mnie, jak gdyby czekała na kąsek z mojego talerza.

Zaproponowałem jej *brioche*, ale odmówiła:

- Och nie, strasznie dziękuję. Zjadłam baton czekolady.

- Dlaczego nie mogła pani usnąć?

- Trochę się denerwowałam.

Przypomniałem sobie z czasów, kiedy byłem kasjerem twarze akurat tak zaleźnione jak jej twarz, bezradne za szybą, która oddzielała nas zgodnie z wymaganiem higieny i na której napis polecał rozmawiać z kasjerem przez okienko umieszczone niewygodnie nisko. Nieomal gotów byłem zapytać ją, czy nie przekroczyła konta.

- Więc czym mógłbym pani służyć?

- Ja tylko chcę porozmawiać - rzekła.

Cóż miałem robić? Wypadało mi zaprosić ją do przedziału. Moje łóżko zamieniono w kanapę, kiedy stałem na korytarzu, więc usiedliśmy obok siebie. Poczęstowałem ją papierosem. To był zwykły Senior Service, ale obracała go w palcach, jak gdybym zaimponował jej jakimś nieznanym, specjalnym gatunkiem.

- Angielskie? - zapytała.

- Tak.

- Co to znaczy Senior Service?

- Marynarka Wojenna.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zapalę swojego?

Wyciągnęła z torebki puszkę z napisem „Cukierki eukaliptusowo-mentolowe” i z tej puszki jakiegoś papierosa bez firmowej nazwy, chyba skręconego przez nią samą. Po namyśle poczęstowała mnie również takim papierosem i uznałem, że trochę nieuprzejmie byłoby jej odmówić. Papieros bardzo mały i dosyć brudny, pachniał dziwnie, raczej ładnie, ziołami.

- Nigdy jeszcze nie paliłem amerykańskich papierosów - powiedziałem.

- Dostałam w Paryżu... od znajomego.

- Ani francuskich też.

- Był strasznie miły. Platoniczny.

- Kto?

- Ten facet, którego poznałam w Paryżu. Jemu też powiedziałam, jaki mam kłopot.

- A jaki?

- Okropnie pokłóciłam się z moim przyjacielem. Chciał jechać do Stambułu trzecią klasą, powiedziałam, że to wariactwo, w trzeciej klasie nie można przecież spać razem, a ja mam pieniądze na pierwszą, no nie? „Tę twoją pensję parszywą - powiedział. - Sprzedaj wszystko, co masz i pieniądze rozdaj ubogim...” To jakiś cytat, prawda? Tylko nie wiem z czego. Ja mu na to powiedziałam: „Nic by z tego nie wyszło. Bo ojciec przecież wszystko by mi zwrócił”. On na to: „Wcale nie musi wiedzieć”. Ja na to: „Ma swoje źródła informacji. Jest na samej górze, w CIA”. On na to: „Więc wypchaj się tą swoją mamoną”. To taki zwrot angielski, prawda? On jest Anglikiem. Poznaliśmy się, kiedyśmy siedzieli na Trafalgar Square.

- Karmiąc gołębie? - zapytałem.

Parsknęła śmiechem perliście i zakrztusiła się dymem.

- Ta pana ironia - powiedziała. - Lubię, jak mężczyźni są ironiczni. Mój ojciec też jest taki. Kiedy już się nad tym zastanawiam, to muszę panu powiedzieć, że pan jest w ogóle podobny do mojego ojca. Ironia to w dodatku bardzo cenna rzecz w literaturze, prawda? Tak samo jak namiętność?

- Mnie niech pani nie pyta o nic z zakresu literatury. Zupełnie się na tym nie znam, panno Tooley.

- Niech mi pan nie mówi panno Tooley. Przyjaciele mówią mi po prostu Tooley.

W St. Moritz przechodziła przez peron grupa pensjonarek. Ładne były te pensjonarki, niejedna z nich miała spódniczkę mini i widoczny makijaż, i wszystkie niosły schludne teczki szkolne.

- Jak może taki piękny kraj być taki nudny? - zastanowiła się głośno Tooley.

- Dlaczego nudny?

- Ich tutaj nie naelektryzują. Żadna z nich nigdy nie będzie miała w sobie prądu. Chce pan jeszcze jednego papierosa?

- Dziękuję. Są bardzo łagodne. I mają przy tym miły aromat. Nie drapią w gardło.

- Lubię te wyrażenia, jakich pan używa. Naprawdę są wdechowe.

Poczułem się bardziej rześko niż zazwyczaj czuję się o tej godzinie poranka i stwierdziłem, że towarzystwo Tooley jest dla mnie nowością i odmianą. Rad byłem, że ciotka sypia długo, dając mi tym samym sposobność do zaznajomienia się z Tooley bliżej. Chętnie bym został jej opiekunem. Chciałbym mieć córkę, chociaż nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić panny Keene w roli matki. Żadna matka nie powinna potrzebować opieki dla siebie.

- Ten twój przyjaciel w Paryżu - powiedziałem - to koneser, jeśli chodzi o papierosy.

- Jest bajeczny - powiedziała Tooley - to znaczy, rzeczywiście ma wszystkie klepki w porządku!

- Francuz?

- Och, nie, podchodzi z najczarniejszej Afryki.

- Murzyn?

- My ich tak nie nazywamy - skarciła mnie. - My ich nazywamy kolorowymi albo czarnymi... w zależności od tego, jak oni wołają.

Nagle wzbudziło to we mnie podejrzenie.

- Czy on przypadkiem nie nazywa się Wordsworth?

- O ile wiem to Zach.

- Więc Wordsworth. Czy to panią chciał zobaczyć na dworcu?

- No pewnie, a kogóż by jak nie mnie? Wcale się tego nie spodziewałam, ale był tam przy wejściu, żeby się ze mną pożegnać. Kupiłam mu peronówkę, myślę jednak, że bał się czegoś. Nie chciał zrobić ani kroku na peron.

- To znajomy również mojej ciotki - powiedziałem. Woląłem przemilczeć, że on tę peronówkę kupioną przez nią wykorzystał w innym celu.

- No, czyż to nie najprzedziwniejszy zbieg okoliczności? Zupełnie jak w tych powieściach Thomasa Hardy.

- Widać, że jesteś bardzo czytana.

- Specjalizuję się w literaturze angielskiej - wyjaśniła. - Ojciec wołał, żebym studiowała nauki społeczne, bo chciał, żebym pobyła trochę w Korpusie Pokoju, tylko że ja mam niezupełnie takie samo pojęcie jak on o tym i o owym.

- Czym zajmuje się twój ojciec?

- Już mówiłam... ma bardzo ściśle tajne zadania w CIA.

- To musi być interesujące - powiedziałem.

- Strasznie dużo jeździ. Widziałam się z nim tylko raz, odkąd mama wzięła z nim rozwód, to znaczy od zeszłej jesieni. Zawsze mu tłumaczę, że on widzi świat poziomo. Chcę przez to powiedzieć, że jest powierzchowny, no bo czy nie? Ja zawsze chcę widzieć świat pionowo.

- Drażyć głębie - powiedziałem. Z niejaką dumą stwierdziłem, że zrozumiałem ją jednak.

- Te papierosy pomagają - machnęła swoim papierosem. - Czuję się już trochę naelektryzowana. To dzięki temu, że ty tak bajecznie się wyrażasz. Aż doznaję wrażenia, że ja już gdzieś na ciebie natrafiłam w czasie studiowania literatury angielskiej. Przypominasz mi jakąś postać. Bo myśmy tam od deski do deski przerabiali Dickensa.

- Pionowo - powiedziałem i oboje się roześmieliśmy.

- Jak ci na imię?

- Henry.

Znów parsknęła śmiechem, więc i ja śmiałem się dalej, chociaż nie bardzo wiedziałem z czego.

- I nigdy ciebie nie nazywali Harrym? - zapytała.

- Harry to spieszczenie. Nie można dostać na chrzcie imienia Harry. No bo czy święty Harry istniał kiedykolwiek?

- Czy to chodzi o tak zwane prawo kanoniczne?

- Chyba.

- Bo ja kiedyś znałam bajecznego faceta, który dostał na chrzcie imię Daj-mi-w-pysk.

- Wątpię, czy rzeczywiście go tak ochrzczono.

- Czy jesteś katolikiem?

- Nie, ale moja ciotka jest katoliczką, chyba. Nie wiem na pewno.

- Ja o mało nie zostałam kiedyś katoliczką. Ze względu na Kennedych. No, ale dwaj z nich umarli od kul... to znaczy, ja jestem przesądna. Czy Makbet był katolikiem?

- Jakoś dotychczas nie rozważałem tego zagadnienia... przypuszczam, że... no właściwie, nie wiem. - Wydawało mi się, że zaczynam wyrażać się tak jak ona.

- Może zamknijmy te drzwi na fest i otworzymy okno - zaproponowała. - W jakim kraju jesteście teraz?

- Myślę, że powinniśmy być już blisko granicy włoskiej.

- Więc prędko otwórz okno.

Niezupełnie podążałem za tokiem jej rozumowania, ale otworzyłem okno posłusznie. Papierosa już wypaliłem. Tooley wyrzuciła za okno swój niedopałek i opróżniła popielniczkę. Wtedy przypomniałem sobie Wordswortha.

- Co myśmy palili? - zapytałem.

- Haszysz, oczywiście. A dlaczego pytasz?

- Czy zdajesz sobie sprawę, że mogliśmy dostać się za to do więzienia? Nie znam ustaw szwajcarskich ani włoskich, ale...

- Ja bym się nie dostała. Jestem nieletnia.

- A ja?

- Mógłbyś wnieść o uniewinnienie - powiedziała i parsknęła śmiechem; jeszcze śmiała się, kiedy otworzyli drzwi i zajrzeli włoscy policjanci.

- Paszporty - zażądali, ale to była czcza formalność, przeciąg z otwartego okna zerwał jednemu z nich czapkę z głowy i mogłem tylko mieć nadzieję, że zapach konopi indyjskich rozwiął się na korytarzu. Zaraz po policjantach przyszli celnicy, którzy byli tak samo grzeczni, poza tym, że jeden z celników kręcił nosem. W kilka minut później szczęśliwie wyszli na peron. Tablica głosiła, że to stacja Domodossola.

- Jesteśmy we Włoszech - powiedziałem.

- No, to wypal jeszcze papierosa.

- Za nic tego nie zrobię, Tooley. Nie miałem pojęcia... Na miłość boską, pozbądź się ich przed Jugosławią, oni tam może nie będą się zastanawiali, czy można aresztować osobę nieletnią.

- Zawsze mi mówiono, że Jugosłowianie to dobrzy komuniści. I sporo im sprzedajemy materiałów strategicznych, czyż nie?

- Ale nie narkotyki - powiedziałem.

- Znowu ironizujesz. To znaczy, ja ci chciałam się zwierzyć z mojego wielkiego kłopotu, ale jak mogę ci się zwierzyć, kiedy ty ironizujesz?

- Mówiłaś nie tak dawno temu, że ironia to cenny walor w literaturze.

- Ale ty nie jesteś powieścią - stwierdziła i rozplakała się patrząc, jak za oknem przelatują Włochy.

Narkotyk spowodował przedtem śmiech, więc chyba również spowodował te łzy teraz. Mnie samemu zrobiło się trochę smutno. W głowie mi kołowało. Zamknąłem okno i zobaczyłem przez szybę jakąś wioskę górską, całą w barwach żółcienia i ochry jak by sama przez się wyrosła z deszczu i z ziemi, a potem zobaczyłem przy torze jakąś fabrykę i jakieś czerwone osiedle, i autostradę, i reklamę Peruginy, i te wszystkie druty, i tory epoki bez dymu.

- Dlaczego płaczesz, Tooley?

- Zapomniałam zażyć tę cholerną pigułkę i już minęło sześć tygodni, odkąd mi się zatrzymało. O mało nie zwierzyłam się wczoraj twojej matce...

- Mojej ciotce - sprostowałem. - Powinnaś z nią porozmawiać. Ja doprawdy nie znam się na tych kobiecych sprawach.

- Ale ja chcę mówić z mężczyzną - powiedziała Tooley. - To znaczy, trochę krępuję się kobiet. Nie umiem dogadać się z nimi tak szybko jak z mężczyznami. Szkoda tylko, że mężczyźni obecnie są tacy nieoświeceni. W dawnych czasach dziewczęta nigdy nie wiedziały, co mają robić, a teraz, w naszych czasach, to właśnie mężczyźni są jak tabaka w rogu. Julian powiedział, że to jest moja wina... że on bardzo liczył na mnie.

- Julian to ten przyjaciel? - zapytałem.

- Rozgniewał się, bo zapomniałam o pigułce. Chciał pojechać do Stambułu autostopem. Powiedział, że to pomoże.

- Myślałem, że chciał jechać trzecią klasą.

- Chciał, ale przedtem, jeszcze zanim mu powiedziałam. I zanim poznał kogoś, kto ciężarówką jechał do Wiednia. Wtedy postawił mi ultimatum. Siedzieliśmy w tej kawiarni na placu St. Michel i powiedział: „Musimy wyjechać teraz albo nigdy”, a ja powiedziałam: „Nie”, a on na to powiedział: „Więc sama kombinuj, do cholery, jak tam dojechać”.

- Gdzie on teraz jest?

- Gdzieś na trasie stąd do Stambułu.

- W jaki sposób go znajdziesz?

- Będą wiedzieli w Gulhane.

- W Gulhane?

- To blisko Błękitnego Meczetu. W Gulhane zawsze wiedzą, gdzie kogo można złapać. - Starannie zaczęła usuwać z twarzy ślady łez. Potem spojrzała na ten swój ogromny zegarek z czterema cyframi i rzekła: - Już prawie pora obiadowa. Głodna jestem jak wilk. Mam nadzieję, że nie odżywiłam dwojga. Chcesz czekolady?



- Zaczekam, aż dojedziemy do Mediolanu - powiedziałem.

- Zapalisz jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- A ja zapalę. Kto wie, czy to nie pomoże. - Znów zaczęła się uśmiechać. - Dziwne pomysły przychodzą mi do głowy, to znaczy wydaje mi się, że prawie wszystko może pomóc. Piłam w Paryżu koniak i piwo, i piwo imbirowe, bo w szkole słyszałam, że piwo imbirowe pomaga. I chodziłam do łaźni fińskiej w dodatku. To dziwne, kiedy naprawdę potrzeba tylko *curetage*. Wordsworth obiecał wyszukać mi doktora, ale powiedział, że musi mieć parę dni czasu, i że później będę musiała poleżeć trochę, i że na niewiele się zda ta cała fatyga dojazdu do Gulhane, gdzie mi tylko powiedzą, że Julian wyjechał. Wyjechał? Dokąd? - ja się pytam. Poznałam w Paryżu jednego chłopca, który twierdził, że wyrzucają nas ze wszystkim z Katmandu, a teraz Wietnam jest takim miejscem. Miejscem nie dla nas, tych z obywatelstwem amerykańskim, oczywiście, przez ten pobór do wojska.

Były chwile, kiedy słuchając jej można by przypuszczać, że cały świat podróżuje.

- Spałam z jednym chłopcem w Paryżu - mówiła - kiedy Julian mnie zostawił na lodzie, bo pomyślałam, no, że to mogłoby coś niecoś sprawę poruszyć. To znaczy „ciotka” czasem tak przychodzi zaraz po orgazmie, ale orgazmu nie miałam. Dlatego chyba, że denerwowałam się Julianem, bo ja nieczęsto miewam trudności z orgazmem.

- Uważam, że powinnaś pojechać prosto do domu i przyznać się rodzicom.

- Pojedynczo - rzekła Tooley. - Mama się nie liczy, a gdzie jest ojciec, właściwie nie wiem. On strasznie dużo jeździ. W tajnych misjach. Równie dobrze mógłby teraz być w Wietnamie... podobno Wietnam jest zaparszywiony CIA.

- Więc nigdzie nie masz tak zwanego domu? - zapytałem.

- Przy Julianie czułam się jak w domu, cóż kiedy on się pogniewał o to, że zapomniałam o pigułce. Jest bardzo porywczy. „Gdybym musiał ci przez cały czas przypominać - powiedział - straciłbym całą spontaniczność, czy nie rozumiesz?” Ukuł sobie taką teorię, że kobiety chcą mężczyzn wykastrować i właśnie jednym ze sposobów jest pozbawienie ich spontaniczności.

- I ty przy nim czułaś się jak w domu?

- Mogliśmy rozmawiać absolutnie o wszystkim - odrzekła, już z radosnym uśmiechem coś sobie przypominając, ponieważ narkotyk znów zaczął działać. - O sztuce i o sprawach seksualnych, i o Jamesie Joysie, i o psychologii.

- Nie powinnaś palić tego paskudztwa - spróbowałam jej wyperswadować.

- Haszyszu? Czemu? Haszysz na nic nie szkodzi. Co innego „kwas”. Julian chciał, żebym spróbowała „kwasu”, ale ja powiedziałam: „O nie”, to znaczy, ja nie chcę wypaczać swoich chromosomów.

Chwilami nie rozumiałem ani słowa z tego, co mówiła, a przecież wydawało mi się, że mogę słuchać jej godzinami bez żadnego znużenia. Miała w sobie jakąś delikatność i słodycz - coś, co mi przypominało pannę Keene. Porównanie wręcz niedorzeczne, oczywiście, ale zrobiłem je może dlatego, że byłem, jak ona to określała, naelektryzowany.

### XIII

Wjazd pociągiem do wielkiego miasta to dla mnie coś w rodzaju końcowych akordów uwertury. Wszystkie wiejskie i miejskie tematy naszej długiej podróży znów zostały podjęte: fabryka i zaraz za fabryką łąka, kawałek autostrady i zaraz polna droga, i gazownia, i za gazownią nowoczesny kościół; domy coraz bardziej deptały sobie po piętach, reklamy samochodów Fiat zgęstniały, konduktor, który nam podał śniadanie, przeszedł pospiesznie korytarzem, żeby obudzić jakiegoś ważnego pasażera, ostatnie pola kurczyły się jakby odpychane i w końcu były już tylko domy, domy, domy i Mediolan, błyskały szyldy, Mediolan.

Powiedziałem Tooley:

- Dojechaliśmy. Powinniśmy zjeść obiad. To nasza ostatnia szansa, żeby dostać solidny posiłek...

- Twoja matka... - zaczęła Tooley.

- Ciotka Augusta. Już tu jest.

Konduktor w drodze powrotnej korytarzem szedł przed ciotką (że też ja się nie zorientowałem, kto jest tym ważnym pasażerem) i teraz ona, jak przedtem ów celnik, stojąc w drzwiach przedziału, pokręciła nosem:

- Co wyście tu wyprawiali? - zapytała.

- Paliliśmy papierosy i gawędziliśmy - odpowiedziałem.

- Jakiś niezwykle wesolutki jesteś, Henry. To niezupełnie w twoim stylu. - Znów pociągnęła nosem. - Mogłabym nieomal uwierzyć, że biedny Wordsworth nadal jest z nami.

- To bajeczne - odezwała się Tooley - że pani zna Wordswortha.

- *Il y a un monsieur qui vous demande, madame* - przerwał nam konduktor.

Przez okno za ciotką, pomiędzy wózkiem z gazetami i wózkiem bufetowym, zobaczyłem wysokiego, chudego mężczyznę o pięknie wypielęgowanych białych włosach, który żywo gestykulował parasolem.

- Och, to Mario - powiedziała ciotka nawet się nie odwracając. - Napisałam do niego, że będziemy musieli coś zjeść, więc żeby pomyślał o obiedzie dla nas. Prędkiej, moja droga, prędkiej, Henry, nie ma czasu do stracenia.

Zeszła pierwsza na peron i wpadła prosto w objęcia tego białowłosego, mocne widać jak stal, bo przez chwilę on ją dźwigał w powietrzu.

- *Madre mia, madre mia* - wysapał, upuścił parasol i dopiero wtedy ostrożnie, jak gdyby mogła się stłuc, postawił ją na peronie. (Jakkolwiek sama ta myśl o stłuczeniu się ciotki Augusty była doprawdy śmieszna).

- Dlaczegoż on, na Boga, tak ciocię nazywa? - szepnąłem. Może to skutek haszyszu, ale poczułem wyjątkową antypatię do tego człowieka, teraz z kolei całującego w rękę Tooley.

- Znam go od dziecka - powiedziała ciotka. - To syn pana Viscontiego.

Był bardzo przystojny w jakimś scenicznym stylu; miał aparycję podstarzałego aktora i zgoła mi się nie podobało to, że próbował olśnić Tooley fragmentami swego repertuaru. Po wybuchu teatralnego wzruszenia na widok ciotki Augusty, teraz ruszył przez peron do restauracji prowadząc Tooley przed nami, przy czym trzymał parasol za metalowe okucie i jego rączką machał jak pastorałem. Ze swymi białymi włosami, z głową nachyloną ku Tooley wyglądał jak biskup, który hipnotycznie poucza neofitkę, co to jest czystość duszy.

- Czym on jest z zawodu, ciociu? Aktorem?

- Pisze dramaty wierszowane.

- I może się z tego utrzymać?

- Pan Visconti zapisał mu przed wojną pewne odsetki, niewielkie jednak. Ale na szczęście we frankach szwajcarskich. Podejrzewam, że ponadto bierze pieniądze od kobiet.

- Raczej niesmaczne w jego wieku - powiedziałem.

- On potrafi kobiety rozśmieszać. Popatrz, jak Tooley śmieje się teraz. Taki sam był jego ojciec. To najlepsza metoda, Henry, żeby kobietę zdobyć. Bo widzisz, kobiety są mądrzejsze niż mężczyźni. Myślą o wypełnieniu sobie czasu, jaki musi przecież minąć pomiędzy jednym kochaniem się a drugim. Za mojej młodości niewiele kobiet paliło papierosy. Uważaj na ten wózek.

Pod wpływem haszyszu poczułem w sobie chytrość.

- On pewnie urodził się w tamtych latach, kiedy ciocia była z panem Viscontim... Czy jego matkę znała ciocia również?

- Nie za dobrze.

- To musiała być piękna kobieta.

- Nie mogę tego osądzać sprawiedliwie. Nie cierpiałam jej i ona nie cierpiała mnie. Mario zawsze uważał mnie za swoją prawdziwą matkę. Pan Visconti nazywał ją blond krową. To była Niemka.

Mario Visconti zamówił *saltimbocca Romana* dla wszystkich oraz butelkę wina Frascati. Ciotka zaczęła z nim rozmawiać po włosku.

- Musicie mi darować - powiedziała - ale Mario nie mówi po angielsku, a od tylu, tylu lat się z nim nie widziałam.

- Mówisz po włosku? - zapytałem Tooley.

- Ani słowa.

- Wydawało mi się, że rozmawiasz z nim bardzo przejęta.

- On potrafi świetnie wszystko wyrażać.

- Co takiego wyraził?

- Że dosyć mu się podobam. Co to znaczy *cuore*?

Spojrzałem na Maria Viscontiego z oburzeniem, ale, o dziwo, zobaczyłem, że on teraz płacze. Mówił bardzo dużo, tłumaczył coś za pomocą rąk i w pewnej chwili nawet wziął parasol i potrzymał go nad głową. W krótkich przerwach między bardzo długimi zdaniem nabierał do ust kęsy *saltimbocca Romana*, pochylając swą urodziwą twarz nad talerzem tak, że widelec miał krótką drogę w górę, a łyżki miały krótką drogę w dół. Dobrze chyba, że to danie zawsze musi być porządnie posolone. Ciotka pożyczyła mu cieniutką koronkową chusteczkę do nosa, którą otarł oczy, a potem włożył do kieszeni na piersi twarzowo, tak że wystawał rożek z falbanką. Następnie okazał niezadowolenie z powodu wina, moim zdaniem wręcz wyborowego, i polecił kelnerowi je zmienić. Dopiero wtedy, gdy skosztował wina z nowej butelki, zaczął płakać na nowo. Zauważyłem, że kelnerzy odnoszą się do tej sceny tak obojętnie, jak bileterki w kinie odnoszą się do filmu wyświetlanego już od tygodnia.

- Nie lubię mężczyzn, którzy płaczą - powiedziałem Tooley.

- Ty nigdy nie płaczesz?

- Nie - odrzekłem, po czym dodałem dla ścisłości: - Publicznie nigdy.

Kelner podał nam lody w trzech kolorach. Wyglądały podejrzanie, więc nawet ich nie skosztowałem, Mario jednak zjadł swoją porcję niesłychanie szybko i spostrzegłem, że już nie ma łez w oczach, jak gdyby zamroził sobie lodami kanaliki łzowe. Uśmiechnął się do ciotki Augusty chłopięco, nieśmiało, wręcz dziwnie, zważywszy jego białe włosy, a ona ukradkiem podsunęła mu swój portfel, żeby zapłacił.

Wsiadając do pociągu bałem się, że Mario zacznie płakać znowu, kiedy ją wziął w objęcia, ale zamiast płakać wręczył jej jakąś małą paczuszkę w brązowym papierze i zaraz odszedł bez słowa, trzymając parasol jak pastorał może po to, by ukryć miotające nim uczucia czy też brak jakichkolwiek miotających nim uczuć.

- No więc już - powiedziała ciotka w chłodnej zadumie.

Tooley zniknęła - przypuszczalnie w toalecie paliła jeszcze jednego papierosa - toteż zdecydowałem się powiedzieć ciotce, jakie ta dziewczyna ma zmartwienie.

Ledwie przy niej usiadłem, okazało się, że ona sama chce mówić.

- Mario wyraźnie się posunął - zauważyła - czy może ufarbował sobie te włosy, nie wiem. Nie może mieć więcej niż czterdzieści pięć lat. Albo sześć. Daty zawsze ulatywały mi z pamięci.

- Wygląda znacznie starzej niż człowiek czterdziestokilkuletni. Może to przez tę poezję.

- Nigdy nie przepadałam - rzekła ciotka - za mężczyznami, którzy noszą parasole, ale on był taki uroczy jako dziecko.

Wyjrzała przez okno, więc i ja wyjrzałem: nowe osiedle mieszkaniowe z czerwonej cegły ciągnęło się chaotycznie wzdłuż toru, a na wzgórzu za osiedlem kruszała w swoich wałach obronnych jakaś wioska - zabytek średniowiecza.

- Dlaczego on płakał? - zapytałem.

- Nie płakał. Śmiał się - wyjaśniła. - Mówił o czymś w związku z panem Viscontim. Nie widziałam Maria przez trzydzieści z górą lat - dodała. - To był dawniej taki miły chłopak... może aż tak miły, że nie mógł w tym wytrwać. Wybuchła wojna. Życie nas rozdzieliło.

- A jego ojciec?

- Miły sposób bycia nigdy nie kojarzył mi się z panem Viscontim. Urok, owszem, chyba. Pan Visconti był wielkim krętaczem. Bardzo hojnym, jeśli chodzi o ciastka z kremem, oczywiście, ale samymi ciastkami z kremem żyć trudno. Może jestem niesprawiedliwa. Często bywamy niesprawiedliwi wobec tych, których darzymy uczuciem. I ostatecznie on był dla mnie dobry już od początku... znalazł mi zajęcie we Włoszech.

- W tym teatrze?

- Nie rozumiem, dlaczego tak uparcie nazywasz to teatrem. „Cały świat jest sceną teatralną” - istotnie, ale ta metafora jest za bardzo wyświechtana, żeby jeszcze mieć jakikolwiek sens. Tylko drugorzędny aktor mógł napisać tę pseudozłotą myśl ku chwale

swego drugorzędnego powołania. Czasami Szekspir był doprawdy bardzo kiepskim pisarzem. Najlepszy dowód, że tak pełno jego kawałków w książkach z cytatami. No, bo kto lubi cytaty, jak nie ci, którzy lubią komunały?

Trochę mnie zgorszył ten jej niespodziewany atak na Szekspira. Może zaatakowała go dlatego, że pisał dramaty wierszowane jak Mario.

- Mówiła ciocia o panu Viscontim - przypomniałem.

- Muszę przyznać, że był dla mnie bardzo dobry w Paryżu. Rozstanie z Curranem dosłownie złamało mi serce. Do twojego ojca nie mogłam się zwrócić, bo przyrzekłam Angelice, że będę się trzymała z daleka, a Curran wyjeżdżając po naszej ostatecznej kłótni zabrał wszystkie pieniądze, z wyjątkiem datków w skarbonkach kościelnych, i dwunastu puszek sardynek. On wprost przepadał za sardynkami. Mówił, że sardynki uspokajają go nerwowo, że przy jedzeniu ich czuje się tak, jak gdyby lał oliwę na wzburzone wody. Za gotówkę z tych skarbonek kościelnych przejechałam przez Kanał i miałam szczęście, że dostałam tę moją pracę na rue de Provence. Ale w gruncie rzeczy nie byłam tam szczęśliwa, więc naprawdę z wdzięcznością dałam się panu Viscontiemu zabrać do Włoch. Praca we Włoszech, oczywiście, czekała mnie taka sama, ale przyjemniejsza, bo jeździłam z miasta do miasta. I co osiem tygodni, kiedy wracałam do Mediolanu, przyjemność mi sprawiały spotkania z panem Viscontim. Ciastka z kremem to był wielki postęp od czasów sardynek. I nieraz w dodatku pan Visconti pojawiał się ni stąd, ni zowąd w Wenecji. Lubił kręcić, nie ulega wątpliwości, ileż jednak ludzi ma większe wady niż kręctwo. - Ciotka westchnęła spoglądając przez okno na nudny pejzaż rzeki Pad. - Z czasem bardzo się do niego przywiązałam. Bardziej niż do któregośkolwiek z mężczyzn w moim życiu. Poza tamtym pierwszym, ale pierwszy to zawsze ewenement.

- Jak doszło do tego, że ciocia się wycofała? - zapytałem. Chciałem powiedzieć „ze sceny”, w porę jednak przypomniałem sobie, że ona nie wiadomo czemu nie lubi moich wzmianek o teatrze. Nadal byłem przejęty zmartwieniem Tooley, a przecież wypadało pozwolić ciotce, by skończyła to, co miała do powiedzenia, odkąd widok syna Viscontiego poruszył w niej struny wspomnień.

- Twój stryjek Jo zostawił mi w spadku cały swój majątek. To mną wręcz wstrząsnęło. Ten dom oczywiście także, ale z nim nic nie dało się zrobić. Nadal kruszeje w pobliżu autostrady. Kiedy musiałam wyjechać z Włoch, bo wybuchła wojna, zapisałam dom na nazwisko Maria i myślę, że on nierzadko wypuszcza się z kobietą na weekend do tego starego palazzo swego rodu, jak na pewno każdej z tych kobiet mówi. Nawet nazywa ten dom Palazzo Visconti (bo jest trochę snobem w przeciwieństwie do swojego ojca). Kiedyś

rząd zechce przeprowadzić szosę do tej autostrady i będzie musiał zapłacić mu odszkodowanie, jeżeli on potrafi dowieść, że dom jest zamieszkały.

- Dlaczego ciocia nie wyszła za pana Viscontiego, ciociu Augusto?

- We Włoszech nie ma rozwodów, a pan Visconti był katolikiem, chociaż nie praktykującym. Uparł się nawet, żebym została przyjęta na łono Kościoła katolickiego. Tylko że jego żona trzymała w garści wszystkie pieniądze i tamowała mu ruchy w sposób wręcz fatalny, dopóki nie zdołał przejąć ode mnie lwiej części tego, co mi zostawił w spadku Jo. Byłam w tamtych czasach bardzo lekkomyślna, a pan Visconti był bardzo przymilny. Szczęście, że nikt nie chciał kupić tego domu, więc ten dom przynajmniej został mi na razie. Pan Visconti zaplanował na wielką skalę eksport świeżych warzyw, zwłaszcza pomidorów, oczywiście do Arabii Saudyjskiej. Na początku chyba naprawdę wierzył, że to przyniesie nam fortunę. Nawet jego żona pożyczyła mu pieniądze. Nigdy nie zapomnę tych konferencji w hotelu „Excelsior” w Rzymie z dygnitarzami arabskimi w długich szatach, którzy przyjechali z tuzinem żon każdy i ze specjalnymi ludźmi, mającymi tylko próbować potrawy, zanim oni je zaczynali jeść. Pan Visconti wynajmował w „Excelsiorze” całe piętro i możesz sobie wyobrazić, jaki to zrobiło wyłom w spadku po Jo. Ale póki trwało, wydawało się bardzo romantyczne. Radości miałam co niemiara. Pan Visconti ani przez chwilę nie był nudny. Przekonał nawet Watykan, że warto mu pożyczyć pieniądze, więc zapraszaaliśmy kardynałów na koktajle do „Grand Hotelu”. „Grand Hotel” mieści się w dawnym klasztorze, dzięki czemu, przypuszczam, czuli się tam bardziej swojsko. Witali ich przy drzwiach lokaje z wysokimi świecznikami i cudowny był widok tych kardynałów i tych Arabów razem... burnusy z pustyń i szkarłatne mycki, i te ukłony, i przyklękanie dyrekcji hotelu, i całowanie pierścieni kardynalskich, i te błogosławieństwa. Arabowie, oczywiście, pili tylko sok pomarańczowy, a ci próbowacze, że tak powiem, ich jedzenia, stali przy barze i kosztowali sok z każdej karafki, przy czym od czasu do czasu pozwalali sobie na boku łyknąć whisky z wodą sodową. Wszyscy używali, że aż miło, ale jak się okazało, na to używanie stać było tylko Arabów.

- Pan Visconti zrobił plajtę? - zapytałam.

- W porę się wycofał z resztą pieniędzy moich i pieniędzy jego żony, jednak tu już muszę mu oddać sprawiedliwość, część moich w porę przepisał na Maria. Oczywiście, zniknął, ale po jakimś czasie wrócił, kiedy wszystko przycichło. Watykan, nie zapominaj, zrobił bardzo korzystny interes z Mussolinim, więc to, co stracił przez pana Viscontiego, wydawało się doprawdy drobiazgiem. Pan Visconti zostawił mi dosyć, żeby wystarczyło na skromne życie, ale ja nigdy zbyt nie paliłam do tego, żeby żyć skromnie. Dni mijały



bardzo jednostajnie po zniknięciu pana Viscontiego. Nawet wybrałam się na krótki pobyt do Hawany, jak ci już mówiłam, a później na jakiś czas wróciłam do Paryża (Mario był w Mediolanie u jezuitów) i właśnie wtedy poznałam monsieur Dambreuse. Ale kiedy ten romans się skończył, wróciłam do Rzymu. Zawsze miałam nadzieję, że kiedyś pan Visconti znów się pojawi. Zająłam mieszkanie dwupokojowe i trochę pracowałam na pół etatu, powiedzmy, w lokalu na tyłach „Messaggero”. Życie prowadziłam bardzo mieszczańskie po tych Arabach i kardynałach. Zepsuli mnie Curran i pan Visconti. Żaden inny mężczyzna nie dostarczał mi tylu rozrywek, ile ci dwaj swego czasu. Biedny Wordsworth - dodała ciotka Augusta - on nigdy nie był z tej parafii. - Parsknęła śmiechem nieomal jak podłotek i położyła mi rękę na kolanie. - A potem... och, chwała Najwyższemu w Niebiesiech, jak lubi mówić Wordsworth... pracowałam na tym swoim pół etatu na tyłach „Messaggero”, kiedy raptem patrzę, kto wchodzi do salonu recepcyjnego, jeśli nie sam pan Visconti we własnej osobie. Czysty zbieg okoliczności. On wcale mnie nie szukał. Ale jakżeśmy się ucieszyli oboje. Jakżeśmy się ucieszyli. Po prostu z tego, że widzimy się znowu. Dziewczeta nic nie rozumiały, kiedy wzięliśmy się za ręce i zatańczyliśmy tam między kanapami. Dochodziła godzina pierwsza po północy. Nie poszliśmy na górę. Wyszliśmy od razu na uliczkę przed lokalem. Tam był wodotrysk z wodą do picia, wiesz, taki zwierzęcy łeb, i pan Visconti ochlapał mi twarz tą wodą, zanim mnie pocałował.

- Co to była za praca na pół etatu? - wypaliłem nagle. - Co to były za dziewczęta? I te kanapy po co?

- Czy to ma jakieś znaczenie teraz? - zapytała ciotka Augusta. - Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Byliśmy znowu razem i on mnie ochlapał, ochlapał porządnie, a potem całował i całował.

- Ale chyba ciocia powinna nim gardzić po tym wszystkim, co on cioci zrobił?

Przejeżdżaliśmy właśnie przez długi akwedukt przerzucony nad lagunami do Wenecji-Mestre, ale tego pięknego miasta jeszcze nie było widać, tylko sterczały wysokie kominy z płomieniami gazu bladymi, ledwie widocznymi w blasku przedwieczornego słońca. Nie spodziewałem się gniewu ciotki.

A jednak rozgniewała się na mnie rzeczywiście, jak gdybym był dzieciakiem, który przez nieostrożność stłukł jakiś jej wazon, piękny, przechowywany od lat symbol najlepszych wspomnień.

- Ja nikim nie gardzę - powiedziała. - Nikim! Żałuj własnych postępów, jeżeli lubisz tego rodzaju roztkliwianie się nad samym sobą, ale nigdy, nigdy nie gardź innymi ludźmi.

Nie zakładaj nigdy, że moralnie stoisz nad kimkolwiek wyżej. Co ja według ciebie robiłam tam na tyłach „Messaggero”? Oszukiwałam, prawda? Więc dlaczego pan Visconti miałby nie oszukiwać mnie? Ale ty chyba nigdy nikogo nie oszukiwałeś przez całe to swoje życie małego prowincjonalnego dyrektora banku, bo niczego nie pragnąłeś tak bardzo, żeby oszukiwać... ani pieniędzy... ani nawet kobiety. Opiekowałeś się cudzymi pieniędzmi jak niańka, która się opiekuje cudzymi dziećmi. Wyobrażam sobie, jak w tej twojej klatce bez końca układałeś te drobne banknoty pięciofuntowe, zanim je wręczałeś ich prawowitym właścicielom. Angelika z pewnością wychowała cię na takiego, jakim chciała cię widzieć. Twojemu biednemu ojcu nie dawała się w to wtrącać. On był też oszustem, jeżeli chcesz wiedzieć, i tylko mogę ubolewać, że ty nie jesteś. Wtedy może mielibyśmy coś ze sobą wspólnego.

Zdumiony, nie znajdowałem słów, żeby ciotce odpowiedzieć. Przyszło mi na myśl, że mógłbym wysiąść z pociągu w Wenecji, cóż, kiedy jechała z nami Tooley i czułem się niejako za nią odpowiedzialny. Otoczyła nas brudna szarzyzna dworca weneckiego. Powiedziałem:

- Chyba powinienem zobaczyć, co się dzieje z Tooley - i odszedłem od tej starszej pani patrzącej na mnie ponuro.

A przecież kiedy już zamykałem drzwi przedziału za sobą, odniosłem wrażenie, że ciotka Augusta głośno się śmieje.

## XIV

Chociaż ku swemu zadowoleniu nie straciłem równowagi ducha, to jednak doznałem silnego wstrząsu, więc potrzebowałem trochę czasu, żeby ochłonąć. Zszedłem na peron i zacząłem rozglądać się, co można by kupić do jedzenia. Ostatnia szansa przed Belgradem, dokąd mieliśmy dojechać dopiero nazajutrz rano. Kupiłem z wózka sześć bułek z szynką i butelkę Chianti oraz kilka ciastek - jak dalekie to od posiłku, który dostarczyłaby firma „Kurczak”, pomyślałem ze smutkiem, i jakież straszny jest ten dworzec. Podróż bywa nieraz żalonym marnowaniem czasu. O tej godzinie późnego popołudnia, kiedy słońce już tak nie grzeje i na trawniczki w moim ogrodzie z pewnością padają cienie, wziąłbym złotą konewkę i nalałbym z ogrodowego kranu... Rozmyślania przerwał mi głos Tooley:

- Czy mógłbyś kupić dla mnie coca-colę?

- W pociągu nie ma gdzie jej zamrozić.

- Mogę pić ciepłą.

Och, niedorzeczność tego wszystkiego! - chętnie bym wykrzyknął, bo człowiek przy wózku najpierw nie chciał przyjąć funta i musiałem dać mu dwa z tych dolarów, które miałem w portfelu na wszelki wypadek, a potem nie chciał wydać mi reszty, chociaż dokładnie znałem cenę i powiedziałem mu, ile to kosztuje w lirach.

- Julian namalował kiedyś butelkę coca-coli po prostu bajecznie - powiedziała Tooley.

- Kto to jest Julian? - zapytałem machinalnie.

- Ten mój przyjaciel, oczywiście. Mówiłam ci. Namalował na tym obrazie butelkę coca-coli jaskrawożółtą. *Fauve* - dodała wyzywająco.

- Więc on maluje?

- Toteż właśnie uważa, że dla niego nic tylko Wschód. Wiesz, tak jak Tahiti dla Gauguina. Pragnie nabrać doświadczenia na Wschodzie, zanim zacznie wprowadzać w życie swoje wielkie plany. Daj mi tę colę.

Postój w Wenecji trwał niecałą godzinę, ale zmrok już zapadał, kiedy stamtąd wyjechaliśmy i nie widziałem w ogóle nic - równie dobrze mógłbym odjeżdżać z Clapham na dworzec Victoria. Tooley siedziała obok mnie i piła coca-colę z butelki. Zapytałem, jakie plany ma jej przyjaciel.

- On chce namalować serię obrazów zupy Heinza w bajecznych kolorach, tak żeby bogaci ludzie mieli w każdym pokoju swoich mieszkań inną taką zupę... powiedzmy zupę rybną w sypialni, kartoflaną w jadalni, ogórkową w salonie, tak jak dawniej miewali tam portrety rodzinne. Wszystko w tych bajecznych kolorach, *fauve*. Puszki nadawałyby wszystkiemu jakąś jedność... rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?... jakąś intymność... zachowałyby się jednolity nastrój przechodząc z pokoju do pokoju. Zupełnie tak, jakby się miało w jednym pokoju madame de Stael, a w sąsiednim jakiegoś Roualta.

Wspomnienie czegoś, co zobaczyłem raz w dodatku niedzielnym, nakazało mi zapytać:

- Czy mi się zdaje - zapytałem - że ktoś już kiedyś malował puszki zup Heinza?

- Nie Heinza, Campbella - odrzekła Tooley. - To malował Andy Warhol. Ja też to kiedyś widziałam, więc zwróciłam Julianowi uwagę, kiedy mówił mi o swoich planach. „Jasne - powiedział Julian - że Heinz i Campbell to nie ten sam wymiar. Heinz jest kurdupeł, a Campbell wysoki jak te angielskie słupy ze skrzynkami pocztowymi”. Ja osobiście ubóstwiam wasze słupy ze skrzynkami pocztowymi. Bajeczne są. Ale Julian powiedział, że nie w tym rzecz. Powiedział, że są pewne tematy, które należą do pewnych okresów i pewnych kultur. Tak jak Zwiastowanie, na przykład. Botticelli nie poszedł w ką, chociaż Pierro delia Fran-cesca namalował przed nim to samo. Botticelli wcale nie był plagiatorem. I pomyśl o tych wszystkich Narodzeniach Chrystusa. Julian mówi, że my poniekąd należymy do stulecia zup w proszku... tylko, że on tego nie określił w ten sposób. Powiedział, że to jest „sztuka technobudowy”. Pod pewnym względem... rozumiesz... im więcej ludzi maluje zupy, tym lepiej. Bo to rodzi kulturę. Jedno Narodzenie Boże przecież by nie wystarczyło, żeby przynieść jakiś rezultat. W ogóle nie zostałyby zauważone.

Za mądra była dla mnie Tooley, kiedy mówiła o kulturze i doświadczeniach ludzkich. Pomyślałem, że ona duchem bliższa jest ciotce Auguście: z pewnością nigdy nie krytykowałyby pana Viscontiego; akceptowałyby go nie inaczej, niż akceptuje plany Juliana, podróż do Stambułu, moje towarzystwo, swoje ewentualne dziecko.

- Gdzie mieszka twoja matka?

- Teraz chyba jest w Bonn. Wyszła za korespondenta „Life” i „Time” na Niemcy Zachodnie i Europę Wschodnią, więc wciąż podróżują. Tak jak ojciec. Chcesz papierosa?

- To nie dla mnie. I ty powinnaś z tym zaczekać, dopóki nie przejedziemy przez następną granicę.

Dochodziło pół do dziesiątej, kiedy wjechaliśmy na stację Sezana. Burkliwy człowiek od paszportów popatrzył na nas tak, jakbyśmy byli włoskimi szpiegami. Tam, gdzie powinien być peron, ale go nie było, stare kobiety objuczone mnóstwem małych paczek dreptały wzdłuż naszego pociągu, kierując się do wagonów trzeciej klasy. Wychodziły nie wiadomo skąd - istna wędrówka ludów - nawet spośród wagonów towarowych, które stały na torach każdy osobno, jak gdyby nigdy nie miały być połączone ze sobą. Nikt poza tymi kobietami do pociągu nie wsiadł, nikt z pociągu nie wysiadł. Nie widać było żadnych świateł, żadnej poczekalni. Zrobiło się zimno, a ogrzewania nie podłączono. Szosą za torami, jeżeli tam biegła jakaś szosa - nie przejeżdżały żadne samochody. Żaden hotel kolejowy nie ogłaszał się żadną reklamą.

- Zmarzłam - rzekła Tooley. - Pójdę już spać.

Zaproponowała, że zostawi mi papierosa, ale podziękowałem. Nie chciałem się skompromitować na tej zimnej granicy. Jeszcze jeden człowiek w mundurze zajrzał do przedziału i popatrzył na moją nową walizkę w siatce prawie z nienawiścią.

Tej nocy co jakiś czas budziłem się - w Lublaniu, w Zagrzebiu - ale nic nigdzie nie widziałem z wyjątkiem sznurów stojących wagonów, które sprawiały wrażenie tak zapomnianych, jak gdyby już nie było czym ich załadować, a nikt nie miał dość energii, żeby je przetoczyć; i tylko nasz pociąg pędził naprzód prowadzony przez jakiegoś maszynistę-szaleńca nie zdającego sobie sprawy, że świat się zatrzymał i właściwie nie mamy dokąd jechać dalej.

W Belgradzie zjadłem razem z Tooley śniadanie w hotelu przy dworcu - czerstwy chleb z dżemem, który popijaliśmy kiepską kawą - i kupiliśmy butelkę wina deserowego na obiad, ale żadnych kanapek tam nie sprzedawali. Ciotki nie obudziłem, dla takiego posiłku nie warto było przerywać jej snu.

- Po co wy jedziecie do Stambułu? - zapytała Tooley nabierając dżem łyżeczką; z kruszenia chleba już zrezygnowała.

- Ona lubi podróżować - odrzekłem.

- Ale po co jej Stambuł?

- Nie pytałem.

Konie na polach chodziły wolno ciągnąc brony. Powróciliśmy w epokę sprzed industrializacji. Zarówno Tooley, jak mnie, ogarnęło przygnębienie, a przecież to jeszcze nie było samo dno naszej podróży: na dnie znaleźliśmy się wieczorem w Sofii, kiedyśmy próbowali kupić coś do jedzenia, a tam nie przyjmowano innych pieniędzy niż bułgarskie.

Ostatecznie dostaliśmy tylko ciepławe kiełbaski, tort czekoladowy oraz różowe musujące wino. Ciotka przez cały dzień pokazała się tylko raz. Zajrzała do przedziału, zabroniła Tooley zjeść ostatni czekoladowy baton i zgoła nieoczekiwanie przyznała ze smutkiem:

- Kiedyś ogromnie lubiłam czekoladę. Starzeję się.
- Więc to jest ten wspaniały Orient Express - po odejściu ciotki powiedziała Tooley.
- Tylko resztki, jakie z niego zostały.
- Pewnie powiesz mi, że nie powinnam palić, bo zaraz będzie następna granica.

Sięgnąłem po rozkład jazdy.

- Jeszcze będą trzy granice w ciągu niecałych czterech godzin. Granica bułgarska, granica grecko-macedońska, granica turecka.

- Może to podróż rzeczywiście luksusowa - powiedziała Tooley - dla ludzi, którym się nie spieszy. Myślisz, że kolej zatrudnia lekarza specjalnie do przerywania ciąży, tutaj w tym pociągu? Całe szczęście, że nie jestem przy końcu dziewiątego miesiąca, prawda, bo nie wiedziałabym, czy moje dziecko będzie Bułgarem czy Turkiem... czy... jaka ma być ta trzecia granica?

- Grecko-macedońska.
- Dosyć szczególnie to brzmi. To bym wybrała.
- Przecież nie miałabyś wyboru.

- Powstrzymałabym się. Kiedy by powiedzieli: przyj, wcale bym nie parła. Nie parłabym aż do granicy grecko-macedońskiej. Długo będziemy w Greko-Macedonii?

- Tylko czterdzieści minut.

- Ojej, gorsza sprawa. Musiałabym szybko się postarać. - I Tooley dodała: - Wcale jednak nie mam ochoty do żartów. Boję się. Co Julian powie, kiedy powiem, że „ciotki” nie było? Naprawdę myślałam, że ta jazda pociągiem podziela, wytrzęsie mnie jakoś.

-To wina Juliana w nie mniejszym stopniu niż twoja.

- On już nie jest winny... nie jest, kiedy są te pigułki. Teraz to już w każdym wypadku wina tylko dziewczyny. Ja rzeczywiście zapomniałam. Kiedy biorę coś na sen, budzę się mętna i zapominam, a potem kiedy biorę metedrynę, żeby utrzymać się na nogach, wpadam w takie podniecenie, że przestaję pamiętać o tych wszystkich nudnych rzeczach... takich jak pigułki i zmywanie naczyń. Ale Julian chyba w to nie uwierzy. Będzie się czuł w potrzasku. On często tak się czuje. Najpierw był w potrzasku swojej rodziny, powiedział mi, a potem o mało nie wpadł w potrzask Oxfordu, więc prędko stamtąd uciekł bez dyplomu. I wtedy naprawdę niewiele brakowało, żeby wpadł w potrzask trockistów, ale też zorientował

się w samą porę. On widzi każdy potrzask na olbrzymią odległość. Ale ja, Henry, nie chcę być potrzaskiem. Naprawdę nie. Wiesz, jednak nie mogę mówić ci Henry. To wcale nie brzmi jak prawdziwe imię. Czy mogę mówić ci Kleks?

- Dlaczego Kleks?

- Miałam kiedyś psa, Kleksa. Mnóstwo z nim rozmawiałam. Kiedy ojciec i mama się rozwiedli, opowiedziałam mu te wszystkie okropne szczegóły. O tym okrucieństwie psychicznym, to znaczy.

Oparła się o mnie. Poczulem ładny zapach jej włosów. Przypuszczam, że gdybym lepiej znał się na kobietach, wiedziałbym, jakim szamponem umyła głowę w Paryżu. Rękę trzymała mi na kolanie i jej olbrzymi zegarek spozierał na mnie swoją wielką białą tarczą z czterema szkarłatnymi cyframi: 12, 3, 6 i 9, jak gdyby tylko te godziny były dostatecznie ważne, żeby je mieć w pamięci... godziny, kiedy ma się zażywać lekarstwo. Przypomniałem sobie zegareczek panny Keene, maleńki, złoty, lalczyny nieomal zegareczek, który sir Alfred dał jej na dwudzieste pierwsze urodziny. Na maleńkiej tarczy było dwanaście cyfr, jak gdyby nie mogło być żadnych godzin czczych, nie wypełnionych specjalnymi obowiązkami. Natomiast z zegarka Tooley większość godzin mojego życia została wyeliminowana. Nie widniały tam owe godziny siedzenia bez słowa i przyglądania się, jak kobieta robi frywolitki. Tak, pomyślałem, ja przecież w pewien wieczór w Southwood zaprzepąściłem wszelkie możliwości po temu, by stworzyć sobie dom, nic więc dziwnego, że chybczę się teraz w rozpędzonym pociągu pomiędzy dwoma segmentami bułgarskich mroków.

- Na czym polegało to okrucieństwo psychiczne? - zapytałem, bo musiałem Tooley pytać o wszystko; to był jedyny sposób, w jaki mogłem połapać się jako tako w jej, nieznanym mi, świecie, chociaż wypytywanie doprawdy nie należy do moich nawyków. Przez lata całe to ludzie mnie pytali: „Który koncern pan by doradzał? Myśli pan, że powinienem sprzedać moją setkę akcji Imperial Tobacco, zanim doniosą o następnej obniżce?” A odkąd opuściłem bank, na większość pytań, jakie może sam chciałbym zadawać, znajdowałem odpowiedzi w tygodniku „Każdy swoim ogrodnikiem”.

- Jedynym dowodem okrucieństwa psychicznego, który ja widziałam osobiście - odrzekła Tooley - było to, że ojciec budził mamę wczesnym rankiem przynosząc jej herbatę do łóżka. Chyba ta kiełbasa zakłóciła mój metabolizm. Okropnie mnie rozboleł żołądek. Pójdę się położyć. Nie sądzisz, że to może była końska?

- Zawsze słyszałem, że konina ma smak słodkawą.

- O Boże, Kleks - powiedziała Tooley - mnie nie trzeba odpowiadać dosłownie, nie o konkretne informacje przecież mi chodzi. - Cmoknęła mnie w policzek i odeszła.

Po chwili ruszyłem dosyć bojaźliwie korytarzem do ciotki Augusty. Przez cały prawie dzień jej nie widziałem, a byłem zdania, że trzeba się z nią podzielić problemem Tooley. Zostałem ją nad otwartym Baedekerem i z mapą Stambułu rozłożoną na kolanach. Wyglądała jak generał planujący kampanię.

- Przykro mi, ciociu - powiedziałem - z powodu tego, co zaszło wczoraj po południu. Naprawdę nie chciałem nic zarzucić panu Viscontiemu. Ostatecznie nie znam przecież okoliczności. Niech mi ciocia więcej o nim powie.

- To był człowiek zupełnie niemożliwy - zaczęła ciotka - ale kochałam go i kombinacje z moimi pieniędzmi można uznać za najmniejsze z jego niedociągnięć. Powiem ci na przykład, że zasłużył na miano kolaboranta. W czasie okupacji występował jako doradca władz niemieckich od spraw sztuk pięknych, toteż po śmierci Mussoliniego musiał szybko uciekać z Włoch. Goering zbierał sobie ogromną kolekcję obrazów, ale nawet Goeringowi niełatwo było kraść obrazy z takich miejsc jak Uffizi, gdzie każde dzieło sztuki figurowało odpowiednio w katalogu. Pan Visconti jednak wiedział mnóstwo o tych nie skatalogowanych... wszelkich skarbach, jakie ukrywano w licznych palazzo prawie tak skruszałych, jak pałac twojego stryjka Jo. Oczywiście, jego rola musiała stać się powszechnie wiadoma, więc popłoch panował we dworach wiejskich, kiedy pan Visconti przyjeżdżał do miejscowej karczmy. Sęk w tym, że on nawet nieuczciwej gry nie prowadził uczciwie, bo gdyby było inaczej Niemcy może pomogliby mu uciec. Brał pieniądze od tego *marchese*, wcale jednak nie na przekupywanie Niemców... to mu dawało płynną gotówkę i od czasu do czasu jakiś obraz, który sobie upodobał, ale nie jednało mu przyjaciół, i Niemcy wkrótce zaczęły podejrzewać, co się dzieje. Biedaczysko stare - dodała ciotka - nie miał nikogo bliskiego, komu by mógł zaufać. Mario kształcił się jeszcze u jezuitów, a ja na początku wojny wróciłam do Anglii.

- I co się z nim w końcu stało?

- Przez długi czas przypuszczałam, że zlikwidowali go partyzanci, bo w historię o gondolierze nigdy nie wierzyłam. Ktoś chyba specjalnie rozpuścił tę plotkę dla niego. Pan Visconti, jak ci już mówiłam, nie należał do mężczyzn, którzy walczą na noże bądź na pięści. Ten, kto walczy, nie przetrwa długo, a pan Visconti wykazywał niezwykle zdolności, jeśli chodzi o przetrwanie. No, ten stary drań - powiedziała ciotka z zachwytem pełnym czułości - dotychczas żyje. Musi mieć osiemdziesiąt cztery lata ni mniej, ni więcej. Pisał do Maria, a Mario pisał do mnie i to właśnie dlatego wsiałam z tobą w ten pociąg do



Stambułu. Nie mogłam ci tego wszystkiego wyjaśnić w Londynie, bo to było zbyt skomplikowane, a zresztą prawie cię nie znałam. Bogu niech będzie chwała za tę sztabę złota, to wszystko, co mogę powiedzieć.

- Za sztabę złota?

- Mniejsza z tym. To zupełnie inna sprawa.

- Opowiadała mi ciocia o sztabie złota na lotnisku w Londynie. Ciociu Augusto, chyba nie...?

- Oczywiście, że nie. To nie tamta. Tamta była nieduża. Nie przerywaj. Opowiadam ci o biednym panu Viscontim. Wydaje mi się, że on teraz przeżywa lata bardzo chude.

- Gdzie on jest? W Stambule?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, bo są ludzie, którzy szukają go wciąż jeszcze. Och, ledwie zdołał wtedy się wymknąć. Zawsze był dobrym katolikiem, miał jednak wiele do zarzucenia klerowi, a przecież to właśnie stan duchowny go ocalił. Otóż kiedy alianci byli już blisko, pan Visconti poszedł do jednego ze sklepów dla księży i zapłacił majątek, żeby go tam wyposażyli jak *monsignora*, nawet w skarpetki fioletowe. Powiedział, że jego znajomy ksiądz utracił wszystkie swoje rzeczy w czasie nalotu, a oni udawali, że mu wierzą. Potem z walizką poszedł do toalety w hotelu „Excelsior” (tam, gdzie wydawał te wszystkie koktajlowe przyjęcia dla kardynałów) i przebrał się. Recepcję minął z daleka, ale nieroztropnie wstąpił do baru. Barman był mocno podstarzały i miał wzrok dosyć kiepski. No, ale wiesz, mnóstwo dziewcząt przesiadywało w tym barze dla niemieckich oficerów. Jedna z nich... chyba zbliżanie się wojsk alianckich to sprawiło... przechodziła *crise de conscience*. Nie chciała pójść do sypialni swojego oficera, ubolewała nad utraconym dziewictwem, zapowiadała, że już nigdy nie zgrzeszy. Oficer aplikował jej coraz więcej koktajlów, ale ona po każdej szklaneczce stawała się coraz bardziej religijna. Aż nagle wypatrzyła pana Viscontiego, który szybko łykał whisky w ciemnym kącie. „Ojciec duchowny - wykrzyknęła do niego - wysłuchaj mojej spowiedzi!” Możesz sobie wyobrazić ten nastrój napięcia w barze, kiedy z ulicy dolatywały hałasy ewakuacji, płacz dzieci i ludzie wypijali do ostatka wszystko, co jeszcze stało na barowych półkach, a w górze latały samoloty alianckie...

- Od kogo ciocia o tym słyszała?

- Pan Visconti będąc później w Mediolanie opowiadał Mariowi najważniejsze szczegóły, a resztę przecież potrafię sobie wyobrazić. Zwłaszcza, jak on, biedak wyglądał w

fioletowych skarpetkach. „Moje dziecię - powiedział tej dziewczynie - tutaj nie przystoi się spowiadać. Bar to nie miejsce po temu”.

„Mniejsza o miejsce. Cóż teraz miejsce znaczy? I tak wszystkich nas czeka rychła śmierć, a ja jestem w stanie grzechu śmiertelnego. Błagam, błagam, *monsignor*”. (Bo już spostrzegła te skarpetki). Najbardziej jednak zdenerwowało pana Viscontiego to, że ona zwraca na siebie ogólną uwagę.

„Moje dziecię - powiedział jej - w tych szczególnych naglących okolicznościach wystarczy prosty akt skruchy”. Ale nie, nie dała się nabrać na taką taniochę: „Przed zlikwidowaniem sklepu wyprzedaj po cenach niższych”. Podeszła i uklękła. „Ekscelencjo!” - wykrzyknęła. Była przyzwyczajona do tytułowania oficerów powyżej ich rzeczywistych stopni... prawie każdy kapitan lubił słuchać, jak się go tytułuje majorem.

„Nie jestem biskupem - powiedział pan Visconti. - Jestem tylko skromnym prałatem”. Mario wypytywał ojca dokładnie o ten epizod, więc właściwie ja nic nie dodaję. Jeżeli ktoś dodał od siebie jakieś szczegóły, to Mario. Trzeba pamiętać, że on pisze sztuki wierszem.

„Proszę księdza prałata - błagała ta dziewczyna, w lot się dostosowując - niech mi ksiądz prałat pomoże”.

„Tajemnica spowiedzi” - bronił się pan Visconti... i teraz, rozumiesz, oboje zaczęli argumentować, przy czym ona głaskała pana Viscontiego po kolanie, a on głaskał ją łagodnie po głowie. Może właśnie głaskanie spowodowało, że ten niemiecki oficer przerwał im zniecierpliwiony.

„Na miłość boską, monsignor - powiedział - jeżeli *Fräulein* chce spowiedzi, to niechże ma spowiedź. Proszę, to jest klucz do mojego pokoju, tam przy końcu korytarza za toaletą”.

Więc odszedł pan Visconti z tą histeryczką rad, że przynajmniej zdążył wypić swoją whisky. Nie miał wyboru, chociaż sam nie spowiadał się od lat trzydziestu i nawet nie pamiętał, co powinien mówić spowiednik. Na szczęście tam w pokoju wentylator kręcił się bardzo głośno i zagłuszał jego szeptanie, a ta dziewczyna tak była przejęta własną rolą, że jego kwestie zbytnio jej nie obchodziły. Zaczęła z punktu: ledwie pan Visconti usiadł na łóżku i odsunął hełm stalowy i butelkę schnappsu, przystąpiła do roztrząsania detali. Chciał załatwić tę całą sprawę jak najszybciej, ale wbrew woli, jak powiedział Mariowi, trochę się zainteresował i zapragnął usłyszeć coś więcej z tej dziedziny. Ostatecznie był nowicjuszem... chociaż tylko w sensie klerykalnym.

„Ile razy, moje dziecię?" - tę formułkę jednak dobrze zapamiętał z czasów młodości.

„Co za pytanie, ojciec duchowny? Tkwiłam w tym przez cały czas bez przerwy od początku okupacji. Koniec końców oni byli naszymi sojusznikami, ojciec duchowny".

„Tak, tak, moje dziecię". Wyobrażam sobie, jak on się cieszył z możliwości przyswojenia sobie tego i owego, chociaż życie jego wisiało na włosku. Pan Visconti był bardzo rozpustny. Zapytał: „I wciąż tak samo, moje dziecię?"

Popatrzyła na niego ze zdumieniem: „Oczywiście, że nie, ojciec duchowny. Za kogo mnie ojciec duchowny uważa?"

A on patrzył na nią, klęczącą przed nim, i na pewno miał chęć ją uszczypnąć. Pan Visconti zawsze wspaniale szczypał. „Nic sprzecznego z naturą, moje dziecię?"

„Co to znaczy, sprzeczne z naturą, ojciec duchowny?"

Pan Visconti wyjaśnił.

„Chyba to nie jest sprzeczne z naturą, ojciec duchowny?"

I wszczęli wtedy prawdziwą dyskusję o tym, co jest zgodne z naturą, a co nie jest, i pan Visconti nieomal zapomniał, w jakim jest niebezpieczeństwie, kiedy raptem rozległo się stukanie do drzwi, więc mętnie, koślawo nakreślił w powietrzu znak krzyża i zaczął coś mamrotać, żeby w głośnym szumie tego wentylatora brzmiało to jak rozgrzeszenie. Ten niemiecki oficer wszedł nie czekając i powiedział: „Prędzej, *monsignor*, mam ważniejszą klientkę dla księdza".

Chodziło o żonę generała, która przed ucieczką z Rzymu zeszła do baru na ostatni kieliszek wytrawnego Martini i usłyszała, co się dzieje. Wypiła Martini jednym łykiem, po czym wydała temu oficerowi rozkaz załatwienia spowiedzi dla niej. Tak więc pan Visconti znów się znalazł w pułapce. Teraz na via Veneto wszystko dudniło i zgrzytało, bo wyjeżdżały niemieckie czołgi. Generałowa musiała po prostu wrzeszczeć do pana Viscontiego. Miała głos dosyć męski i pan Visconti opowiadał, że czuł się jak na placu defilad. W tych swoich fioletowych skarpetkach prawie trzaskał obcasami, kiedy ona do niego ryczała:

„Cudzołóstwo. Trzy razy".

„Jesteś zamężna, córko?"

„Oczywiście, że tak. Co ksiądz sobie myśli, na Boga? Jestem *frau* generałowa..." - wyleciało mi już z głowy jej wstrętne germańskie nazwisko.

„Czy twój małżonek wie o tym?"

„Oczywiście, że nie. Nie jest spowiednikiem”.

„A więc popełniłaś również grzech kłamstwa?”

„Tak, tak, naturalnie, chyba tak, ale ojciec, trzeba się pośpieszyć. Nasz samochód już ładują. Wyjeżdżamy do Florencji za parę minut”.

„I nic już nie masz mi do powiedzenia?”

„Ważnego nic”.

„Mszy świętej nie opuszczałaś?”

„Och, od czasu do czasu, ojciec. Jest wojna”.

„Mięso w piątek?”

„Ojciec zapomina. Przecież jest dyspensa, proszę ojca. To samoloty alianckie. Musimy wyjechać natychmiast”.

„Boga nie można ponaglać, moje dziecię. Czy pozwalałaś sobie na myśli nieczyste?”

„Ojciec, z góry odpowiadam tak na wszystko, co ojciec zechce, tylko proszę o rozgrzeszenie. Już muszę kończyć”.

„Nie sądzę, córko, żebyś zrobiła należyty rachunek sumienia”.

„Jeżeli ojciec zaraz nie udzieli mi rozgrzeszenia, postaram się, żeby ojca aresztowano. Za sabotaż”.

Na to pan Visconti powiedział:

„Byłoby lepiej, gdyby znalazło się dla mnie miejsce w waszym samochodzie. Moglibyśmy dokończyć tę spowiedź wieczorem”.

„W samochodzie nie ma miejsca, proszę ojca. Kierowca, mój mąż, ja, mój pies... po prostu nikt już się nie zmieści”.

„Pies dużo miejsca nie zajmuje. Możesz, córko, wziąć go na kolana”.

„To irlandzki wilczur, proszę ojca”.

„Więc psa powinnaś zostawić” - powiedział pan Visconti stanowczo i w tej samej chwili huknął gaźnik jakiegoś samochodu, co frau generałowa uznała za eksplozję.

„Wolf mi jest potrzebny do ochrony, ojciec. Wojna to rzecz niebezpieczna dla kobiet”.

„Będziesz pod ochroną naszej Matki Boskiej - powiedział pan Visconti - a także swojego męża”.

„Nie mogę Wolfa zostawić. On jest wszystkim na świecie, co mam do kochania”.

„Przypuszczałbym, że popełniając cudzołóstwo trzy razy i mając małżonka...”

„Oni są dla mnie niczym”.

„Więc proponuję - powiedział pan Visconti - żebyśmy zostawili generała”.

I właśnie do tego doszło. Generał w holu wymyślał portierowi, bo gdzieś mu się zawieruszył futerał do okularów, kiedy frau generałowa wypełniła sobą miejsce obok kierowcy, a pan Visconti usiadł obok Wolfa na tylnym siedzeniu.

„Odjazd” - powiedziała generałowa.

Kierowca wahał się, większy jednak strach czuł przed tą żoną niż przed tym mężem. Generał wyszedł na ulicę i wrzasnął do nich, kiedy odjeżdżali, ale już jeden z czołgów się zatrzymał, żeby przepuścić samochód sztabowy. Nikt nie zwracał uwagi na wrzaski generała, z wyjątkiem Wolfa. Ten pies wszedł na pana Viscontiego, jeździł panu Viscontiemu swymi cuchnącymi narządami po twarzy, strącił mu z głowy kapelusz i szczekał wściekle, bo chciał wysiąść. Frau generałowa mogła sobie Wolfa kochać, ale Wolf kochał nie ją, tylko generała. Prawdopodobnie generał karmił go i wyprowadzał na spacer. Na oślep pan Visconti sięgnął do klamki szyby. Jeszcze, zanim szybę należycie opuścił, Wolf wyskoczył prosto pod nadjeżdżający czołg. Czołg spłaszczyl tego biednego psa zupełnie. Pan Visconti, oglądając się pomyślał, że to mu przypomina owe herbatniczki dla dzieci, mające kształt zwierzątek.

Tak więc pan Visconti pozbył się zarówno psa, jak generała i mógł stosunkowo spokojnie dojechać do Florencji. Spokój ducha jednak zakłóciła mu generałowa histeryzując z rozpaczy. Myślę, że Curran uporałby się z tą sytuacją znacznie lepiej, niż zrobił to pan Visconti. W Brighton Curran udzielał konającym psom ostatniego sakramentu podając im obrzędową kość, chociaż te biedne psiny już nic nie zdołały ugryźć. Mnóstwo psów przejeżdżały samochody na nabrzeżu w Brighton i policja nieraz się irytowała, kiedy właściciele uparcie te zwłoki tam trzymali, dopóki Curran nie przybył, żeby udzielić pośmiertnego rozgrzeszenia. Ale pan Visconti, jak ci już mówiłam, nie był religijny i mogę sobie wyobrazić, że te pociechy, jakimi służył *frau* generałowej, ani nie przekonywały, ani nie wystarczały. Może mówił, że to kara za jej grzechy (bo pan Visconti miał w sobie pierwiastek sadyzmu) i że wszyscy cierpimy w czyścicu na ziemi. Biedny pan Visconti, ciężką musiał mieć przeprawę w czasie tej jazdy do Florencji.

- Co się stało z generałem?

- O ile wiem, alianci wzięli go do niewoli, ale nie jestem pewna, czy został, czy nie został powieszony w Norymbardze.

- Pan Visconti miał niewątpliwie sporo sprawek na swoim sumieniu.

- Pan Visconti w ogóle nie ma sumienia - powiedziała ciotka Augusta z wyraźną przyjemnością.

## XV

Na pograniczu tureckim z jakiegoś powodu doczepiono do naszego ekspresu stary, niegdyś chyba wykwinny, wagon restauracyjny, ale było za późno, żeby to przyniosło większy pożytek. Ciotka wstała tego dnia o świcie i oboje zasiedliśmy do śniadania: wybornej kawy i grzanek z dżemem; na jej życzenie zamówiliśmy w dodatku lekkie czerwone wino, chociaż ja nie przywykłem do picia wczesnym rankiem. Za oknem ciągnął się do bładozielonego horyzontu ocean wysokiej rozfalowanej trawy. Jak zawsze przy końcu podróży panował wesoły gwar, do wagonu restauracyjnego napływali pasażerowie, których przedtem nie widzieliśmy. Wietnamczyk w niebieskich spodniach drelichowych rozmawiał z rozczochną dziewczyną w szortach i przyłączyło się do nich dwoje trzymających się za ręce młodych Amerykanów, on i ona o włosach jednakowo długich. Ci, przeliczywszy starannie swoje pieniądze, nie chcieli zamówić następnej kawy.

- Gdzie jest Tooley? - zapytała ciotka.

- Nie czuła się zbyt dobrze wczoraj wieczorem. Martwię się o nią, ciociu. Jej przyjaciel wyruszył autostopem. Może jeszcze go nie ma w Stambule. Może już tam był i pojechał dalej bez niej.

- Dokąd?

- Ona nie wie dokładnie. Do Katmandu albo do Wietnamu.

- Stambuł to raczej takie miasto, gdzie nigdy nic nie wiadomo - powiedziała ciotka Augusta. - Nawet nie jestem pewna, co sama tam zastanę.

- A co ciocia chce zastać?

- Mam interes do załatwienia ze starym znajomym, generałem Abdulem. Spodziewałam się telegramu od niego w St. James i Albany, ale nie nadszedł. Mogę tylko mieć nadzieję, że wiadomość czeka w Pera Palace.

- Kto to jest ten generał?

- Znałam go za czasów biednego pana Viscontiego - wyjaśniła mi ciotka. - Bardzo nam się przydawał przy pertraktacjach z Arabią Saudyjską. Był wtedy ambasadorem tureckim w Tunisie. Jakież przyjęcia wydawaliśmy w hotelu „Excelsior”. Trochę inaczej to wyglądało niż wypady „Pod Koronę i Kotwicę” i popijanie z biednym Wordsworthem.

Krajobraz się zmieniał w miarę jak podjeżdżaliśmy do Stambułu. To trawiaste morze zostało w tyle i ekspres zwolnił do szybkości zwykłego pociągu osobowego.

Wychylając się z okna mógłbym zajrzeć za mur ogrodu wokół czyjegoś domku; mógłbym nawet porozmawiać z dziewczyną w czerwonej spódnicy, kiedy nasz wagon ślimaczo sunął obok niej; mężczyzna, który wsiadł na rower, przez dobrą chwilę dotrzymywał nam tempa. Ptaki na czerwonych dachówkach dachu zerkały ku nam znad swoich długich dziobów i świergotały do siebie jak plotkarki wiejskie.

Powiedziałem:

- Bardzo się boję, że Tooley będzie miała dziecko.

- Powinna pamiętać o stosowaniu środków ostrożności, Henry, ale jeszcze i tak jest o wiele za wcześnie, żebyś martwił się z góry.

- Wielkie nieba, ciciu, wcale nie powiedziałem, że... Jak ciocia w ogóle może przypuszczać coś podobnego...?

- To wniosek zupełnie naturalny - rzekła ciotka. - Dużo czasu spędzacie ze sobą. I ta dziewczyna z pewnością ma jakiś szczeniący wdzięk.

- Za stary jestem na takie rzeczy.

- Jesteś młokosem po pięćdziesiątce - zaopiniowała ciotka.

Drzwi wagonu restauracyjnego szczęknęły i weszła Tooley, ale jakaś Tooley przeobrażona. Może po prostu zastosowała mniej ciemnych szminek, zobaczyłem jednak, że oczy jej się iskrzą jak nigdy dotąd.

- Hej! - zawołała przez długość wagonu. Czwooro tych młodych odwróciło się i spojrzało odpowiadając, jak gdyby była ich dobrą znajomą.

- Hej!

- Hej! - zawołała do nich raz jeszcze, a ja poczułem ukłucie zazdrości tak nielogiczne, jak moja irytacja przed chwilą.

- Dzień dobry, dzień dobry - powitała nas oboje; mogłoby się wydawać, że mówi jakimś obcym językiem do staruszków. - Och, proszę pana, jest.

- Co jest?

- „Ciotka”. Dostałam. Miałam rację, pan rozumie. Z tym trzęsieniem pociągu, to znaczy... jednak pomogło. Strasznie mnie brzuch rozboleł, ale teraz czuję się już bajecznie. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy powiem Julianowi. Och, bo on chyba będzie w Gulhane, kiedy tam dojadę.

- Jedziesz do Gulhane? - zawołał ten młody Amerykanin z drugiej strony wagonu.

- Tak, a wy?



- Jasne. Możemy jechać razem.

- Bajecznie.

- To siadaj tu z nami i zamów sobie kawę, jeżeli masz jakieś pieniądze.

- Państwo darują, prawda? - zwróciła się Tooley do ciotki Augusty. - Oni też jadą do Gulhane.

- Oczywiście darujemy, Tooley.

- Był pan bardzo uprzejmy, panie Pulling - z kolei zwróciła się Tooley do mnie. - Nie wiem, co bym bez pana zrobiła. To znaczy, było mi trochę tak, jakbym miała ciemną noc w duszy.

Uświadomiłem sobie, że wolałbym pozostać dla niej Kleksem.

- Ostrożnie z tymi papierosami, Tooley - udzieliłem jej rady.

- Och - powiedziała - teraz już nie potrzebuję oszczędzać. Łatwo je będzie dostać, to znaczy w Gulhane. Wszystko w Gulhane można dostać. Nawet „kwas”. Zobaczę się z państwem jeszcze, zanim wysiadziemy, prawda?

Ale już się z nami nie zobaczyła. Wróciła teraz w świat młodości i mogłem tylko pożegnać ją machaniem do jej pleców, kiedy przechodziła przed nami komorę celną.

Dwoje Amerykanów szło trzymając się nadal za ręce, ona szła z Wietnamczykiem, który niósł jej torbę podróżną i obejmował ją ramieniem. Już przestałem ponosić odpowiedzialność za Tooley, a przecież została ta dziewczyna w mojej pamięci jak lekki ból, uporczywy, chociaż tylko ćmiący: czyż choroby tak poważne jak rak, na przykład, nie zaczynają się w ten sposób?

Wciąż dumalem, czy Julian czeka na nią. Czy pojedą dalej do Katmandu? Czy ona nigdy już nie będzie zapominała o pigułkach? Goląc się znowu, teraz dokładniej, w Pera Palace, stwierdziłem, że przy goleniu w słabym świetle przedziału kolejowego przeoczyłem na policzku ślad jej pomadki do ust. Może to dlatego ciotka tak nieopatrznie wyciągnęła mylny wniosek. Usunąwszy ów ślad przyłapałem się ni stąd, ni zowąd na tym, że rozmyślałem, gdzie Tooley teraz jest. Spode łba patrzyłem na siebie w lustrze, naprawdę jednak patrzyłem tak spode łba na jej matkę w Bonn, i jej ojca gdzieś tam w CIA, i na Juliana obawiającego się kastracji, i na tych wszystkich, którzy chociaż powinni się nią opiekować, nie poczuli się do żadnych wobec niej obowiązków.

Ciotka zaprowadziła mnie na obiad do restauracji zwanej „U Abdullaha”, a potem na zwiedzanie zwykłym szlakiem turystycznym - Błękitny Meczet i Hagia Sophia - ale widziałem, że przez cały czas jest strapiona. Żadna wiadomość w hotelu na nią nie czekała.

- Nie może ciocia zatelefonować do tego generała? - zapytałem.

- Nawet w ambasadzie w Tunisie - odrzekła - on nigdy nie dowierzał telefonom.

Staliśmy przepisowo pośrodku Hagia Sophia - w tej budowli, która kiedyś może była piękna, ale teraz z brzydkimi napisami arabskimi, napacykowanymi farbą koloru khaki, przypominała ogromną, wyszarzałą poczekalnię dworcową między godzinami szczytowego ruchu. Kilka osób stało tak, jak gdyby studiowało rozkład pociągów. Ktoś nawet trzymał walizkę.

- Zapomniałam, jakie to szkaradzieństwo - powiedziała ciotka. - Wracajmy do domu.

Dom był dosyć dziwnym określeniem, jeśli chodzi o Pera Palace wyglądający jak wschodni jakiś pawilon na terenie targów międzynarodowych. W barze pełnym misternych sztukaterii i luster ciotka zamówiła dwie raki. Wiadomości od generała Abdula nie miała nadal i po raz pierwszy zobaczyłem ją skonsternowaną.

- Kiedy on ostatnio pisał do cioci? - zapytałem.

- Mówiłam ci, dostałam od niego list w Londynie na drugi dzień po wizycie tych policjantów. A potem jeszcze w Mediolanie wiadomość przekazał mi Mario. Że wszystko jest w porządku. Gdyby nastąpiły jakieś zmiany, Mario by wiedział.

- Już prawie pora kolacji.

- Nie mam apetytu. Przykro mi, Henry. Jestem troszeczkę zdenerwowana. Może to pociąg tak mnie wytrząsł. Położę się i już w łóżku będę czekała na telefon. Nie przypuszczam, żeby on mnie zawiódł. Pan Visconti darzył generała Abdula wielkim zaufaniem, a doprawdy ufał mało komu.

Kolację więc zjadłem sam w ogromnej restauracji hotelowej, przypominającej mi Hagia Sophia - kolację nie za dobrą. Po wypiciu kilku raki, do czego nie byłem przyzwyczajony, czy też może sprawiła to również nieobecność ciotki Augusty, popadłem w stan niejakiej lekkomyślności. Zamiast udać się na spoczynek, bardzo żałowałem, że nie jestem w towarzystwie Tooley. Wyszedłem przed hotel i wśród wielu kierowców taksówek znalazłem jednego, który mówił trochę po angielsku. Powiedział mi, że jest Grekiem, ale że zna Stambuł nie gorzej niż swoje miasto rodzinne.

- Bezpiecznie - wciąż powtarzał - bezpiecznie ze mną. - I machał ręką, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, że w cieniach murów i w zaułkach czyhają głodniałe wilki.

Poprosiłem, żeby mi pokazał miasto. Jeździł wąskimi uliczkami, chociaż światła tam były bardzo słabe, a widoki prawie żadne i w końcu podjechał pod ciemne, ponure drzwi, przed którymi spał na schodku brodaty stróż nocny.

- Bezpieczny dom - powiedział - bezpieczny, czysty. Bardzo bezpieczny.

Z niepokojem wtedy przypomniałem sobie coś, o czym najchętniej bym raz na zawsze zapomniał - ów dom z kanapami na tyłach „Messaggero”.

- Nie, nie - powiedziałem. - Jedźmy dalej. Nie o to mi chodziło. - Spróbowałem mu wytłumaczyć: - Proszę mnie zawieźć gdzieś, gdzie jest spokojnie. Gdzie pan sam chciałby posiedzieć. Ze swoimi przyjaciółmi. Pić. Ze swoimi przyjaciółmi.

Przejechaliśmy kilka mil nad morze Marmara i zatrzymaliśmy się przed brzydkim, nieciekawym budynkiem z szyldem „Hotel Zachodniobierliński”. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić chyba nic bardziej nie na miejscu w Stambule. Ta czworokątna trzypiętrowa kamieniczka równie dobrze mogłaby się wznosić wśród ruin Berlina, wybudowana przez miejscowego przedsiębiorcę przy jak najmniejszym nakładzie kosztów. Taksówkarz wprowadził mnie do holu zajmującego cały parter hotelu. Jakaś młoda kobieta stała przy pianinie i śpiewała, jak przypuszczałem, piosenkę sentymentalną dla publiczności złożonej z mężczyzn w średnim wieku, którzy bez marynarek, siedząc przy dużych stołach, popijali piwo. Większość z nich, podobnie jak mój kierowca, miała wielkie szpakowate wąsiska i wszyscy klaskali głośno, sumiennie, kiedy pieśń się skończyła. Postawiono przed nami kufle piwa i nawzajem obaj z kierowcą wypiliśmy za swoje zdrowie. Piwo było dobre. Kiedy je wychyliłem po tych trunkach, jakie piłem przy kolacji, nabrałem animuszu. W młodej pieśniarce dopatrzyłem się podobieństwa do Tooley i przyszło mi na myśl, że wśród ociężałych, tęgich mężczyzn w sali może przypadkiem jest sam...

- Zna pan generała Abdula? - zapytałem kierowcę.

Uciszył mnie natychmiast. Rozejrzałem się jeszcze raz i znów stwierdziłem, że oprócz tej śpiewającej dziewczyny obecni są tylko mężczyźni. Prawie też zaraz dźwięki pianina przebrzmiały, a ona zerknąwszy na zegar, który pokazywał, że już północ, chwyciła swoją torebkę i ruszyła ku tylnym drzwiom. Potem kufle znów napełniono, pianista zagrał melodię bardziej męską, ci wszyscy podstarzali goście wstali. Jeden drugiego obejmując ramieniem zaczęli tańczyć, tworzyć kółka, powiększać je, przerywać i tworzyć na nowo.

Nacierali, cofali się i przytupywali. Żaden nie odzywał się do swego sąsiada, nie było w ich tańcu ani krzty pijackiego rozweselenia, a ja na to patrzyłem tak, jak na obrzęd religijny patrzy ktoś postronny, kto nie potrafi zrozumieć, co oznaczają owe symbole.

Nawet mój taksówkarz tańczył, więc piłem coraz więcej piwa, żeby już nie czuć się tak wyłączony. Aż się upiłem i wiedziałem o tym, bo łyżki pijackie napłynęły mi do oczu, i zapragnąłem cisnąć swój kufel na podłogę i też ruszyć w płasy. Ale byłem wyłączony, nie inaczej zresztą niż zawsze. Tooley przecież odeszła do swoich młodych przyjaciół, a panna Keene odjechała do kuzynostwa w Koffiefontein, pozostawiając frywolitki na fotelu pod Van de Veldem. Zawsze będzie mnie oddzielała, tak jak wtedy, gdy byłem kasjerem, ochronna szyba z plastiku. Nawet oddechy tańczących mnie nie dosięgają, chociaż krążą oni przy moim stole. Ciotka mówiąc o generale Abdulu przejmuję się zapewne sprawami ważnymi dla niej. Powitała swego przybranego syna w Mediolanie serdeczniej niż kiedykolwiek witała mnie. Wordswortha w Paryżu żegnała całusami przesyłanymi w powietrze, i to z płaczem. Ona ma swój własny świat, do którego mnie nigdy nie dopuści, więc zrobiłbym znacznie lepiej - mówiłem sobie - gdybym został przy moich daliach i przy prochach matki, która jednak - jeżeli mam ciotce wierzyć - moją matką prawdziwą wcale nie była. Siedziałem w „Hotelu Zachodnioberlińskim” i pełen współczucia dla siebie ronilem łyżki i zazdrościłem tym tańczącym, obejmującym się wzajemnie ramionami jak bracia, chociaż niekoniecznie musiały ich łączyć bodaj przypadkowa znajomość.

- Zabierz mnie pan stąd - powiedziałem kierowcy, kiedy wrócił do stołu - dopij swoje piwo, ale zabierz mnie stąd.

- Nie podobało się panu? - zapytał już w drodze pod górę w kierunku Pera Palace.

- Jestem zmęczony, nic poza tym. Chcę się już położyć.

Na podjeździe przed Pera Palace stały dwa samochody policyjne. Kiedyśmy tam dojeżdżali, z jednego z nich wysiadał mozolnie opuszczając na chodnik sztywną nogę jakiś starszy człowiek z laską przewieszoną przez lewą rękę. Głosem wezbranym czcią i bojaźnią kierowca poinformował:

- To jest pułkownik Hakim.

Pułkownik miał na sobie bardzo angielskie ubranie z szarej flaneli w kredowe paski i ponadto miał małe siwe przystrzyżone wąsiki. Wyglądał jak członek Związku Weteranów Armii i Marynarki Wojennej wysiadający przed swoim londyńskim klubem.

- Wielka osobistość - dodał kierowca. - Bardzo sprawiedliwy dla Greków.

Wyprzedziłem go. Portier stał u wejścia powitalnie, ale ja byłem tak mało ważny, że nawet nie zszedł mi z drogi. Musiałem obejść go i w dodatku zignorować moje „dobranoc”. Winda zawiozła mnie na piąte piętro. Widząc światło w szczelinie pod drzwiami ciotki Augusty, zapukałem i wszedłem. Przyodziana w wytworny nocny kaftanik siedziała na

łóżku i czytała jakąś tandetnie oprawioną książkę z bardzo makabrycznym obrazkiem na okładce.

- Poznawałem Stambuł - powiedziałem.

- Ja też.

Story były rozsunięte, z ulicy były światła tego wielkiego miasta. Ciotka odłożyła książkę. Obrazek przedstawiał leżącą na łóżku nagą młodą kobietę z nożem w plecach i stojącego obok mężczyznę w czerwonym fezie, o twarzy wykrzywionej okrucieństwem. Odczytałem tytuł: „Tureckie rozkosze”.

- Wchłaniałam miejscowy nastrój - powiedziała ciotka.

- Ten w fezie to morderca?

- Nie, to policjant. Antypatyczny człowiek, niejaki pułkownik Hakim.

- Bardzo dziwny zbieg okoliczności, bo...

- Ona została zamordowana właśnie tutaj w Pera Palace, ale sporo szczegółów nie zgadza się z prawdą, jak zresztą można się spodziewać, zważywszy, jacy są ci powieściopisarze. Otóż pokochał ją agent brytyjskiego wywiadu, uczuciowy brutal nazwiskiem Amis i oboje w jej ostatni wieczór jedli kolację u Abdullaha... pamiętasz, myśmy sami jedli tam dzisiaj obiad. Była też scena miłosna w Hagia Sophia i zamach na życie Amisa w Błękitnym Meczezie. Można by nieomal powiedzieć, że odbyliśmy jakąś pielgrzymkę literacką.

- To raczej nie jest literatura.

- Och, ty nieodrodny synu swojego ojca. On chciał, żebym czytała Waltera Scotta, zwłaszcza „Rob Roya”, ale ja stanowczo wolę tę książkę. Wzrusza znacznie szybciej i poza tym jest mniej opisów.

- Amis ją zamordował?

- Oczywiście że nie, ale na niego pada podejrzenie pułkownika Hakima, który stosuje nader okrutne metody przy wyciąganiu zeznań. - Ciotka wyraźnie się tym upajała.

Zadzwonił telefon. Odebrałem.

- Może to w końcu generał Abdul - rzekła ciotka - chociaż pora jak na niego dosyć późna.

- Tu recepcja. Czy jest panna Bertram?

- Jest, a o co chodzi?

- Przykro mi, że ją niepokoję, ale pułkownik Ha-kim chce się z nią widzieć.

- O tej godzinie? Wykluczone. A dlaczego?

- Pułkownik już jest w windzie. - I portier położył słuchawkę.

- Pułkownik Hakim już jest w windzie, żeby się z ciotką zobaczyć - powiedziałem.

- Pułkownik Hakim?

- Ten prawdziwy pułkownik Hakim. Również policjant.

- Policjant? - zapytała ciotka Augusta. - Znowu? Zaczyna mi się wydawać, że wróciłam w tamte dawne czasy. Z panem Viscontim. Bądź łaskaw, Henry, otworzyć moją walizkę. Tę zieloną. Tam jest taki lekki płaszczyk. Beżowy z futrzanym kołnierzem.

- Tak, ciociu, jest tutaj.

- Pod tym płaszczykiem w tekturowym pudełku znajdziesz świecę... taką ozdobną świecę.

- Owszem. Widzę to pudełko.

- Wyjmij świecę, ale uważaj, bo jest dosyć ciężka. Postaw ją na szafce nocnej przy mnie i zapal. W blasku świecy mam ładniejszą cerę.

Świeca była niezwykle ciężka i omal jej nie upuściłem. Prawdopodobnie obciążona od dołu, pomyślałem, ołowiem, żeby się nie przewracała. Duża cegiełka szkarłatnego wosku wysoka chyba na stopę, zdobna ze wszystkich czterech stron w herby i zakrętasy. Sporo kunsztu włożono w odlanie tej świecy, chociaż wosk tak szybko topnieje. Zapaliłem knot.

- A teraz zgaś światło - poleciała ciotka obciągając na sobie kaftanik i spulchniając poduszkę.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi i wszedł pułkownik Hakim. Stał w drzwiach. Ukłonił się.

- Panna Bertram? - zapytał.

- Tak. Pan pułkownik Hakim?

- Tak. Przepraszam za tę późną wizytę bez uprzedzenia - mówił po angielsku tylko odrobinę śpiewnie.

- Jeśli się nie mylę, mamy wspólnego znajomego, generała Abdula. Czy mogę usiąść?

- Bardzo proszę. Najwygodniej panu będzie w tym foteliku przy toalecie. To jest mój siostrzeniec, Henry Pulling.

- Dobry wieczór, panie Pulling. Bawił się pan chyba dobrze na tych tańcach w „Hotelu Zachodniobrzezińskim”. Wesoły lokal, nieznanymi większości turystów. Czy wolno zapalić światło, proszę pani?

- Wolałabym nie. Oczy mam słabe i zawsze wolę czytać przy świecy.

- To świeca bardzo piękna.

- Produkują je w Wenecji. Z herbami czterech największych weneckich dożów. Tylko niech mnie pan nie pyta o ich nazwiska. Jak się czuje generał Abdul? Miałam nadzieję, że zobaczę się z nim znowu.

- Niestety, generał Abdul jest bardzo chory. - Pułkownik Hakim powiesił swą łaskę na lustrze i usiadł. Z lekka przechylił głowę ku ciotce, co nadawało mu pozory szacunku, ale zauważyłem, że prawdziwym tego powodem jest mały aparacik słuchowy w jego prawym uchu. - On był dobrym znajomym pani i pana Viscontiego, prawda?

- Och, ileż pan wie! - ciotka uśmiechnęła się zalotnie.

- Na tym właśnie polega mój nieprzyjemny zawód - rzekł pułkownik Hakim - że muszę być Shylockiem.

- Sherlockiem.

- Dostyc dawno już nie mówiłem po angielsku.

- Pojechał pan za mną do „Hotelu Zachodniobrzezińskiego?” - zapytałem.

- Och nie, ja tylko doradziłem temu kierowcy, żeby pana tam zawiózł - wyjaśnił. - Myślałem, że to mogłoby pana zainteresować i zabawić dłużej niż zabawiło. Te modne nocne lokale są bardzo banalne i międzynarodowe. Równie dobrze można trafić do takich w Paryżu i w Londynie z tym, że tam zobaczyłoby się lepsze występy. Oczywiście powiedziałem kierowcy, żeby przedtem zawiózł pana gdzie indziej. Nigdy nic nie wiadomo.

- Niech mi pan powie o generale Abdulu - zniecierpliwiła się ciotka. - Na co jest chory?

Pułkownik Hakim pochylił się trochę bardziej do przodu i zniżył głos, jak gdyby zdradzał nam jakiś sekret:

- Został postrzelony - powiedział - próbując ucieczki.

- Ucieczki? - wykrzyknęła ciotka. - Przed kim ucieczki?

- Przede mną - nieśmiało i skromnie zwierzył się pułkownik Hakim, przebierając palcami przy aparaciku w uchu.

Długa cisza nastąpiła po tych jego słowach. Wydawało się, że nie ma tu nic do powiedzenia. Nawet ciotka była zbита z tropu. Z ustami trochę rozchylonymi, oparła się mocniej o poduszki. Pułkownik Hakim wyjął z kieszeni jakąś puszkę i otworzył ją.

- Państwo wybaczą - rzekł. - Cukierki eukaliptusowo-mentolowe. Cierpię na astmę.

Wsadził cukierka do ust i zaczął ssać. Znów panowała cisza, dopóki ciotka nie powiedziała:

- Te cukierki wiele panu nie pomogą.

- Myślę, że tu chodzi o sugestię. Astma jest chorobą na tle nerwowym. One wyraźnie przynoszą ulgę, ale może tylko dlatego, że ja w to wierzę. - Mówiąc pułkownik Hakim sapał trochę. - Zawsze grozi mi atak, kiedy dojrzewa sprawa, którą się zajmuję.

- Pan Visconti też cierpiał na astmę - powiedziała ciotka Augusta. - Wyleczono go hipnozą.

- Ja bym nie chciał oddać się tak całkowicie w cudze ręce.

- Pan Visconti oczywiście miał tego hipnotyzera w swoich rękach.

- Tak to co innego - rzekł pułkownik Hakim z uznaniem. - A gdzie pan Visconti przebywa teraz?

- Pojęcia nie mam.

- Ani generał Abdul nie miał pojęcia. My tylko chcemy mieć takie informacje do akt Interpolu. Od czasu tamtej afery minęło już trzydzieści lat z górą. Pytam więc po prostu mimochodem. Zgoła nie zainteresowany osobiście. I to przecież nie jest istotny przedmiot tego przesłuchania.

- Czyżby pan mnie przesłuchiwał, pułkowniku?

- Tak. Poniekąd. Mam nadzieję, że w sposób miły. Znaleźliśmy list pani do generała Abdula, dotyczący lokaty kapitału, którą on pani doradził. Napisała pani, że uważa za wskazane ulokować ten kapitał bezimiennie na Kontynencie, ale że to nastęrcza pewne trudności.

- Chyba pan, pułkowniku, nie pracuje dla Banku Angielskiego?

- Takiego szczęścia nie mam, ale generał Abdul planował małą awanturkę tutaj. Ogromnie mu brakowało funduszków. Przypomniał więc sobie pewnych znajomych, z którymi spekulował w dawnych czasach. Nawiązał kontakt z panią (może w nadziei, że za pani pośrednictwem odnajdzie Viscontiego), jak również z niejakim Weissmanem, Niemcem, o którym pani chyba nie słyszała, oraz z niejakim Harveyem Crowderem, który zajmuje się pakowaniem mięsa w Chicago. CIA dawno już obserwowała tego Crowdera i



przekazywała nam wiadomości o nim. Rzecz jasna, wymieniam nazwiska tylko dlatego, że wszyscy ci ludzie są obecnie w areszcie i mówią.

- Jeśli już naprawdę - rzekła ciotka - musi pan wiedzieć celem uzupełnienia swoich akt, to generał Abdul doradził, żebym kupiła obligacje Deutsche Texaco... co w Anglii nie wchodzi w rachubę ze względu na parytet dolara, a poza Anglią dla osoby zamieszkałej w Anglii jest zakazane prawem. Musiałabym więc pozostać bezimienną.

- Tak - przyznał pułkownik Hakim - niezłe jako przykrywka. - Znów zaczął sapać i wziął jeszcze jednego cukierka. - Wymieniłem te nazwiska tylko po to, by pani wykazać, że generał Abdul trochę już zdziecinniał. Nie przeprowadza się operacji finansowych w Turcji obcą walutą tego rodzaju. Będąc kobietą bezsprzecznie mądrą, przecież zdawała pani sobie sprawę, że gdyby jego operacja miała jakiegokolwiek szanse powodzenia, on by znalazł poparcie tu na miejscu. Nie musiałby proponować jakiemuś pakowaczowi mięsa w Chicago dwudziestu pięciu procent prowizji oraz udziału w zyskach.

- Pan Visconti na pewno przejrzałby tę grę - powiedziała ciotka.

- Ale pani teraz jest damą żyjącą samotnie. Pozbawioną dobrodziejstwa rad Viscontiego. Łatwe zyski mogły stanowić dla pani pokusę...

- A po cóż mi pieniądze? Dzieci nie mam, komuż więc bym je zostawiła, panie pułkowniku?

- Albo może to był ten duch wielkiej przygody.

- W moim wieku! - Ciotka Augusta rozpromieniła się, taką jej to sprawiło przyjemność.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi i wszedł policjant. Powiedział coś pułkownikowi i pułkownik nam przetłumaczył:

- Nic w bagażu pana Pullinga nie znaleziono, ale jeśli pani pozwoli... ten mój człowiek jest bardzo delikatny, włoży czyste rękawiczki i zapewniam panią, że nawet najmniejszej fałdki nie pozostawi... Czy ma pani coś przeciwko temu, że zapalę światło elektryczne na czas jego pracy?

- Będę miała wiele przeciwko temu - odrzekła ciotka - bo zostawiłam ciemne okulary w pociągu. Chyba że pan chce mnie przyprawić o straszliwy ból głowy...

- Oczywiście, że nie chcę, proszę pani. On i tak zresztą da sobie radę. Pani nam wybaczy, jeżeli rewizja potrwa trochę dłużej.

Policjant najpierw przeszukał torebkę ciotki, po czym wręczył pułkownikowi Hakimowi kilka papierków.

- Czterdzieści funtów w czekach turystycznych - zauważył.

- Dziesięć pobrałam gotówką - wyjaśniła ciotka. - Jak wynika z biletu na samolot, zamierza pani odlecieć już jutro... to znaczy, dzisiaj. Pobyt bardzo krótki. Dlaczego państwo przyjechali pociągiem?

- Chciałam zobaczyć się z moim pasierbem w Mediolanie.

Pułkownik spojrzał na nią figlarnie.

- Wolno spytać? Wedle paszportu jest pani niezamężna.

- To syn pana Viscontiego.

- Ach, zawsze ten pan Visconti.

Policjant rewidował teraz walizkę ciotki. Zajrzał do tekturowego pudełka, z którego wyjąłem tę świecę, potrząsnął nim, powąchał je.

- Trzymam świecę w tym pudełku - wyjaśniła ciotka. - Jak już panu mówiłam, produkują takie w Wenecji. Jedna wystarcza na całą podróż... gwarancja jest, zdaje się, na palenie przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Czy może na czterdzieści osiem godzin.

- Pali pani prawdziwe dzieło sztuki - zauważył pułkownik.

- Henry, potrzymaj świecę panu policjantowi, żeby widział lepiej.

I znowu zdumiał mnie ten ciężar, kiedy wziąłem świecę z szafki nocnej.

- Niech się pan nie fatyguje, panie Pulling, on już kończy.

Rad byłem, że mogę ją postawić z powrotem.

- No - powiedział pułkownik Hakim i uśmiechnął się - nie znaleźliśmy nic kompromitującego w pani rzeczach. - Policjant już na nowo pakował walizkę. - Teraz tylko, żeby formalnościom stało się zadość, powinniśmy przeszukać pokój. I łóżko pani, panno Bertram, jeżeli pani zechce łaskawie usiąść w fotelu.

Sam wziął udział w tym przeszukiwaniu, chodząc kulawo od jednego mebla do drugiego, czasem macając coś laską, sięgając nią pod łóżko i w głąb szuflad.

- A teraz kieszenie pana Pullinga - powiedział.

Dosyć gniewnie wyłożyłem wszystko z kieszeni na toaletkę. Przejrzał dokładnie mój notes i zainteresował się wycinkiem z „Daily Telegraph”. Marszcząc brwi wyraźnie zaintrygowany przeczytał na głos:

- „...Podobały mi się zwłaszcza rubinowoczerwone Maitre Roger, jasnoczerwone z białymi brzeżkami Powitanie, ciemnokarmazynowa Noc Arabska i Czarna Błyskawica, a także szkarłatny Bachus...”

- Proszę, niech mi pan wytłumaczy - panie Pulling.

- To się tłumaczy samo przez się - rzekłem oziębło.

- Powinien pan jednak darować mi moje nieoświecenie.

- Reportaż z wystawy dali. W Chelsea. Pasjonują mnie dalie.

- Kwiaty?

- Oczywiście, dalie to kwiaty.

- Nazwy ich jednak brzmią dziwnie, zupełnie jak nazwy koni. Zastanowił mnie ten ciemny karmazyn. - Położył wycinek z „Daily Telegraph” i przykuśtykał do boku ciotki. - To ja już powiem pani dobranoc, panno Bertram. Dzięki pani moja dzisiejsza powinność była dla mnie doprawdy przyjemna. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak mnie nudzi zrywanie masek uciśnionej niewinności. Przyślę jutro samochód policyjny, żeby państwo mieli czym pojechać na lotnisko.

- Proszę, niech pan tym sobie nie zawraca głowy. Możemy wziąć taksówkę.

- Byłoby nam przykro, gdyby państwo na swój samolot się spóźnili.

- Może jednak powinnam odłożyć wyjazd na jeden dzień i odwiedzić biednego generała Abdula.

- Niestety nie wolno mu przyjmować gości. Co to za książka, ta którą pani czyta? Jakiż wstrętny człowiek w czerwonym fezie. To on zakłuł nożem tę dziewczynę?

- Nie. To policjant prowadzący śledztwo. Nazywa się pułkownik Hakim - z nieukrywanym zadowoleniem powiedziała ciotka.

Kiedy drzwi się zamknęły, część swego gniewu wyładowałem na niej.

- Ciociu Augusto - zapytałem - co to wszystko ma znaczyć?

- Jakaś mała aferka polityczna, przypuszczam. W Turcji traktuje się politykę poważniej niż u nas w Anglii. Nie tak dawno skazano tu premiera na śmierć i wyrok wykonano. My o polityce śnimy, a oni działają. Przyznaję, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, co generał Abdul knuje. Głupio to w jego wieku. Z pewnością ma już ósmy krzyżyk na karku, no, ale przypuszczam, że w Turcji więcej jest osób stuletnich niż w każdym innym kraju Europy. Wątpię jednakże, czy biedny Abdul swoich stu lat dożyje.

- Ale czy ciocia pojmuje, że oni nas deportują? Myślę, że powinniśmy zadzwonić do ambasady brytyjskiej.

- Przesadzasz, mój drogi. Oni nam tylko użyczają samochodu policyjnego.

- A jeśli my się na to nie zgodzimy?

- Nie mam zamiaru się nie zgodzić. Miejsca w tym samolocie już są zarezerwowane. Zamierzałam ulokować swój kapitał tutaj i wyjechać jak najszybciej. Szybkich zysków i tak się nie spodziewałam, a dwadzieścia pięć procent zawsze połączone jest z jakimś ryzykiem.

- Jakiż to kapitał do ulokowania, ciociu? Czterdzieści funtów w czekach turystycznych?

- Och, nie, mój drogi. Kupiłam w Paryżu sporą sztabkę złota. Pamiętasz tego człowieka z banku...

- Więc to złota oni tutaj szukali. Gdzież, na Boga, ciocia je ukryła?

Wzrok mój padł na świecę i przypomniałem sobie, jaka jest ciężka.

- Właśnie, mój drogi - powiedziała ciotka - sprytny jesteś, że się domyśliłeś. Pułkownik Hakim takiego sprytu nie wykazał. Teraz możemy ją zgasić.

Znowu wziąłem świecę z szafki nocnej - ważyła chyba ze dwadzieścia funtów.

- I co ciocia z nią zrobi w tej sytuacji?

- Będę musiała zabrać ją z powrotem do Anglii. Może przydać się następnym razem. Bardzo jednak szczęśliwie, skoro już o tym mowa, złożyło się, że oni postrzelili biednego generała Abdula, zanim dałam mu tę świecę, a nie dopiero po fakcie. Nawet nie jestem pewna, czy rzeczywiście on jeszcze żyje. Prawdopodobnie rozmawiając z kobietami pomijają takie drastyczne szczegóły. Na wszelki wypadek zakupię mszę za jego duszę, bo człowiek w tym wieku postrzelony z broni palnej raczej nie może żyć długo. Sam wstrząs wystarczy, choćby nawet kula nie trafiła w narządy...

Przerwałem jej domysły:

- Chyba ciocia nie pojedzie do Anglii z powrotem z tym złotem? - Z powrotem... z tym złotem. Zirytował mnie rym brzmiący niedorzecznie jak w piosence wodewilowej. - Czy ciocia nie ma żadnego poszanowania dla prawa?

- To zależy, mój drogi, o jakie prawo pytasz. Dziesięć przykazań, na przykład. Nie mogę traktować zbyt poważnie przykazania, żeby nie pożądać ani wołu, ani osła.

- Celników angielskich nie da się oszukać tak łatwo jak tureckich policjantów.

- Używana świeca to rzecz nadzwyczaj przekonująca. Wypróbowałam to już przedtem.

- Nie będzie taka przekonująca, kiedy oni ją podniosą z podstawy.

- Ale nie podniosą, mój drogi. Może, gdyby knot i wosk pozostały nienaruszone, przyszłoby im do głowy obciążyć mnie opłatą celną. Albo jakiś celnik bardziej podejrzliwy mógłby przypuszczać, że są w niej narkotyki. Ale świeca używana. Och, nie. Niebezpieczeństwo jest chyba minimalne. No i zawsze mój wiek mnie osłania.

- Ja jednak nie pojedę do Anglii z powrotem z tym złotem. - Rzym znowu mnie zirytował.

- Przecież nie masz wyboru, mój drogi. Pułkownik na pewno odtransportuje nas do samolotu i nie ma na trasie żadnego lądowania aż do samego Londynu. Wielkim plusem deportacji jest to, że nie będziemy musieli znowu przechodzić przez turecką komorę celną.

- Dlaczego, w imię Boga Ojca, ciocia to zrobiła, ciociu Augusto? Tak się narażać...

- Pan Visconti potrzebuje pieniędzy.

- Ukradł ciocine.

- To było dawno temu. Wszystkie już wydał.

## XVI

Wydawało mi się zrazu, że wróciłem w inny, szczęśliwy świat: znów jestem w domu i na ogród padają długie przedwieczne cienie; jakiś chłopak gwizdże jedną z melodii Beatlesów, rower z motorkiem warkocze przy końcu Norman Lane. Z jaką ulgą nakręciłem numer „Kurczaka” i zamówiłem sobie na kolację krem szpinakowy, kotlety jagnięce i ser cheddar; tak dobrych rzeczy nie jadłem w Stambule. Następnie wyszedłem do ogrodu. Major Charge jednak zaniedbywał dalie; z prawdziwą przyjemnością dałem im wody, którą sucha ziemia piła jak spragniony człowiek i nieomal widziałem, jak kwiaty wdzięcznie reagują podnoszeniem płatków. Deuil du Roy Albert zanadto zmarniały, żeby podlewanie im pomogło, ale barwa Ben Hurów nabierała nowego połysku, aż ów długi wyścig rydwanów przez suche piaski pustyni stał się już tylko wspomnieniem. Major Charge wyjrzał zza płotu.

- Podróż dobra? - zapytał.

- Interesująca, dziękuję - odrzekłem cierpko i puściłem gruby strumień wody na korzenie. Zdjąłem już z węża niedorzeczny dziobek będący praktycznie do niczego.

- Bardzo uważałem - powiedział major Charge - żeby zanadto ich nie podlewać.

- Ziemia istotnie sucha jak pieprz.

- Mam złote rybki - powiedział major Charge. - Kiedy wyjeżdżam, moja pioruńska sprzątaczką zawsze je przekarmia. Kiedy wracam, połowa tych biednych małych huncwotów już nie żyje.

- Kwiaty to nie to samo, co złote rybki, majorze. W taką bezdeszczową jesień, jak ta teraz, mogą pić sporo.

- Nie cierpię przesady - oświadczył major Charge. - W polityce również. Niepotrzebni mi do szczęścia ani komuniści, ani faszyci.

- Pan jest liberałem?

- Dobry Boże, człowieku - powiedział major Charge - skąd taka myśl w ogóle? - i zniknął za płotem.

Pocztę południową otrzymałem punktualnie o piątej; okólnik od Littlewooda, chociaż nigdy tam żadnych pieniędzy nie stawiam, rachunek z warsztatu samochodowego, broszurkę Lojalistów Imperium Brytyjskiego, którą zaraz wrzuciłem do kosza, i list ze znaczkiem południowoafrykańskim. Koperta była zaadresowana na maszynie, więc nie od

razu się zorientowałem, że to jest list od panny Keene. Uwagę moją odciągnęła paczka Orno, oparta na progu o żelazną skrobaczkę do butów. Z całą pewnością nie zamawiałem przecież żadnych środków piorących. Przyjrzawszy się z bliska, zobaczyłem jednak, że to próbka reklamowa. Ileż pieniędzy marnują ci fabrykanci na zbyt dużą reklamę, nie zasięgając informacji u swoich dystrybutorów. Nasz sklep przecież by ich uprzedził, że ja stale kupuję Orno. Zabrałem tę paczkę do kuchni, gdzie stwierdziłem z zadowoleniem, że domowy zapas Orno prawie się wyczerpał - zaoszczędzone mi zostało kupienie następnej paczki.

Ponieważ zrobiło się chłodno, włączyłem kominek elektryczny i dopiero wtedy zabrałem się do czytania listu. Teraz poznałem natychmiast, że pisała go panna Keene. Kupiła sobie maszynę do pisania, wyraźnie jednak widać było brak wprawy. Nie utrzymywała równych odstępów między linijkami, nie zawsze trafiała palcem we właściwy klawisz i gdzieś tam pomijała jakąś literę. Wybrała się - donosiła mi w tym liście - do Koffiefontein, trzy godziny jazdy szosą, na „przeminęło z giatrem”, który to film wznowiono w tamtejszym kinie na seansach popołudniowych. Dalej napisała, że Clark Fable nie jest aż tak dobry, jak go sobie zapamiętała. Jakże charakterystycznym dowodem jej delikatności, a może nawet rezygnacji wobec doznanej porażki było to, że nie zadała sobie fady, żeby te błędy maszynowe poprawić. Może obawiała się, że uznałbym takie poprawki za wysiłek z jej strony w kierunku tuszowania swych niedociągnięć.

„Raz na tydzień - pisała - kuzynka moja zawozi mnie do banku. Jest w bardzo dobrych stosunkach z dyrektorem tego banku, ale on to nie taki prawdziwy przyjaciel, jakim Pan był dla mojego ojca i dla mnie. Brak mi kościoła Świętego Jana i kazań proboszcza. Tutaj jedyny kościół w pobliżu to kościół Holenderski Deformowany i wcale go nie lubię”. Jednak poprawiła D na R w słowie „Deformowany”. Może pomyślała, że inaczej posądziłbym ją o złośliwość wobec cudzych wyznań religijnych.

Zastanowiłem się, jak mam jej odpisać. Wiedziałem, że najbardziej ucieszyłby ją list z wiadomościami z Southwood: drobne szczegóły z życia codziennego i nawet informacje o moich daliach. Jakże ją poinformować o tej cudacznej podróży do Stambułu? Sama wzmianka o tym byłaby chyba zarówno sztuczna jak pretensjonalna, z drugiej jednak strony, gdybym przedstawił dokładnie sprawę z pułkownikiem Hakimem i sztabką złota, i generałem Abdulem, mógłbym wytworzyć wrażenie, że zmieniłem tryb życia całkowicie, a to by wzmogło w niej uczucie rozłąki i osamotnienia na farmie pod Koffiefontein. Czyż nie lepiej - sam siebie zapytałem - powstrzymać się i nie odpisywać wcale? Cóż, kiedy na ostatniej stronie listu u samego dołu - papier już wysuwał się z wałka, więc te słowa

wjechały ukośnie na poprzednią linijkę - panna Keene napisała: „Nie mogę się doczekać listów od Pana, bo one sprawiają, że czuję się bliżej Southwood". Odłożyłem to do szuflady biurka tam, gdzie trzymałem inne jej listy.

Szybko się teraz ściemniało, a przecież nie wcześniej niż za godzinę miałem dostać kolację z „Kurczaka". Podeszedłem do biblioteczeki, żeby wybrać sobie coś do poczytania dla zabicia czasu. Podobnie jak przede mną mój ojciec, rzadko kupuję nowe książki, chociaż ja, w przeciwieństwie do niego, nie poprzestaję na dziełach jednego autora. Literatura nowoczesna nigdy do mnie nie przemawiała; moim zdaniem, zarówno poezja jak beletrystyka osiągnęły swe najwyższe szczyty w epoce wiktoriańskiej. Gdybym mógł życie poświęcić twórczości literackiej - a w latach chłopięctwa, zanim matka znalazła mi tę posadę w banku, miewałem takie marzenia - za wzór służyłby mi któryś z pomniejszych pisarzy wiktoriańskich (ponieważ tych wielkich nie sposób naśladować): może R. L. Stevenson czy bodaj Charles Reade. Mam też sporo książek Wilkie'ego Collinsa, chociaż wolę go, kiedy nie pisze opowieści detektywistycznych, ponieważ w przeciwieństwie do ciotki Augusty nie upodobałem sobie tego literackiego gatunku. Gdybym mógł być zostać poetą, zadowolilibym się na swym dosyć niskim szczeblu uznaniem jeśli już w ogóle, jako drugi angielski Mahony i wysławiałbym Southwood tak jak on wysławiał Shandon (jest to jeden z moich ulubionych wierszy w „Złotym skarbcu" Palgrave'a). Może właśnie wzmianka panny Keene o kościele Świętego Jana, którego dzwony słyszę w niedzielne poranki, kiedy pracuję w ogrodzie, przypomniała mi o Mahonym i kazała tę właśnie książkę wziąć z półki.

*Biją dzwony w Moskwie,  
W dal ich dźwięczny głos mknie.  
I w Hagia Sofia  
Turcy mają dzwon,  
Który z minaretów  
Wzywa do meczetów,  
Lud, by modły wznosić  
Ku uczczeniu Stwórcy.  
Czciej w tym wiele swady,  
Przyznam bez żenady,  
A przecie są dzwony  
Bardzo miłe mi -  
Najpiękniejszym z tonów*



*Brzmią dzwony Shandonu*

*Nad wartką, uroczą*

*Moją rzeką Lee.*

Nigdy dotąd strofki o Hagia Sophia nie uderzyły mnie swoją trafnością: Czyż w ogóle można porównać tamto odrapane mauzoleum z naszym kościołem Świętego Jana? Poza tym uświadomiłem sobie, że odtąd będą one już zawsze przypominać mi pułkownika Hakima.

Jedna książka wiedzie do drugiej. Zanim się spostrzegłem, wziąłem z półki, po raz pierwszy od lat, tom Waltera Scotta. Rozczuliło mnie wspomnienie owych chwil, kiedy ojciec używał tych tomów do gry w *sortes virgilianae*, co matka uważała za niejaki bluźnierstwo, gdyż w jej pojęciu należało w to grać uroczyście, posługując się Biblią. Czasami podejrzewałem, że ojciec specjalnie zakładał niektóre stronicie - aż książki jeżyły się oślimi uszami - żeby trafić na uprzednio wybrane zdanie, które by rozdrażniło i zdumiało matkę. Raz, bardzo znękany obstrukcją, otworzył „Rob Roya” na pozór przypadkowo i przeczytał: „Wszedł pan Owen. Tak prawidłowe były wszelkie poruszenia i nawyki tego zacnego człowieka...” Spróbowałem teraz sam zabawić się w *sortes* i uderzyła mnie stosowność zdania, na które trafiłem. „Potrzebowałem wszelakiego alkoholu, jaki można wypić przy dobrej wieczerzy, aby zwalczyć przygnębienie wkradające mi się wbrew rozsądkowi do duszy”.

Bo rzeczywiście ogarnęło mnie przygnębienie: czy wywołał je list panny Keene, czy też to, że dziwnie brakowało mi towarzystwa ciotki, czy bodaj to, że Tooley tak odeszła bez słowa, nie wiedziałem. Teraz, chociaż już nie poczuwałem się do żadnych obowiązków wobec kogokolwiek oprócz siebie samego, radość z powrotu do domu, do mojego ogrodu minęła. W nadziei, że trafię na zdanie bardziej podnoszące na duchu, otworzyłem „Rob Roya” raz jeszcze i między stronicami znalazłem migawkowe zdjęcie: kwadratowe poźółkle zdjęcie ładnej dziewczyny w staroświeckim kostiumie kąpielowym, wykonane staroświeckim aparatem fotograficznym Brownie. Dziewczyna pochylała się lekko w stronę aparatu; jedno ramiączko kostiumu miała zsunięte i patrzyła roześmiana, jak gdyby ów fotograf przyłapał ją akurat wtedy, gdy zaczęła się przebierać. Dopiero po długiej chwili poznałem w tej dziewczynie ciotkę Augustę, nie bez zdziwienia stwierdzając, że była ona za młodu nadzwyczaj ponętna. Zastanowiłem się, czy to jej siostra, moja matka, tak ją sfotografowała. Trudno jednak byłoby przypuszczać, że taką fotografię matka dałaby ojcu. Raczej sam ojciec sfotografował tak ciotkę Augustę, po czym schował tę fotografię w jednym z

tomów Waltera Scotta, pewny, że przecież matka nigdy ich nawet nie weźmie do ręki. A więc zobaczyłem, jak wyglądała ciotka Augusta - w wieku chyba poniżej lat osiemnastu - w tamtych dawnych, dawnych czasach, zanim poznała Currana i monsieur Dambreuse, i pana Viscontiego. Miała taką minę, jakby wszystko dla niej było możliwe. Na jednej z tych dwóch stron, pomiędzy którymi leżało zdjęcie, przeczytałem „Bądź cierpliwy i spokojny, i daj mi działać na mój własny sposób; albowiem gdy ja biorę na kiel, żadna siła mnie nie powstrzyma”. Czyżby ojciec z rozmysłem wybrał tę właśnie stronicę, ten fragment po to, by przy nim ukryć taką fotografię? Ogarnął mnie smutek, jak nieraz przedtem w banku, kiedy z urzędu przeglądałem stare zdeponowane tam dokumenty nadania własności pod wpływem jakichś uczuć namiętnych, dawno już wygasłych. Zacząłem teraz myśleć o ojcu w sposób szczególnie czuły - o tym leniuchu, który leżał w płaszczu w suchej wannie. Jego grobu w ogóle nie widziałem, gdyż umarł on w podróży, po raz pierwszy i jedyny wybierając się poza granice Anglii. Nawet nie bardzo wiem, uprzytomniłem sobie z żalem, gdzie mój ojciec spoczywa. Zatelefonowałem do ciotki.

- Żeby tylko powiedzieć cioci dobranoc i zapytać, czy wszystko w porządku.

- Mieszkanie - odrzekła ciotka - trochę zięje smutkiem samotności bez Wordswortha.

- I ja czuję się samotny... bez cioci i bez Tooley.

- Żadnych wiadomości nie dostałeś po powrocie do domu?

- Tylko list od jednej znajomej. Ona też, zdaje się, jest osamotniona. - Urwałem na chwilę pełną wahania, zanim powiedziałem: - Ciociu, właśnie myślałem, nie wiadomo dlaczego, o moim ojcu. To dziwne, jak mało wie się o swojej własnej rodzinie. Ma ciocia pojęcie, ja nie wiem nawet, gdzie on został pochowany?

- Nie wiesz?

- A ciocia?

- Wiem, oczywiście.

- Chciałbym, bodaj raz, być na jego grobie.

- Według mnie chodzenie po cmentarzach świadczy raczej o niezdrowych upodobaniach. Tam pachnie cierpko jak w dżungli. Chyba dlatego, że za dużo podlewają tę zieleni.

- Myślę, że człowiek im starszy, tym bardziej jest przywiązany do miejsc rodzinnych... domów i grobów. Bardzo mi przykro, że matka musiała skończyć tak, jak skończyła. W laboratorium policji.

- Macocha - poprawiła mnie ciotka.

- Gdzie jest mój ojciec?

- Jako katoliczka na pół wierząca - rzekła ciotka Augusta - nie mogę na to pytanie odpowiedzieć z niezbitą pewnością, ale jego ciało, czy też to, co z jego ciała zostało, leży w Boulogne.

- Tak blisko? Dlaczego nie sprowadzono go do Anglii?

- Moja siostra potrafiła być osobą bardzo praktyczną, wypraną z wszelkich sentymentów. Twój ojciec bez jej wiedzy wyjechał do Boulogne na jednodniową wycieczkę. Zachorował w Boulogne po kolacji i umarł prawie od razu. Zatrął się. Wówczas jeszcze nie było żadnych antybiotyków. Należało dokonać sekcji zwłok, a zwłok pokrajanych ona oczywiście już nie miała chęci sprowadzić. Więc kazała go pochować na tamtejszym cmentarzu.

- Była ciocia na pogrzebie?

- Objężdżałam akurat Włochy. Dowiedziałam się o tym dopiero później. Myśmy z siostrą nie korespondowały.

- Więc ciocia również nie widziała tego grobu?

- Kiedyś próbowałam podsunąć panu Viscontiemu myśl, żebyśmy tam skoczyli, on jednak miał takie swoje ulubione powiedzenie z Biblii „Niech zmarli grzebią swoich zmarłych”.

- Może któregoś dnia moglibyśmy wybrać się do Boulogne razem.

- Stanowczo podzielam zdanie pana Viscontiego, ale ruszyć w małą podróż zawsze jestem gotowa - oświadczyła ciotka wesoło, jak gdyby i ona wyprana była z wszelkich sentymentów.

- Tym razem ciocia powinna być moim gościem.

- Rocznicą jego śmierci - rzekła ciotka - przypada na dzień drugi października. Pamiętam tę datę, bo to święto Anioła Stróża. W wypadku twojego ojca jednak ten Anioł kiepsko się spisał, chyba że chciał go uchronić przed jakimś gorszym losem. To jest zupełnie możliwe, bo cóż, na Boga, twój ojciec robił w Boulogne po sezonie?

## XVII

Rzecz dosyć dziwna, ale w Boulogne prawie natychmiast poczułem się jak w domu.

Ponieważ bezpośredni statek z Folkestone już nie kursował, pojechaliśmy „Złotą Strzałą” z dworca Victoria, gdzie odetchnąłem z ulgą widząc, że ciotka nie zabrała ze sobą czerwonej walizki. Angielską stronę Kanału zalewały złociste blaski jesiennego słońca. Kiedyśmy dojeżdżali do Petts Wood, autobusy już zupełnie zzieleniały, a w Orpington suszarnie ze swymi białymi kominami wyglądały jak średniowieczne hełmy zdobne w pióropusze. Chmiel pnący się po tykach był bardziej dekoracyjny niż winorośl i chętnie oddałbym cały krajobraz pomiędzy Mediolanem i Wenecją za tę dwudziestomilową połąć hrabstwa Kent. Niebo miało kolor nobliwy, strumienie nie miały w sobie nic z oleodruków; mijaliśmy sadzawki z sitowiem i krowy wyraźnie zadowolone i chyba śpiące. Miłe okolice, opiewane przez Blake’a - miłe, aż zacząłem żałować, że znów wyjeżdżam na Kontynent. Dlaczego mój ojciec nie umarł w Dover bądź w Folkestone, do których to miejscowości rzeczywiście można bez trudu odbywać jednodniowe wycieczki?

A przecież, kiedyśmy w końcu przyjechali do Boulogne i wysiedli z jedyne go wagonu, jakim można tam dojechać z Calais, tą „Fleche d'Or”, poczułem się swojsko. Niebo już zszarzało, zrobiło się zimno i wiatr przemiałał tumany deszczu po molach, ale w naszym hotelu nad biurkiem recepcji wisiała fotografia królowej Elżbiety i na oknach jakiejś brasserie przeczytałem: FILIŻANKA DOBREJ HERBATY. WITAMY GOŚCI PRZYBYŁYCH ZE WSCHODNIEGO KENTU. Ołowiane mewy krążące nad łodziami rybackimi w ten ołowiany wieczór wyglądały tak samo jak mewy wschodnioangielskie. Nad Gare Maritime błyskał szkarłatny neon: „Prom Samochodowy” i drugi „Brytyjskie Linie Kolejowe”.

Za późno już było tego wieczora na szukanie grobu ojca (zresztą prawdziwa rocznica jego śmierci przypadała dopiero nazajutrz), więc poszliśmy oboje z ciotką w stronę Ville Haute na spacer po wałach obronnych i małych krętych uliczkach, przypominających mi Rye. W wielkiej krypcie katedry, w której brał ślub jeden z angielskich królów, leżały kule armatnie wystrzelone przez działa Henryka VIII, a na małym placu poniżej jej wałów stał pomnik Edwarda Jennera w brązowym fraku i brązowych wysokich butach z chwastami. W niedużym kinie przy bocznej uliczce niedaleko od lokalu nocnego „Le Lucky”, gdzie można było posłuchać muzyki zespołu Hearhmen, wyświetlano stary film „Wyspa

skarbów" z Robertem Newtonem. O nie, mój ojciec nie został pochowany na obcej ziemi. Boulogne jest jak miasteczko jakieś kolonialne, które dopiero niedawno przestało należeć do Imperium, a te Brytyjskie Linie Kolejowe ociągają się przy końcu nabrzeża tak, jak gdyby ze specjalnym zezwoleniem mogły tu zostać, dopóki będzie trwała ewakuacja. Zamknięte łazienki poniżej kasyna wyglądają jak ostatnie pozostałości obozu wojsk okupacyjnych, a pomnik generała San Martina na koniu pośrodku nabrzeża mógłby równie dobrze być pomnikiem Wellingtona.

Kolację zjedliśmy w restauracji na Gare Maritime, dokąd doszliśmy przez brukowany kocimi łbami plac i tory tego dworca, nie spotykając dosłownie nikogo. Filary dworcowego budynku wyglądały jak filary kościoła wyludnionego po zapadnięciu zmroku, a pociąg z Lyonu, z którego wszakże nikt nie wysiadł, zapowiedziano tonem takim, jakby podawano numer hymnu. Ani jeden bagażowy, ani jeden pasażer nie ukazał się na długim peronie. Biuro Brytyjskich Linii Kolejowych ziało ciemnością i pustką. Powietrze przesycił zapach oleju, zielska i morza, zaprawiony wspomnieniem złowionych rano ryb. W restauracji oprócz nas nie było żadnych gości przy stolikach, tylko przy kontuarze zobaczyliśmy dwóch mężczyzn i psa, wyraźnie gotowych już do odejścia. Ciotka zamówiła dla nas obojga solę a la Boulonmise.

- Może tutaj ojciec przyszedł tamtego wieczora przed śmiercią - zastanowiłem się głośno.

Odkąd wziąłem z półki „Rob Roya”, bardzo często myślałem o ojcu i przypominając sobie to zdjęcie w książce i wyraz twarzy tej młodej dziewczyny, nabrałem przekonania, że ciotka Augusta też musiała na swój sposób go kochać. Ale gdybym szukał wzruszeń natury sentymentalnej, żeby nimi przepoić pamięć o ojcu, ona chyba by mi w tym nie pomogła - bo dla ciotki Augusty człowiek zmarły, to człowiek zmarły i na tym koniec.

- Zamów wino, Henry - powiedziała ciotka. - Wiesz, ty masz w sobie coś niezdrowego. Świadczy o tym cała ta wyprawa i ta urna, którą przechowujesz tak pieczołowicie. Gdyby twój ojciec został pochowany w Highgate, w żadnym razie nie dałabym się zabrać na jego grób. Nie uznaję takich pielgrzymek do grobów, jeżeli celem ich nie jest coś innego.

- A co innego jest celem tej pielgrzymki? - zapytałem dosyć zgryźliwie.

- Nigdy dotąd nie byłam w Boulogne - rzekła ciotka. - Zawsze chętnie zwiedzam nieznane miejscowości.

- Tak jak stryjek Jo - powiedziałem - chce ciocia przedłużyć sobie życie.

- Z pewnością - przytaknęła - bo życie mnie cieszy.

- A ile pokoi dotychczas ciocia zajmowała?

- Mnóstwo - oświadczyła wesoło - ale chyba jeszcze nie dotarłam na piętro klozetu.

- Muszę wracać do kraju - powiedział dobitnie po angielsku jeden z tych mężczyzn przy kontuarze. Był podchmielony i kiedy pochylił się, żeby pogłaskać psa, nie trafił ręką i tylko pogłaskał powietrze.

- Jeszcze jeden głębszy za zdrowie promu - powiedział jego towarzysz. Domyśliłem się, że to pracownik Brytyjskich Linii Kolejowych.

- Tej cholernej „Dziewicy z Kent”. Moja żona była niegdyś dziewczicą z Kent.

- Już nie jest, do licha, już nie jest.

- Już nie jest. Właśnie dlatego muszę być w domu o tej zasmarkanej dwudziestej pierwszej.

- Zazdrosna, do licha.

- Nie. Głodna.

- Nigdy nie kochałam mężczyzny słabego - powiedziała ciotka. - Twój ojciec nie był słaby... był leniwy. Jego zdaniem nic nie było warte walki. Nie walczyłyby nawet o Kleopatę, tylko znalazłyby jakiś inny sposób. Nie tak jak Antoniusz. Zdumiewa mnie fakt, że on w ogóle zdecydował się wypuścić aż do Boulogne.

- Może w interesach.

- Wysłałby swojego współnika. Otóż jego współnik... William Curlew się nazywał... był niezwykle słaby. Zawiść w nim wzbudzały romansiki twojego ojca, kiedy jemu z dostatecznym trudem przychodziło zaspokajanie jednej kobiety. Ogromnie nad tym bolał, ponieważ jego żona była doprawdy bez zarzutu. Miła, pracowita, dobrodusznna... trochę wymagająca, ale chyba inny mężczyzna uznałby i to za jej walor. Twój ojciec, obdarzony większą wyobraźnią, niż na ogół ludzie przypuszczali i niż twoja matka zdawała sobie z tego sprawę, obmyślił plan dla Williama, skoro ten niezłomnie trwał w przekonaniu, że kobiety doskonałej nie można rzucić, tylko należy zostać przez nią rzuconym. Otóż William miał sam pisać do żony anonimy i oskarżać w nich siebie o wiarołomstwo. Listy takie posłużyłyby czterem celom. Byłyby puklerzem dla jego próżności, rozsądnym i logicznym wytłumaczeniem, dlaczego on tak niemrawo okazuje względy żonie, a także nadwątleniem jej doskonałości i może nawet doprowadziłyby w rezultacie do rozwodu, pozwalając mu zachować męski honor (bo oczywiście nie chciałby niczemu zaprzeczać). Twój ojciec ułożył pierwszy z tych listów, William przepisał go kiepsko na własnej maszynie i włożył do takiej

żółtej koperty, w jakiej zwykle wysyłał rachunki (to był błąd). List brzmiał następująco: „Małżonek Szanownej Pani jest haniebnym kłamczuchem i podłym wszetecznikiem. Proszę go zapytać, jak on spędza wieczory, kiedy Pani udziela się w Organizacji Kobiet, i na co on przepuszcza pieniądze. Od tego, co Pani zaoszczędza na gospodarstwie domowym, pęczniejże zarękać innej kobiety”. Twój ojciec lubił słowa przestarzałe... pod wpływem Waltera Scotta.

Tamtego wieczora, kiedy ów list przyszedł, u państwa Curlew miało być przyjęcie. Pani Curlew zajęta poprawianiem poduszek na kanapach, zobaczyła tę żółtą kopertę, pomyślała, że to jakiś rachunek, i odłożyła na stolik, dokładnie jej nie oglądając. Możesz sobie wyobrazić niepokój biednego Williama. Znałam go dobrze w tamtych czasach, co więcej, byłam razem z twoimi rodzicami na tym przyjęciu. Twój ojciec miał nadzieję, że będzie świadkiem zaplanowanej katastrofy, cóż kiedy nadeszła pora odejścia i już nie mógł dłużej zostać pod pretekstem rozmowy o interesach przedsiębiorstwa, a koperta nadal leżała zaklejona. Szczegółów tego wydarzenia musiał więc dowiedzieć się od Williama później.

Melany... takie niemądre miała imię... sprzątała kieliszki, kiedy William znalazł tę żółtą kopertę pod którymś stolikiem.

„Czy to do ciebie kochanie?” - zapytał, a ona odpowiedziała, że to tylko rachunek za coś.

„Nawet rachunek należy przeczytać” - powiedział William i wręczył jej tę kopertę. A potem poszedł na górę, żeby się ogolić. Ona nigdy nie nalegała, żeby golił się przed kolacją, ale niedwuznacznie dawała do zrozumienia, że w nocy woli go z policzkami gładkimi. Skórę miała bardzo delikatną (cudzoziemcy zawsze mówili, że ma cerę typowo angielską). William zostawił drzwi łazienki odemknięte i zobaczył, jak ona kładzie żółtą kopertę na toaletce, nadal zaklejoną. Zaciął się aż w trzech miejscach w napięciu oczekiwania i musiał tamponikami z waty tamować krew.

Jeden z tych mężczyzn, którzy rozmawiali przy kontuarze, przeczłapał z psem obok naszego stolika.

- No, prędzej draniu - ciągnąc smycz powiedział zniechęcony.

- Z powrotem do dziewicy z Kent - dokuczał mu od kontuaru drugi.

Zacząłem już rozpoznawać ów błysk w oczach ciotki Augusty. Tak błyszczały jej oczy wtedy w Brighton, kiedy mi opowiadała historię kościoła dla psów, potem w Paryżu, kiedy wspominała swój romans z monsieur Dambreuse, potem w Orient Expressie, kiedy

opisywała ucieczkę pana Viscontiego... Teraz pasjonowała się znowu. Jestem pewny, że mój ojciec - wielbiciel Waltera Scotta - nie potrafiłby opowiedzieć dziejów państwa Curlew nawet w połowie tak dramatycznie, byłoby w jego opowieści mniej dialogów, więcej opisów.

- William - ciągnęła ciotka - wrócił z łazienki, położył się w ogromnym małżeńskim łożu, które Melany sama wybrała w magazynie mebli. Tak bardzo był zniecierpliwiony, że nawet książki nie wziął, żeby trochę poczytać przed snem. Chciał, żeby przesilenie nastąpiło natychmiast. „Ja też zaraz się położę, kochanie” - powiedziała Melany zajęta nakładaniem na twarz kremu Pond's, który wołała od wszelkich nowych preparatów ze względu na swoją staroświecką cerę.

„Czy to jakiś niedobry rachunek?” - zapytał William.

„Rachunek?”

„Ten żółty”.

„Aha, ten. Nie otworzyłam go jeszcze”.

„Znowu ci zginie, jeżeli o nim zapomnisz”.

„To najlepsze, żeby rachunki ginęły, prawda?” - powiedziała Melany dobrodusznie, ale te słowa zadawały kłam jej naturze, bo ona nigdy nie dopuszczała do tego, by którykolwiek dostawca czekał na pieniądze od niej i nigdy nie pozwalała żadnemu przedłużać jej miesięcznego kredytu. No więc teraz wytarła palce zatłuszczone kremem i otworzyła tę żółtą kopertę. Początek listu wybity nierówno na maszynie brzmiał jak ci już mówiłam: „Małżonek Szanownej Pani...”

„Nie - powiedziała - nie jest zły. Tyle że nudny”.

I przeczytała ten list uważnie do końca... aż do podpisu: „Życzliwa z sąsiedztwa”, po czym podarła na drobne strzępki i wyrzuciła do kosza.

„Nie powinnaś niszczyć rachunków” - powiedział William.

„Parę szylingów do zapłacenia w sklepiku z gazetami. A ja już zapłaciłam dziś rano”. I Melany spojrzała na Williama: „Jesteś zawsze takim idealnym mężem, Bill” - powiedziała, podeszła i pocałowała go, a on od razu domyślił się jej intencji.

„Takie męczące było to przyjęcie” - powiedział słabo i ziewnął, żeby się wymigać.

„Oczywiście kochanie - przyznała Melany i położyła się obok niego bez słowa skargi. - Śpij smacznie - i nagle zauważyła te wszystkie tamponiki waty. - Och, moje biedactwo kochane - powiedziała - pozacinałeś się. Pozwól, że ci twoja Melany te ranki przemyje” - i przez dziesięć minut co najmniej przemywała mu twarz spirytusem, naklejała plasterki, jak



gdyby nic ważnego w jej życiu nie zaszło. - Zabawnie teraz wyglądasz - powiedziała w końcu wesoło, beztrąsko i William opowiadał twojemu ojcu, że kiedy go pocałowała w czubek nosa, wyczuł, że niebezpieczeństwo już minęło. - Kochany zabawny Bill. Wszystko mogłabym ci wybaczyć".

Właśnie wtedy William zrezygnował z wszelkiej nadziei... to była żona doskonała, żona bez skazy i twój ojciec nieraz powtarzał, że słowo „wybaczyć” dzwoni Williamowi w uszach jak ten dzwon w Newgate obwieszczający egzekucję.

- Więc on w ogóle nie uciekł? - zapytałem.

- Umarł w wiele lat później w objęciach Melany - odpowiedziała ciotka Augusta.

Skończyliśmy jeść szarlotkę w milczeniu.

## XVIII

Rano dnia następnego, szarego tak samo jak dzień poprzedni, poszedłem z ciotką Augustą przez miasto pod górę na cmentarz. Jeden ze sklepów reklamował się: DEUIL EN 24 HEURES, a przed jatką zobaczyliśmy wywieszzonego dzika. Krew z niego kapłała i na ryju miał przypiętą kartkę: „*Retenez vos morceaux pour jeudi*”, cóż kiedy czwartek nie mówił mi nic, a ciotce prawie nic.

- Dzień świętej Teresy - powiedziała odszukując tę datę w mszale, bo mszał zabrała ze sobą, zważywszy okoliczności - ale dziczyzna raczej nie wydaje się stosowna. I świętego Tomasza z Hereford, który umarł na wygnaniu w Orvieto, wątpię jednak, czy nawet Anglicy o nim słyszeli.

Przed bramą Ville Haute widniała tablica dla uczczenia „Bohatera Ruchu Oporu”.

- Polegli jakiegokolwiek armii - powiedziała ciotka - stają się automatycznie bohaterami, tak jak zmarli Kościoła stają się świętymi męczennikami. Zastanawia mnie ten święty Tomasz. Ja bym uważała, że miał naprawdę szczęście, skoro mógł umrzeć w Orvieto, a nie w Hereford. To miejscowość nieduża, kulturalna, i klimat tam znacznie, znacznie lepszy niż w Anglii, i doskonale dają jeść w restauracji na via Garibaldi. Zainteresowałem się.

- Czy ciocia rzeczywiście jest rzymską katoliczką?

Natychmiast odrzekła z powagą:

- Tak, mój drogi, tylko, że wierzę nie we wszystko, w co oni wierzą.

Odnalezienie grobu mojego ojca na tym ogromnym szarym cmentarzysku byłoby czymś takim, jak odnalezienie domu bez numeru w Camden Town, kiedy się nie zna dokładnego adresu. Dolatywał hałas pociągów wjeżdżających na wzgórze i dymy dzielnicy położonej powyżej cmentarza rozwlekły się po labiryncie grobów. Z małego sześciennego domku, jak z grobowca, wyszedł jakiś człowiek, żeby nas zaprowadzić. Niosłem wieniec, który wcześniej kupiłem, chociaż ciotka uznała, że to gest nieco przesadny.

- Te kwiaty szalenie będą rzucały się w oczy - powiedziała. - Francuzi są zwolennikami przypominania sobie o zmarłych tylko raz na rok, w Zaduszki. Zwyczaj zacny i wygodny jak przyjmowanie komunii świętej na Wielkanoc.

I faktem jest, że kwiatów, nieśmiertelników bodaj, widziałem bardzo mało, kiedy szliśmy wśród cherubinów i aniołów, i obok popiersia jakiegoś łysiego starca, być może profesora liceum, i ogromnego grobowca, gdzie chyba spoczywała „La Famille Flageollet”.

Uwagę moją przyciągnął napis angielski na jednym z pomników: „Ku pamięci ukochanego, najlepszego syna, Edwarda Rhodesa Robinsona, który zmarł w Bombaju i tamże został pochowany”. Nic jednak angielskiego nie miała w ogóle wzniesiona na jego cześć piramida. Mój ojciec chyba wolałby leżeć na cmentarzu w Anglii otoczony swojskością omszałych nagrobków, wytartych napisów i wersetów z Biblii, niż tutaj, pośród tych lśniących, wypolerowanych, czarnych płyt, których najgorsze deszcze w Boulogne nie zdołałyby nigdy zniszczyć i które, jak poszczególne gazety jednego nakładu, opatrzone były wszystkie jednakowymi nagłówkami: *A la memoire, lei repose le corps...* Jedyne urozmaicenie stanowiła niziutka niemłoda kobieta w czerni tak stojąca z głową pochyloną przy końcu jednego z długich przejść między grobami, jak gdyby samotnie zwiedzała nieuczęszczane prowincjonalne muzeum. Poza nią najwyraźniej nikogo oprócz nas nie było na tym całym bezdusznym cmentarzu.

- *Je me suis trompé* - oświadczył nasz przewodnik odwracając się raptownie i ruszył z powrotem w stronę grobu, nad którym stała ta starsza pani najwidoczniej zajęta modlitwą.

- Przedziwne! Wygląda na to, że jeszcze kogoś twój ojciec okrył żałobą - powiedziała ciotka.

I jako żywo, na płycie tego grobu leżał wieniec dwa razy większy od mojego, upleciony z kwiatów dwa razy droższych, prosto z cieplarni południa. Położyłem swój wieniec przy nim. Kwiaty zasłoniły napis. Tylko część imienia i nazwisko ojca wysuwały się jak okrzyk: „...chard Pulling” i data: „2 października, 1923 r.”

Kobieta w czerni spojrzała na nas ze zdumieniem.

- *Qui êtes vous?* - zapytała.

Akcent miała niezupełnie francuski, więc ciotka bez ogródek zapytała po angielsku:

- A kim pani jest?

- Patersonówna - padła odpowiedź z nutą trochę bojaźliwego wyzwania.

- I co ten grób ma wspólnego z panią? - zapytała ciotka.

- Odwiedzam ten grób w tym dniu już od czterdziestu lat z górą, ale panią i pana pierwszy raz widzę.

- Ma pani jakieś prawa do tego grobu? - zapytała ciotka.

Coś ją w sposobie bycia tej kobiety zirytowało - może ta bojaźliwie wojownicza mina, gdyż ona nigdy nie odnosi się szczególnie cierpliwie do ludzi słabych, choćby swoją słabość ukrywali. Nieznajoma, przyparta do muru, spróbowała walczyć.

- W życiu nie słyszałam o tym, że do grobu trzeba mieć prawa - oświadczyła.

- Za grób, tak jak za dom, ktoś przecież zapłacił.

- Ale jeśli dom jest opuszczony od lat czterdziestu, czyż nawet osoba obca nie ma prawa...?

- Kim pani jest? - powtórzyła swoje pytanie ciotka.

- Powiedziała pani. Patersonówna.

- Pani знаła mojego szwagra?

- Paninego szwagra! - wykrzyknęła panna Paterson. Popatrzyła na mój wieniec, popatrzyła na mnie, popatrzyła na ciotkę.

- A to, moja dobra kobieto, jest syn Richarda Pullinga.

W popłochu panna Paterson szepnęła:

- Rodzina! - Jak gdyby to słowo znaczyło „nieprzyjaciół”.

- A więc sama pani rozumie - rzekła ciotka - my w każdym razie pewne prawa mamy.

Mówiła szorstko. Uznałem, że czas się wtrącić.

- Uważam, że to bardzo uprzejmie z pani strony - powiedziałem - przystrajając kwiatami grób mojego ojca. Może wydaje się pani dziwne, że ja nigdy dotąd nie byłem...

- Typowe dla wszystkich - rzekła panna Paterson - dla was wszystkich. Matka pana nawet nie przyjechała na pogrzeb. Byłam tylko ja. I portier z tego hotelu. Zaczny człowiek. - Dodała ze łzami w oczach: - Deszcz padał i padał tamtego dnia. A on miał wielki parasol...

- Więc pani znała mojego ojca... Była pani tutaj...?

- Skonał lekko, lekko w moich ramionach - powiedziała panna Paterson. Miała zwyczaj powtarzania słów, jak gdyby często czytywała na głos książki dla dzieci.

- Jest okropnie zimno - przerwała ciotka Augusta. - Henry, położyłeś już swój wieniec, to ja wracam do hotelu, tutaj nie miejsce na rozmowę.

Odeszła i to było prawie jak przyznanie się do porażki, ale pomimo to usiłowała odejść ze wzgardą nie inaczej niż dog, który odwraca się tyłem do małego bezbronniego pieska, zaczepnie jazgoczącego w kącie, i udaje, że ten psiak nie wart jest jego zębów.

Powiedziałem panie Paterson:

- Wypada mi odprowadzić ciocię do hotelu. Może by pani przyszła do nas dziś po południu na herbatę? Byłem jeszcze małym chłopcem, kiedy ojciec zmarł. Prawie go nie

znałem. Powinienem być przyjechać tu wcześniej, ale wie pani, myślałem, że nikt już nie dba o takie rzeczy...

- Wiem, że jestem staromodna - powiedziała panna Paterson - tak bardzo staromodna.

- Ale przynajmniej napije się pani z nami herbaty? W „Meurice”?

- Przyjdę - oświadczyła panna Paterson z pełną przerażenia godnością. - Musi pan jednak powiedzieć cioci... ona to pańska ciocia?... że nie ma o co się na mnie obrażać. On już tak dawno nie żyje. niesprawiedliwie z jej strony być o mnie zazdrosną tylko dlatego, że ja tak bardzo boleję, tak bardzo wciąż jeszcze.

Dokładnie przekazałem ciotce to oświadczenie i ciotka się zdumiała.

- Czy ona naprawdę myśli, że ja jestem zazdrosna? Jedyne wypadek, w którym, jak pamiętam, byłam zazdrosna, dotyczył Currana i tamto doświadczenie oduczyło mnie takich głupstw raz na zawsze. Przecież wiesz, jak niewiele miałam w sobie zazdrości nawet o monsieur Dambreuse...

- Przede mną ciocia nie musi się bronić, ciociu Augusto - powiedziałem.

- A czyż ja się bronię? Tak nisko z pewnością nie upadłam. Próbuję tylko wytłumaczyć swoje nastawienie, nic poza tym. Ta kobieta wydała mi się osobą zgoła nie dorastającą do swego smutku. Nie można przecież wlać kieliszka wina do filiżanki poobiedniej kawy. Rozdrażniła mnie. I pomyśleć, że to ona była z twoim ojcem, kiedy umierał.

- Przypuszczalnie był i jakiś lekarz także.

- On by nie umarł, gdyby ona nie była taka ecie-pecie, tego jestem pewna. Twoim ojcem należało potrząsać, żeby pobudzić go do działania. Sęk jednak w tym, że Richard tak wyglądał, jak wyglądał. Był oszalamiająco przystojny. Nigdy nie musiał bodaj palcem kiwnąć, żeby zdobyć kobietę. Więc i w tych ostatnich chwilach swego życia okazał się zbyt leniwy, żeby walczyć. Gdybym ja była przy nim, dołożyłabym wszelkich starań i żyłby po dziś dzień.

- Po dziś dzień?

- Nie byłby dużo starszy od pana Viscontiego.

- Pomimo to niech ciocia będzie dla niej miła, ciociu Augusto.

- Będę słodka jak cukierek - obiecała ciotka.

I w tamto popołudnie widziałem, że ona rzeczywiście ukrywa irytację wobec zmanierowania panny Paterson przejawiającego się nie tylko w tym, że ta pani powtarzała

słowa. Miała, na przykład, tik nerwowy w prawej nodze (za pierwszym razem, kiedy jej noga podskoczyła, naprawdę myślałem, że ciotka Augusta ją kopnęła), a kiedy chwilami milczała zamyślona, zęby zaczynały jej klekotać, jak gdyby bawiła się sztucznymi szczękami podważając je koniuszkiem języka. Podwieczorek podano nam w pokoju ciotki, gdyż w tym sześciennym miniaturowym drapaczu chmur, stojącym między dwiema identycznymi miniaturami na nabrzeżu, nie było odpowiedniej po temu sali.

- Musi nam pani darować - powiedziała ciotka - ale oni mają tylko indyjską Liptona.

- Ależ ja lubię Liptona - powiedziała panna Paterson - z jedną maleńką, maleńką kostką cukru.

- Przyjechała pani przez Calais? - zagaiła ciotka towarzyską rozmowę. - Myśmy właśnie tamtędy przyjechali wczoraj. Czy może pani promem?

- Och, nie - odrzekła panna Paterson - widzi pani, ja jestem tutejsza, zawsze tutaj mieszkałam, ściślej mówiąc - odkąd Richard umarł. - W popłochu zerknęła na mnie i poprawiła się: - Pan Pulling, chciałam powiedzieć.

- Nawet w czasie wojny? - zapytała ciotka z odrobiną podejrzliwości w głosie. Przyszło mi na myśl, że byłaby rada, gdyby natrafiła w nieskazitelnosci panny Paterson jednak na jakąś skazę, bodaj tylko na drobne przekręcenie faktów.

- To był okres pewnych wyrzeczeń - odrzekła panna Paterson. - Mnie, być może, to bombardowanie wydawało się mniej straszne, ponieważ musiałam myśleć o swoich dzieciach.

- O swoich dzieciach? - wykrzyknęła ciotka. - Chyba Richarda...

- Och, nie, nie, nie - zapewniła panna Paterson. - Mówię tylko o tych dzieciach, które uczyłam. Uczyłam angielskiego w miejscowym liceum.

- Niemcy pani nie internowali?

- Ludzie tutaj byli dla mnie bardzo dobrzy. Chronili mnie. Burmistrz postarał się dla mnie o kennkartę.

- Noga znów pannie Paterson podskoczyła. - Po wojnie nawet dali mi medal.

- Medal za nauczanie angielskiego? - zapytała ciotka z niedowierzaniem.

- I za inne rzeczy - odrzekła panna Paterson. Usiadła wygodniej na swoim krześle i zęby znów jej klekotały. Myślami błądziła daleko.

- Niech mi pani opowie o moim ojcu - poprosiłem. - Co przywiodło go do Boulogne?

- Chciał mi urządzić wakacje - odrzekła panna Paterson. - Martwił się stanem mojego zdrowia. Uznał, że potrzebuję morskiego powietrza. - Ciotka dzwoniła łyżeczką w

filizance, więc zląkłem się, czy już nie traci cierpliwości. - Takie wakacje jednodniowe, wie pan. Wsiadliśmy na prom, tak jak państwo, do Calais, bo on chciał mi pokazać, jaką drogę przebyli ci mieszczenie po upadku miasta w tysiąc trzysta czterdziestym siódmym, i z Calais przyjechaliśmy tu już autobusem, żeby zobaczyć kolumnę Napoleona... on właśnie czytał biografię Napoleona pióra sir Waltera Scotta... i wtedy się okazało, że nie ma promu powrotnego z Boulogne.

- Pewnie był tym zaskoczony? - W głosie ciotki brzmiała ironia wyraźna dla mnie, ale nie dla panny Paterson.

- Tak - odrzekła panna Paterson - bardzo mnie przepraszał za swoją nieopatrzność. Jednakże znaleźliśmy dwa czyste pokoje w małej, małej gospodzie na placu przy merostwie.

- Zakładam, że pokoje sąsiadujące ze sobą - powiedziała ciotka. Nie mogłem pojąć, dlaczego jest taka surowa.

- Tak - odrzekła panna Paterson - bo ja się bałam.

- Czego?

- Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam za granicę i pan Pulling także nie. Musiałam być tłumaczką dla nas obojga.

- Znała pani język francuski?

- Ukończyłam kurs Berlitz.

Odezwałem się:

- Proszę nie mieć mi za złe mojego zainteresowania, panno Paterson. Ale pani rozumie, nie znam żadnych szczegółów śmierci ojca... matka nigdy mi o tym nie mówiła. Zawsze zamykała mnie w pokoju na górze, kiedy tylko zaczynałem zadawać pytania. Powiedziała mi, że ojciec zmarł w czasie podróży w interesach, i jakoś zawsze przyjmowałem, że to się stało w Wolverhampton... on często jeździł do Wolverhampton.

- Tak, proszę. Odrobineczkę słabszą, jeżeli to nie sprawi kłopotu. Poznaliśmy się na dachu autobusu czterdzieści dziewięć.

Ręka ciotki z kostką cukru w szczypczykach znieruchomiła nad filiżanką.

- Autobus czterdzieści dziewięć?

- Tak, bo pani rozumie, słyszałam, co mówił, kiedy wykupywał bilet, a potem zobaczyłam, że chociaż to już jego przystanek, on smacznie śpi, więc obudziłam go, ale było już za późno. Bo to był przystanek tylko na żądanie. On był mi bardzo wdzięczny i pojechał ze mną aż do magistratu w Chelsea. Miałam wtedy pokój na niskim parterze na Oakley

Street i on od przystanku odprowadził mnie do domu. Pamiętam to tak żywo, jakby działo się nie dawniej jak wczoraj. Stwierdziliśmy, że wiele mamy ze sobą wspólnego. - Noga jej znów podskoczyła.

- To mnie zdumiewa - rzekła ciotka.

- Och, jakżeśmy rozmawiali tamtego dnia!

- O czym?

- Chyba głównie o sir Walterze Scotcie. Znałam „Marmion” i niewiele poza tym, ale on znał wszystko, co sir Walter Scott kiedykolwiek napisał. Potrafił cytować... miał cudowną pamięć do poezji. - I panna Paterson zadeklamowała szeptem, jak gdyby dla samej siebie:

*Gdzież ziemia przyjmie sprzeniewiercę,  
Tego, co ufność kradł,  
Co podbić mógł dziewicy serce,  
Uwieść ją i opuścić świat?  
W ogniu ostatniej z bitew...*

- Więc tak to wszystko się zaczęło - przerwała ciotka tonem pełnym zniecierpliwienia. - I tego sprzeniewiercę ziemia przyjęła w Boulogne.

Panna Paterson aż skrzyła się na krześle, przy czym noga jej podskoczyła bardzo wysoko.

- Nic się nie zaczęło... w taki sposób, jak pani myśli - sprostowała. - W nocy usłyszałam stukanie do drzwi i jego wołanie: Laleczko!"

- Laleczko! - powtórzyła ciotka z niesmakiem, jak gdyby to było słowo niecenzuralne.

- Tak. Tak właśnie mnie nazywał. Chociaż mam na imię Dorothy.

- Drzwi pani oczywiście były zamknięte na klucz.

- Nic podobnego. Ufałam mu bez zastrzeżeń. I powiedziałam, żeby wszedł. Wiedziałam, że on by mnie nie budził z błahych powodów.

- Z pewnością jego powodów nie określiłabym przymiotnikiem „błaha” - powiedziała ciotka. I co dalej?

Ale panna Paterson znów błędziła myślami daleko i zęby jej klekotały, klekotały. Już ze łzami w oczach wpatrywała się w coś, czego myśmy nie mogli zobaczyć. Położyłam rękę na jej ramieniu.



- Panno Paterson - powiedziałem - proszę już nie mówić o tym nic więcej, jeżeli to panią boli. - Miałem pretensję do ciotki, której twarz teraz wyglądała jak owe oblicza królów na monetach.

Panna Paterson skierowała wzrok ku mnie i mogłem śledzić, jak myśli jej powracają z tych dawnych czasów.

- Wszedł - dokończyła - i szepnął: - „Laleczko, moje kochanie” i upadł na podłogę. Przysiadłam obok niego i wzięłam jego biedną głowę na kolana, a on już się nie odezwał. I nigdy się nie dowiedziałam, po co przyszedł i co chciał mi powiedzieć.

- Ja się domyślałam - rzekła ciotka Augusta.

I znów panna Paterson skręciła się i odskoczyła jak sprężyna. Smutny był widok tych dwóch starszych pań mających ze sobą na pieńku z powodu czegoś, co stało się przed tyloma laty.

- Oby pani miała rację - powiedziała panna Paterson. - Wiem doskonale, co pani myśli, i mam nadzieję, że tak właśnie było. Bez wahania i bez żalu zrobiłabym wszystko, czegokolwiek on by ode mnie zażądał. I nigdy już nie pokochałam żadnego innego mężczyzny.

- Wydaje mi się, że jego nawet nie zdążyła pani pokochać - wycedziła ciotka.

- Tu jednak pani zupełnie, zupełnie się myli. Może dlatego, że pani nie wie, co to jest miłość. Pokochałam go już w chwili, kiedy wysiadł z autobusu na przystanku przy magistracie w Chelsea i kocham go jeszcze dzisiaj. Po jego śmierci zrobiłam dla niego wszystko... wszystko... przecież nikogo innego nie było, kto by pomógł mojemu kochanemu biedakowi... jego żona nie przyjechała.

Konieczna była sekcja, więc ona napisała do władz, żeby go pochowano w Boulogne... nie chciała jego biednego, biednego pokrajanego ciała. Więc byłam tylko ja i ten portier...

- Z pewnością jest pani bardzo stała w uczuciach - przyznała ciotka, wcale to jednak nie zabrzmiało jak komplement.

- Już nigdy nikt nie nazywał mnie tak jak on „Laleczka” - powiedziała panna Paterson - ale w czasie wojny, kiedy musiałam zmienić imię i nazwisko, pozwoiliłam nazywać się Poupee, tak samo laleczka, tyle że po francusku.

- Dlaczego, na Boga, musiała pani zmienić imię i nazwisko? - zapytała ciotka.

- To były niespokojne czasy - odrzekła panna Paterson i zaczęła rozglądać się za swoimi rękawiczkami.

Oburzył mnie sposób, w jaki ciotka zachowywała się wobec panny Paterson i gniew pełgał jeszcze we mnie, kiedy we dwoje szliśmy na kolację po raz drugi i ostatni do restauracji tego opuszczonego dworca. Wesołe, schłostane falami kutry rybackie kołysały się przy moło, każdy z jakimś nabożnym napisem na mostku: *Dieu benit la familie* i *Dieu a hien fait* aż się zastanowiłem, czy takie dewizy mogą być pociechą w czasie szalejącej nad Kanałem wichury. Wszędzie unosił się ten sam zapach oleju i ryb, i ten sam pociąg z Lyonu przybył nie wyczekiwany przez nikogo, i w restauracji stał przy kontuarze ten sam skwaszony Anglik z tym samym kompanem i tym samym psem - przy czym jego obecność sprawiała, że sala wydawała się tym bardziej pusta, jak gdyby tam nigdy nie przychodzili żadni inni goście. Ciotka stwierdziła:

- Jesteś jakiś milczący, Henry.

- Mnóstwo mam do przemyślenia - odpowiedziałem.

- Wyraźnie czymś cię ujęła ta nieszczęsna kobiecina - powiedziała ciotka z pretensją.

- Wzruszyło mnie spotkanie z osobą, która kochała mojego ojca.

- Bardzo wiele kobiet go kochało.

- Mówię o kobiecie, która kochała go naprawdę.

- To czułościowe nieboże? Przecież ona nie wie, co to jest miłość.

- A ciocia wie? - zapytałem, już nie kryjąc gniewu.

- Myślę, że chyba więcej niż ty mam doświadczenia w tym względzie - odparła ciotka spokojnie, z rozmyślnym okrucieństwem.

To była prawda - nawet nie odpisałem pannie Keene na jej ostatni list. Ciotka siedziała nad swoją solą naprzeciw mnie wyraźnie zadowolona. Jadła krewetki podane do tej ryby, jedną po drugiej, zanim zabrała się do samej soli; wołała nie łączyć dwóch smaków i przecież jej się nie spieszyło.

Może nie bez powodu gardziła panną Paterson. Pomyślałem o Curranie i o monsieur Dambreuse, i o panu Viscontim - ci ludzie żyli w mojej wyobraźni tak, jakby rzeczywiście sama ich stworzyła, nawet biedny stryjek Jo, mozolnie raczkujący do klozetu, stał się niejako jej tworem. Ona była życiodawczynią. Nawet pannę Paterson ożywiła ukłuciami swych okrutnych pytań. Może, gdyby kiedykolwiek rozmawiała z kimś o mnie - potrafiłem doskonale wyobrazić sobie, jaką historię by opowiedziała o moich daliach, o moim niemądrym uczuciu dla Tooley i o mojej nieskazitelnej przeszłości - nawet ja zostałbym wtedy powołany do jakiegoś życia, przy czym nakreśliłaby sylwetkę - nie wątpiłem w to - znacznie żywszą niż ja prawdziwy. Daremnie byłoby uskarżać się na jej okrucieństwo.

Kiedyś czytałem w jakiejś książce o Dickensie, że pisarz nie powinien przywiązywać się do stworzonych przez siebie postaci, powinien traktować je bez litości. W samym akcie tworzenia zawsze chyba jest straszny egoizm. Tak więc żona i kochanka Dickensa musiały cierpieć po to, by Dickens mógł tworzyć swoje powieści i swój majątek. Dobrze przynajmniej, że pieniędzy dyrektora banku nie może tak skazić egotyzm. Ten zawód nie prowadzi do destrukcji. Dyrektor banku nie pozostawia za sobą śladów, jakimi są osoby umęczone. Gdzie teraz jest Curran? Czy bodaj Wordsworth jeszcze żyje?

- Czy ja ci kiedy opowiadałam - zapytała ciotka - o człowieku, który nazywał się Charles Pottifer? Na swój sposób on się uczeplił nieboszczyka tak gorączkowo jak ta twoja panna Paterson. Tylko że w jego wypadku nieboszczykiem był on sam.

- Nie dzisiaj, ciociu - poprosiłem. - Opowieść o śmierci ojca wystarczy jak na jeden dzień.

- I ona w dodatku opowiada dosyć dobrze - przyznała ciotka - chociaż myślę, że ja, mając taką okazję jak ona, opowiedziałabym to o wiele lepiej. Ale ostrzegam cię... nadejdzie dzień, w którym pożałujesz, że nie chciałeś wysłuchać historii, którą chcę ci opowiedzieć teraz.

- Jakiej historii? - zapytałem myśląc o ojcu.

- Charlesa Pottifera, oczywiście - odpowiedziała ciotka.

- Innym razem, ciociu.

- Mylisz się, pokładając taką ufność w istnienie innego razu - rzekła ciotka i zażądała rachunku tak głośno, że aż pies przy barze jej odszczekał.

## XIX

Myślałem, że ciotka zamierza wrócić ze mną promem kolejowym do Anglii. Powiedziała mi jednak przy śniadaniu, że jedzie pociągiem do Paryża.

- Są sprawy, które muszę załatwić - wyjaśniła.

Przypomniałem sobie jej ostrzeżenie z poprzedniego wieczora i zastanowiłem się - zgoła bez racji, jak się okazało - czy ona przypadkiem nie przeczuwa, że wkrótce umrze.

- Życzy sobie ciocia, żebym jej towarzyszył? - zapytałem.

- Nie - odrzekła. - Sądząc z tego, jak ze mną rozmawiałeś wczoraj wieczorem, myślę, że na jakiś czas masz dosyć mojego towarzystwa.

Najwidoczniej głęboko ją uraziłem nie chcąc wysłuchać historii człowieka, który się nazywał Charles Pottifer.

Odprowadziłem ją na dworzec i pożegnała mnie najzimniejszym z zimnych cmoknięciem w policzek.

- Nie chciałem cioci obrazić, ciociu Augusto - zapewniłem.

- Jesteś bardziej podobny do swojego ojca niż do swojej matki. On nie wierzył, że jakakolwiek historia może być interesująca z wyjątkiem tych w książkach Waltera Scotta.

- A moja prawdziwa matka? - zapytałem szybko z nadzieją, że może wreszcie to będzie jakiś trop.

- Na próżno starała się przeczytać „Rob Roya”. Kochała twojego ojca szalenie, więc zależało jej na tym, żeby mu zrobić przyjemność, ale „Rob Roy” przekraczał jej możliwości.

- Dlaczego nie została jego żoną?

- Ze swoim usposobieniem nie mogłaby żyć w Highgate. Przed odejściem bądź łaskaw kupić mi „Figaro”.

Kiedy wróciłem z kiosku, dała mi klucze do swego mieszkania.

- Wyjeżdżam na długo - powiedziała. - Może będę chciała, żebyś mi coś przysłał albo po prostu zajrzał tam, czy wszystko jest w porządku. Napiszę do gospodarza, że masz klucze.

Wróciłem do Londynu promem kolejowym. Dwa dni przedtem z okna tego samego pociągu patrzyłem na rozległą wzdłuż toru Anglię złocistą - teraz krajobraz był zupełnie inny: Anglia zszarzała, wilgotna i zimna jak cmentarz, kiedy pociąg włókł się z Dover w

stronę Charing Cross pod siąpiącym deszczem. Jedno okno nie dało się zamknąć, więc woda spływała do przedziału tworząc coraz większą kałużę, ogrzewania nie włączono. W przeciwległym kącie jakaś kobieta kichała raz po raz, a ja usiłowałem czytać „Daily Telegraph”. Rozpoczął się, w myśl zapowiedzi, strajk mechaników i przemysł samochodowy jest poważnie zagrożony wskutek wstrzymania produkcji gum do wycieraczek samochodowych w jednej z kluczowych fabryk tego przemysłu. Samochody we wszystkich fabrykach przemysłu samochodowego czekają na taśmach produkcyjnych na wycieraczki do szyb. Eksport zmałał, kurs funta spadł.

Doszedłem w tej lekturze do „Wiadomości z sądu” i w końcu do „Nekrologów”, ale też niezbyt ciekawych. Na ich skromnym tle ktoś, kto nazywał się sir Oswald Newman, zmarły w wieku lat siedemdziesięciu dwóch, był nieboszczykiem gwiazdorem. Służył ojczyźnie jako stały sekretarz w Ministerstwie Robót Publicznych i po przejściu na emeryturę w latach pięćdziesiątych zajął stanowisko głównego arbitra w jakimś sporze budowlanym. W roku 1928 poślubił Rose Urquhart, z którą miał trzech synów, i to właśnie ona była w nekrologu tą wdową. Jego najstarszy syn jest obecnie sekretarzem Międzynarodowego Związku Pośredników Sprzedaży Urządzeń Ciepłych i posiadaczem Orderu Imperium Brytyjskiego.

Pomyślałem o ojcu, jak szeptał: „Laleczko, moje kochanie” przed śmiercią na podłodze w tym hoteliku w Haute Ville - śmiercią zbyt wczesną, by mógł poznać sir Oswalda Newmana w czasie owego sporu budowlanego, który zresztą nie obchodziłby go chyba wiele. Bo ojciec zawsze żył w zgodzie ze swoimi robotnikami - tak mówiła matka. Lenistwo idzie często w parze z dobroduszością. Zawsze dawał premie na Boże Narodzenie i nigdy nie miał chęci się targować, kiedy żądano podwyżki o pensa za godzinę. Wyglądając przez okno pociągu widziałem w zadymionym deszczu nie sir Oswalda Newmana, tylko grób mojego ojca i pannę Paterson rozmodloną nad grobem, i zazdrościłem ojcu owej niewytłumaczalnej zdolności wzbudzania ognia w kobiecych sercach. Czy Rosa Newman kochała tak serdecznie sir Oswalda i swego syna, tego odznaczonego Orderem Imperium?

Aż znalazłem się pod własnymi drzwiami, otworzyłem je i wszedłem do domu. Nie było mnie tylko przez dwie doby, ale dom jak zaborcza kobieta przybrał teatralne pozory opuszczenia. Kurz jesienny nzbierał się szybko, pomimo że okna zostawiłem szczelnie pozamykane. Znałem dobrze kolejność moich zwykłych po przyjeździe czynności: telefon do „Kurczaka”, złożenie wizyty daliom, jeżeli przestanie padać. Może major Charge odezwie się do mnie z za żywopłotu. „Laleczko, moje kochanie” - szepnęła ojciec umierając w

małym hoteliku, kiedy ja leżałem w pokoju dzieciennym w Highgate mając lampkę nocną przy łóżeczku, żeby jej światło odpędzało lęk, jaki zawsze mnie ogarniał, kiedy matka - czy to była moja macocha? - już cmoknęła mnie na dobranoc. Bałem się włamywaczy i hinduskich dusicieli, i węży, i pożaru, i Kuby Rozpruwacza, a przecież jeśli czegoś powinienem był się bać, to trzydziestu lat pracy w banku i przedwczesnego przejścia na emeryturę i dali Deuil du Roy Albert.

Minał miesiąc i nie otrzymałem żadnych wiadomości od ciotki Augusty. Dzwoniłem do jej mieszkania kilka razy, ale telefonu nikt nie odbierał. Usiłowałem zainteresować się powieściami Thackeraya, nie było w nich jednak bezpośredniości, jaka charakteryzowała wszystkie opowiadania ciotki. Zgodnie z jej przewidywaniem zacząłem już nawet żałować, że nie chciałem wysłuchać historii Charlesa Pottifera. Leżąc bezsennie bądź czekając w kuchni, żeby woda się zagotowała, bądź nawet wtedy, gdy upuszczałem „Rodzinę Newcome'ów” z rąk na kolana i musiałem później odszukiwać czytaną stronicę - przyłapywałem się na tym, że teraz żyję wspomnieniami o Curranie, monsieur Dambreuse i panu Viscontim. Oni zaludniali moje osamotnienie. Po sześciu tygodniach brak wiadomości napawał mnie obawą, czy ciotka, podobnie jak mój ojciec, nie umarła gdzieś w obcym kraju. Nawet zatelefonowałem do St. James i Albany - po raz pierwszy, odkąd przestałem pracować w banku, zatelefonowałem za granicę. Mówiąc przez telefon po francusku zdenerwowany byłem moją kiepską francuszczyzną w dwójnasób, jak gdyby mikrofon powiększał językowe błędy. W recepcji powiedziano mi, że ciotka już nie mieszka w tym hotelu - trzy tygodnie temu wyjechała do Cherbourga.

- Do Cherbourga?

- Pociągiem bezpośrednim do portu - padła odpowiedź i połączenie przerwano, zanim zdążyłem zapytać, którym pociągiem.

Zląkłem się, że ciotka na dobre mnie opuściła. Wkroczyła w moje życie tylko po to, by wywołać w nim zamęt. Już straciłem serce do dali. Kiedy chwasty się rozpleniły, kusilo mnie, żeby je zostawić. W nadziei ewentualnego urozmaicenia zgodziłem się, zaproszony przez majora Charge, pójść na zebranie polityczne. Okazało się, że to zebranie Lojalistów Imperium Brytyjskiego. Wtedy pojąłem, dlaczego ta organizacja przysłała mi broszurki, major Charge najwidoczniej podał jej mój adres. Zobaczyłem tam kilku moich dawnych klientów, wśród nich kontradmirała, i po raz pierwszy rad byłem z tego, że przeszedłem na emeryturę. Nie oczekuje się od dyrektora banku, żeby wyznawał zdecydowanie jakieś poglądy polityczne, a cóż dopiero poglądy polityczne dosyć ekstrawaganckie, jakże więc szybko plotki o mojej bytności na tym zebraniu krążyłyby po całym Southwood. Już i tak

moi dawni klienci, jeśli w ogóle na mnie patrzyli, to z minami zaintrygowanymi, być może niepewni, skąd mnie znają i przy jakich mnie spotykali okazjach. Podobnie jak kelner w swój dzień wolny od pracy, nie zostałem właściwie przez nikogo rozpoznany. Dziwna to sytuacja, kiedy jeszcze nie tak dawno płynąłem w samym nurcie życia Southwood. Późnym wieczorem, po powrocie z zebrania, w zaciszu mojej sypialni, wydawało mi się, że jestem duchem przezroczystym jak woda, nawiedzającym swój ziemski dom. Że Curran jest bardziej żywy niż ja. Nieomal zdumiał mnie fakt, że widzę własne rzeczywiste odbicie w lustrze.

Być może, właśnie po to, by samemu sobie udowodnić realność mojego istnienia, zacząłem pisać list do panny Keene. Kilka razy go pisałem na brudno, zanim z licznymi poprawkami przepisałem na czysto, toteż brudnopis, który przeczytałem tutaj, różni się w wielu drobnych szczegółach od listu, który wysłałem.

„Droga panno Keene” - czytam w tym brudnopisie, ale na czysto woląłem zacząć od „Szanowna”, żeby nie zostać posądzonym o spoufalenie, do jakiego ani ona mnie nigdy nie upoważniła, ani ja nigdy bym sobie nie uzurpował prawa.

„Szanowna panno Keene, szczerze przygnębia mnie to, że nie czuje się Pani należycie swojsko w swoim nowym domu pod Koffiefontein, chociaż oczywiście nie mogę nie cieszyć się trochę (w późniejszych brudnopisach zmieniłem to na „nie możemy”), że czasem myślami Pani powraca do naszego spokojnego Southwood. Nigdy nie miałem tak zacnego przyjaciela jak ojciec Pani i często wspominam tamte przyjemne wieczory, gdy sir Alfred siedząc pod Van de Veldem gościnnie mnie podejmował i kończyliśmy pić wino, a Pani siedziała zajęta robótką. (To ostatnie zdanie wykreśliłem z następnego brudnopisu - za dużo w nim było wzruszenia prawie nie ukrywanego). Ja w zeszłym miesiącu wiodłem życie dosyć niezwykle, przeważnie w towarzystwie ciotki mojej, o której już Pani pisałem. Pojechaliliśmy nawet we dwoje aż do Stambułu, gdzie spore rozczarowanie sprawiła mi słynna Hagia Sophia. Pani mogę się zwierzyć - jakkolwiek ciotce zwierzyć bym się z tego nie mógł - że po stokroć wolę nasz kościół Świętego Jana z uwagi na panujący w nim nastrój religijny, i rad jestem, że nasz proboszcz nie uważa za konieczne wzywać wiernych do modlitwy płytą gramofonową, tak jak się to praktykuje w minaretach. Na początku października oboje pojechaliliśmy na grób mojego ojca. Chyba nigdy Pani nie mówiłem (bo zaiste sam dowiedziałem się o tym niedawno), że ojciec mój umarł i został pochowany w Boulogne wskutek dziwnego powiązania okoliczności, o których za długo musiałbym pisać w liście niniejszym. Ogromnie żałuję, że nie ma Pani tu w Southwood, gdzie mógłbym Jej o wszystkim spokojnie i dokładnie opowiedzieć”. To zdanie też wykreśliłem z brudnopisu,

uważając, że tak będzie roztropniej. „Czytam w tej chwili „Rodzinę Newcome'ów”, ale powieść ta nie podoba mi się tak bardzo, jak podoba mi się „Esmond”. Może dlatego, że dochodzi do głosu romantyk drzemiący we mnie. Od czasu do czasu otwieram też Palgrave'a i wczytuję się w moich dawnych ulubieńców -pisałem dalej, poczuwając się jednak do pewnej obłudy. - Te książki są dobrą odtrutką na podróże zagraniczne, a także przypieczętowaniem atmosfery Anglii, którą kocham, a przecież chwilami sam już nie wiem, czy Anglia wciąż jeszcze istnieje za żywopłotem mojego ogrodu i za uliczką Kościelną. Wtedy właśnie pojmuję, o ile trudniej musi być Pani tam pod Koffiefontein zachować posmak przeszłości. Natomiast przyszłość tutaj jakoś nie ma dla mnie żadnego smaku w ogóle; jest jak potrawa w jadłospisie mającym na celu tylko pozbawienie człowieka apetytu. Gdyby Pani kiedykolwiek wróciła do Anglii...” - tego jednak zdania nie dokończyłem, a teraz już nie pamiętam, jak dokończyć je zamierzałem.

Nadchodziło Boże Narodzenie, a od ciotki nadal nie miałem żadnych wiadomości, nawet kartki z życzeniami Wesołych Świąt. Naturalnie życzenia dostałem z Koffiefontein na pocztówce dosyć nieprawdopodobnej, przedstawiającej jakiś stary kościół widoczny za polem śniegu, jak również życzenia od majora Charge na pocztówce przedstawiającej akwarium ze złotymi rybkami, którym pokarm sypie święty Mikołaj; kartkę tę major Charge doręczył mi osobiście, żeby nie wydawać na znaczek pocztowy. Z miejscowego domu towarowego dostałem kalendarz ścienny, nobliwy, bo każdy miesiąc zdobiła fotografia innego dzieła sztuki brytyjskiej, i utrzymany w barwach tak jaskrawych i połyskliwych, jak gdyby wyprano ten kalendarz w Orno, a dnia 23 grudnia listonosz przyniósł mi dużą kopertę, i kiedy otworzyłem ją przy śniadaniu, wyleciało mi na talerz mnóstwo srebrnego szychu tak, że już nie mogłem zjeść tej osrebrzonej marmolady. Szych opadł z wieży Eiffla, na którą wdrapywał się święty Mikołaj z workiem na ramieniu. Poniżej był wydrukowany napis *Meilleurs voeux*, a pod tym napisem tylko nazwisko nagryzmołone drukowanymi literami: „Wordsworth”. Prawdopodobnie widział się on z ciotką Augustą w Paryżu, bo inaczej, skąd by miał mój adres? Dawniej w banku zawsze wysyłałem urzędowe życzenia Wesołych Świąt Bożego Narodzenia do moich najlepszych klientów, przy czym na wierzchu tych kartoników widniał znak firmowy banku, a wewnątrz była fotografia centrali w Cheapside bądź członków zarządu. Teraz, odkąd przeszedłem na emeryturę, do niewielu osób wysyłam karty okolicznościowe: do panny Keene oczywiście, do majora Charge siłą rzeczy. Ponadto do mojego lekarza, do mojego dentysty, do proboszcza parafii Świętego Jana i do mojego dawnego głównego kasjera, który już został dyrektorem filii w Nottingham.



Rok temu moja matka przybyła do mnie na wieczerzę wigilijną i bez pomocy „Kurczaka” zupełnie dobrze pod jej kierunkiem upiekłem indyczkę, po czym siedzieliśmy prawie nic nie mówiąc, jak nieznajomi w wagonie restauracyjnym i czuliśmy oboje, że zjedliśmy stanowczo za dużo, aż wybiła godzina dziesiąta i matka pożegnała mnie, żeby powrócić do swego domu. Później dorocznym zwyczajem byłem na nocnym nabożeństwie z kolędami w kościele Świętego Jana. Ale w tym roku, ponieważ nie chciało mi się gotować uroczystej kolacji wyłącznie dla siebie, zamówiłem stół w restauracji „Opactwo” przy Latimer Road. Okazało się, że popełniłem błąd. Nie wiedziałem, że oni tam obmyślili specjalne menu z indykiem, puddingiem śliwkowym i niespodziankę gwiazdkową, żeby z całego Southwood przyciągnąć samotników tęskniących do Gwiazdki rodzinnej. Przed wyjściem z domu zatelefonowałem do mieszkania ciotki z czczą nadzieją, że może wróciła akurat na samo Boże Narodzenie, ale sygnał buczał i buczał w pustkę, i mogłem tylko sobie wyobrazić, jak brzęczą przy tym jej wszystkie weneckie szkła.

Kiedy wszedłem do tej restauracji, niedużej z grubymi belkami i witrażami w oknach, i z jemiołą zawieszoną bezpiecznie nad drzwiami toalety, pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłem, był samotny przy swoim stoliku kontradmirał. Kolację najwidoczniej już zjadł i teraz miał na głowie koronę ze szkarłatnego papieru glansowanego, a na talerzu podarte opakowanie tej niespodzianki gwiazdkowej obok resztek śliwkowego puddingu. Ukłoniłem się, a on zapytał gniewnie.

- Kto pan jest?

W głębi za jego stolikiem zobaczyłem majora Charge siedzącego ze zmarszczonymi brwiami nad czymś, co wyglądało mi na broszurkę polityczną.

- Jestem Pulling - odpowiedziałem kontradmirałowi.

- Pulling?

- Emerytowany dyrektor banku.

Rumieniec gniewu zlewał się z czerwienią tej korony z glansowanego papieru, butelka po Chianti stała pusta. Dodałem:

- Wesółych Świąt, panie admirale.

- Ładnie wesółych, człowieku - powiedział kontradmirał - gazet nie czytujesz?

Udało mi się go wyminąć, chociaż przejście było bardzo wąskie, ale ku swemu zniechęceniu stwierdziłem, że stół, który zarezerwowałem, znajduje się tuż przy stoliku majora Charge.

- Dobry wieczór, majorze - powiedziałem. I zastanowiłem się, czy przypadkiem nie jestem jedynym cywilem w tym lokalu.

- Chciałbym pana prosić o grzeczność - powiedział major Charge.

- Oczywiście, służę panu... tylko, że już nie orientuję się niestety, jak stoją akcje...

- A któż mówi o akcjach? Chyba pan nie przypuszcza, że mam cokolwiek wspólnego z City? Oni tam sprzedają nasz kraj aż do ujścia Tamizy. Ja mówię o moich rybkach.

Przerwała nam panna Truman pytając, co mi podać. Może dla dodania otuchy swoim gościom, ona też miała coś z papieru glansowanego na głowie - czapkę raczej wojskową sądząc po kształcie, ale o barwie żółtej. Duża, hałaśliwa kobieta lubiła, żeby mówić do niej Peter. Ta restauracyjka zawsze wydawała się za mała na to, by pomieścić ją razem z jej współniczką zwaną Nancy, nieśmiałą, usuwającą się w cień i chyba właśnie z tej przyczyny widywaną tylko od czasu do czasu w ramie okienka pomiędzy salą i kuchnią.

Niezdolny do tego, by oderwać wzrok od panny Truman, powiedziałem komplement na temat jej papierowej czapki.

- Jak w dawnych czasach - odrzekła z wyraźnym zadowoleniem, a ja sobie przypomniałem, że ona przecież była podczas wojny oficerem pomocniczej służby kobiet w marynarce.

Bardzo niejasnych doznawałem uczuć. W takich właśnie chwilach uświadamiam sobie, jak wielki niepokój wprowadziła w moje życie ciotka Augusta. Oto dobrze mi znany, swojski świat - miejscowy światek podstarzałych ludzi, do którego tak tęskni panna Keene i w którym niebezpieczeństwa istnieją tylko w gazetach i największą zmianą, jakiej można się spodziewać, będzie tylko zmiana rządu, a największym skandalem - przypomniało mi się to teraz - była sprawa pewnego urzędnika przegrywającego zbyt dużo pieniędzy na wyścigach chartów w Earl's Court. Oto Southwood, moja ojczyzna, bardziej niż sama Anglia, skoro nigdy nie oglądałem tych szatańskich fabryk ani nieużytków na północy, i na swój sposób czuję się tutaj szczęśliwy. A przecież patrzę teraz na Peter (pannę Truman) ironicznie, jak gdyby wzroku użyczyła mi ciotka, żebym widział wszystko jej oczami. Poza Latimer Road rozciąga się świat jakiś inny - świat Wordswortha i Currana, monsieur Dambreuse i pułkownika Hakima, i tego tajemniczego pana Viscontiego, który przebrał się za prałata, żeby uciec przed wojskami alianckimi, i... właśnie, świat mojego ojca, który ostatnim tchem na podłodze francuskiego hoteliku powiedział: „Laleczko, moje kochanie” do panny Paterson, zaskarbiając sobie jej uczucie aż po grób samym faktem skonania w jej

objęciach. Komuż teraz mógłbym przedłożyć prośbę o wizę do tej krainy, odkąd ciotki Augusty już nie ma?

- Podać panu naszą firmową kolację gwiazdkową, panie Pulling?
- Chyba bym się nie uporał z tym puddingiem ze śliwek.
- Nancy upiekła świetne paszteciki.
- Więc może jeden dla mnie - powiedziałem - ze względu na Boże Narodzenie.

Panna Truman odeszła wojskowym krokiem a la Tom Bowling, ja odwróciłem się do majora Charge:

- Pan coś mówił?

- Na Nowy Rok wyjeżdżam. Do Chesham z zespołem prowadzącym badania naukowe. Muszę pomyśleć o opiece dla moich rybek. Sprzątacze zaufać nie mogę. Myślałem już o Peter... ale ona to kobieta, poniekąd. Sam pan widzi, jak nas karmi. Pod byle pretekstem przesadza. Prawdopodobnie tak samo karmiłaby tych moich biednych małych huncwotów.

- Więc pan chce, żebym ja się zaopiekował pańskimi złotymi rybkami?
- Ja się opiekowałem pańskimi daliami.

Aż konały z braku wody, pomyślałem, ale wypadało mi przecież powiedzieć:

- Tak, oczywiście, służę panu.

- Przyniosę ich pokarm. Jedna łyżeczka od herbaty dziennie. Niech pan nie zwraca uwagi na to, że one będą próbowały jeść szkło akwarium. Same nie wiedzą, co im robi dobrze.

- Opancerzę swoje miękkie serce - obiecałem. Machnięciem ręki podziękowałem za zupę żółwiową: potrawa aż nazbyt codzienna. Zbyt często otwieram butelkę tej zupy, kiedy nie mam apetytu na jajka. Zapytałem: - Jak ten zespół prowadzi badania?

- Problemy imperium - odrzekł major Charge wpatrując się we mnie oczami rozszerzonymi, pełnymi gniewu, jak gdybym już zdążył tę odpowiedź skomentować głupio albo nieżyczliwie.

- Myślałem, że pozbyliśmy się wszystkich problemów.

- Na razie zawodzi nas odwaga - warknął major Charge i wbił widelec jak bagnet w kawałek indyka.

Z pewnością wolałbym jako klienta mieć jego niż Currana. On by mi nigdy nie sprawiał kłopotu przekraczaniem konta; żyje oszczędnie w ramach swojej emerytury: jest

człowiekiem uczciwym, jakkolwiek jego pojęcia o życiu są mi wstrętne. Ale myśląc o nim, raptem pomyślałem o panu Viscontim tańczącym z ciotką Augustą w saloniku domu publicznego na tyłach „Messaggero”, kiedy on już oszukał Watykan i króla Arabii Saudyjskiej i pozostawił za sobą szeroką smugę deficytów w bankach włoskich. Czyżby sekret zachowania młodości znany był tylko jednostkom przestępczym?

- Ktoś szukał pana - powiedział major Charge po długiej chwili milczenia.

Kontradmirał wstał od swego stolika i niepewnie ruszył ku drzwiom. Koronę z papieru glansowanego nadal miał na głowie, przed wyjściem jednak przypomniał sobie o niej, zdjął ją i zgniótł w kulkę.

- Kto?

- Pan wtedy poszedł na pocztę... czy może się mylę. W każdym razie skręcił pan na końcu Southwood Road w prawo, a nie w lewo.

- Czego on chciał?

- Nie powiedział. Dzwonił do pańskich drzwi i stukał, dzwonił i stukał, piekielny robił hałas. Nawet rybki mi się przestraszyły, biedne małe huncwoty. Właściwie dwóch ich było. Uznałem, że powinienem z nimi porozmawiać, zanim wywołają panikę na całej ulicy.

Nie wiem, dlaczego, ale pomyślałem w owej chwili o Wordsworthie - że to może jakaś wiadomość od ciotki...

- To był czarny? - zapytałem.

- Czarny? Cóż za dziwaczne pytanie. Oczywiście, że nie czarny.

- Podał nazwisko?

- Nie podał, ten drugi także nie. Pytał tylko, gdzie można pana znaleźć, ale ja przecież pojęcia nie miałem, że pan zamierza przyjść tutaj. Nie był pan tu w zeszłym roku ani w zaprzyszłym. Mogłem go jedynie poinformować, że o ile mi wiadomo, chodzi pan do Świętego Jana na pasterkę.

- Ciekawe, kto to mógł być - powiedziałem.

Nabrałem głębokiego przekonania, że wkrótce znów znajdę się w świecie ciotki Augusty i krew tętniła mi szybciej w żyłach wskutek tego zadowolenia zgola bez logicznej przyczyny. Kiedy panna Truman przyniosła dwa paszteciki, przyjąłem oba, jak gdybym miał się nimi pokrzepić przed długą podróżą. Nawet sam hojnie je polałem masłem, zaprawianym dla smaku koniakiem.

- Kiedyś używałam prawdziwego Remy Martin -powiedziała panna Truman. - Pan nawet nie otworzył swojej niespodzianki gwiazdkowej.

- Razem z panią to zrobię, Peter - rzekłem odważnie. Ona miała mocną rękę, ale ja złapałem za właściwy koniec tego walca papierowego i nagle jakiś mały przedmiot plastikowy wyleciał na podłogę. Rad byłem, że to nie kapelusz w rodzaju korony kontradmirała. Major Charge skoczył, żeby tę rzecz podnieść i tak prychnął bezlitosnym śmiechem, jakby wycierał nos. Przyłożył tę moją niespodziankę do ust i dmuchnął z całej siły. Rozległo się przeciągłe prrr... Wtedy zobaczyłem, że to malusieńki nocniczek z gwizdkiem zamiast ucha.

- Humor niższego rzędu - stwierdziła panna Truman dobrodusznie.

- Jest święto - powiedział major Charge. Dmuchnął jeszcze raz. - „Słyszcie! Aniołowie zwiastują!” - W głosie jego zabrzmiało okrucieństwo, jak gdyby w jakiś sposób mścił się na Wigilii Bożego Narodzenia i wszystkich związanych z nią atrybutach Świętych Rodzin, i żłobków, i mędrców, jak gdyby mścił się na miłości, biorąc odwet za jakieś gorzkie swoje rozczarowanie.

Do kościoła Świętego Jana przyszedłem kwadrans po jedenastej. Nabożeństwo w tę noc proboszcz rozpoczynał o pół do dwunastej, żeby zaznaczyć, że różni się ono od katolickiej mszy o północy. Zwyczaj chodzenia na to nabożeństwo wprowadziłem, kiedy tylko zostałem dyrektorem banku, wiedząc że pokazywanie się tam nadaje mi pozory solidnego ojca rodziny, i chociaż w przeciwieństwie do ciotki Augusty nie mam żadnych przekonań religijnych, mogę zwyczaj tego przestrzegać bez obłudy, bo zawsze podobały mi się te bardziej poetyczne aspekty chrześcijaństwa. Boże Narodzenie, moim zdaniem, jest świętem koniecznym; potrzebujemy w życiu pewnej przerwy przeznaczonej tylko na to, by ubolewać nad wszystkimi skazami naszych stosunków międzyludzkich: Boże Narodzenie jest świętem niepowodzeń, smutnym, a przecież pocieszającym.

Od lat już siadam w tej samej ławce pod oknem z witrażem poświęconym w roku 1887 pamięci radnego miejskiego Trumbulla. Witraż ten przedstawia Chrystusa w otoczeniu dzieci pod bardzo zielonym drzewem - poniżej oczywiście widnieje napis „Cierpcie, o dziatki”. Radny miejski Trumbull ponosił odpowiedzialność za budowę na Cranmer Rood bloku z czerwonej cegły, z oknami zakratowanymi, w którym kiedyś był sierociniec, a obecnie mieści się areszt centralny dla nieletnich przestępców.

Pasterka rozpoczęła się od słów kolędy „Słyszcie! Aniołowie zwiastują!”, podanych znacznie delikatniej niż wydudnił je w restauracji major Charge, po czym zaśpiewaliśmy jedną ze starych kolęd, moją ulubioną „Zacny król Wieńczysław”.

„Śnieżnie, spokojnie i rześko...” - rozbrzmiewał wysoki głos kobiety z galerii.

To zawsze było dla mnie strofą bardzo piękną i nasuwało na myśl krajobraz jakiejś Anglii małej, wiejskiej, bez tłumów, bez pojazdów mechanicznych, bez niczego, co brukałoby ten puszysty kobierzec śniegu, kiedy nawet pałac królewski stał wśród białych i cichych nie podeptanych wiejskich pól.

- Nieśnieżne jest Boże Narodzenie w tym roku - szepnął mi prosto w ucho ktoś z ławki poza mną.

Odwracając się zobaczyłem sierżanta policji śledczej Sparrowa.

- Co pan robi tutaj, na Boga, panie sierżancie?

- Gdyby mógł mi pan poświęcić parę minut po nabożeństwie, proszę pana... - szepnął, nie dokończył i podnosząc książkę do nabożeństwa zaśpiewał pięknym barytonem:

*Chociaż był siarczysty mróz,  
Gdy ubogi wyszedł człek,  
W las na horyzoncie, hen...*

(bo może sierżant Sparrow, tak jak panna Truman, służył kiedyś w marynarce)

*By na opał zebrać chru-ust...*

Odwróciłem głowę i popatrzyłem na jego towarzysza. Był to człowiek ubrany elegancko o szczupłej twarzy prawnika. Miał palto ciemnoszare i parasol dla pewności przewieszony przez rękę - aż się zastanowiłem, co on pocnie z tym parasolem i czy kantów spodni nie pogniecie, kiedy przyjdzie czas ukłęknać. Jakoś nie czuł się w kościele tak swobodnie jak sierżant Sparrow. Nie śpiewał i wątpliwe, czy się modlił.

Sierżant śpiewał z wigorem:

*Po moich śladach, paziu, stą-paj,  
Stąpaj, odwagę miej!*

Aż głosy na galerii wezbrały żarliwie, żeby zwalczyć tę niespodziewaną konkurencję z dołu.

W końcu nastąpił początek samego nabożeństwa i rad byłem, kiedy wyznanie wiary świętego Atanazego szczęśliwie się skończyło.

- „...Jak również nie ma trzech niepojętych, ani trzech niestworzonych. Jeden tylko jest niestworzony i jeden niepojęty.” (W toku tego sierżant Sparrow zakaszał siedem razy).

Chciałem - w myśl swego zwyczaju na Boże Narodzenie - przystąpić do komunii świętej. Kościół anglikański nie jest ekskluzywny: komunია to nabożeństwo dla upamiętnienia, a ja przecież mam prawo uczcić piękną legendę tak samo jak każdy, kto wierzy prawdziwie. Proboszcz mówił to wyraźnie, chociaż wierni coś niejasno buczełi, udając tylko, że formułkę tę pamiętają.

„Przyjmujemy do wiadomości i oplakujemy wielorakie grzechy nasze i niegodziwości, jakich od czasu do czasu się dopuszczamy...” Zauważyłem, że sierżant Sparrow może przez roztropność zawodową nie bierze udziału w powszechnym przyznaniu się do winy. - „Z głębi serc żałujemy i serdeczna jest skrucha nasza z powodu nieprawości naszych...” - Dotychczas nawet mi przez myśl nie przeszło, że ta modlitwa brzmi jak słowa jakiegoś starego recydywisty, który prosi wysoki sąd o ulaskawienie. Obecność sierżanta policji śledczej Sparrowa, zdawałoby się, zmieniła całą tonację nabożeństwa. Ruszając do ołtarza, usłyszałem gwałtowną dyskusję prowadzoną szeptem w ławce poza mną i słowa: „Wy, Sparrow”, wyszeptane tak dobitnie, że wcale mnie nie zdziwił widok sierżanta Sparrowa klęczącego po chwili u mego boku przy balustradzie komunijnej. Może żywili niejaki wątpliwości, czy nie wykorzystam komunii świętej na to, by im uciec.

Sierżant Sparrow, kiedy ku niemu zbliżał się kielich eucharystyczny, pociągnął łyk bardzo długi i zobaczyłem później, że zanim udzielanie komunii dobiegło końca, trzeba było przynieść jeszcze wina. Wracając na swoje miejsce w ławkach, czułem, jak sierżant depte mi po piętach i ledwie ukląknę, szepty poza mną znów zaświstały w ciszy:

- Gardło miałem jak pilnik do drzewa - usłyszałem cichy szept sierżanta. Zapewne próbował się usprawiedliwić ze swej łapczywości.

Po nabożeństwie obaj czekali na mnie w drzwiach kościoła. Sierżant Sparrow przedstawił mi tego drugiego:

- Inspektor policji śledczej Woodrow – powiedział - pan Pulling. - Po czym dodał z czcią, głosem znizonym: - Inspektor Woodrow jest z oddziału specjalnego.

Po krótkim wahaniu podaliśmy sobie ręce.

- Chodzi nam o to, proszę pana - przystąpił do rzeczy sierżant Sparrow - że może zechciałby pan pomóc nam ponownie. Opowiadałem panu inspektorowi, jak bardzo okazał się pan pomocny już raz, przedtem, w sprawie tego gąsiora z narkotykiem.

- Mówi pan, przypuszczam, o urnie z moją matką - powiedziałem tak chłodno, jak tylko zdołałem w noc Bożego Narodzenia.

Wierni wylegali z kościoła z jednej i z drugiej naszej strony. Minął mnie kontradmirał. W kieszeni na piersi miał coś szkarłatnego, zapewne tę koronę z glansowanego papieru służącą mu teraz jako chustka do nosa.

- Powiedziano nam „Pod Koroną i Kotwicą” - poinformował mnie inspektor Woodrow tonem cierpkim, zgoła niezyczliwym - że pan ma klucze do mieszkania pańskiej ciotki.

- Lubimy wszystko załatwiać grzecznie - wyjaśnił sierżant Sparrow - za niewymuszoną zgodą wszystkich osób zainteresowanych. Taka zgoda zawsze spotyka się z dużym uznaniem w sądzie.

- Właściwie czego panowie chcą? - zapytałem.

- Wesołych Świąt, panie Pulling. - Proboszcz położył mi dłoń na ramieniu. - Mam przyjemność poznać dwóch nowych parafian?

- Pan Sparrow, pan Woodrow, nasz proboszcz - dokonałem prezentacji.

- Ufam, że podobały się nasze kolędy.

- Doprawdy mnie się bardzo podobały - zapewnił sierżant Sparrow gorąco. - Nie ma nic, co bym lubił bardziej niż dobrą melodię ze słowami, które mogę zrozumieć.

- Chwileczkę, niech ja znajdę parę numerów naszej gazetki parafialnej. Pokażne jest to wydanie gwiazdkowe. - I proboszcz dał nura z powrotem w mrok kościoła, gdzie wyglądał w swej komży jak duch.

- Pan rozumie - powiedział sierżant Sparrow - moglibyśmy z łatwością uzyskać nakaz rewizji i wejść tam siłą, ale niezależnie od zepsucia solidnego zamka... firmy Chubb, bardzo roztropnie ze strony panny Bertram... wyglądałoby to niedobrze w materiale dowodowym, pan rozumie, świadczącym na niekorzyść tej zacnej pani. Jeżeli dojdzie do konieczności składania zeznań w sądzie. Jakkolwiek mamy nadzieję, że nie dojdzie.

- Ale czego, na Boga, szukacie? Chyba nie znowu narkotyków?

Inspektor Woodrow powiedział tonem ponurym, jak kat:

- Prowadzimy śledztwo na prośbę Interpolu. Proboszcz wrócił do nas biegiem, wymachując numerami gazetki parafialnej. Powiedział:

- Jeżeli spojrzycie panowie na ostatnią stronę, znajdziecie tam formularz do wydarcia, żeby zaprenumerować nasze pismo na przyszły rok. Pan Pulling już je prenumeruje.



- Dziękuję, dziękuję, ja na pewno - powiedział sierżant Sparrow. - Tylko że w tej chwili nie mam przy sobie pióra, ale proszę mi łaskawie ten numer zostawić. Bardzo gustowny i oryginalny deseń na tej okładce... ten cały ostrokrzew, i te ptaszki, i nagrobki.

Inspektor Woodrow wziął swój numer z wyraźną niechęcią. Trzymał go przed sobą tak jak świadek w sądzie trzyma Biblię, nie bardzo pewny, co ma z nią zrobić.

- To numer pełen rozmachu - powiedział proboszcz. - Och, przepraszam. Biedaczka, ta pani. Wrócę raz, dwa. - I ruszył alejką ku Latimer Road za jakąś starszą damą, wołając: - Pani Brewster, pani Brewster!

- Myślę, że zanim on wróci - rzekł inspektor Woodrow - powinniśmy pojechać gdzieś, żeby porozmawiać.

Sierżant Sparrow już otworzył gazetkę parafialną i zagłębił się w lekturze.

- Możemy pojechać do mnie - zaproponowałem.

- Wolałbym jednak pojechać do panny Bertram bez żadnej zwłoki. Sprawę wyjaśnimy w samochodzie.

- Po co panowie chcą udać się do mieszkania mojej ciotki?

- Już panu mówiłem. Śledztwo na prośbę Interpolu. W noc Bożego Narodzenia wolelibyśmy nie zawracać głowy żadnym urzędnikom sądowym. Pan jest najbliższym krewnym. Ciotka dając panu klucze zostawiła swoje mieszkanie pod pańską opieką...

- Czy coś stało się mojej ciotce?

- To nie jest wykluczone. - Inspektor Woodrow najwidoczniej czerpał zadowolenie z odpowiadania wieloma słowami zamiast jednym. Powiedział szybko: - Proboszcz wraca... Na litość boską, Sparrow, uważajcie.

- Teraz mam nadzieję, że żaden z panów nie zapomni o prenumeracie - powiedział proboszcz. - Pieniądze te idą na dobrą sprawę. Meblujemy kącik dziecięcy akurat tak, że będzie gotowy na Wielkanoc. Ja bym wolał nazwać ten kącik kaplicą, ale mamy w Southwood kilka starych babsztyli, protestantek. Zdradzę panom wielki sekret. Nie mówiłem tego nawet mojemu komitetowi. Przedwczoraj otrzymałem na Portobello Road autentyczny rysunek Mabel Lucy Atwell. Odślonimy go na Wielkanoc i właśnie zastanawiam się, czy byśmy nie zdołali namówić księcia Andrzeja...

- Niestety, panie pastorze, musimy już odejść - powiedział inspektor Woodrow - spodziewam się jednak, że pański kącik będzie cieszyć się dużym powodzeniem.

Zaczęło padać. Inspektor popatrzył na swój parasol, ale nie otworzył go. Może nie był pewny, czy te równiutkie fałdki dadzą się kiedykolwiek znowu zwinąć tak porządnie.

- Odwiedzę obu panów w najbliższym czasie - obiecał proboszcz - kiedy tylko dostanę wasze adresy na formularzach prenumeraty.

- Sparrow! - nieomal warknął inspektor Woodrow.

Sierżant Sparrow zamknął gazetkę parafialną z nieukrywanyymi oporami i puścił się jak my biegiem ze względu na deszcz. W samochodzie siadając za kierownicą u boku Woodrowa spróbował się wytłumaczyć:

- W tym numerze jest nowelka pod tytułem „Kto winien?” Myślałem, że to jakiś kryminał o morderstwie... lubię dobre kryminały... ale to tylko o starszej pani nieuprzejmej dla jakiejś popularnej pieśniarki. Nigdy nie można polegać na tych nowoczesnych tytułach.

- Otóż, panie Pulling - rzekł inspektor Woodrow -proszę powiedzieć, kiedy pan ostatnio widział się z ciotką?

Słowa te zabrzmiały mi w uszach jakoś mile. - Kilka tygodni... miesięcy temu. W Boulogne. A bo co?

- Dosyć często pan z nią podróżuje, prawda?

- No...

- Kiedy ostatnio miał pan wiadomość od niej?

- Powiedziałem już... w Boulogne. Czy ja muszę odpowiadać na te pytania?

- Ma pan swoje prawa w myśl konstytucji - zaczął sierżant Sparrow - jak każdy inny obywatel. Obowiązki też, oczywiście. Dobrowolne zeznanie zawsze jest lepiej przyjmowane w sądzie. Sąd bierze pod uwagę...

- Na litość boską, Sparrow, powściągnijcie swój język - upomniał go inspektor Woodrow. I zwrócił się do mnie: - Nie zdumiewa pana, panie Pulling, fakt, że od czasu Boulogne nie ma pan od ciotki żadnych wiadomości?

- Jeśli chodzi o moją ciotkę, nic mnie nie zdumiewa.

- Ale czy pan się nie obawia, mogło się jej coś przytrafić?

- A istnieją powody do takich obaw?

- Ona wciąż obracała się wśród dziwnych ludzi. Czy słyszał pan kiedy o niejakim panu Viscontim?

- To nazwisko - przyznałem - jest mi raczej znane.

- Przestępca wojenny - niebacznie wtrącił sierżant Sparrow.

- Proszę, uważajcie na jezdnię, Sparrow - powiedział inspektor Woodrow. - A o generale Abdulu... chyba słyszał pan o generale Abdulu?

- Raczej możliwe. Tak. Wydaje mi się, że znam to nazwisko.

- Był pan z ciotką w Stambule jakiś czas temu. Przyjechali państwo tam pociągiem i deportowano was już po kilku godzinach. Widział pan niejakiego pułkownika Hakima?

- Widziałem jakiegoś oficera policji, to fakt. Zaszło pewne śmieszne nieporozumienie.

- General Abdul złożył zeznanie, zanim zmarł.

- Umarł? Biedaczysko. Nie wiedziałem. Nie rozumiem jednak, jak może jego zeznanie dotyczyć mnie.

- I pańskiej ciotki?

- Nie jestem stróżem mojej ciotki.

- To zeznanie dotyczyło pana Viscontiego. Interpol rozesłał okólniki ze szczegółami. Dotychczas przyjmowaliśmy, że pan Visconti nie żyje. Odfajkowaliśmy go.

- *A propos* - powiedziałem - zanim przejdziemy do dalszych spraw, powinienem panów uprzedzić, że nie mam kluczy ciotki przy sobie.

- Raczej spodziewałem się tego. Chciałem tylko uzyskać pańskie pozwolenie, żeby tam wejść. Zapewniam pana, że żadnych szkód nie narobimy.

- Niestety, nie mogę na to pozwolić. To mieszkanie jest pod moją opieką.

- A jednak w razie przedłożenia tej sprawy sądowi wyglądałoby to znacznie lepiej - zaczął sierżant Sparrow. Inspektor Woodrow przerwał mu:

- Sparrow. Na najbliższym skrzyżowaniu skręćcie w lewo. Odwieziemy pana Pullinga do domu.

- I mogą panowie odwiedzić mnie po Bożym Narodzeniu - powiedziałem. - To znaczy, jeśli będą panowie mieli nakaz rewizji.

## XX

Spodziewałem się odwiedzin inspektora Woodrowa i sierżanta Sparrowa, ale nawet nie zatelefonowali. Ni stąd, ni zowąd przyszła widokówka od Tooley. Był to widok dosyć brzydkiej świątyni w Katmandu, na którym ona napisała: „Jestem na cudownej wycieczce. Serdeczne pozdrowienia, Tooley”. Zupełnie już zapomniałem, że podałem jej mój adres. Nie uczyniła żadnej wzmianki o Bożym Narodzeniu (te święta zapewne mijają w Nepalu niezauważone) tym bardziej więc dumą napawał mnie fakt, że sobie o mnie przypomniała.

Po świętach pojechałem „Pod Koronę i Kotwicę” przed samym popołudniowym zamknięciem lokalu. Chciałem zobaczyć mieszkanie ciotki na wypadek, gdyby inspektor zjawił się z nakazem rewizji. I gdyby tam jeszcze były jakieś kompromitujące resztki po Wordsworthie, zamierzałem je usunąć. Toteż wziąłem w tym celu mały neseserek. Przez całe swoje życie zawodowe pozostawałem niezachwianie wierny jednemu bankowi, ale teraz tę wierność mi wrodzoną przenieśliem w inną stronę, może nawet wprost przeciwną. Wierność wobec indywidualnej osoby nieuchronnie pociąga za sobą wierność wobec wszelkich jej niedoskonałości człowieczych, łącznie nawet z kręactwem i amoralnością, od których to grzechów ciotka nie jest całkowicie wolna. Zastanowiłem się, czy kiedy sfalszowała czek bądź obrabowała jakiś bank, i aż uśmiechnąłem się na tę myśl z taką czułością, jaką dawniej mógłbym okazać tylko wobec czyichś niewinnych dziwactw.

Kiedy dojechałem „Pod Koronę i Kotwicę”, zajrzałem ostrożnie w okno baru. Dlaczego ostrożnie? Miałem prawo wstępu - lokal był jeszcze otwarty. Niebo szarzało zapowiedzią śniegu i goście cisnęli się do lady, żeby zdążyć wypić przed godziną trzecią. Zobaczyłem z tyłu znów tę dziewczynę w długich bryczesach do konnej jazdy i opartą o te bryczesy czyjąś dużą owłosioną rękę.

- Jeszcze raz podwójna.

- Jedno najlepsze gorzkie.

Zegar wskazywał trzecią za dwie minuty. To było tak, jak gdyby oni ponaglali batami konie na ostatniej prostej przed metą, przy czym stosowali sporo manewrów niedozwolonych. Wyszukałem wśród kluczy ciotki klucz do bocznych drzwi domu i ruszyłem na górę. W drodze odpocząłem przez chwilę na kozetce. Czując się nielegalnie, jak włamywacz, nasłuchiwałem, czy nie słychać kroków, ale dolatywała tylko wrzawa z baru.

Otworzyłem drzwi mieszkania i powitała mnie ciemność. W holu trąciłem stolik tak, że się rozkołysał i coś weneckiego z brzękiem spadło na podłogę. Kiedy rozsunąłem story, te szkła weneckie wcale nie lśniły - zmartwiały jak nie noszone perły. Na podłodze wśród szczątków tego, co się stłukło, walała się korespondencja, ale że to były przeważnie okólniki, nie uznałem za konieczne przeglądać tych papierów od razu. Do sypialni wszedłem ze wstydem - jednak ciotka prosiła, żebym sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Przypomniałem sobie, jak drobiazgowo pułkownik Hakim przeszukiwał pokój w hotelu i jak łatwo dał się przechytryć, ale tutaj nigdzie nie widziałem żadnych świec poza świecami w kuchni - normalnej wielkości i wagi - przypuszczalnie mającymi naprawdę służyć, gdyby elektryczność zawiodła.

W pokoju Wordswortha łóżko było bez pościeli i te szkaradzieństwa Walta Disneya zostały schowane do szuflad. Jediną ozdobę teraz stanowiła oprawiona w ramki fotografia portu Freetown i kobiet na pierwszym planie, które szły w dół po jakichś starych schodkach, chyba na targ na nabrzeżu, ubrane jaskrawo i z koszami na głowach. Fotografii tej nie zauważyłem przedtem - może ciotka ją powiesiła na pamiątkę po Wordsworthie?

Wróciłem do saloniku i zacząłem przeglądać korespondencję ciotki. Wprawdzie liczyłem się z tym, że ona mogłaby kiedyś podać mi swój adres i poprosić o przesłanie tego wszystkiego, ale na wszelki wypadek wolałem usunąć papiery dotyczące spraw bodaj trochę osobistych, żeby ich nie czytali inspektor Woodrow i sierżant Sparrow, gdyby tu weszli. Napisał do ciotki mój stary znajomy, środek do prania Orno, i były też różne rachunki z pralni, ze sklepu z winami, ze sklepu kolonialnego. Zdumiony stwierdziłem, że nie ma zawiadomienia o wysokości konta w banku, zaraz jednak mi się przypomniała ta sztabka złota i walizka wypchana banknotami i pomyślałem, że może ciotka lubi mieć swoje zasoby w gotówce. Najroztropniej będzie przeszukać garderobę, której nie zabrała w podróż, ponieważ ze wszech miar niebezpiecznie jest pozostawiać w pustym mieszkaniu pieniądze.

I raptem wśród rachunków znalazłem coś, co mnie zainteresowało - widokówkę z Panamy przedstawiającą francuski statek pasażerski na bardzo niebieskim morzu. Na odwrocie była korespondencja po francusku, pismem drobnym, oszczędnym, żeby zmieściło się jak najwięcej wiadomości. Nadawca ograniczając swój podpis do inicjału A.D. pisał, o ile mogłem zrozumieć, jakie to *concoours de circonstances miraculeux*, że spotkał ciotkę na statku po tych wszystkich latach *triste séparation* i jakież to nieszczęście, że ona wysiadła przed końcem rejsu, zanim zdążył się nacieszyć wspólnymi wspomnieniami. W

dalszej drodze, już bez niej, lumbago A.D. dało znać o sobie ze zdwojoną siłą i odezwała się również podagra w dużym palcu prawej nogi.

Czyżby to mógł być - dumałem - monsieur Dambreuse, ten szarmancki kochanek, który miał na utrzymaniu dwie dziewczyny w jednym i tym samym hotelu? Jeśli żył jeszcze, to może i Curran żyje. Wydawałoby się, że szachrajskiemu światu mojej ciotki Augusty dana jest jakaś nieśmiertelność - tylko mój biedny ojciec, spoczywający wśród dymów i deszczów Boulogne, z całą pewnością umarł. Przyznaję, że poczułem ukłucie zazdrości na myśl, że ciotce w tej morskiej podróży nie towarzyszyłem. A więc innym ludziom ona teraz opowiada swoje historie.

- Daruje pan, że przychodzimy bez uprzedniego telefonu, panie Pulling - powiedział sierżant Sparrow.

Odsunął się, żeby przepuścić inspektora Woodrowa, który wobec tego zgodnie z protokołem wszedł do saloniku pierwszy. Parasol inspektora wyglądał tak, jakby wcale nie był otwierany od wigilii Bożego Narodzenia, czyli od czasu, kiedy go widziałem uprzednio.

- Dzień dobry - rzekł cierpko inspektor Woodrow. - Dobrze się składa, że zastajemy pana tutaj.

- Drzwi były otwarte... - zaczął sierżant Sparrow.

- Mam nakaz rewizji - odpowiedział inspektor Woodrow na moje pytanie, zanim je zadałem. Wyciągnął ten nakaz i pokazał mi. - Niemniej uważamy, że lepiej przeprowadzić tę rewizję w obecności członka rodziny.

- Nie chcieliśmy wywoływać zamieszania - powiedział sierżant Sparrow - dla nas wszystkich nic przyjemnego, więc czekaliśmy w samochodzie po drugiej stronie ulicy, dopóki kierownik „Pod Koroną i Kotwicą” nie zamknie baru, ale kiedy pan tu wszedł, uznaliśmy, że możemy zrobić to wszystko po cichu tak, żeby nawet szef „Pod Koroną i Kotwicą” nie wiedział. Znacznie to przyzwoiciej wobec pańskiej ciotki, bo gdybyśmy nie czekali, jeszcze dziś wieczorem byłoby mnóstwo plotek i gadania w barze, tego może pan być pewny. Nie ma co liczyć na dyskrecję barmanów, oni zawsze przecież rozmawiają ze stałymi gośćmi. Zupełnie jak mąż z żoną.

Kiedy sierżant Sparrow to mówił, inspektor już przeszukiwał pokój.

- Przegląda pan jej pocztę, co? - zapytał mnie sierżant Sparrow. Wyjął mi tę widokówkę z ręki i powiedział: - Panama. Podpisano A.D., czy domyśla się pan, kto by to mógł być... ten A.D.?

- Nie.

- Pan rozumie, to może być pseudonim. Interpol nie ma zbyt wielu współpracowników w Panamie - powiedział sierżant Sparrow. - Już jeżeli, to w strefie amerykańskiej.

- Zatrzymajcie tę pocztówkę, Sparrow - rzekł inspektor - jednakże.

- Ale co panowie zarzucają mojej ciotce?

- My, proszę pana - rzekł sierżant Sparrow -wprost grzeszymy nadmiarem uprzejmości. Moglibyśmy postawić ją w stan oskarżenia z powodu haszyszu, ale zważywszy, że to starsza pani, i zważywszy, że ten kolorowy uciekł do Paryża, daliśmy jej spokój. Jednak ta sprawa wcale dobrze by nie wyglądała w sądzie. Oczywiście, myśmy wtedy nie wiedzieli o tych jej bardzo niewskazanych powiązaniach.

- Jakich powiązaniach?

Zastanowiłem się, czy oni z góry uzgodnili swoje role; może sierżant miał zabawiać mnie rozmową w czasie, kiedy inspektor będzie przeszukiwał pokój, co istotnie teraz robił.

- Z tym Viscontim, proszę pana. Z tym Włochem, jak można wnosić z jego nazwiska. To zmija.

- Te wszystkie szkła - powiedział inspektor - ciekawe rzeczy. Jak w muzeum.

- Szkła weneckie. Ciotka pracowała kiedyś w Wenecji. Przypuszczam, że większość to podarunki... od jej klientów.

- Czy bardzo cenne? Wartość kolekcjonerska?

- Nie sądzę.

- Dzieła sztuki?

- Kwestia gustu - powiedziałem.

- Panna Bertram zna się na sztuce nieźle, zaryzykowałbym twierdzenie. Są tu jakieś obrazy?

- Chyba nie. Tylko fotografia Freetown w pokoju gościnnym.

- Dlaczego Freetown?

- Wordsworth stamtąd pochodzi.

- Kto to jest Wordsworth?

- Ten czarny lokaj - powiedział sierżant Sparrow -ten, który uciekł do Francji, kiedyśmy znaleźli narkotyk.

Snuli się po mieszkaniu, a ja za nimi. Woodrow jednakże przeprowadzał rewizję nie tak starannie jak pułkownik Hakim. Doznawałem wrażenia, że nie spodziewa się nic

znaleźć i że tylko zależy mu na złożeniu urzędowego sprawozdania Interpolowi po to, by tam wiedziano, że tutaj dołożono wszelkich możliwych starań. Nie oglądając się, zadawał mi od czasu do czasu jakieś pytanie:

- Czy ciotka kiedykolwiek wspominała panu o tym Viscontim?

- Och tak, wiele razy.

- Czy on żyje, jak się panu zdaje?

- Nie wiem.

- Czy istnieją podstawy do przypuszczenia, że wciąż jest z nią w kontakcie?

- Nie sądziłbym.

- Ten stary gad miałby teraz ponad osiemdziesiąt lat - powiedział sierżant Sparrow.

- Blżej dziewięćdziesięciu, zdaje mi się.

- Chyba więc trochę za późno na ściganie takiego staruszka, nawet jeżeli on żyje - zauważyłem.

Wyszliśmy z pokoju ciotki i wkroczyliśmy do pokoju Wordswortha.

- To właśnie jedno ze zmartwień Interpolu - powiedział sierżant Sparrow. - Za dużo teczek. Siłą rzeczy tam się zajmują pracą zgoła niepolicyjną. Żaden z nich jeszcze nigdy nie był na zwyczajnym obchodzie. Sama praca biurowa. Jak w londyńskim archiwum.

- Oni wypełniają swój obowiązek, Sparrow - powiedział inspektor Woodrow. Zdjął ze ściany fotografię portu Freetown i obejrzał od spodu. Potem powiesił ją na miejsce. - Ładna ramka - powiedział. - Kosztuje więcej niż ta fotografia.

- Włoska w dodatku, wygląda mi na to - powiedziałem. - Jak te szkła.

- Może prezent od tego Viscontiego? - zapytał sierżant Sparrow.

- Na odwrocie nic nie świadczy o tym - powiedział inspektor. - Miałem nadzieję, że tam jest jakaś dedykacja. Interpol nie ma nawet próbki jego podpisu... już nie mówiąc o odciskach palców. - Zerknął na jakąś kartkę wyjętą z kieszeni.

- Czy słyszał pan kiedyś, żeby ciotka wymieniła któreś z tych nazwisk... Tiberio Titi?

- Nie.

- Stradano? Passerati? Cossa?

- Raczej niewiele mówiła mi o swoich znajomych Włochach.

- To nie byli znajomi - powiedział inspektor Woodrow.

- Leonardo da Vinci?

- Nie.



Zaczął znów przeszukiwać wszystkie pokoje, ale widziałem, że tylko po to, by formalności stało się zadość. Później w drzwiach podał mi numer telefonu.

- W razie otrzymania wiadomości od ciotki - powiedział - jeśli pan w ogóle jakąś otrzyma, proszę niech pan do nas zadzwoni natychmiast.

- Niczego nie obiecuję.

- Chcemy tylko zapytać ją o parę rzeczy - powiedział sierżant Sparrow. - O nic nie jest oskarżona.

- Miło mi to słyszeć.

- Nawet istnieje możliwość - powiedział inspektor Woodrow - że pańskiej ciotce osobiście zagraża poważne niebezpieczeństwo. Ze strony jej niefortunnych powiązań.

- Zwłaszcza ze strony tego gada, Viscontiego - dorzucił swoje trzy grosze sierżant Sparrow.

- Dlaczego pan go stale nazywa gadem?

Sierżant Sparrow udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

- To jedyny rysopis, jaki nam podał Interpol. Oni nie mają nawet jego fotografii z paszportu. Ale kiedyś nazwał go źmiją szef policji rzymskiej... w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Wszystkie ich akta z czasów wojny uległy zniszczeniu, ten komendant policji nie żyje, więc nie wiemy, czy źmija odnosiła się do wyglądu, czy też było to określenie postawy moralnej tego człowieka.

- Przynajmniej - powiedział inspektor - mamy teraz pocztówkę z Panamy.

- To już coś do akt - wyjaśnił mi sierżant Sparrow.

Kiedy porządnie zamknąłem drzwi wejściowe i ruszyłem za nimi, pozostawili mnie pod smutnym wrażeniem, że może ciotka nie żyje i tym samym najciekawsza część mojego życia się skończyła. Długo czekałem, żeby się zaczęła, a trwała jakże krótko!

# **Część druga**

## I

Kiedy statek holowano w żółty prąd odpływu, a niechlujne wieżowce i najeżona blankami komora celna oddalały się raptownie, jak gdyby to nie statek tylko one sunęły na końcu tej liny, myślałem o przygnębieniu, które odczuwałem tamtego, odległego już dnia, i o płonności swoich ówczesnych obaw. Był ósmy dzień lipca, poranek, mewy miauczały niczym koty na Latimer Road, chmury wiszące nad morzem wróżyły deszcz. Przez jedyną szparę wśród tych chmur przedzierało się słońce padając na La Plata i nadając szarej rzece w jednym miejscu srebrzysty połysk, ale najjaśniejszą plamą w całym ponurym krajobrazie rzeki i wybrzeża były płomienie z rur gazowych rozchwiane na tle czarnego nieba. Czekają mnie jeszcze cztery dni rejsu po rzekach La Plata, Parana i Paragwaj przed zobaczeniem się z ciotką Augustą, więc przestałem oglądać argentyńską zimę i zszedłem do przegrzanej kajuty, żeby rozwiesić ubrania na wieszakach, ułożyć książki i papiery tak, by stworzyć sobie na te długie cztery dni atmosferę jako tako domową.

Od mojego spotkania z policjantami z wydziału śledczego minęło ponad pół roku, zanim dostałem wiadomość od ciotki. Nabrałem już przekonania, że ona nie żyje, i raz nawet we śnie okropnie mnie przeraziła jakaś bestia, pełznąca ku mnie po podłodze, bestia z połamanymi nogami, które kołysały się jak ogon węża. Już, już chciała mnie ściągnąć z łóżka w zasięg swoich strasznych zębów i czekałem na to, obezwładniony lękiem jak znieruchomiała w obliczu węża ptak. Budząc się z tego przeraźliwego snu, przypomniałem sobie o panu Viscontim, chociaż, o ile mi wiadomo, ptaki paralizuje nie żmija, tylko kobra.

W owym pustym okresie otrzymałem zaledwie jeden list od panny Keene. Tym razem napisała odręcznie, gdyż nieuważna służąca upuściła jej maszynę do pisania i klawiatura się rozbiła.

„Miałam właśnie usiąść, żeby donieść Panu - pisała panna Keene - jacy głupi i niezdarni są ci czarni, ale powróciło nagle do mnie wspomnienie owego wieczora, gdy Pan i mój ojciec rozprawialiście przy kolacji o rasizmie i poczułam się tak, jak gdybym miała zdradzić nasz stary dom rodzinny w Southwood i naszą przyjaźń w tamtych czasach. Nieraz lęk mnie ogarnia, że z wolna, acz pewnie zasymiluję się tutaj całkowicie. W Koffiefontein premier już nie wydaje się takim potworem, za jakiego uważaliśmy go tam w kraju; co więcej ludzie tu krytykują go czasami jako staromodnego liberała. Ja sama łapię

się na tym, że spotykając turystów z Anglii, wyjaśniam im, na czym polega apartheid, aż nazbyt przekonywająco. Nie chcę się zasymilować, z drugiej wszakże strony czuję, że jeśli mam tu zbudować sobie życie..."

To nie dokończone zdanie sprawiło na mnie wrażenie apelu, nie wyrażonego jasno tylko dlatego, że panna Keene jest z natury bardzo nieśmiała. Następnie przekazała mi gawędziarskim tonem plotki z farmy swoich kuzynostwa: o kolacji proszonej dla sąsiadów, którzy mieszkają w odległości stu mil z górą - po czym był ustęp trochę niepokojący:

„Poznałam niejakiego pana Hughesa, mierniczego, i on chce mnie pojąć za żonę (niech Pan, proszę, nie śmieje się ze mnie). To dobry człowiek w wieku lat około sześćdziesięciu, wdowiec z córką podlotkiem, którą dosyć lubię. Nie wiem, co zrobić. Byłaby to asymilacja ostateczna, nieprawdaż? Raz po raz miewam głupiutki sen o tym, jak kiedyś wracam do Southwood i zastaję nasz stary dom pusty (teraz tęsknię nawet do tej ciemnej alejki między rododendronami) i zaczynam życie znów od początku. Boję się mówić komukolwiek tutaj o panu Hughesie - kuzynostwo zanadto by mnie do zawarcia tego związku zachęcali. Żałuję, że Pan jest tak daleko, bo wiem, że Pan by mi udzielił rady z całą rozważą."

Czyżbym się mylił, odczytując w tym ostatnim zdaniu prośbę, rozpaczliwą pomimo spokojnego jej sformułowania, prośbę o decydujący telegram: „Doradzam wrócić do Southwood i poślubić mnie”? Kto wie, czy w tym moim osamotnieniu nie wysłałbym takiego właśnie telegramu, gdyby nie to, że wkrótce potem otrzymałem inny list, który sprawił, że o biednej pannie Keene natychmiast myśleć przestałem.

Był to list od ciotki Augusty, napisany na sztywnym arystokratycznym papierze listowym, z wydrukowaną szkarłatną różą i nazwiskiem Lancaster bez żadnego adresu, zupełnie tak jak zwykle podaje się nazwisko jakiegoś arystokratycznego rodu. Dopiero, kiedy przeczytałem kawałek tego listu, zrozumiałem, że Lancaster to po prostu nazwa hotelu. Ciotka do mnie bynajmniej nie apelowała: najzwyczajniej w świecie wydała mi rozkaz i nawet nie wyjaśniła, dlaczego nie odzywała się tak długo.

„Postanowiłam - pisała - nie wracać do Europy, więc rezygnuję z mojego mieszkania nad „Koroną i Kotwicą” z końcem przyszłego kwartału. Byłabym rada, gdybyś spakował

wszelką garderobę, jaka tam jeszcze została, i pozbył się wszystkich mebli. Kiedy jednak już myślę o tym, chcę, żebyś zachował fotografię portu Freetown i ponieważ to dla mnie pamiątka po kochanym Wordsworthie, żebyś mi ją przywiózł". - Nawet nie poinformowała mnie w tej części listu, dokąd mam tę fotografię przywieźć, ani nie zapytała, czy to w ogóle jest możliwe. - Nie wyjmuj jej z ramki, mającej dla mnie ogromną wartość sentymentalną, bo to był prezent od pana V. Załączam czek na mój rachunek w Credit Suisse w Bernie, który wystarczy ci na bilet pierwszej klasy do Buenos Aires. Przyjedź najszybciej, jak tylko możesz, bo ja nie młodnieję. Wprawdzie nie cierpię na podagrę, jak pewien mój stary znajomy, którego spotkałam niedawno na statku, ale pomimo to odczuwam lekkie zeszywnienie stawów. Bardzo chcę mieć przy sobie kogoś z rodziny, komu mogę ufać w tym dosyć dziwnym kraju, którego dziwaczności bynajmniej nie umniejsza fakt, że na tej samej ulicy co mój hotel jest za rogiem sklep z szyldem Harrods, jakkolwiek gorzej zaopatrzony, niestety, niż ten na Brompton Road."

Nadałem telegram do panny Keene:

WKRÓTCE JADĘ DO CIOTKI DO BUENOS AIRES. NAPISZĘ.

Po czym zająłem się sprzedażą mebli ciotki. Szklą weneckie poszły prawie za bezcen. Kiedy już wszystko (powstał co prawda niejaki spór z właścicielem lokalu „Pod Koroną i Kotwicą” o tę kozetkę na półpiętrze) zostało sprzedane w salach aukcyjnych firmy Harrods, otrzymałem sumę wystarczającą na bilet powrotny do Buenos Aires oraz pięćdziesiąt funtów w czekach turystycznych tak, że gotówki na czek ciotki w tym banku szwajcarskim nie podjąłem, a niewielkie saldo ze sprzedaży wpłaciłem na swoje konto, uważając, że skoro ciotka nie zamierza już wrócić, lepiej, żeby nie miała w Anglii żadnych aktywów.

Jednakże wbrew moim optymistycznym przewidywaniom nie spotkałem się z ciotką w Buenos Aires. Nikt nie oczekiwał mnie na lotnisku, a kiedy przybyłem do hotelu „Lancaster”, okazało się, że jest tam dla mnie tylko zarezerwowany pokój oraz list.

„Przykro mi, że mnie nie ma tutaj, żeby cię powitać - pisała ciotka - ale musiałam bezzwłocznie wyjechać do Paragwaju, gdzie pewien mój stary znajomy ma trochę zmartwień. Zostawiam ci bilet na statek rzeczny. Z powodów zbyt skomplikowanych, żeby

wyjaśnić je teraz, nie życzę sobie, żebyś do Asunción przyleciał samolotem. Adresu podać nie mogę, ale postaram się, żeby ktoś wyruszył ci na spotkanie."

Ten układ najeżony słowem „żeby” wcale mi się nie podobał, cóż jednak mogłem zrobić? Nie miałem dostatecznych funduszków na to, by siedzieć w Buenos Aires, dopóki ciotka nie odezwie się znowu, a powrót do Anglii teraz, po tak długiej podróży za jej pieniądze, dowodziłby tylko zupełnego braku konsekwencji. Niemniej przezorność nakazała mi zamienić otrzymany od niej bilet do Asunción na powrotny.

Oparłem fotografię portu Freetown w tej cennej ramce o lustro toaletki i przytrzymałem ją książkami z jednej i z drugiej strony. Oprócz literatury bardziej efemerycznej zabrałem ze sobą „Złoty skarbiec” Palgrave’a, zbiory wierszy Tennysona i Browninga. W ostatniej chwili do tych dzieł dodałem „Rob Roya” może dlatego, że ta książka zawierała jedyne w moim posiadaniu zdjęcie ciotki. Kiedy otworzyłem „Rob Roya” teraz, stronice z natury rzeczy rozdzieliły się na tym zdjęciu i ni stąd, ni zowąd pomyślałem (nie po raz pierwszy zresztą), że ten radosny uśmiech, młode piersi, krągłość postaci w staromodnym kostiumie kąpielowym wyglądają tak, jakby były zapowiedzią rozkwitającego macierzyństwa. Przypomniałem sobie, jak syn Viscontiego, na peronie w Mediolanie, wziął ciotkę w objęcia i trochę mnie to wspomnienie zabolalo, więc żeby uciec od takich myśli, wyrząłem przez okienko kajuty. Okienko wychodziło na dziób statku i zobaczyłem, że na tle zimowej aury stoi tam i wpatruje się we mnie jakiś człowiek, wysoki, szczupły, siwy i smutny. Ów nieznajomy wyraźnie zakłopotany tym, że go widzę, szybko odwrócił się i skierował wzrok w wodę. Skończyłem rozpakowywać moje rzeczy, po czym zszedłem do baru.

Na statku panował niespokojny nastrój odjazdu. Obiad, jak się dowiedziałem, miał być podany o godzinie pół do dwunastej, dziwnej, powiedziałbym, ale w tej przedobiedniej porze pasażerowie akurat tak samo nie wiedzieli, co ze sobą robić, jak gdyby płynęli przez Kanał. Wchodzili na górę i schodzili na dół, wstępowali do baru, oglądali butelki i opuszczali bar nic nie zamawiając. Napływali do sali jadalnej i również fałą wylęgali stamtąd, siadali przy stolikach w salonie, po chwili wstawali i wyglądali przez okienko na jednostajny krajobraz rzeki, mający się wokół nas przesuwając nieprzerwanie przez następne cztery dni. Tylko ja jeden zamówiłem trunek. Kseresu nie było, więc wziąłem dzin z tonikiem, ale dzin, chociaż nazywał się po angielsku, był argentyński i smakiem zgoła nie przypominał mi ojczyzny. Niski zalesiony brzeg, chyba Urugwaju, zasnuwała mgła deszczu,

który już zaczynał wyganiać pasażerów z pokładów. Woda rzeki nabrała barwy kawy z za dużą ilością mleka.

Jakiś staruszek dobrze chyba po osiemdziesiątce ostatecznie zdecydował się usiąść przy mnie. Zapytał o coś po hiszpańsku.

- No hablo Espanol, señor - powiedziałem.

On jednak tę odrobinę hiszpańszczyzny zaczerpniętą z „Rozmówek hiszpańskich” uznał za chęć do konwersacji i od razu wygłosił mały odczyt, wyjmując z kieszeni wielkie szkło powiększające i kładąc je na ladzie pomiędzy nami. Żeby mu się wymknąć, chciałem zapłacić za swój dzin, ale wyrwał mi rachunek z ręki, przycisnął swoją szklanką i polecił barmanowi powtórnie napełnić moją. Nigdy nie mam zwyczaju pić przed obiadem więcej niż szklaneczkę, już nie mówiąc o tym, że ten argentyński dzin stanowczo mi nie smakował, a przecież bezradny wobec trudności językowych musiałem ulec.

On czegoś żądał ode mnie, ani rusz jednak nie mogłem się domyśleć czego. Słowa *el favor* powtarzał kilkakrotnie i kiedy pojął, że nie rozumiem, wyciągnął rękę, skierował na nią to powiększające szkło, po czym wskazał palcem moją rękę. Nagle ktoś zapytał:

- Może ja mógłbym pomóc?

Odwracając się zobaczyłem tego smutnego szczupłego człowieka, który patrzył na mnie, kiedy wyglądałem przez okienko kajuty.

Powiedziałem mu:

- Nie rozumiem, czego ten pan sobie życzy.

- Jego hobby to wróżenie z ręki. Twierdzi, że nigdy nie miał sposobności wróżenia z ręki Amerykanina.

- Niech mu pan powie, że ja jestem Anglikiem.

- On mówi, że to na jedno wychodzi. Nie sędzę, żeby widział szczególną różnicę. A więc obaj jesteśmy Anglosasami.

Nie pozostawało mi nic innego, jak pokazać staruszkowi dłoń. Obejrzał ją przez szkło powiększające bardzo uważnie.

- On prosi, żebym przetłumaczył, ale może pan woli, żebym tego nie robił. Koleje losu to sprawa raczej osobista.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewniłem i pomyślałem o Hatty i jej listkach herbacianych. Jakżeż proroczo Hatty w swojej najlepszej Lapsang Souchong ujrziała moje podróże.

- On mówi, że pan jedzie z daleka.

- To dosyć oczywiste, prawda?

- Ale pańskie podróże już prawie się kończą.

- Raczej nieprawdopodobne. Kiedyś muszę przecież wrócić do kraju.

- On widzi ponowne połączenie z kimś bardzo panu bliskim. Z żoną może.

- Nie mam żony.

- On mówi, że to mogłaby być pana matka.

- Nie żyje. Przynajmniej...

- Miał pan sporo pieniędzy pod swoją opieką. Ale już pan nie ma.

- Tu w każdym razie trafił. Pracowałem w banku.

- On widzi jakąś śmierć... ale daleko od pańskiej linii serca i linii życia. To nieważna śmierć. Może kogoś nieznanego.

- Pan wierzy w te głupstwa? - zapytałem Amerykanina.

- Nie, chyba nie, ale staram się nie wypowiadać zbyt kategorycznie w żadnej kwestii. Nazywam się O'Toole. James O'Toole.

- Ja nazywam się Pulling... Henry - powiedziałem.

Tymczasem staruszek nadal składał swoje sprawozdanie po hiszpańsku. Najwyraźniej go nie obchodziło, czy to zostaje przetłumaczone, czy nie. Wyjął już notes i teraz wszystko zapisywał.

- Pan z Londynu?

- Tak.

- Ja pochodzę z Filadelfii. On chce, żebym panu powiedział, że pana ręka jest dziewięćset siedemdziesiątą drugą, którą on bada. Przepraszam, dziewięćset siedemdziesiątą piątą.

Staruszek zamknął notes z zadowoloną miną. Uścisnął mi rękę, podziękował, zapłacił za trunki, uklonił się i odszedł. Szkło powiększające wypychało mu kieszeń, jakby to był pistolet.

- Pozwoli pan, że się z panem napiję? - zapytał Amerykanin.

Miał angielską marynarkę z tweedu i zniszczone szare flanelowe spodnie; chudy i smętny, wyglądał, tak jak ja, na Anglika: drobne zmarszczki wokół oczu i ust świadczyły o jego strapieniach i zauważyłem, że jak człowiek, który zabłądził, dosyć często rozgląda się w lewo i w prawo z wyraźnym niepokojem. Niczym nie przypominał tych Amerykanów, których spotykałem w Anglii, hałaśliwych, pewnych siebie, o twarzach młodych, dziecięco



gładkich, tych Amerykanów dokazujących i nawołujących się wzajemnie, jak gdyby życie było dla nich pokojem dziecięcym. Zapytał:

- Pan też do Asunción?

- Tak.

- Na tej trasie tylko do Asunción warto pojechać. W Corientes jest nieźle, dopóki się nie chce przenocować, Formosa... to śmietnisko. Sami przemysłowcy tam wysiadają, chociaż oni mówią, że chodzi im o połów ryb. Pan chyba nic nie przemycy?

- Nie. Dobrze pan zna te strony?

- Aż za dobrze - powiedział. - Pan na urlopie?

- Poniekąd. Tak.

- Zamierza pan zobaczyć wodospad Iguazu? Sporo ludzi tam jeździ. Jeżeli pan zamierza, lepiej niech pan się zatrzyma po stronie brazylijskiej. Jedyne dobry hotel.

- Czy to w ogóle godne zobaczenia?

- Może. Jeżeli się takie rzeczy lubi. Właściwie, gdyby mnie kto pytał, to tylko mnóstwo wody.

Barman najwidoczniej już znał tego Amerykanina, gdyż z własnej inicjatywy przyrządził mu koktajl z wytrawnym Martini, który pił teraz ponuro, bez przyjemności.

- Nie to, co Gordon's Gin - powiedział. Spojrzał na mnie przeciągle, jak gdyby starał się zapamiętać rysy mojej twarzy. - Myślałem, że jedziesz w interesach, Henry - zaczął mi mówić po imieniu. - A ty na urlop, tak zupełnie sam? Chyba się nie ubawisz. Obcy kraj. I nie mówisz tym językiem... chociaż nawet ta cała hiszpańszczyzna nie przydaje się nigdzie poza miastem. Tam wszyscy mówią językiem guarani.

- Pan tym językiem włada?

- Średnio.

Zauważyłem, że woli raczej zadawać pytania, niż odpowiadać na nie, a kiedy udziela informacji, są one takie, jakie mógłbym znaleźć w pierwszym lepszym przewodniku.

- Malownicze ruiny - powiedział. - Stare osady jezuickie. Czy to przemawia do ciebie, Henry?

Czułem, że nie będzie zadowolony, dopóki nie powiem mu o sobie więcej. Co mi to zresztą szkodzi? - pomyślałem. Przecież nie wiozę sztabki złota ani walizki wypchanej banknotami. Jak powiedziałem, nic nie przemycam.

- Jadę w odwiedziny do kogoś ze starych moich krewnych - wyjaśniłem i dodałem: - James. - Bo pojąłem, że chodzi mu również i o to.

- Przyjaciele mówią mi: Tooley - rzekł machinalnie, ale minęło trochę czasu, zanim owo ziarnko wykiełkowało mi w świadomości.

- Odbywasz podróż urzędową, James? - zapytałem.

- Niezupełnie - powiedział. - Przeprowadzam badania. Badania społeczne. Znasz takie rzeczy, Henry. Koszta utrzymania. Niedożywienie. Stopień analfabetyzmu. Napij się.

- Dwa to moja miara, Tooley - powiedziałem i dopiero wtedy nagle sobie przypomniałem... Tooley.

Pchnął po ladzie swoją szklanę, żeby barman napełnił mu ją znowu.

- Uważasz, że łatwo żyje się w Paragwaju? - zapytałem. - Z gazet wiadomo, że wy, Amerykanie, macie w Ameryce Południowej wielkie kłopoty.

- Nie w Paragwaju - powiedział. - My i generał trzymamy tam wszystko tak. - Pokazał jak, kciukiem i palcem wskazującym, a potem tymi palcami ujął napełnioną już szklanę.

- On to dosyć twardy dyktator, podobno.

- Tego właśnie ten kraj potrzebuje, Henry. Silnej ręki. Nie zrozum mnie jednak źle. Ja jestem jak najdalszy od polityki. Zwyczajne badania. To moja branża.

- Publikujesz coś?

- Och - odrzekł wymijająco - sprawozdania. Fachowe. Ciebie by nie zainteresowały, Henry.

Wiedziałem już naturalnie, że kiedy dzwoni zadzwoni, pójdziemy na obiad razem. I oczywiście tak się stało. Stolik dzieliliśmy z dwoma nieznajomymi. Jeden z nich, mężczyzna o szarej twarzy, ubrany w granatowy garnitur miejski, był na diecie (steward, widocznie znając go dobrze, przyniósł mu danie specjalne, bukiet z jarzyn, który on przed jedzeniem obejrzał z uwagą, przy czym czubek nosa i górna warga drgały mu jak królikowi). Drugi, otyły stary ksiądz o oczach szelmowskich przypominał trochę Winstona Churchilla. Rozbawiony patrzyłem, jak O'Toole się do tych dwóch zabiera. Zanim skończyliśmy jeść niedobry zresztą pasztet z wątróbki, wy badał, że ksiądz jest proboszczem w jednej z wiosek pod Corrientes po argentyńskiej stronie granicy, i zanim zjedliśmy tak samo niedobre ciasto, włamał się już trochę w milczenie tego faceta z nosem jak królik. Ten okazał się przemysłowcem wracającym do Formosa. Na wzmiankę o Formosa, O'Toole spojrzał na mnie i nieznacznie ruchem głowy przytaknął: zakwalifikował go.

- Teraz już bym odgadł, że jest pan z zawodu farmaceutą - powiedział, dalej ciągnąc go za język.

Ten człowiek nie bardzo znał angielski, ale to zrozumiał. Popatrzył na O'Toole'a poruszył nosem. Myślałem, że nie odpowie, dwa słowa jednak dobyły mu się z ust w całej swej międzynarodowej niejasności:

- Import-eksport.

Ksiądz z jakiejś przyczyny zaczął mówić o latających talerzach. Od latających talerzy roi się nad Argentyną, takie przynajmniej można odnosić wrażenie - jeżeli noce będą pogodne, zobaczymy latający talerz ze statku.

- Czy ksiądz naprawdę wierzy w to, że one latają? - zapytałem, na co stary proboszcz podniecił się niezmiernie, aż przestał dukać po angielsku.

- On mówi - przetłumaczył O'Toole - że szkoda, że pan nie czytał wczorajszej „Nación”. Dwanaście samochodów zatrzymało się w poniedziałek wieczorem na trasie Mar del Plata - Buenos Aires. Kiedy latający talerz przelatuje, silniki w samochodach gasną. Wielebny ksiądz proboszcz wierzy, że latające talerze są pochodzenia boskiego. - Tłumaczył równie szybko, jak ksiądz mówił. - Niedawno jacyś państwo jechali samochodem do Mar del Plata na weekend, kiedy nagle otoczyła ich chmura. Samochód stanął od razu, a kiedy ta chmura się rozviała, stwierdzili, że są w Meksyku w okolicach Acapulco.

- I on nawet w to uwierzył?

- No pewnie. Oni wszyscy wierzą. Raz na tydzień radio Buenos Aires nadaje audycję o latających talerzach. Kto je widział w ciągu tygodnia i gdzie. Nasz przyjaciel mówi, że może w tym należy szukać wyjaśnienia zagadki, jaką jest latający dom w Loretto. Otóż ten dom został porwany w Palestynie, podobnie jak ci państwo, którzy jechali do Mar del Plata, i rzucony na ziemię we Włoszech.

Podano nam twarde befsztyki, a potem pomarańcze. Ksiądz umilkł jedząc z czołem nieco pofałdowanym. Może poczuł, że jest w towarzystwie niewierzących. Przemysłowiec odsunął bukiet z jarzyn, przeprosił i wstał od stołu. Zapytałem mojego sąsiada o to, o co przez cały czas posiłku pragnąłem go zapytać:

- Czy jesteś żonaty, Tooley?

- Tak. Poniekąd.

- Masz córkę.

- Oczywiście. A bo co? Ona studiuje w Londynie.

- Ona jest w Katmandu.

- W Katmandu? No, to przecież Nepal! - Zmarszczki niepokoju pogłębiły się na jego twarzy. - Piekelną rzecz mi mówisz - powiedział. - Skąd wiesz?

Opowiedziałem mu o podróży Orient Expressem, unikając jednakże jakichkolwiek wzmianek o Julianie.

Powiedziałem, że jechała z grupką studentów, z którymi rzeczywiście ją widziałem przy końcu podróży. Zapytał:

- Co ja mam zrobić, Henry? Zajęty jestem swoją pracą. Przecież gonić jej po świecie nie mogę. Lucinda nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo się o nią martwię.

- Lucinda?

- Jej matka wybrała takie imię - rzekł z goryczą.

- Ona mówi, że na imię ma Tooley... tak jak ty.

- Naprawdę? To coś nowego.

- Najwyraźniej czuje wielki podziw dla ciebie.

- Pozwoliłem jej wyjechać do Anglii - powiedział. - Myślałem, że tam będzie bezpieczna. Ale do Katmandu! - Odsunął pomarańczę, którą już tak starannie obrał i podzielił na części. - Gdzie ona tam mieszka? Wątpię, czy w Katmandu są jakieś dobre hotele. Gdyby był Hilton, przynajmniej człowiek by wiedział, gdzie się obrócić. Co ja mam zrobić, Henry?

- Nic jej się tam nie stanie - dosyć bezsilnie spróbowałem go uspokoić.

- Mógłbym nadać telegram do ambasady... bo chyba tam jest jakaś ambasada. - Wstał raptownie i oznajmił: - Muszę się odpryskać.

Poszedłem za nim z sali jadalnej korytarzem do toalety. Stanęliśmy obok siebie w milczeniu. Zauważyłem, że wargi mu się poruszają - być może, pomyślałem - on sobie wyobraża, że przeprowadza teraz rozmowę z córką. Z toalety wyszliśmy razem na pokład i wciąż jeszcze bez słowa usiedliśmy na ławce przy lewej burcie. Deszcz już nie padał, ale było szaro i zimno. Stwierdziłem, że nie ma nic do oglądania, tylko nieliczne małe drzewka sterczą na brzegu tej brudnej rzeki, od czasu do czasu urozmaicone jakąś chatą, a za tymi drzewkami brunatne zarośla ciągną się i ciągną po równinie aż do linii horyzontu.

- Argentyna? - zapytałem przerywając milczenie. - Wszystko to Argentyna - objaśnił - dopóki nie dopłyniemy do rzeki Paragwaj czwartego dnia. - Wyciągnął notes i coś sobie odnotował. Chyba liczby. Potem zamknął notes i powiedział: - Przepraszam. Prowadzę zapiski.

- Badania?

- Takie studium mniej więcej.
- Twoja córka mówiła mi, że pracujesz w CIA.

Skierował na mnie swe smutne, niespokojne oczy.

- Jest romantyczką - powiedział. - Wyobraża sobie różne rzeczy.
- Czy CIA ma w sobie jakiś romantyzm?

- Dzieciakom tak się wydaje. Przypuszczam, że ona widziała któryś z moich raportów z adnotacją „Tajne”. Wszystko jest tajne, co się przekazuje ministerstwom. Nawet dane statystyczne o niedożywieniu w Asunción.

Nie byłem pewny, czy mam wierzyć jej, czy jemu. Z bezradną miną zapytał:

- Co ty byś zrobił, Henry?

Odpowiedziałem:

- Gdybyś rzeczywiście pracował w CIA, mógłbyś chyba dowiedzieć się, co ona porabia, od kogoś z waszych ludzi tam. Bo przecież powinniście kogoś mieć w Katmandu.

- Gdybym rzeczywiście pracował w CIA - powiedział - nie chciałbym nikogo z nich wtajemniczać w moje prywatne sprawy. Czy ty masz dzieci, Henry?

- Nie mam.

- To szczęściarz z ciebie. Mówi się, że człowiek z wiekiem nabiera rozsądku. Nic podobnego. Kiedy się ma dziecko, jest się skazanym na pozostawanie już przez całe życie ojcem. Dziecko odchodzi. Ale od dziecka nie da się odejść.

- Nic o tym nie wiem.

Zadumał się posepnie, wpatrzony w te zarośla wciąż takie same. Bardzo wolno płynęliśmy pod silny prąd.

- Mój tatuś - rzekł po chwili - nie chciał słyszeć o naszym rozwodzie... ze względu na dziecko. Ale są granice wytrzymałości człowieka... ona zaczęła sprowadzać sobie kochanków do domu. Deprawowała Lucindę.

- A jednak jej nie zdeprawowała - zapewniłem.

## II

Nazajutrz rano odczuwałem brak towarzystwa OToole'a. Nie spotkałem go przy śniadaniu i daremnie szukałem później na pokładzie. Gęstą mgłą nad rzeką nieprędko rozproszyło słońce. Pozbawiony towarzystwa tego jedyne oprócz mnie Anglosasa czułem się trochę samotnie. Wszyscy inni na statku nawiązywali przygodne znajomości: nawet już flirtowano. Dwaj jacyś starcy zapamiętałe spacerowali po pokładzie popisując się swoją tężyzną. Coś obleśnego widziałem w tym ich szybkim miarowym spacerze - jak gdyby chcieli wykazać mijanym po drodze kobietom, że nadal są u szczytu męskości. Mieli marynarki rozcięte z tyłu na wzór angielskich - prawdopodobnie kupili je u Harrodsa - i przypominali mi majora Charge.

Jeszcze w nocy dopłynęliśmy do miasteczka, które się nazywa Rosario (głosy, nawoływania, szczęknięcia łańcuchów przeniknęły w mój sen tak, że zanim mnie to obudziło, śniły mi się jakieś akty gwałtu i przemocy) i teraz rzeka, już bez mgły, zmieniła charakter. Urozmaicały ją wysepki, mijaliśmy urwiska, piaszczyste ławice i dziwne ptaki popiskiwały i ćwierkały wokół statku. O ileż jednak więcej miałem wrażeń wtedy, gdy przejeżdżałem przez zatłoczone granice Orient Expressem. Stan wody w rzece był niski i rozeszła się pogłoska, że może będziemy mogli dopłynąć tylko do Corrientes, ponieważ oczekiwane deszcze zimowe jak dotąd nie spadły. Jeden z marynarzy na mostku wciąż zarzucał sondę. Ksiądz powiedział mi, że jest zaledwie pół metra wody pod kilem i poszedł dalej szerzyć nastrój przygnębienia.

Po raz pierwszy poważnie zacząłem czytać „Rob Roya”, ale przeszkadzał mi się skupić przepływający krajobraz. Czytałem początek stronicy, kiedy do brzegu rzeki było co najmniej pół mili, a już po paru akapitach podnosząc oczy zobaczyłem, że brzeg się zbliżył na odległość rzutu kamieniem. Czy może to nie brzeg, a wyspa? Na początku następnej stronicy spojrzałem znowu, a woda wokół osiągnęła już szerokość całej mili. Jakiś Czech usiadł przy mnie. Wyraźnie rad mówił po angielsku. Zamknąłem „Rob Roya” i słuchałem go. Rozpoczął od tego, że kiedyś siedział w więzieniu, więc teraz potrafi naprawdę cieszyć się wolnością. Matka jego umarła pod okupacją hitlerowską, ojciec umarł po wojnie. On sam uciekł do Austrii i ożenił się z Austriaczką. Z wykształcenia jest chemikiem, toteż decydując się osiedlić w Argentynie, pożyczył pieniądze i otworzył fabrykę plastiku.

- Rozglądałem się przedtem w Brazylii - powiedział - w Urugwaju i w Wenezueli. Jedno zauważyłem. Wszędzie z wyjątkiem Argentyny pije się zimne napoje przez słomki. Tylko w Argentynie nie. Więc myślałem, że zbiję na tym majątek. Wyprodukowałem dwa miliony słomek plastikowych, cóż kiedy nie zdołałem dotąd sprzedać nawet stu. Chce pan słomkę? Może pan ich mieć dwa miliony za darmo. Leżą obecnie w mojej fabryce w stogach. Argentyńczycy są tak konserwatywni, że przez słomki nie będą pili. O mało nie zbankrutowałem, powiadam panu - dodał radośnie.

- A teraz co pan produkuje?

Uśmiechnął się do mnie w sposób ogromnie podnoszący na duchu. Był chyba jednym z najradośniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Otrząsnął się ze swych dawnych obaw i niepowodzeń gruntowniej, niż potrafi to zrobić większość z nas. Powiedział:

- Wyrabiam surowiec plastikowy, żeby inni durnie ryzykowali wykładając pieniądze na to, co z tego surowca chcą produkować.

Przeszedł obok nas człowiek z nosem królika, znowu rozedrganym, i twarzą szarą jak ten szary poranek.

- Wysiada w Formosa - powiedziałem.

- Ach, przemytnik - powiedział Czech; roześmiał się i odszedł tam, dokąd szedł, zanim się do mnie przysiadł.

Zacząłem ponownie czytać „Rob Roya”, kiedy marynarz na mostku jeszcze raz zawołał, co wykazuje sondowanie.

„Na pewno dobrze ojca mego pamiętasz; skoro tak jak twój ojciec, był on członkiem domu kupieckiego, znałeś go od wczesnego dzieciństwa. A przecież prawie go nie widziałeś w najlepszych jego czasach, nim wiek podeszły i niedołęstwo zgasiły gorejący płomień jego przedsiębiorczości i ryzykanctwa”.

Pomyślałem o moim ojcu w wannie, leżącym w ubraniu, nie inaczej niż leżał potem w trumnie w Boulogne i wydającym mi owo niemożliwe do wykonania polecenie i zastanowiłem się, dlaczego właśnie myśl o nim budzi we mnie serdeczne uczucia, chociaż wspominając moją idealną matkę, która wychowywała mnie z nieugiętą pieczołowitością i znalazła dla mnie tę moją pierwszą posadę w banku, pozostając zupełnie obojętny. Ostatecznie nie wzniosłem cokołu wśród dali i przed wyjazdem do Buenos Aires tę pustą urnę wyrzuciłem. Nagle na fali wspomnień usłyszałem czyjś gniewny głos... Już wyrывa mnie ten głos, jak nieraz z niedobrego snu, w którym się bałem, że w domu wybuchł pożar,

a mnie, biednego malca zostawiono samego. Wychodzę z łóżeczka i siadam na szczycie schodów, uspokoiony samym brzmieniem tego głosu dolatującego z dołu. Nieważne, że brzmi tak gniewnie; ważne, że w ogóle brzmi. A więc nie jestem sam i w domu pożar nie wybuchł.

„Idź sobie - mówi ten głos - jeżeli chcesz, ale ja zatrzymam dziecko”.

I na to głos niski, rozsądny, głos ojca odpowiada:

„Jestem jego ojcem”.

I na to ona zgrzyta w odpowiedzi tak, jak gdyby ktoś zatrzaskiwał drzwi.

„A kto może powiedzieć, że ja nie jestem jego matką?”

- Dzień dobry - rzekł O'Toole, siadając przy mnie. - Dobrze się spało?

- Owszem. A tobie?

Potrząsnął głową.

- Wciąż myślałem o Lucindzie - powiedział. Wyciągnął notes i znów zaczął pisać swoje tajemnicze kolumny cyfr.

- Badania? - zapytałem.

- Och - powiedział - to nieurzędowe.

- Założyłeś się o szybkość tego statku?

- Nie, nie. Ja się nigdy o nic nie zakładam.- Popatrzył na mnie po swojemu, smutno i niespokojnie. -Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, Henry - wyznał mi. - Bo ogółowi ludzi to by chyba wydawało się dziwne. Faktem jest, że kiedy siusiam, liczę sekundy, a potem zapisuję, do ilu się doliczyłem siusiając i o której godzinie. Czy zdajesz sobie sprawę, że na siusianie poświęcamy rocznie cały dzień z górą?

- Wielkie nieba - powiedziałem.

- Mogę ci to udowodnić, Henry.

Otworzył notes i pokazał mi jedną stronicę. Zapisana była mniej więcej tak:

28 lipca

7.15 0,17

10.45 0,37

12.30 0,50

13.15 0,32

13.40 0,50

14.05 0,20



15.45 0,37

18.40 0,28

22.30 ? zapomniałem liczyć

-----

4 minuty 31 sekund

- Trzeba tylko pomnożyć przez siedem - wyjaśnił. - To już wychodzi pół godziny tygodniowo. Dwadzieścia sześć godzin na rok. Oczywiście życie na statku to pewien odskok od normy. Więcej się pija między posiłkami. I piwo wpływa na częstotliwość. Popatrz, ten czas tutaj... jedna minuta pięćdziesiąt pięć sekund. Czyli powyżej przeciętnej, no ale zanotowałem dwa dżiny. Jest mnóstwo wariantów, których nie biorę pod uwagę, ale zamierzam w przyszłości notować również temperaturę. Masz tutaj... dnia dwudziestego piątego lipca... razem sześć minut dziewięć sekund. Otóż to nie obejmuje wszystkiego. Wyszedłem w Buenos Aires na kolację, a notes zostawiłem. I proszę, dnia dwudziestego siódmego lipca... tylko trzy minuty dwanaście sekund w sumie, ale jeżeli pamiętasz, dwudziestego piątego lipca był bardzo zimny północny wiatr, a ja wyszedłem na kolację bez płaszcza.

- Wyciągasz z tego jakieś wnioski? - zapytałem.

- To już do mnie nie należy - odpowiedział. - Nie jestem żadnym ekspertem. Ja tylko spisuję fakty i dane... takie jak ilość dżinów i pogoda... które wydają mi się ważne. Wnioski niech wyciągną inni.

- To znaczy, kto?

- No, zaplanowałem sobie, że po dokonaniu badań półrocznych skontaktuję się z jakimś urologiem. Przechodzi ludzkie pojęcie, czego on by mógł doszukać się w tych liczbach. Ci faceci stale mają do czynienia tylko z chorymi na pęcherz. Trzeba więc, żeby wiedzieli, jak te sprawy się przedstawiają w przypadku człowieka przeciętnego.

- I ty jesteś tym przeciętnym?

- Właśnie. Jestem w stu procentach zdrowy, Henry. Muszę być zdrowy na tej mojej posiadzie. Tak często poruczają mi zadania specjalne.

- W CIA? - zapytałem.

- Żartujesz, Henry. No, bo przecież nie uwierzyłeś tej zwariowanej dziewczynie.

Na myśl o niej zmarkotniał i umilkł, pochylony, z podbródkiem opartym na dłoni. Jakaś wyspa ukazała się tak, jak gdyby gigantyczny aligator płynął w dół rzeki, wyciągając

paszczę na wodzie. Jasnozielone łodzie rybackie parły pod prąd szybciej, niż zdołały nas unosić silniki statku - mijaly nas te łódki z szybkością samochodów wyścigowych. Każdego rybaka otaczały rozchybotane na wodzie kłody, do których przychepione były wędki. Rzeka rozwidlała się i jej szare zamglone odnogi były szersze niż Tamiza pod Westminster, ale nie prowadzące donikąd.

O'Toole zapytał:

- Czy Lucinda rzeczywiście nazwała się Tooley?

- Tak. Tooley.

- To chyba ona myśli o mnie czasami? - powiedział z nadzieją, a przecież pytająco.

### III

W dwa dni później dopłynęliśmy do Formosa w dzień równie parny jak poprzednie. Nocą w pobliżu Corrientes złożyliśmy z wielkiej rzeki Parana i teraz byliśmy na rzece Paragwaj. W odległości pięćdziesięciu jardów od argentyńskiej Formosa leżał za wodą ten drugi kraj, mokry i pusty. Importer-eksporter ubrany w swój ciemny miejski garnitur, z nową walizką w ręce zszedł ze statku. Odbiegł krokiem bardzo szybkim zerkając na zegarek, zupełnie jak królik z „Alicji w krainie czarów”. Miasteczko istotnie wydawało się rajem przemytników, skoro ich trud ograniczał się do przepłynięcia na drugi brzeg rzeki. W Paragwaju wypatrzyłem tylko rozpadającą się chatkę, świnie i małą dziewczynkę.

Zmęczyły mnie spacer po pokładzie, więc także wysiadłem na ląd. Była niedziela i spory tłum zgromadził się na brzegu, żeby zobaczyć, jak zawija statek. Powietrze przesycił zapach kwiecia pomarańczowego, ale poza tym nic miłego w Formosa nie zauważyłem. Z obu stron jedynej długiej ulicy rosły drzewa pomarańczowe i jeszcze jakieś o różowych kwiatach, jak dowiedziałem się później, lapachos. Boczne uliczki biegingy kilka jardów, po czym urywały się wśród nędznej, dzikiej przyrody, mułu i krzaków. Wszelkie zabudowania rządowe, handlowe, służące celom sprawiedliwości bądź rozrywki stały przy tej głównej ulicy czy też alei. Hotel dla turystów, betonowy, szary, zbudowany ledwie do połowy wznosił się nad samą rzeką, ale dla jakich turystów? Dalej sklepiki z coca-colą, kino z reklamą włoskiego westernu, dwa zakłady fryzjerskie, warsztat samochodowy z jednym rozbitym samochodem, kantyna. Jedyнным budynkiem liczącym więcej niż jedno piętro był ten właśnie hotel, jedynym budynkiem starym i ładnym przy tej długiej alei, było - jak stwierdziłem, kiedy w końcu tam podszedłem - więzienie. Co krok mijałem ozdobne fontanny, ale woda z nich nie tryskała.

Ta ulica, pomyślałem, musi przecież dokądś prowadzić. Myliłem się. Po drodze obejrzałem popiersie jakiegoś brodacza nazwiskiem Urquiza, który - sądząc z wrytego napisu - najwidoczniej przyczynił się do wyzwolenia... ale jakiego? Dalej przed sobą widziałem ponad drzewami pomarańczowymi i lapachos marmurowego jeźdźca na marmurowym rumaku, czyli z całą pewnością generała San Martina - wiedziałem, bo w Buenos Aires rozpoznałem rysy jego twarzy znane mi już z nabrzeża Boulogne. Pomnik ten zamykał aleję tak, jak Łuk Triumfalny zamyka Champs Elysees. Ale był to już najdalszy kraniec miasteczka i dochodząc do pomnika zobaczyłem, że ten bohater siedzi na rumaku

wśród pustyni błota. Nikt nie zapuszczał się na spacer aż tak daleko i żadna droga stamtąd nie biegła. Tylko wygłodniały pies jak szkielet z muzeum historii przyrody ostrożnie, lękliwie dreptał po błocie między kałużami wyraźnie w kierunku moim i generała San Martina. Zawróciłem.

Opisuję tę nędzną miejscinę dokładnie tylko dlatego, że taka właśnie była sceneria długiej rozmowy, którą wiodłem z samym sobą i którą przerwało dopiero zdumiewające spotkanie. Otóż, jeszcze mijając pierwszy z tych dwóch zakładów fryzjerskich na mojej trasie, zacząłem rozmyślać o pannie Keene i o jej liście z nieśmiałym apelem godnym chyba odpowiedzi konkretniejszej niż mój krótki telegram. A potem w tym miasteczku dusznym i wilgotnym, gdzie jedyną poważną pracą zawodową, jak również rozrywką, jest niewątpliwie działalność przestępcza i gdzie nawet bank państwowy musi w niedzielne popołudnie pozostawać pod pieczęcią strażnika z automatem, pomyślałem o moim domu w Southwood, o moim ogrodzie, o majorze Charge tubalnie pozdrawiającym mnie zza płotu i o miłych dźwiękach dzwonów z Church Road. Ale tym razem przypomniałem sobie Southwood z życzliwą pobłażliwością - jako miejscowość, z której panna Keene nie powinna była w żadnym razie wyjechać, miejscowość, w której panna Keene żyłaby szczęśliwie, miejscowość, z którą ja sam nie czuję się już związany. Jak gdybym uciekł z otwartego więzienia po dostarczonej mi drabince sznurowej i wskoczył do podstawionego samochodu, żeby pojechać prosto w świat ciotki Augusty, świat pełen niezwykłych postaci i niezwykłych wydarzeń. Tutaj przemytnik podobny do królika jest na swoim miejscu i ten Czech z dwoma milionami słomek plastikowych, i ten biedny O'Toole zajęty notowaniem ilości oddanego moczu.

Minąłem wylot uliczki nazwanej Rua Dean Furnes, urywającej się jak wszystkie inne na ziemi niczyjej i przystanąłem przed domem gubernatora, całym w kolorze różowym. Na werandzie stały dwa leżaki, na których nikt teraz nie odpoczywał i przez otwarte okna zobaczyłem pusty pokój z portretem jakiegoś wojskowego, prezydenta zapewne, z rzędem krzeseł ustawionych pod ścianą jak pluton egzekucyjny. Strażnik więzienia lekko poruszył automatem, więc poszedłem dalej w stronę banku, gdzie inny strażnik uczynił taki sam ruch ostrzegawczy, ledwie się zatrzymałem. Tego dnia rano, zanim wstałem z koi, czytałem wspaniałą odę Wordswortha w „Złotym skarbcu” Palgrave'a. Palgrave podobnie jak Walter Scott miał ośle uszy, co oznaczało, że ojciec czytał również i to, więc przynajmniej mogłem, wiedząc o nim tak niewiele, kroczyć jego śladem, cieszyć się tym, czym on się cieszył za życia. Przypomniałem sobie, że kiedy po raz pierwszy jako młody urzędnik wkroczyłem do mojego banku, pomyślałem, że bank będzie dla mnie (nasunęło mi się wówczas słowo

użyte właśnie przez poetę Wordswortha) „więzieniem”. Ale co też mogło być więzieniem dla ojca - dumalem teraz - i to jak strasznym, że zakreślił on podwójną linią ten ustęp w „Odzie”? Może nasz dom rodzinny? Może moja macocha i ja byliśmy dla ojca więziennymi dozorcami?

Nieraz mi się wydaje, że życiu człowieka nadają formę raczej książki niż inni ludzie; właśnie z książek, z drugiej niejako ręki, człowiek dowiaduje się o miłości i o cierpieniu. Nawet jeżeli szczęśliwy przypadek pozwala nam się zakochać, to tylko dlatego, że przygotowała nas do tego uczucia nasza lektura, może więc jest rzeczą naturalną, że ja nigdy jeszcze nie byłem zakochany, skoro w bibliotece mojego ojca brakowało odpowiednich książek. (Bo chyba niewiele namiętnej miłości można znaleźć u Marion Crawford i zaledwie cień jej przemyka przez stronicę Waltera Scotta).

Nie bardzo pamiętam swoje „widzenia” z czasów, zanim dałem się uwieźć w banku: chyba bardzo wcześnie one „wtopiły się w dnia zwykłego jasność”, kiedy jednak położyłem Palgrave'a przy sobie w koi, przyszło mi na myśl, że kto jak kto, ale ciotka Augusta w żadnym razie do „wtopienia się widzeń”<sup>2</sup> by nie dopuściła. Może poczucie moralności, którym chlubić się uczymy od dzieciństwa, jest taką samą smętną rekompensatą jak zawieszenie kary więźniowi dobrze się sprawującemu. W tym, że się widzi, moralności nie ma. Urodziłem się będąc owocem czegoś, co moja macocha nazwałaby czynem niemoralnym, czynem mrocznym. A więc począłem się w niemoralnej wolności. Dlaczego danym mi było znaleźć się w więzieniu? Moja prawdziwa matka na pewno nie została nigdzie uwięziona.

Już za późno, szepnąłem do panny Keene, dającej mi rozpaczliwe sygnały z farmy pod Koffiefontein. Już nie ma mnie tam, gdzie pani kieruje do mnie swoje myśli. Może kiedyś moglibyśmy byli pocieszyć się nawzajem, znaleźć zadowolenie w naszej wspólnej celi więziennej, cóż kiedy już nie jestem tym samym Henrym Pullingiem, na którego spoglądała pani poniekąd czule znad frywolitek. Uciekłem. Już nie jestem podobny do portretu mojego, jaki zachował się w pani wspomnieniach.

Ruszyłem z powrotem na przystań i oglądając się zobaczyłem, że podąża za mną ten psi szkielet. Przypuszczalnie temu psu każdy przybysz wydawał się symbolem nadziei.

- Hej, człowieku! - usłyszałem czyjś głos. - Po co takim galopem?

---

<sup>2</sup> Oda Wordswortha, przekład S. Kryńskiego, „Angielscy poeci jezior”, Ossolineum. Wrocław 1963.

I ni stąd, ni zowąd Wordsworth był już tylko w odległości paru jardów ode mnie. Wstał z ławki przy popiersiu wyzwoliciela nazwiskiem Urąiwa i podbiegł do mnie z rękami wyciągniętymi, z twarzą rozplataną szerokim uśmiechem.

- Człowieku, pan nie zapomniał starego Wordswortha? - zapytał wyzymając mi dłonie i śmiejąc się tak głośno, że twarz mi tą swoją radością skropił.

- No, Wordsworth - rzekłem też zadowolony - co ty robisz, na Boga, tutaj?

- Moja dziecinka - powiedział - kazała mi jechać do Formosa i czekać, aż pan Pullen przyjedzie.

Zauważyłem, że on teraz jest ubrany tak elegancko jak przemytnik-królik i też ma ze sobą nowiusieńką walizkę.

- Jak się czuje moja ciotka, Wordsworth? -Zupełnie dobrze - odrzekł, ale ze smutkiem w oczach, po czym dodał: - Tańczy jak diabli za dużo. Ja jej mówię, że ona to już nie podfruwajka. Jeżeli nie przestanie... Człowieku, naprawdę martwię się o nią.

- Wsiądziesz na statek ze mną?

- No pewnie, panie Pullen. Już pan niech wszystko zostawi na głowie starego Wordswortha. Ja znam tych celników w Asunción. Niektórzy równi faceci. Niektórzy piekielnie źli. Pan niech tylko da mnie z nimi mówić. Przecież nie chcemy, żeby coś od nas wyszachrowali.

- Ja niczego nie przemycam, Wordsworth.

Zawodząco wzywała nas buczeniem syrena statku.

- Człowieku, pan niech wszystko zostawi na głowie starego Wordswortha. Ja tylko popatrzę na ten statek i od razu zobaczę, którzy tam naprawdę źli. Trzeba z nimi ostrożnie.

- Ostrożnie? Dlaczego, Wordsworth?

- Pan jest w dobrych rękach, panie Pullen. Teraz niech pan da staremu Wordsworthowi spokój.

Nagle ujął moje palce i ścisnął je.

- Pan ma ten obrazek, panie Pullen?

- Chodzi ci o ten port Freetown? Owszem, mam go. Odetchnął, uspokojony.

- Lubię pana, panie Pullen. Pan zawsze ze starym Wordsworthem szczerze. To teraz niech pan wsiada na statek. - Już chciałem odejść, kiedy zapytał: - Będzie CTC dla Wordswortha?

Więc dałem mu wszystkie drobne, które miałem w kieszeni.

Jakkolwiek mógł na mnie ściągnąć duże kłopoty w tamtym już nie istniejącym dawnym moim świecie, bardzo rad byłem z naszego spotkania.

Na statek przenoszono ostatni ładunek czarnymi żelaznymi drzwiami otwartymi z boku. Przepchnąłem się przez najtańszą klasę, gdzie siedziały kobiety o indiańskich twarzach karmiąc piersią niemowlęta i po zardzewiałych schodach wszedłem do klasy pierwszej. Nigdzie na pokładzie nie widziałem Wordswortha, daremnie też rozglądałem się za nim w sali jadalnej przy kolacji. Uznałem, że on podróżuje trzecią klasą, bo chce wygospodarować pieniądze na jakieś inne cele. O tym, że ciotka dała mu na bilet pierwszej klasy, nie wątpiłem nawet przez moment.

Po kolacji O'Toole zaproponował, żebyśmy się napili w jego kajucie.

- Mam trochę dobrej whisky kukurydzianej - powiedział.

Chociaż nigdy nie pijałem mocnego alkoholu, lubiąc tylko przed posiłkiem kieliszek kseresu oraz po posiłku kieliszek portwajnu, przyjąłem jego zaproszenie chętnie w ten nasz ostatni wspólny wieczór na statku. Znowu niespokojny duch opanował wszystkich pasażerów, aż się wydawało, że z lekka powariowali. W barze zespół amatorski grał do tańca i marynarz przebrany za kobietę, przyodziany skąpo, zgoła jednak nieskąpo owłosiony, zaczął płaść wśród stolików wołając, że chce mieć partnera. W kajucie kapitana sąsiadującej z kajutą O'Toole'a ktoś brzdąkał na gitarze i rozlegały się piski kobiece. Dostycie nieoczekiwane, pomyślałem, odgłosy z kwatery kapitańskiej.

- Nikt nie będzie spać dzisiaj w nocy - rzekł O'Toole napełniając szklaneczki whisky kukurydzianą.

- Jeżeli pozwolisz - poprosiłem - to dla mnie sporo wody sodowej.

- Udało się jednak. A już byłem pewny, że ugrzęźniemy w Corrientes. Deszcz cholernie się spóźnia w tym roku. -I natychmiast, jak gdyby dla odparcia jego dosadnej uwagi na temat pogody, huknął przeciągły grzmot tak, że prawie zagłuszył dźwięki gitary.

- Jak ci się podobało w Formosa? - zapytał O'Toole. - Niewiele tam do oglądania. Poza więzieniem.

Wspaniały budynek z epoki kolonialnej.

- Wewnątrz już nie taki świetny - powiedział O'Toole. Odblask błyskawicy przeorał ścianę i światła w kajucie zamrugały. - Spotkałeś znajomego, prawda?

- Znajomego?

- Widziałem, jak rozmawiasz z jakimś kolorowym.

Dlaczego zacząłem raptem mieć się na baczności, chociaż OToole'a rzeczywiście lubiłem? Rzekłem wymijająco:

- Och, on chciał pieniędzy. Ale ja ciebie na brzegu nie widziałem.

- Byłem na mostku - wyjaśnił O'Toole - i patrzyłem przez lornetkę kapitana. - Zmienił temat: - Wciąż jeszcze nie może mi się pomieścić w głowie to, że ty, Henry, znasz moją córkę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tęsknię za tą dziewczyną. Wcale mi nie mówileś, jak ona wyglądała.

- Wyglądała wspaniale. Jest bardzo ładna.

- Tak - powiedział - bardzo ładna była też jej matka. Gdybym kiedykolwiek ożenił się znowu, to tylko z jakąś brzydulą.

Umilkł i zadumał się nad whisky, a ja przez ten czas rozglądałem się po kajucie. Nie uczynił takiego wysiłku, jaki ja pierwszego dnia uczyniłem, żeby urządzić sobie chwilowy dom. Jego walizki stały na podłodze nie rozpakowane, nawet powiesić ubrań mu się nie chciało. Maszynka do golenia leżała przy umywalni, jakaś powieść kryminalna przy łóżku i to było wszystko, co świadczyło, że ktoś tu mieszka. Raptownie deszcz lunął na pokład, jak gdyby nastąpiło oberwanie chmury.

- Myślę, że już zaczyna się zima - powiedział mój gospodarz.

- Zima w lipcu.

- Ja do tego przywykłem - powiedział. - Śniegu nie widziałem od sześciu lat.

- Jesteś już od sześciu lat tutaj?

- Nie, ale przedtem byłem w Syjamie.

- Prowadziłeś badania?

- Mniej więcej... - Gdyby zawsze był aż tak powściągliwy w mowie, ileż czasu musiałoby mu zabierać ujawnianie każdego faktu, który chciałby ujawnić.

- Jak tam dane statystyczne moczku?

- Dzisiaj ponad cztery minuty trzydzieści sekund - powiedział. Skwaszony, dodał: - A to jeszcze nie koniec. - I podniósł wymownym gestem szklaneczkę z whisky. Kiedy nad statkiem znowu zagrzmiało, ciągnął rozmowę dalej, widocznie bardzo się starając znaleźć temat. - Więc w Formosa ci się nie podobało?

- Nie. Oczywiście, mogą tam być zupełnie dobre warunki do łowienia ryb - powiedziałem.

- Do łowienia ryb! - wykrzyknął z pogardą. - Chyba przemyt miałeś na myśli.



- Ciągłe słyszę przemyt i przemyt. Ale czego?

- To już stał się proceder na skalę państwową w Paragwaju - wyjaśnił. - Przynosi prawie tyle, ile herbata z *yerba mate*, i znacznie więcej niż ukrywanie zbrodniarzy wojennych z kontami w bankach szwajcarskich. I znacznie, cholernie więcej niż moje badania.

- Ale co oni mogą przemycać?

- Szkocką whisky i papierosy amerykańskie. Znajduje się agenta w Panamie, który kupuje to hurtem i wysyła samolotem do Asunción. Paki są oznaczone napisami „Towary w tranzycie”, rozumiesz? Płaci się tylko małe cło na lotnisku międzynarodowym i przenosi się te paki do prywatnego samolotu. Zdumiałbyś się, gdybyś wiedział, ile prywatnych dakot jest obecnie w Asunción. Potem pilot startuje do Argentyny, która jest tuż, za rzeką. I ląduje w jakiejś *estancia* o kilkaset kilometrów od Buenos Aires... prawie wszyscy mają lotniska prywatne. Może budowane nie specjalnie dla dakot, ale to już jest ryzyko pilota. Wyładowuje się towar z samolotu do ciężarówek i załatwione. Ma się odbiorców, którzy czekają z wywieszonymi językami. To sam rząd sprawia, że są tacy spragnieni, bo cło na te artykuły wyznaczył w wysokości stu dwudziestu procent.

- A Formosa?

- Formosa jest dla małych facetów prowadzących szmugiel na własną rękę przez rzekę. Nie wszystek towar „w tranzycie” z Panamy leci w dalszą drogę dakotami. Czy to sprawa tutejszej policji, że niektóre z tych pak zostaną nie załadowane? W Asunción można w sklepach kupić szkocką taniej niż w Londynie, a na ulicach chłopcy sprzedają dobre amerykańskie papierosy po cenach ulgowych. Wystarczy tylko mieć łódkę, wiosła i kontakt. Kiedyś jednak dosyć się ma tej zabawy albo może kula świśnie przy uchu, więc kupuje się udział w Dakocie i już spokojnie zaczyna się zbijać wielki majątek. Kusi cię to, Henry?

- Nie przeszedłem w banku odpowiedniego przeszkolenia - odparłem, ale pomyślałem o ciotce, jej walizkach napchanych banknotami i jej sztabce złota, i zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie mam we krwi czegoś, co w innych okolicznościach życiowych mogło być pchnąć mnie na taką drogę. - Mnóstwo wiesz o tym - powiedziałem.

- To należy do moich badań socjologicznych.

- Nigdy nie chciałeś dokonywać tych badań trochę dogłębniej, Tooley? Wniknąć w ducha przygody na granicy? - Dokuczałem mu, bo go lubiłem. W taki sposób nigdy bym przecież nie dokuczał ani majorowi Charge, ani kontradmirałowi.

Długo patrzył na mnie ze smutkiem, jak gdyby przygotowując się do udzielenia odpowiedzi zupełnie szczerzej.

- Na mojej posiadzie nie zaoszczędzi się dosyć pieniędzy, żeby kupić dakotę. I ryzyko, Henry, dla cudzoziemca, jest ogromne. Ci faceci nieraz się kłócą albo dochodzi do rabunku przemycanego towaru. Albo policja robi się chciwa. W Paragwaju łatwo jest zginąć bez śladu... niekoniecznie nawet bez śladu. Kto będzie podnosił hałas o takiego czy innego truposza? Generał utrzymuje spokój... tego właśnie chce naród po swojej wojnie domowej... a nieboszczyk żadnego kłopotu nikomu przecież nie robi. I w Paragwaju nie ma koronerów.

- Wolisz życie niż ducha granicznej przygody, Tooley.

- Wiem, że mojej małej nie bardzo mogę się przydać z odległości trzech tysięcy mil, Henry, ale przynajmniej ona dostaje czek ode mnie co miesiąc. Nieboszczyk nie może wypisywać czeków.

- I przemytem chyba CIA się nie interesuje?

- Nie powinienes wierzyć w takie bzdury, Henry. Powiedziałem ci... Lucinda to romantyczka. Chce mieć ojca nadzwyczajnego, a co ma? Obciążona jest mną po prostu. Więc musi różne rzeczy wymyślać. Sprawozdanie o niedożywieniu nie wzbudza romantycznych uczuć.

- Myślę, że powinienes sprowadzić ją do domu, Tooley.

- A gdzie ten dom? - zapytał i ja wtedy też się rozejrzałem po kajucie i zastanowiłem. Jakoś jego argumenty nie trafiły mi do przekonania. Nie wiem dlaczego, bo był znacznie bardziej rzeczowy niż jego córka.

Zostawiłem go z jego kukurydzianą whisky i wróciłem do swojej kajuty na przeciwległym pokładzie. O'Toole mieszkał od lewej burty, a ja od burty prawej. Ja wyglądałem na Paragwaj, a on na Argentynę. Dźwięki gitary nadal dolatywały z kajuty kapitana i ktoś śpiewał piosenkę, ale nie mogłem rozpoznać w jakim języku - może guarani. Moje drzwi, chociaż ich nie zamknąłem na klucz, nie otworzyły się, kiedy je pchnąłem. Musiałem pomóc sobie ramieniem, żeby ustąpiły. Przez szparę zobaczyłem Wordswortha. Naprzeciwko drzwi stał z nożem w ręce. Dopiero widząc, że to ja, opuścił nóż.

- Wejdz, szefie - syknął.

- Jakże mogę wejść?

Drzwi były zaklinowane krzesłem. Odstawił teraz to krzesło i wpuścił mnie.

- Muszę bardzo uważać, panie Pullen.

- Na co?

- Za dużo niedobrych ludzi na tym statku, za dużo szachrajstwa.

Ten jego nóż to był scyzoryk z trzema ostrzami, korkociągiem, kluczem do otwierania puszek i czymś do wyjmowania kamyków z podków koni - zarówno producenci scyzoryków, jak uczniacy są przecież konserwatywni. Wordsworth zamknął swój scyzoryk i wrzucił go w kieszeń.

- No - zapytałem - czego chcesz, ty szczęśny pastuszk.

Potrząsnął głową.

- Och, ona to cudo, ta pana ciocia. Żadna przed nią nie mówiła tak nigdy do Wordswortha. No, podchodzi ona do mnie na ulicy przed tym pałacem kinowym i mówi jasno jak na dłoni: „Ty, dziecię radości”. Kocham pana ciocię, panie Pullen. Jestem gotowy umrzeć dla niej, kiedy tylko ona kiwnie palcem i powie: „Wordsworth, idź na śmierć...”

- Tak, tak - przerwałem - to świetnie, ale dlaczego barykadujesz się w mojej kajucie?

- Przyszedłem po ten obrazek - wyjaśnił.

- Nie mogłeś z tym poczekać, dopóki nie wysiadziemy na ląd?

- Pana ciocia powiedziała, żebym przywiózł ten obrazek bezpiecznie. Wordsworth, raz, dwa albo wcale tu już nie wracaj.

Znowu zbudziło się we mnie podejrzenie. Może ta ramka podobnie jak tamta świeca jest ze złota? Czy może ta fotografia przykrywa jakieś banknoty o bardzo wysokim nominale? Ani jedno, ani drugie nie wydawało się prawdopodobne, ale zarówno jedno jak drugie w wypadku ciotki było przecież możliwe.

- Mam znajomych na cle - dodał Wordsworth - oni mnie nie oszachrują, panie Pullen, a pan tutaj obcy.

- Przecież to tylko fotografia portu Freetown.

- Owszem, panie Pullen. Ale pana ciocia powiedziała...

- Dobrze. Więc bierz ją. Gdzie ty będziesz spał? Wordsworth wskazał kciukiem podłogę.

- Mnie bardzo wygodnie tam na dole, panie Pullen. Ludzie tam śpiewają i tańczą, i bawią się. Nie noszą krawatów i nie chodzą się myć przed jedzeniem. Ja nie lubię mydła do kotleta.

- Poczęstuj się papierosem, Wordsworth. - Jeżeli pan pozwoli, panie Pullen, u pana zapalę sobie tego.

Papieros, którego wyciągnął z pomiętej kieszeni, był podarty i zgnieciony.

- Nadal haszysz, Wordsworth?

- No, to trochę lekarstwo, panie Pullen. Ja się marnie ostatnio czuję. Zmartwienie nie daje mi spokoju.

- Czym tak się martwisz?

- Pana ciocią, panie Pullen. Ona zawsze bezpieczna ze starym Wordsworthem. I ja nic a nic jej nie kosztuję. Ale ona ma teraz faceta... ten dopiero ją kosztuje szalenie. I za stary dla niej, panie Pullen. Pana ciocia nie kwoka. Potrzebuje młodego.

- Ty sam niezupełnie jesteś młody, Wordsworth.

- Jeszcze nie stoję moją wielką nogą w grobie, panie Pullen, tak jak ten jej facet. Ja jemu nie wierzę. Kiedy tu przyjechał, był strasznie chory. Mówił: „Proszę, Wordsworth, proszę, Wordsworth”, jakby cały cukier świata miał na języku. Mieszkał w najtańszym hotelu, ale nawet na to nie miał pieniędzy. Kiedy przyszli i go wyrzucili, człowieku, strasznie się bał wyprowadzić. Kiedy pana ciocia przychodzi, to on płacze jak mały niemowlak. To nie mężczyzna, pewnie że nie mężczyzna, i szalenie, szalenie niegodziwy. Mówi słodkie rzeczy, a jakże, ale zawsze postępuje niegodziwie. Więc po co ona rzuciła Wordswortha dla takiego niegodziwego? Niech pan mi powie, panie Pullen, niech pan mi powie. - Osunął się na moje łóżko i zaczął płakać. Łzy jego były jak źródło wierzące sobie ujście w skale, ciekące przez szczeliny.

- Wordsworth - zapytałem - czyżbyś był o ciotkę Augustę zazdrosny?

- Człowieku - odrzekł. - To była moja dziecinka. A teraz złamała mi serce w drobny mak.

- Biedny Wordsworth. - Nic więcej nie mogłem powiedzieć.

- Ona chce, żebym odszedł - żalił się Wordsworth. - Chce, żebym pana przywiózł, a potem, żebym odszedł. Powiedziała: „Dam ci największy CTC, jaki w życiu widziałeś, wracaj do Freetown i znajdź sobie dziewczynę”, ale ja nie chcę jej pieniędzy, panie Pullen, i nie chcę już Freetown i nie chcę żadnej dziewczyny. Ja kocham pana ciocię. Ja chcę z nią zostać tak jak w tej piosence „Zostaniesz przy mnie, w krąg już zapada zmierzchanie, ciemno się robi, och, przy mnie zostaniesz... Łzy bez goryczy...” Ale, człowieku, w moich łzach jest gorycz faktyczna.

- Gdzie nauczyłeś się tego hymnu, Wordsworth?

- Zawsze to śpiewaliśmy w katedrze Świętego Jerzego we Freetown. „W krąg już zapada zmierzchanie...” Mnóstwo takich smutnych piosenek tam śpiewaliśmy i teraz każda jedna mi przypomina moją dziecinę. „Wciąż jeszcze na tej ziemi o nic nie prosimy, tylko z prostotą zawsze Ciebie czcimy”. To prawda, człowieku. Ale ona chce, żebym odszedł i ja odejdę, i już nigdy jej nie zobaczę.

- Z kim ona teraz jest, Wordsworth?

- Przez usta mi nie przejdzie jego nazwisko. Język bym sobie spalił! Och, człowieku, byłem wierny pana cioci już tak długo.

Bynajmniej nie po to, by go skarcić, tylko po prostu chcąc oderwać jego myśli od tej niedoli zapytałem:

- Pamiętasz tę dziewczynę w Paryżu?

- Tę, która chciała poskakać?

- Nie, nie. Tę panienkę w pociągu.

- Aha, tak. No, pewnie. Pamiętam ją.

- Dałeś jej haszysz - powiedziałem.

- No, pewnie. Czemu miałbym nie dać? Bardzo dobre lekarstwo. Pan chyba nie myśli, że ja robiłem z nią coś złego? No, człowieku, ona była jak statek, co przy pływa z daleka. Za młoda dla starego Wordswortha.

- Jej ojciec płynie razem z nami. Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Nie mów, człowieku!

- Pytał mnie o ciebie. Widział mnie z tobą na brzegu.

- Jak wygląda?

- Twojego wzrostu, ale bardzo chudy. Wyraźnie nieszczęśliwy, smutny i w sportowej marynarce z samodziału.

- Boże Wszechmogący! Ja go znam! Mnóstwo razy widziałem go w Asunción. Z nim musi pan cholernie uważać.

- Mówił, że prowadzi jakieś badania socjologiczne.

- Co to znaczy?

- Bada różne sprawy.

- Och, człowieku, to już racja. Coś panu powiem. Ten facet pana cioci... on nie lubi tego chudego mieć blisko.

Rzeczywiście zdołałem oderwać jego myśli od ciotki. Odchodząc z fotografią portu Freetown ukrytą pod koszulą, mocno uścisnął mi rękę:

- Człowieku - powiedział - pan wie, co pan jest dla biednego Wordswortha. Pan jest radą dla bezradnego, panie Pullen. „Och, przy mnie zostaniesz”...

## IV

Kiedy wyszedłem na pokład po śniadaniu, zbliżaliśmy się do Asunción. Czerwone skały były podziurawione jaskiniami. Na samej krawędzi tych skał sterczały nędzne chaty i patrzyły stamtąd na nas gołe dzieci z brzuskami rozdętymi wskutek niedożywienia, a statek mijał je powoli jak człowiek, który wraca do domu po obfitym posiłku i jeszcze w drodze mu się odbija, z czym doskonale można by porównać bekanie syreny. Powyżej chat, niczym jakieś średniowieczne zamczysko ponad nieszczęsną wioską zbudowaną z plecionki i mułu, wznosiły się wielkie białe bastiony zbiorników Shell.

O'Toole podszedł i stanął przy mnie, ledwie urzędnicy imigracyjni wkroczyli na pokład. Zapytał:

- Mogę ci w czymś pomóc? Podwieźć ciebie czy co?

- Bardzo ci dziękuję, ale chyba ktoś po mnie przyjechał.

Pasażerowie z najtańszej części statku już wysiadali.

- Jeżeli będziesz potrzebował pomocy – rzekł O'Toole - to ja w każdej chwili... Znam tutejsze warunki. Zastaniesz mnie w ambasadzie. Nazywają mnie drugim sekretarzem. To wygodne.

- Bardzo jesteś uprzejmy.

- Dla znajomego Lucindy... - rzekł. - Wydaje mi się, że Katmandu jest piekielnie daleko. Może jednak jakaś poczta tam dochodzi.

- Czy ona często pisuje?

- Przysłała mi widokówki. - Pochylił się nad poręczą. - Czy to nie twój przyjaciel? - zapytał.

- Jaki przyjaciel?

Popatrzyłem na stojących w ogonku tych najtańszych pasażerów i zobaczyłem Wordswortha.

- Ten, z którym rozmawiałeś na brzegu.

Powiedziałem:

- Wszyscy kolorowi dla mnie z tej odległości są prawie nie do odróżnienia.

- Nieczęsto widuje się tu Afrykanów - zauważył. - Dlatego myślę, że to jednak ten twój przyjaciel.

Kiedy w końcu dopełniono formalności, stanąłem przy moim bagażu na rogu ulicy Beniamina Constanta i zacząłem daremnie rozglądać się za Wordsworthem. Rodziny witały się, odjeżdżały samochodami. Czech, fabrykant plastiku, zaproponował, że mnie podwiezie taksówką. Jakiś mały chłopczyk chciał mi wyczyścić buty, inny chciał sprzedać papierosy amerykańskie. Na tej długiej ulicy biegnącej przede mną szpalerem drzew pod górę pełno było sklepów z napojami wysokowymi i staruszek siedzących nad koszami chleba i owoców. Pomimo brudu i spalin z antycznych samochodów powietrze przesyciła słodka woń kwiatów pomarańczy.

Ktoś gwizdnął, więc odwróciłem się. Zobaczyłem Wordswortha w chwili, kiedy wysiadał z taksówki. Podniósł z ziemi moje dwie ciężkie walizy, jak gdyby to były puste pudła tekturowe.

- Szukałem życzliwego kierowcy - wyjaśnił. - Tutaj za dużo szachrajstwa.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się jechać taksówką do tego stopnia zgrzybiałą. Obicia zwisały w strzępach, włosie wylażyło z siedzenia. Wordsworth przyklepał je mocno, żeby było trochę wygodniej. Potem zaczął na migi pokazywać kierowcy coś, co ten człowiek najwyraźniej rozumiał.

- Pojeździmy trochę w kółko - zwrócił się Wordsworth do mnie. - Chcę zobaczyć, czy już dali nam spokój.

Wyrzał przez okno, kiedy taksówka zgrzytnęła i zatrzęsła się. Obok przejeżdżały taksówki dosyć eleganckie i niejeden kierowca wrzeszczał coś z pewnością obelżywego do naszego staruszka z białymi wąsami i w kapeluszu bez denka.

- A jeśli nie dali nam spokoju - zapytałem - co zrobimy?

- Będziemy szalenie uważać - odpowiedział Wordsworth wymijająco.

- Taksówkę wybrałeś chyba najstarszą, jaka była. Żołnierze krokiem paradnym maszerowali przed katedrą i na cokole pośrodku zielonej murawy stał czołg z bardzo dawnych czasów. Drzewa pomarańczowe rosły wszędzie, niektóre z owocami, niektóre kwitnące.

- To mój dobry znajomy.

- Mówi po hiszpańsku? - zapytałem.

- Nie, hiszpańskiego nie zna w ogóle.

- To po jakiemu mówi?

- Jakoś tak po indiańsku.

- Więc co ty robisz, żeby ciebie rozumiał?



- Daję mu fajki - odpowiedział Wordsworth. - On lubi haszysz.

Poza wieżowcem nowego hotelu miasto było bardzo wiktoriańskie. Wkrótce przestawało się zauważać, jakim anachronizmem są te samochody. Widziałem wozy zaprzężone w muły i czasem ludzi na koniach. Minęliśmy biały kościółek baptystów ozdobiony blankami, jakąś uczelnię zupełnie jak neogotyckie opactwo i kiedyśmy wjechali do dzielnicy mieszkaniowej wielkie kamienne domy w cienistych ogrodach, domy z portykami i z kamiennymi schodkami żywo przypominały mi najstarszą część Southwood, tylko że w Southwood każdy taki dom byłby podzielony na mieszkania, te stare kamienie byłyby pobielone wapnem, a na dachach jeżyłyby się anteny telewizyjne. Zamiast drzew pomarańczowych i bananowych widziałbym zaniedbane rododendrony i łysawe trawniki.

- Wordsworth, jak się nazywa ten przyjaciel mojej ciotki? - zapytałem.

- Nie pamiętam - odpowiedział Wordsworth. - Nie chcę pamiętać. Chcę zapomnieć.

Minęliśmy mały skruszały domek z kolumnami korynckimi i niecałymi szybami w oknach oraz z tabliczką rozłupaną zębem czasu, jeszcze jednak głosząca, że to jest „Szkoła Architektury”. Ale jakkolwiek zrujnowane były te domy, kwiaty pyszniły się wszędzie! Jaśmin kwitł niebiesko i biało na jednym i tym samym krzaku.

- Tutaj stajemy - Wordsworth szarpnął kierowcę za ramię.

Zobaczyłem ogromny dom pośrodku wielkiego niechlujnego trawnika, który kończył się w ciemnej rozwichrzonej zieleni drzew, małym lesie bananów, pomarańczy, cytryn, grejpfrutów i lapacho. Z obu stron widoczne przez bramę szerokie kamienne stopnie prowadziły do dwóch osobnych wejść. Budowla ta, ściemniała od grzyba, liczyła trzy piętra.

- To dom jakiegoś milionera - powiedziałem.

- Zobacz pan - powiedział Wordsworth. Brama była żelazna, zardzewiała i zamknięta na kłódkę. Na jej słupach wyrzeźbiono ananasy, cóż kiedy te rzeźby trochę już się starły i rozpięty między nimi drut kolczasty wyglądał zgoła nieelegancko. Może jakiś milioner mieszkał tu kiedyś, pomyślałem, ale dawno temu.

Wordsworth poprowadził mnie za róg ulicy i wchodząc od tyłu małą furtką, którą zamknął na klucz za sobą, ruszyliśmy przez gaj mile pachnących drzew i krzewów.

- Hej! - zawołał Wordsworth w stronę tej kanciastej kamienicy. - Hej!

Ale odpowiedzi nie było. Dom swoją maszywnością i ciszą przypominał mi owe wielkie grobowce rodzinne na cmentarzu w Boulogne. Pomyślałem, oto jest koniec podróży.

- Pana ciotka zrobiła się przygłucha - rzekł Wordsworth. - Już nie jest młoda, już nie.

Mówił to z żalem, jak gdyby poznał ją jako młodą dziewczynę, a przecież ona miała lat ponad siedemdziesiąt, kiedy go poderwała przed Grenada Palace. Po kamiennych stopniach weszliśmy do holu tego domu.

Wielki hol ze spękaną marmurową podłogą ział pustką. Przez okna zasłonięte okiennicami nie przenikało światło dnia i paliła się tylko zwykła goła żarówka na suficie. Nie było żadnych krzeseł, stołu, kanapy, obrazów. O tym, że ktoś tu mieszka, świadczyła jedynie miotełka z piór oparta o ścianę, ale równie dobrze mogła to zostawić za życia poprzedniego pokolenia osoba najęta do posprzątania, kiedy już przedsiębiorstwo przeprowadzkowe wywoziło stąd wszystkie meble.

- Hej! - zawołał Wordsworth. - Hej! Pan Pullen jest.

Usłyszałem stukot obcasów chyba na jakimś korytarzu nad sufitem. Schody z różowego marmuru prowadziły z holu na pierwsze piętro i tam właśnie u ich szczytu ukazała się ciotka Augusta. Światło żarówki było zbyt słabe, żebym mógł ją zobaczyć wyraźnie, więc może, biorąc pod uwagę długą rozłąkę, tylko sobie wyobraziłem, że jej głos brzmi drżąco, starzej niż go zapamiętałem.

- No, Henry - powiedziała ciotka - witaj w domu. - Wolno zeszła ze schodów trzymając się poręczy, może dlatego, że źle w tym słabym świetle widziała. - Tak mi przykro, że pan Visconti jeszcze nie przyjechał, żeby cię powitać. Oczekiwałam jego powrotu wczoraj.

- Pan Visconti?

- Tak - odrzekła - pan Visconti. Szczęśliwie połączyliśmy się znowu. Czy dowiozłeś ten obrazek bez przygód?

- Ja go mam - powiedział Wordsworth unosząc w ręce swoją nową walizkę.

- Pan Visconti odetchnie z ulgą. Bał się komory celnej. Dobrze, Henry, wyglądasz. - Ciotka pocałowała mnie w policzek, aż powiało zapachem lawendy. - Chodź, pokażę ci twój pokój.

Ruszyłem za nią do holu na pierwszym piętrze, równie nagiego jak hol na parterze, i otworzyła tam jedne z drzwi. W tym pokoju przynajmniej były jakieś meble: łóżko, krzesło i szafa, ale nic więcej. Ciotka najwidoczniej uznała, że należy mi się wyjaśnienie, bo rzekła:

- Umeblowanie przyjedzie lada dzień. Otworzyłem drzwi do innego pokoju i ujrzałem tylko dwa materace, jeden na drugim na podłodze, toaletkę i puf, chyba prosto ze sklepu.

- Łóżko oddałam tobie - powiedziała ciotka. - Bez toaletki jednak nie mogłabym się obyć.

- To pokój cioci?

- Czasami odczuwam brak moich szkieł weneckich, ale kiedy zawiesi się firanki i przyjdą meble... Na pewno chce ci się jeść, Henry. Wordsworth przyniesie twoje rzeczy. Zaraz zjemy lekki obiadek.

Umeblowanie jadalni już mnie nie zdziwiło. Był to przestronny pokój, niegdyś oświetlany blaskiem trzech żyrandoli; druty po nich kielkowały jak chwasty z dziur w suficie. Pośrodku stał stół bez obrusa, a za krzesła służyły zwykłe paki.

- Trochę tu prymitywnie - powiedziała ciotka - ale kiedy pan Visconti wróci, zobaczysz, w jakim tempie doprowadzimy wszystko do porządku.

Obiad składał się z konserw, które popijaliśmy słodkim czerwonym winem pochodzenia miejscowego, mającym smak jakiegoś piekielnego lekarstwa z dzieciństwa. Pomyślałem o tym, że na podróż statkiem dostałem bilet pierwszej klasy i zrobiło mi się wstyd.

- Kiedy pan Visconti już tu będzie - mówiła ciotka - urządzimy na twoją cześć przyjęcie. Ten dom jest po prostu stworzony do przyjęć. Wołu w całości upieczemy w ogrodzie i będą latarenki na drzewach, i muzyka, oczywiście do tańca. Harfy i gitary... w myśl tutejszej mody. Tańce narodowe to polka i galop. Zaproszę komendanta policji, prowincjała jezuitów (on będzie tylko rozmawiał, oczywiście), ambasadora brytyjskiego z żoną. Ambasadora włoskiego... nie, to byłby nietakt. Musimy znaleźć dla ciebie parę ładnych panien.

Drzazga z paki drapnęła mnie w udo. Powiedziałem:

- Przedtem przyda się tu trochę mebli, ciociu.

- To oczywiste. Żałuję, że nie mogę zaprosić włoskiego ambasadora. To taki przystojny mężczyzna, no ale zważywszy okoliczności... Będę musiała ci powiedzieć, Henry, coś, o czym wie tylko Wordsworth.

- Gdzie on jest teraz?

- W kuchni. Pan Visconti woli, żeby nie siadał do jedzenia z nami. Więc, jak ci miałam powiedzieć, Henry, tylko że mi przerwałeś, pan Visconti używa obecnie paszportu argentyńskiego, jego tutaj znają jako pana Izquierdo...

- Wcale mnie to wszystko nie dziwi, ciociu. - I opowiedziałem ciotce, jak ci dwaj detektywi przeszukali jej mieszkanie. - Generał Abdul nie żyje, nawiasem mówiąc.

- Raczej spodziewałam się tego. Czy oni coś zabrali?

- Nic oprócz jednej karty pocztowej z Panamy.

- Po co im ta karta?

- Przypuszczali, że może ma coś wspólnego z panem Viscontim.

- Jakież niedorzeczne pomysły miewa policja. To na pewno była karta od monsieur Dambreuse. Spotkałam go na statku w drodze do Buenos Aires. Biedak dosyć się postarzał. Nawet go nie poznałam, dopóki nie zaczął mi mówić, że zasiada w zarządzie spółki metalurgicznej w Paryżu i ma żonę i dzieci w Tuluzie.

- On cioci nie poznał?

- To nic dziwnego. W tamtych czasach, kiedyśmy mieszkali w St. James i Albany, miałam włosy czarne, a nie rude. Rude to kolor włosów, który pan Visconti lubi najbardziej. Dlatego pozostawałam przy tym kolorze już bez zmian.

- Ci policjanci działali na życzenie Interpolu - powiedziałem.

- To niedorzeczność z ich strony traktować pana Viscontiego, jakby był pospolitym zbrodniarzem wojennym. Takich ludzi mnóstwo ukrywa się w tych stronach. Martin Bormann mieszka tuż za tą granicą w Brazylii, a ten potwór doktor Mengele z Oświęcimia jest podobno w wojsku przy granicy boliwijskiej. Dlaczego Interpol nie bierze się do nich? Pan Visconti był zawsze bardzo dobry dla Żydów. Nawet kiedy prowadził te interesy z Arabią Saudyjską. Z jakiej racji doszło do tego, że musiał uciec z Argentyny, gdzie spokojnie handlował antykami i powodziło mu się nie najgorzej? W Buenos Aires pewien Amerykanin dowiadywał się o niego bardzo nachalnie. Pan Visconti opowiadał mi o tym. Sprzedał pewien obraz prywatnemu nabywcy w Stanach, a ten Amerykanin, podając się za przedstawiciela Muzeum Metropolitan, powiedział, że obraz pochodzi z grabieży...

- Czy przypadkiem to nie był niejaki O'Toole?

- Był.

- To on teraz jest tutaj, w Asunción.

- Tak, wiem o tym. Ale tu nie znajdziesz ludzi pomocnych. Ostatecznie Generał ma w żyłach krew niemiecką.

- Poznałem go na statku i powiedział mi, że prowadzi badania socjologiczne.
- Wierutne kłamstwo. Tak samo jak Muzeum Metropolitan. On pracuje w CIA.
- To ojciec Tooley.
- Tooley?
- Tej dziewczyny z Orient Expressu.

- Bardzo interesujące - rzekła ciotka. - Kto wie czy to by nam czegoś nie dało. - Zastanowiła się. - Mówisz, że poznałeś go na statku?

- Właśnie.

- Może on cię śledził. Tyle hałasu o parę obrazów. Jeśli mnie pamięć nie myli, to bardzo się zaprzyjaźniłeś z jego córką wtedy w pociągu. I była ta sprawa zajścia w ciążę...

- Ciociu, ja z tym nie miałem nic wspólnego.

- Raczej szkoda - ciotka westchnęła - zważywszy okoliczności.

Wordsworth wszedł do jadalni przyodziany w rzeźnicki fartuch, w którym zobaczyłem go po raz pierwszy u ciotki nad „Koroną i Kotwicą”. Wówczas jego usługi przy zmywaniu zostały ocenione i wynagrodzone pochwałą, teraz jednak zauważyłem, że przechodzą bez wrażenia.

- Zjedliście już?

- Kawę wypijemy w ogrodzie - powiedziała ciotka tonem wielkopańskim.

Usiedliśmy w skąym cieniu drzewa bananowego. Powietrze przesycił słodki zapach pomarańczy i jaśminów. Błady księżyc płynął po bladoniebieskim niebie dnia. Bielał matowo i mizernie jak stara moneta i kraterzyki na nim miały ten sam kolor co niebo, aż się wydawało, że widać wszechświat przez dziury w księżycu. Ulicą za ogrodzeniem nie przejeżdżały żadne samochody. Klapanie kopyt końskich było częścią tego świata ciszy.

- Tak, tu jest bardzo spokojnie - rzekła ciotka - tyle że od czasu do czasu słychać strzały karabinowe o zmroku. Tutejsza policja lubi pociągać za cyngiel. Zapomniałam, czy ty bierzesz dwie kostki cukru, czy jedną.

- Owszem, tu jest bardzo spokojnie, ale wolałbym trzy, ciociu. Gdyby jednak ciocia zechciała mi powiedzieć coś więcej. Bo to wszystko siłą rzeczy trochę mnie intryguje. Ten ogromny dom i żadnych mebli... i Wordsworth przy cioci tutaj.

- Przywiozłam go z Paryża - wyjaśniła ciotka. - Podróżowałam z dość dużymi aktywami gotowymi do upłynnienia... właściwie z całą resztą moich zasobów, wyjąwszy gotówkę na twój przyjazd, pozostawioną w Bernie. Wątpię, starsza pani taka jak ja przecież

musiała mieć jakąś eskortę. - Po raz pierwszy usłyszałem, jak ciotka Augusta przyznaje się do swej starości.

- Mogła była ciocia zabrać ze sobą mnie.

- Żywiłam niejaki wątpliwości, jeśli chodzi o twoje podejście do pewnych spraw. Raczej zgorszyła cię, o ile pamiętasz, sprawa tej sztabki złota w Stambule. Wielka szkoda, że generał Abdul tak mi zabałaganiał sprawę. Zupełnie by nam teraz wystarczyło tamtych dwadzieścia pięć procent.

- Gdzie się podziały wszystkie ciocine pieniądze? Przecież ciocia nie ma teraz nawet łóżka, żeby się wyspać.

- Te materace są bardzo wygodne, a zresztą miękkie posłania zawsze mnie jakoś pozbawiały energii. Kiedy tu przyjechałam, biedny pan Visconti był w położeniu nader oplakany. Mieszkał na kredyt w okropnym hoteliku. Wszystko co tylko miał, wydał na nowy paszport i łapówki dla policji. Bóg jeden wie, jak sobie radzi doktor Mengele, ale mnie się zdaje, że on posiada anonimowe, opatrzone tylko numerem, konto w Szwajcarii. Przyjechałam tu rzeczywiście w samą porę. Pan Visconti był chory w dodatku, biedaczysko, bo odżywił się przeważnie mandioką.

- Więc po raz drugi ciocia dała mu pieniądze, ciociu Augusto?

- Naturalnie, a co ty myślisz? On ich potrzebował. Ten dom kupiliśmy za bezcen (kogoś tutaj dwadzieścia lat temu zamordowano, a ci ludzie są przesądni), więc sporo jeszcze zostało i jest teraz dobrze ulokowane. Mamy pięćdziesięcioprocentowy udział w bardzo obiecującym przedsięwzięciu.

- Czy przypadkiem nie w Dakocie?

Ciotka Augusta, podniecona, zachichotała króciutko:

- Pan Visconti sam ci to opowie.

- Gdzie on jest?

- Miał wrócić wczoraj, ale deszcz padał, a te szosy są tak fatalne. - Z dumą popatrzyła na pustą skorupę domu. Powiedziała: - Już za tydzień nie poznasz tu niczego. Kiedy zawiesimy żyrandole w holu i przyjdą meble, nie poznasz. Chciałam, żeby to było gotowe przed twoim przyjazdem, ale w Panamie nastąpiła pewna zwłoka. Zawsze mnóstwo zależy od Panamy.

- A cóż tutejszą policją?

- Och, oni nie będą się wtrącać do przedsiębiorstwa raz już założonego - odpowiedziała mi ciotka.

Niemniej minął dzień następny, a pan Visconti nie powrócił stamtąd, gdziekolwiek przebywał. Ciotka na swoich materacach spała przez cały poranek, Wordsworth zajęty był sprzątaniami, więc wyruszyłem samotnie na spacer po mieście. Przygotowywano się właśnie do jakiejś uroczystości. Udekorowane samochody pełne ładnych dziewcząt czekały na rogach ulic. Przed katedrą i przed akademią wojskową, które stały naprzeciw siebie z obu stron czołgu na cokole, maszerowały paradnym krokiem oddziały żołnierzy. Wszędzie wisiały portrety Generała - czasem w mundurze, czasem w ubraniu cywilnym - wyglądającego jak miły, dobrze odżywiony gospodarz bawarskiej Bierstube. W Buenos Aires opowiadano nieładne historyjki o początkach jego panowania - o wyrzucaniu wrogów z samolotu w dżunglę, o topielcach znoszonych prądem na argentyńskie brzegi dwóch wielkich rzek, o ich rękach i nogach oplatanych drutem kolczastym, ale już wiedziałem, że tu na tej ulicy można kupić papierosy bardzo tanio i w sklepikach bardzo tanią whisky i nikt nie musi płacić podatku dochodowego (mówiła mi ciotka) i nawet łapówki nie są wygórowane, jeśli interes idzie dobrze i daje się je regularnie, i nawet pomarańcze leżących pod drzewami zbierać nie warto, skoro cały ich tuzin kosztuje na targu tylko trzy pensy, i gdziekolwiek człowiek się ruszy, pachną ślicznie kwiaty. Miałem nadzieję, że inwestycje pana Viscontiego w pełni się opłacą. Ostatecznie nie najgorsza to miejscowość, by w niej spędzić schyłek żywota.

Ale kiedy wieczorem drugiego dnia wróciłem do domu, pan Visconti wciąż jeszcze był nieobecny, a ciotka zawzięcie kłóciła się z Wordsworthem. Podchodząc przez trawnik do otwartych drzwi frontowych, słyszałem jej głos rozbrzmiewający głucho w pustym holu.

- Ja już nie jestem twoją dzieciną, Wordsworth. Zrozum. Zachowałam dosyć pieniędzy, żeby ci wystarczyło na powrót do Europy.

- Ja nie chcę twoich pieniędzy - usłyszałem odpowiedź Wordswortha.

- Dawniej brałeś ich mnóstwo. Te wszystkie CTC, które dostawałeś ode mnie i od moich przyjaciół...

- Brałem od ciebie pieniądze czasami, bo mnie kochałaś, spałaś ze mną, lubiłaś z Wordsworthem poskakać. Teraz już ze mną nie śpisz, nie kochasz mnie, to ja nie chcę takich cholernych pieniędzy. Jemu je daj. On i tak wszystko, co masz, zabiera. Kiedy nie będziesz miała nic w ogóle, wróc do Wordswortha, a ja będę pracować na ciebie, będę spać z tobą i będziesz mnie znowu kochała i lubiła ze mną poskakać tak jak ostatnim razem.

Stałem przy schodkach. Nie mogłem odwrócić się i odejść. Zobaczyliby mnie.

- Ty nie rozumiesz, Wordsworth. Wszystko już skończone teraz, kiedy mam znowu pana Viscontiego. Pan Visconti chce, żebyś wyjechał, a ja chcę zawsze tego, czego on chce.

- On się boi Wordswortha.

- Kochany, kochany Wordsworth. To przecież ty powinieneś bać się jego. Chcę, żebyś wyjechał teraz...

- Dobrze - powiedział Wordsworth. - Wyjadę.

Proszę mnie, to wyjadę. Ja się wcale tego człowieka nie boję. Ale ty już ze mną nie śpisz, to ja wyjadę.

Ciotka zrobiła taki ruch, jakby chciała uściskać Wordswortha, on jednak odwrócił się od niej i zszedł po schodach do ogrodu. Mnie nie zobaczył, chociaż stałem nie dalej niż o krok.

- Żegnaj, Wordsworth - powiedziałem i wyciągnąłem rękę; miałem w niej banknot pięćdziesięciodolarowy.

Wordsworth popatrzył uważnie na banknot, ale nie wziął go.

- Żegnaj, panie Pullen. Człowieku, zapada zmierzchanie, to na pewno, to na pewno, a ona ze mną nie zostanie.

Uścisnął mi lewą rękę, tę bez pieniędzy, i odszedł przez ogród.

Ciotka stanęła na szczycie schodków, żeby jeszcze na niego popatrzeć.

- Jak ciocia da sobie bez niego radę z tym wielkim domem? - zapytałem.

- Służbę tu łatwo dostać i to tańszą niż Wordsworth z jego wszystkimi CTC. Och, bardzo mi żal biednego Wordswortha - dodała ciotka - ale on był tylko wypełnieniem luki. Wszystko było wypełnieniem luki, odkąd rozstałam się z panem Viscontim.

- Widać, że ciocia dosyć kocha tego Viscontiego. Czy on chociaż jest wart ciocinej miłości?

- Dla mnie jest. Mój mężczyzna musi być wyższy ponad wszystko. Nigdy nie pragnęłam takiego, który mnie potrzebował, Henry. Potrzeba jest równoznaczna z roszczeniem. Myślałam, że Wordsworthowi chodzi o moje pieniądze i o wygodę, jaką miał u mnie nad „Koroną i Kotwicą”, ale tutaj przecież wygodę nie ma i sam widziałeś, że on nawet nie chce brać CTC. Wordsworth mnie rozczarował. - I dorzuciła, jakby jedno z drugim miało jakiś związek: - Twój ojciec raczej też był wyższy ponad wszystko.

- A jednak znalazłem cioci fotografię w „Rob Royu”.



- Może był za mało oderwany - powiedziała i w głosie jej zabrzmiała zjadliwa nuta. - Pomyśl o tej małej nauczycielce i o tym „Laleczko, kochanie” i o tym, że on umarł w jej objęciach.

Dom stał się jeszcze bardziej pusty teraz, kiedy Wordsworth wyjechał. Zjedliśmy kolację w prawie całkowitym milczeniu i wypiliśmy za dużo słodkiego, ciężkiego, przypominającego lekarstwo, wina. Nagle usłyszeliśmy daleki warkot samochodu i ciotka od razu podeszła do wielkich okien wychodzących na ogród. Światło jedynej żarówki u sufitu nie padało aż tam, więc wydawała się smukła i młoda w swojej ciemnej sukni - półmrok ujął staruszcze wiele lat. Zacytowała mi z uśmiechem:

Rzekła tylko: „Noc ponura.

On nie przyjdzie...”

I dodała:

- Twój ojciec mnie tego nauczył.

- Tak. Mnie także tego nauczył... poniekąd. Zagiął tę stronicę w Palgrave'ie.

- I bez wątpienia nauczył tego kochaną Laleczkę - powiedziała ciotka. - Możesz sobie wyobrazić, jak ona deklamuje to modlitewnie nad grobem w Boulogne.

- Ciocia nie jest wyższa ponad wszystko, ciociu Augusto.

- Właśnie dlatego potrzebuję mężczyzn, którzy są. Dwie mimozy razem... jakież straszne dla obojga jest życie, oboje cierpią, boją się mówić, boją się działać, boją się sprawiać przykrości. Życie może być do zniesienia wtedy, gdy cierpi tylko jedno z dwojga. Łatwo jest pogodzić się z cierpieniem własnym, nigdy jednak z cudzym. Ja się nie boję zadać panu Viscontiemu bólu. Po prostu nie wiedziałabym, jak to zrobić. Mam więc cudowne uczucie wolności. Mogę mówić, co mi się podoba, bo to by mu nigdy nie zależało za tę jego grubą makaroniarską skórę.

- A jeżeli on cioci sprawia przykrość?

- To tylko na krótką chwilę, Henry. Tak jak teraz, na przykład. Kiedy nie przyjeżdża, a ja nie wiem, co go zatrzymuje i lękam się, że...

- Z pewnością to nic poważnego. Gdyby zdarzyła się jakaś katastrofa, zawiadomiłaby ciocię o tym policja.

- Mój drogi, jesteśmy w Paragwaju. Ja tej policji się lękam.

- Więc dlaczego ciocia tu mieszka?

- Pan Visconti nie ma zbyt dużego wyboru. Możliwe, że byłby bezpieczny w Brazylii, gdyby miał dosyć pieniędzy. Może nawet, kiedy zrobi majątek, przeniesiemy się tam. Pan

Visconti zawsze chciał zrobić majątek i jest przekonany, że w końcu przecież zrobi. Niewiele do tego brakowało już tyle razy. Była ta Arabia Saudyjska, a potem Niemcy...

- Jeżeli on teraz zrobi majątek, niezbyt długo będzie się nim cieszył.

- Nie w tym rzecz. Umrze szczęśliwy, jeżeli będzie bogaty. Ze sztabami złota pod ręką. Zawsze miał upodobanie do sztab złota. Dokona tego, bo zaplanował.

- Dlaczego ciocia mnie wezwała, ciociu Augusto? - Tylko ty mi zostałeś z całej rodziny, Henry... i możesz bardzo się przydać panu Viscontiemu. Nie zachwycała mnie ta koncepcja.

- Nie znam hiszpańskiego ani trochę - powiedziałem.

- Pan Visconti chce mieć przy sobie kogoś, komu może ufać i kto mu poprowadzi księgowość. Rachunki zawsze były jego słabą stroną.

Powiodłem wzrokiem po tym pustym pokoju. Nieosłonięta żarówka migotała, gdyż nadciągała burza. Drzazgi paki, na której siedziałem, wbijały mi się w udo. Pomyślałem o dwóch materacach i toaletce w sypialni ciotki. Czyżby taka księgowość wymagała jakichś szczególnych umiejętności? Oznajmiłem:

- Zamierzałem wyjechać natychmiast po zobaczeniu się z ciocią.

- Wyjechać? Dlaczego?

- Sądziłem, że może już czas, żebym się ustatkował.

- Czyż nie jesteś ustatkowany? I to od zbyt dawna?

- Czas, żebym się ożenił, chciałem powiedzieć.

- W twoim wieku?

- Nie jestem nawet w przybliżeniu tak stary jak pan Visconti.

Ulewa chlusnęła w okna. Spróbowałem ciotce opowiedzieć o pannie Keene i o tym wieczorze, kiedyomal jej się nie oświadczyłem.

- Cierpisz, bo czujesz się osamotniony - rzekła ciotka. - Nic poza tym. Tutaj nie będziesz samotny.

- Ja naprawdę myślę, że panna Keene troszeczkę mnie kocha. Poniekąd miła jest mi myśl, że może mógłbym ją uszczęśliwić. - Argumentowałem bez przekonania, czekając, żeby ciotka zaprzeczyła, ba, nawet mając nadzieję, że zaprzeczy.

- Po roku - zapytała ciotka - o czym byście rozmawiali ze sobą? Ty byś czytał katalogi ogrodnicze, a ona siedziałaby nad swoimi frywolitkami... pojęcia nie miałam, że jeszcze ktokolwiek na świecie robi frywolitki... i kiedy milczenie stawałoby się nie do wytrzymania,

zaczynałaby ci opowiadać historie z Koffiefontein, które słyszałeś już dziesiątki razy. Czy wiesz, o czym byś myślał w nocie bezsennej w tym małżeńskim łóżku? Nie o kobietach. Kobiety nie interesują cię dostatecznie, bo gdyby cię interesowały, nawet by ci do głowy nie przyszła ewentualność, że mógłbyś się ożenić z panną Keene. Myślałbyś o tym, że z każdym dniem jesteś bliżej śmierci, śmierć będzie czekała nie dalej niż za ścianą twojej sypialni. I ta ściana będzie budziła w tobie większy strach, bo nic nie zdoła przeszkodzić temu, że z każdą nocą będziesz zbliżał się do niej coraz bardziej i bardziej, na próżno usiłując zasnąć, patrząc jak panna Keene czyta. Co czyta panna Keene?

- Może ciocia ma rację, ale czy nie tak samo jest w naszym wieku wszędzie?

- Tutaj nie. Jutro można umrzeć od kuli na ulicy, bo policjant może strzelić do ciebie dlatego, że nie rozumiesz języka guarani albo ktoś może cię zakłuć nożem w którejś *cantina*, dlatego, że nie mówisz po hiszpańsku i milczysz, jakbyś zadzierał nosa. Na przyszły tydzień, kiedy już będziemy mieli naszą dakotę, może ona rozbije się z tobą nad Argentyną. (Pan Visconti jest za stary, żeby z tym pilotem latać). Mój drogi Henry, jeżeli zostaniesz u nas, nie będziesz sunął boczkami z dnia na dzień do ostatniej swojej ściany. Ściana znajdzie cię sama bez twojej pomocy, więc każdy przeżyty dzień będzie ci się wydawał jakimś zwycięstwem. „Przechytryłem ją tym razem” - będziesz mówił sobie, kiedy noc nadejdzie i później będziesz spał dobrze. - I ciotka zakończyła: - Mam tylko nadzieję, że ściana nie znalazła pana Viscontiego. Gdyby znalazła, musiałabym wyjechać i sama się tym wszystkim zająć.

- Może ciocia ma rację, ale czy nie tak samo jest w naszym wieku wszędzie?

- Tutaj nie. Jutro można umrzeć od kuli na ulicy, bo policjant może strzelić do ciebie dlatego, że nie rozumiesz języka guarani albo ktoś może cię zakłuć nożem w którejś *cantina*, dlatego, że nie mówisz po hiszpańsku i milczysz, jakbyś zadzierał nosa. Na przyszły tydzień, kiedy już będziemy mieli naszą dakotę, może ona rozbije się z tobą nad Argentyną. (Pan Visconti jest za stary, żeby z tym pilotem latać). Mój drogi Henry, jeżeli zostaniesz u nas, nie będziesz sunął boczkami z dnia na dzień do ostatniej swojej ściany. Ściana znajdzie cię sama bez twojej pomocy, więc każdy przeżyty dzień będzie ci się wydawał jakimś zwycięstwem. „Przechytryłem ją tym razem” - będziesz mówił sobie, kiedy noc nadejdzie i później będziesz spał dobrze. - I ciotka zakończyła: - Mam tylko nadzieję, że ściana nie znalazła pana Viscontiego. Gdyby znalazła, musiałabym wyjechać i sama się tym wszystkim zająć.

## V

Nazajutrz rano zbudził mnie dolatujący z daleka gwar wielkich tłumów. Wydawało mi się z początku, że znów jestem w Brighton i że to fale obracają kamyczki przybrzeżne. Ciotka już wstała i przygotowała śniadanie z grejfrutem zerwanym w ogrodzie. Ze śródmieścia słychać też było muzykę.

- Co się dzieje?

- Święto narodowe. Wordsworth uprzedził mnie, ale zapomniałam. Jeżeli pójdziesz do miasta, miej na sobie coś amarantowego.

- Po co?

- To kolor partii rządzącej. Partia liberalna jest niebieska, ale nosić kolor niebieski niezdrowo. Nikt nie nosi.

- Nie mam nic amarantowego.

- Ja mam amarantowy szalik.

- Raczej nie mogę chodzić w damskim szaliku.

- Wepchnij go do kieszonki na piersi. Będzie wyglądał jak chustka do nosa.

- A ciocia nie wybierze się ze mną do miasta, ciociu Augusto?

- Nie. Muszę czekać na pana Viscontiego. Dzisiaj on przyjedzie na pewno. Albo przyśle wiadomość.

Mogłem śmiało włożyć ten szalik. Większość mężczyzn miała na szyjach amarantowe szaliki nierzadko przyozdobione drukowanym portretem Generała. Mniejszość ograniczała się do chustek, a niektórzy nawet do chustek wystających z kieszeni samym amarantowym brzeżkiem albo trzymanym w garści tak, że amarant przeświecał między knykциями - być może, woleliby nosić niebieski. Amarantowe flagi wisiały, gdzie tylko spojrzeć. Wciąż musiałem się zatrzymywać, żeby przepuścić zastępy kobiet w amarantowych szalach i popatrzeć, jak one paradują z portretami Generała i transparentami głoszącymi wspaniałość wielkiej partii Colorado. Grupki *gauchos* przejeżdżały przez miasto dierząc amarantowe wodze w rękach. Jakiś pijany wyleciał z drzwi szynku i leżał twarzą w kurzu, ale z wesołym obliczem Generała rozciągniętym na jego plecach, kiedy konie tych *gauchos* ostrożnie przestępowały nad nim po jezdni. Raz po

raz przejeżdżały udekorowane samochody pełne ładnych dziewcząt z amarantowymi kwiatami wpiętymi we włosy. Nawet słońce wyglądało amarantowo za poranną mgłą.

Fala tłumu poniosła mnie bokiem na avenue Mariscal Lopez, którą przeciągał pochód. W poprzek jezdni stały trybuny zarezerwowane dla rządu i dyplomatów. W dygnitarzu przyjmującym salut poznałem Generała, a sąsiednia trybuna z pewnością należała do ambasady amerykańskiej, ponieważ w głębi dosyć szybko zdołałem dostrzec mojego przyjaciela O'Toole'a wciśniętego w kąt przy zażywnym attache wojskowym. Pomachałem do niego ręką i chyba mnie zobaczył, bo uśmiechnął się płochliwie i powiedział coś temu grubasowi. Ale patrząc znowu na pochód, straciłem O'Toole'a z oczu.

Przechodzili podstarzali mężczyźni w nędznych ubraniach - kilku z nich o kulach, inni bądź bez lewej ręki, bądź bez prawej. Nieśli sztandary swoich dawnych jednostek. Walczyli na wojnie o Gran Chaco i odtąd co rok, przypuszczam, mieli ten jeden moment chwały. Wyglądali bardziej po ludzku niż pułkownicy, którzy za nimi przejechali samochodami stojąc w galowych mundurach, zdobnych w złote chwasty i epolety, przy czym wszyscy mieli czarne wąsy i byli nie do rozróżnienia. Pułkownicy wyglądali jak zabawnie pomalowane kręgle ustawione rzędem, zanim poprzewraca je kula.

Przeglądałem się tak przez godzinę, a potem mając już tego dosyć poszedłem do śródmieścia, gdzie w nowym niebotycznym hotelu chciałem kupić jakąś angielską gazetę, ale dostałem tylko „New York Times” sprzed pięciu dni. Zanim wszedłem do hotelu, zagadnął mnie dyskretnie ktoś, kto sprawiał wrażenie znakomitego intelektualisty; mógł być równie dobrze profesorem uniwersytetu jak dyplomata.

- Przepraszam, nie dosłyszałem - rzekłem mu.

- Dolary USA? - zapytał już szybko i zwięźle i kiedy potrząsałem głową (nie chciałem przecież naruszać żadnych miejscowych ustaw w sprawach walutowych), odszedł. Ledwie jednak z gazetą wyszedłem z hotelu, stanął znów przy mnie na chodniku i jakoś mnie nie poznał:

- Dolary USA? - szepnął.

Znowu odpowiedziałem:

- Nie.

Spojrzał wtedy spode łba, z niesmakiem i pogardą, jak gdybym spłatał mu jakiegoś dziecinnego figla.

Ruszyłem z powrotem w stronę przedmieścia i domu ciotki, zatrzymywany na rogach ulic przez resztki pochodu. Na gmachu wspaniałym jak pałac, oprócz licznych flag

zobaczyłem sporo amarantowych plakatów: domyśliłem się, że to kwatery główna partii Colorado. Przed pałacowym wejściem do tego gmachu kręciło się sporo krzepkich krępych mężczyzn przyodzianych w uroczyste garnitury z kamizelkami i bardzo spoconych, bo słońce teraz porządnie przygrzewało. Wszyscy oczywiście mieli też amarantowe szaliki. Jeden z nich zapytał mnie, czego sobie życzę, przynajmniej ja tak to zrozumiałem.

- Colorado? - zapytałem.

- Tak. Pan jest Amerykaninem?

Ucieszyłem się, że spotykam kogoś, kto mówi po angielsku. Twarz tego człowieka przypominała pysk łagodnego buldoga, ale powinien się ogolić.

- Nie - odrzekłem. - Jestem Anglikiem.

Szczeknął krótko, co wcale nie zabrzmiało łagodnie, a ja w tej samej chwili, może wskutek upału, blasku słońca, woni kwiatów zacząłem gwałtownie kichać. Bezwiednie wyciągnąłem z kieszeni na piersi amarant ciotki Augusty i wytarłem nos. Okazało się to postępkami niefortunnym. Zanim się obejrzałem, siedziałem na chodniku i z nosa ciekła mi krew. Grubasy otoczyły mnie kręgiem - wszyscy w ciemnych garniturach i wszyscy o twarzach jak pyski buldogów. Inni podobni do nich wyszli na balkon siedziby partii Colorado i patrzyli na mnie z góry ciekawie i potępiająco. Raz po raz słyszałem słowo: „Ingles”, aż w końcu podniósł mnie na nogi policjant. Myślę, że doprawdy miałem wtedy szczęście: gdybym wytarł nos stojąc w pobliżu gromady *gauchos*, przecież mogliby mnie oni pchnąć nożem w żebra.

Kilku grubasów towarzyszyło mi do komisariatu, wśród nich ten, który mnie uderzył. Zobaczyłem w jego rękach szalik ciotki Augusty, dowód rzeczowy mojego przestępstwa.

- To tylko nieporozumienie - zapewniłem go.

- Nieporozumienie? - Jednak słabo znał angielski.

W komisariacie - budynku bardzo imponującym, wzniesionym chyba z myślą o wytrzymywaniu oblężeń - wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, głośno i z wściekłością. Po prostu zagubiłem się i nie wiedziałem, jak reagować. Na próżno powtarzałem słowa „Ingles”. Ostatecznie spróbowałem powiedzieć „ambasador”, ale to już wykraczało poza ich słownictwo. Dyżurny policjant w komisariacie był młody i zdenerwowany – prawdopodobnie żaden z jego zwierzchników jeszcze nie wrócił z defilady. Kiedy powiedziałem „Ingles” po raz trzeci i „ambasador” po raz drugi, uderzył mnie raczej bez przekonania. Ale cios ten, o dziwo, prawie mnie nie zabolął. Zacząłem już odkrywać coś nowego. Przemoc

fizyczna, podobnie jak borowanie zęba u dentysty, rzadko wywołuje aż taki ból, jakiego człowiek się lęka.

Spróbowałem powiedzieć: „Nieporozumienie” jeszcze raz, nikt jednak nie potrafił przetłumaczyć tego słowa. Z rąk do rąk podawano sobie ciociny szalik i pokazywano młodemu policjantowi. Wziął on w rękę coś, co wyglądało na dowód osobisty i pomachał tym do mnie. Chyba żądał, żebym mu pokazał swój paszport. Powiedziałem:

- Zostawiłem w domu.

Wtedy paru z nich zaczęło się kłócić. Być może powstała kwestia interpretacji moich słów.

Dziwna rzecz, ale właśnie ten, od którego dostałem w nos, okazał mi najwięcej współczucia. Z nosa nadal krew leciała, więc wręczył mi swoją chustkę. Nie była zbyt czysta i zląkłem się, że dostanę zakażenia, a przecież jego pomocy nie odrzuciłem, bo nie uważałem tego w takiej sytuacji za wskazane. Lekko przesunąłem po nosie tę brudną chustką, po czym zwróciłem ją właścicielowi. Wspaniałomyślnym machnięciem ręki dał mi do zrozumienia, że zwracać jej nie trzeba. Potem napisał coś na kawałku papieru i pokazał mi. Przeczytałem nazwę ulicy i numer. Skierował palec ku podłodze, potem ku mnie i machnął ołówkiem. Wszyscy stłoczyli się wokół, ogromnie zaciekawieni. Potrząsnąłem głową. Wiedziałem jak trafić do domu ciotki, ale pojęcia nie miałem, jak się ta ulica nazywa. Mój przyjaciel - bo już zacząłem widzieć w nim przyjaciela - napisał na tej kartce nazwy trzech hoteli. Potrząsnąłem głową.

I nagle wszystko zepsułem. Nie wiadomo dlaczego, kiedy tak stałem przy biurku dyżurnego policjanta w tym gorącym zatłoczonym pokoju, którego drzwi strzegł strażnik z automatem, powróciłem myślą ni stąd, ni zowąd do pogrzebu mojej macochy w tamten poranek. Oto kaplica pełna dalekich krewnych, szmery szeptów przyciszonych uszanowaniem i dobitny głos ciotki Augusty: „Kiedyś byłam przy spaleniu przedwczesnym”. Wtedy nie mogłem doczekać się tego pogrzebu uważając go za rozmaitość w monotonnym trybie życia emeryta i doprawdy ileż urozmaicenia mi to dało. Przypomniałem sobie, jak trapił mnie fakt, że deszcz pada na moją kosiarkę. Roześmiałem się, a kiedy roześmiałem się, cała wrogość tych ludzi wybuchła na nowo. Znow byłem bezczelnym cudzoziemcem, który wytarł nos we flagę partii Colorado. Mój pierwszy napastnik wyrwał mi z ręki chustkę do nosa, będącą jego własnością, a dyżurny odpychając tych, którzy mu stali na drodze, podszedł z rozmachem do mego boku i wymierzył mi mocny cios w prawe ucho tak, że i z ucha zaczęła mi płynąć krew. Rozpaczliwie próbowałem przytoczyć nazwisko kogokolwiek, kogo oni może znają, i nasunęło mi się to przybrane pana Viscontiego.

- Señor Izquierdo - powiedziałem, ale nie odniosło to żadnego skutku. Więc rzuciłem jeszcze: Señor O'Toole.

Policjant z ręką już podniesioną do następnego uderzenia znieruchomiał. Dodałem...

- Ambasada... Americano...

Jakoś te słowa poskutkowały, chociaż nie byłem pewny, czy w sposób dla mnie korzystny. Wezwano dwóch policjantów i zostałem brutalnie przeprowadzony przez korytarz, po czym zamknięty na klucz w celi. Słyszałem, jak dyżurny telefonuje, i mogłem tylko mieć nadzieję, że O'Toole naprawdę zna miejscowe warunki.

W celi nie było na czym usiąść - tylko kawałek płótna workowego leżał pod zakratowanym okienkiem umieszczonym zbyt wysoko, żebym widział przez nie cokolwiek oprócz łąy jednostajnego nieba. Na ścianie ktoś napisał coś po hiszpańsku - może modlitwę, może jakąś sprośność. Nie wiedziałem. Usiadłem na tym kawałku worka gotów, chcąc nie chcąc, długo czekać. Ściana naprzeciw mnie przypominała mi słowa ciotki: „Tak się wyćwiczyłam, że chwała Bogu, ta ściana jest wciąż daleka i nie przysuwa się do mnie”.

Dla zabicia czasu wyjąłem z kieszeni wieczne pióro i zacząłem gryzmolić na wapnie. Wypisałem swoje inicjały, ale jak nieraz przedtem, zirytowały mnie one, bo to przecież nazwa szeroko reklamowanego sosu do mięsa. Następnie wypisałem datę swego urodzenia i przy 1913 r. postawiłem bardzo dużą kropkę tak, żeby nikt nie mógł dopisać tam daty mojej śmierci. Wpadłem na pomysł utrwalenia w ten sposób historii mojej rodziny - mógłbym sobie tym wypełnić czas w razie, gdybym musiał siedzieć w tej celi bardzo długo - więc nagryzmoliłem, że ojciec mój umarł w roku 1923, a macocha niecały rok temu. Ponieważ o żadnym z moich dziadków i żadnej z moich babek nic nie wiedziałem, została mi jedynie ciotka Augusta. Urodziła się mniej więcej w roku 1895, ale postawiłem po tej dacie znak zapytania. Zapragnąłem odtworzyć pełne dzieje ciotki Augusty na tej ścianie coraz bardziej dla mnie swojskiej, nieomal rodzinnej. Niezupełnie we wszystkie opowieści ciotki wierząc, liczyłem się z tym, że może wykryję jakiś błąd chronologiczny. Widziała mnie przy moim chrzcie i odtąd aż do pogrzebu macochy nie spotkaliśmy się nigdy, musiała więc zerwać kontakt z moim ojcem około roku 1913, kiedy miała lat osiemnaście - wkrótce chyba po pozowaniu do tego amatorskiego zdjęcia. Później był okres z Curranem w Brighton, prawdopodobnie już po pierwszej wojnie światowej, więc kościół dla psów opatrzyłem datą rok 1919 i znów znakiem zapytania. Kiedy Curran ją rzucił, wyjechała do Paryża i tam w owej instytucji na rue de Provence poznała pana Viscontiego - może w tym samym czasie, kiedy mój ojciec umierał w Boulogne. Powinna wtedy mieć lat ponad



dwadzieścia. Z kolei przystąpiłem do pracy nad okresem włoskim; jej podróże pomiędzy Mediolanem i Wenecją, śmierć stryjka Jo, romans z panem Viscontim, przerwany niepowodzeniem jego planów dotyczących Arabii Saudyjskiej. Tytułem próby oznaczyłem okres paryski z monsieur Dambreuse datą 1937, bo przecież ona wróciła do Włoch i na nowo złączyła swe losy z losami pana Viscontiego w tym domu na tyłach „Messaggero”, zanim wybuchła druga wojna światowa. O dwudziestu następnych latach jej życia aż do chwili pojawienia się Wordswortha nie wiedziałem nic. Musiałem teraz przyznać, że nie znalazłem żadnych szczegółów zawile fałszywych, jeśli chodzi o porządek chronologiczny. Mnóstwo czasu było na wszystko, o czym mi opowiadała i nie tylko to mogło się zdarzyć, ale i wiele innych rzeczy poza tym. Zacząłem snuć domysły na temat jej poróżnienia się z moją tak zwaną matką. Uznałem, że to musiało nastąpić mniej więcej w czasie udawanej ciąży - o ile nie zmyśliła...

Drzwi celi otworzyły się na oścież i policjant wniósł krzesło. Wydawało mi się to dobrym uczynkiem z jego strony, więc podniosłem się z worka, żeby z wdzięcznością z tego skorzystać, policjant jednak brutalnie mnie od krzesła odepchnął. Wszedł O'Toole. Minę miał zakłopotaną.

- Wygląda na to, Henry, że jesteś w opałach - powiedział.

- To tylko nieporozumienie.

Kichnąłem i tak się złożyło, że musiałem wytrzeć nos.

- W kolor Colorado przed siedzibą Colorado.

- Tak. Ale myślałem, że to chustka do nosa.

- Strasznie wpadłeś.

- Chyba.

- Lekko mógłbyś dostać dziesięć lat. Pozwolisz, że usiądę? Stałem przez tyle godzin na tej cholерnej defiladzie.

- Oczywiście. Proszę.

- Mógłbym poprosić o drugie krzesło.

- Nie fatyguj się. Już przywykłem do tego worka.

- Moim zdaniem sprawę pogarsza fakt - powiedział O'Toole - że postąpiłeś tak w święto narodowe. Wyszło to raczej prowokacyjnie. Gdyby nie ten fakt, może by się oni zadowolili wydaleniem ciebie. Co spowodowało, że powołałeś się na mnie?

- Tyś mówił, że znasz tutejsze warunki, a oni najwyraźniej nie rozumieli, co to jest „ambasada angielska”.

- Twoi rodacy, obawiam się, nie mają tu wiele do powiedzenia. My im dostarczamy broń... i pomagamy im budować nową elektrownię wodną niedaleko wodospadu Iguazu. To się przyda także i Brazylii, ale Brazylii będzie musiała płacić im tantiemy. Wspaniała rzecz dla tego kraju.

- Bardzo interesująca - przyznałem z pewną goryczą.

- Oczywiście chciałbym ci pomóc - powiedział O'Toole. - Jesteś znajomym Lucindy. Dostałem od niej pocztówkę. Ona nie jest w Katmandu. Jest w Wietnamie. Nie wiem, po co.

- Słuchaj, O'Toole - powiedziałem - jeżeli nie możesz zrobić nic innego, to przynajmniej zadzwoń do ambasady brytyjskiej. Skoro mam spędzić dziesięć lat w więzieniu, chciałbym mieć łóżko i krzesło.

-No, naturalnie - powiedział O'Toole - te dwie rzeczy mogę ci załatwić. Myślę, że mógłbym załatwić twoje zwolnienie także... Komendant policji to mój dobry znajomy...

- Moja ciotka też go chyba zna - powiedziałem.

- Nie stawiaj na to. Rozumiesz, mamy trochę świeżych informacji o twojej krewnej. Policja nie chce działać, chyba jakieś pieniądze przeszły z ręki do ręki, ale my wywieramy na policję nacisk. Zdaje się, że masz do czynienia z postaciami dosyć podejrzanymi, Henry.

- Moja ciotka to siedemdziesięcioletnia starsza pani. - Zerknąłem na notatki, jakie porobiłem na ścianie: rue de Provence, Mediolan, „Messaggero”. Jeszcze dziewięć miesięcy temu ja sam z pewnością nazwałbym takie dzieje podejrzanymi, a przecież teraz nie widziałem nic złego w jej *curriculum vitae*, doprawdy gorsze było to, że ja tyle lat życia zmarnowałem w banku. - Nie rozumiem, co w ogóle możecie jej zarzucić - oświadczyłem.

- Twój przyjaciel, ten czarny facet, zgłosił się do nas.

- Ręczę, że słowa na moją ciotkę nie powiedział.

- Istotnie, nie powiedział, ale mnóstwo miał do powiedzenia o panu Izquierdo. Więc przekonałem policję, żeby na razie pana Izquierdo wyłączyła z obiegu.

- Czy to należy do twoich badań socjologicznych? - zapytałem. - Może on cierpiał wskutek niedożywienia.

- Ja chyba trochę cię okłamałem, Henry - rzekł O'Toole z miną znów zawstydzoną.

- Jesteś w CIA, tak jak mi mówiła Tooley?

- No... mniej więcej... - uczepił się swojej podartej szmaty oszukaństwa, jak gdyby to był parasol z drutami wywróconymi w podmuchach silnego wiatru.

- Co Wordsworth wam powiedział?

- Dosyć się uwziął. Gdyby twoja ciotka nie była taka stara, myślałbym, że jest w niej zakochany, zazdrosny o tego faceta, Izquierdo.

- I wyjechał?

- Nadal jest w okolicy. Chce zobaczyć się znów z twoją ciotką, kiedy to wszystko przyschnie.

- Czy istnieje prawdopodobieństwo, żeby przyszło?

- Możliwe. Gdyby wszyscy okazali rozsądek.

- Nawet sprawa mojego kichania?

- Myślę, że tak. Co do praktyk przemytniczych pana Izquierdo... nikogo nie obchodzi to więcej niż zdewaluowana dziesięciocentówka, byleby tylko on zachował umiar. Otóż ty znasz pana I.

- Nigdy w życiu go nie spotkałem.

- Może znasz go pod jakimś innym nazwiskiem?

- Nie - odrzekłem. O'Toole westchnął.

- Henry - powiedział - chcę ci dopomóc. Każdy znajomy Lucindy może liczyć na mnie. Możemy tę całą sprawę zamknąć w ciągu kilku godzin. Visconti nie jest ważny... taki ważny jak Mengele albo Bormann.

- Zdawało mi się, że mówimy o Izquierdo.

- Ty i twój przyjaciel Wordsworth wiecie, że to jeden i ten sam człowiek. Wie to również tutejsza policja, tylko że tutejsza policja chroni tych facetów... w każdym razie dopóki im nie zabraknie gotówki. Viscontiemu właśnie zabrakło, cóż kiedy panna Bertram przyjechała i zapłaciła.

- Nic nie wiem - powiedziałem. - Jestem tutaj po prostu z wizytą.

- Myślę, że nie bez konkretnej przyczyny Wordsworth oczekiwał cię w Formosa, Henry. W każdym razie chciałbym porozmawiać z twoją ciotką i ty mógłbyś mi tę rozmowę ułatwić. Gdybym przekonał policję, że powinienes zostać zwolniony, pojechalibyśmy do niej we dwóch...

- O co ci właściwie chodzi?

- Ona chyba już zaczęła niepokoić się o Viscontiego. Ja bym ją uspokoił. Potrzymają go w więzieniu kilka dni najwyżej, to zależy ode mnie.

- Zaproponujesz jej jakiś układ? Uprzedzam cię, że ona nie zrobi nic, co by sprawiło panu Viscontiemu przykrość.

- Ja tylko chcę z nią porozmawiać, Henry. W twojej obecności. Mnie samemu może by nie dowierzała.

Siedzenie mi ścierpło na tym kawałku worka, a zresztą nie widziałem powodu, dla którego miałbym nie ustąpić.

Powiedział:

- Może godzinę albo i dwie potrwa uwolnienie ciebie. Wszędzie tu dzisiaj okropny bałagan. - Wstał z krzesła.

- Jak twoje dane statystyczne, O'Toole?

- Ta defilada wszystko pokręciła. Bałem się wypić kawę na śniadanie. Tyle godzin tak stać na trybunie bez możliwości wysiusiania się. Powinienem w ogóle dzisiejszy dzień wykreślić. Bo przecież nie jest normalny.

Godzinę albo i dwie musiałem czekać, zanim on wyperswadował policji trzymanie mnie w więziennych murach, szczęśliwie jednak zapomniano po jego odejściu wziąć krzesło z celi i przyniesiono mi jakiś rzadki kleik na obiad, co uznałem za objawy pomyślne. Ku własnemu zdumieniu nie nudziłem się, chociaż do zapisków historycznych na ścianie nie mogłem dodać już nic ciekawego poza dwiema problematycznymi datami pobytu ciotki w Tunisie i w Hawanie. Zacząłem w myśli układać list do panny Keene, opisywać jej moją obecną sytuację:

„Obraziłem partię rządzącą Paragwajem i wplątałem się w znajomość z pewnym przestępcą wojennym poszukiwanym przez Interpol. Za to pierwsze najwyższa kara wynosi dziesięć lat więzienia. Siedzę w niewielkiej celi, dziesięć na sześć stóp, i nie mam na czym spać, bo czyż można spać na kawałku płótna workowego? Nie wiem, co mnie czeka, ale wyznam Pani, że nie czuję się nieszczęśliwy, ponieważ zbyt głęboko mnie to wszystko interesuje”.

W rzeczywistości nigdy bym jej tego nie napisał zdając sobie sprawę, że ona za nic by nie potrafiła w autorze takiego listu rozpoznać człowieka, którego znała w Southwood.

Było już zupełnie ciemno za okienkiem, kiedy w końcu policjant przyszedł, żeby mnie uwolnić. Zostałem poprowadzony z powrotem przez korytarz i przez ów pokój biurowy, gdzie uroczyście oddano mi amarantowy szalik ciotki Augusty, po czym ten młody dyżurny klepnął mnie przyjacielsko po plecach i wypchnął na ulicę. O'Toole czekał w bardzo starym cadillaku. Powiedział:

- Przepraszam. To trwało dłużej, niż przewidywałem. Obawiam się, że panna Bertram już jest niespokojna i o ciebie także.

- Nie sędzę, żebym w porównaniu z panem Viscontim znaczyl dla niej zbyt wiele.

- Krew gęstsza niż woda, Henry.

- Trudno z wodą porównywać pana Viscontiego. Tylko dwa światła paliły się w domu. Kiedyśmy szli wśród drzew przy końcu ogrodu, ktoś zaświecił nam latarką w twarzę, latarka jednak zgasła, zanim zdążyłem zobaczyć, kto ją trzyma. Obejrzałem się jeszcze z trawnika, ale nie widziałem nikogo.

- Masz ten dom pod obserwacją? - zapytałem.

- Nie ja, Henry.

O'Toole był jakiś nieswój. Włożył rękę pod marynarkę na piersi.

- Jesteś uzbrojony? - zapytałem.

- Człowiek musi podejmować środki ostrożności.

- Wobec starszej pani? Tylko ciotka jest tutaj.

- Nigdy niczego nie można być pewnym.

Przeszliśmy przez trawnik i wkroczyliśmy do domu. Żarówka w jadalni oświetlała dwa puste kieliszki i pustą butelkę po szampanie. Butelka była jeszcze zimna pod dotknięciem, kiedy ją wziąłem do ręki. Odstawiając ją, potraściłem jeden z kieliszków i brzęk tłukącego się szkła rozległ się w pustym pokoju. Ciotka najwidoczniej to usłyszała, bo natychmiast stanęła w kuchennych drzwiach.

- Henry, gdzieś ty się podziewał, na Boga.

-W więzieniu. Pan O'Toole pomógł mi się wydostać.

- W żadnym razie nie spodziewałabym się ujrzeć pana O'Toole'a pod moim dachem. W żadnym razie po tym wszystkim, co zrobił panu Izquierdo w Argentynie. A więc to jest pan O'Toole?

- Tak, panno Bertram. Przyszło mi do głowy, że lepiej będzie, jeżeli utniemy sobie przyjacielską pogawędkę. Wiem, jak musi pani się denerwować tym, że pan Visconti nie wraca.

- Wcale się nie denerwuję tym, że pan Visconti nie wraca.

- Myślałem, że może jednak... że pani nie wiedząc, gdzie on jest... i dlaczego nie ma go tak długo...

- Wiem doskonale, gdzie on jest - powiedziała ciotka. - Jest w klozecie.

Szum spuszczonej wody, który nagle usłyszeliśmy, doprawdy nie mógłby dolecieć do naszych uszu w bardziej odpowiednim momencie.

## VI

Z ciekawością i w podnieceniu czekałem na pana Viscontiego. Niewielu przecież jest na świecie mężczyzn, którzy są tak kochani i którym tyle się wybacza, więc już wyobrażałem sobie odpowiednią postać - powinien to być Włoch wysoki, ciemnowłosy i szczupły, o wyglądzie tak arystokratycznym jak jego nazwisko. Ale gdy drzwi się otworzyły, wszedł człowiek niski, gruby i łysy; podał mi rękę i zobaczyłem, że mały palec ma źle zrośnięty po złamaniu, z czym ta ręka przypomina szpony ptaka. Zobaczyłem też jego piwne, sarnie oczy, nic a nic nie wyrażające. Można by czytać w nich, co tylko się chce. O ile ciotka Augusta odczytywała miłość, O'Toole z pewnością odczytywał w nich nieuczciwość,

- A więc jesteś nareszcie, Henry - powiedział pan Visconti. - Twoja ciocia już się denerwowała. - Mówił po angielsku bardzo dobrze, bez odrobiny cudzoziemskiego akcentu.

O'Toole zapytał:

- Pan Visconti?

- Nazywam się Izquierdo. Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się O'Toole.

- W takim razie - rzekł pan Visconti z uśmiechem, który wskutek dużej luki w przednich zębach jakoś wydawał się fałszywy - przyjemność nie jest trafnym określeniem moich uczuć wobec pana.

- Myślałem, że pan siedzi bezpiecznie w areszcie.

- Doszedłem z policją do porozumienia.

- W tym właśnie celu - rzekł O'Toole - tu przyjechałem. Żeby też dojść do porozumienia.

- Porozumienie to rzecz zawsze możliwa - powiedział pan Visconti, tak jakby cytował z jakiegoś dobrze znanego źródła, może z pism Machiavellego - jeżeli przynosi jednej i drugiej stronie jednakowe korzyści.

- Myślę, że tak właśnie będzie w tym przypadku.

- A ja myślę - pan Visconti zwrócił się do ciotki Augusty - że w kuchni zostały jeszcze dwie butelki szampana.

- Dwie butelki? - zapytała ciotka.

- Jest nas czworo, kochanie. - Z kolei pan Visconti zwrócił się do mnie: - Nie jest to szampan najlepszy. Jechał z daleka i w warunkach dosyć niedogodnych, przez Panamę.

- Z tego wnoszę - powiedział O'Toole - że swoje sprawy z Panamą doprowadził pan już do porządku.

- Całkowicie - odrzekł pan Visconti. - Kiedy za pańską radą mnie aresztowano, ci policjanci byli pewni, że raz jeszcze aresztują ubogiego. Mogłem ich jednak przekonać, że jestem znów człowiekiem bezsprzecznie majątnym.

Ciotka wróciła z kuchni niosąc dwie butelki szampana.

- I kieliszki - powiedział pan Visconti. - Zapomniałaś o kieliszkach.

Patrzyłem na ciotkę jak urzeczony. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby wypełniała czyjekolwiek polecenia.

- Siadajcie, siadajcie, przyjaciele - pełnił honory domu pan Visconti. - Musicie darować, że mamy tylko takie krzesła. Przechodziliśmy okres niejakich wyrzeczeń, ale nasze trudności, mam nadzieję, już się skończyły. Wkrótce będziemy mogli podejmować naszych przyjaciół w sposób należyty. Panie O'Toole, wznoszę kielich za zdrowie Stanów Zjednoczonych. Nie żywię urazy ani do pana, ani do pańskiego wspaniałego kraju.

- To bardzo wielkodusznie - rzekł O'Toole. - Ale niech mi pan powie, kto tam jest w ogrodzie?

- Moja pozycja wymaga, żebym podjął środki ostrożności.

- On jednakże nas nie zatrzymał.

- Środki ostrożności tylko w stosunku do wrogów. - Jak pan woli, żebym mówił do pana? Panie Izquierdo czy panie Visconti? - zapytał O'Toole.

- Już zdążyłem przywyknąć zarówno do jednego nazwiska, jak do drugiego. Dokończmy tę butelkę i otwórzmy następną. Szampan, jeżeli się szuka prawdy, jest skuteczniejszy niż maszyna do wykrywania kłamstw. Człowiek po szampanie zaczyna być wylewny, a nawet lekkomyślny, gdy tymczasem maszyny do wykrywania kłamstw są tylko wyzwaniem, żeby kłamać jak najbardziej wiarygodnie.

- Ma pan doświadczenie z wykrywaczami kłamstw? - zapytał O'Toole.

- Przeprowadzono ze mną rozmowę wspomagając się taką maszyną, zanim wyjechałem z Buenos Aires. Rezultaty niewiele, jak podejrzewam, dały tamtejszej policji... czy też wam. Bo wyście te wyniki chyba otrzymali? Przygotowałem się zawczasu bardzo starannie. Opasali mi ręce dwiema gumowymi taśmami i myślałem zrazu, że będą mi mierzyli ciśnienie. Może robili i to też między innymi. Ostrzegli mnie, że bez względu na

usilność moich kłamstw, maszyna zawsze powie prawdę. Domyśla się pan, jak na to zareagowałem? Katolik po prostu rodzi się ze skłonnością do sceptycyzmu. Najpierw zadali mi kilka pytań zgoła niewinnych, takich jak: co lubię jadać i czy brak mi tchu, kiedy wchodzę po schodach. Odpowiadając na te niewinne pytania, wyobrażałem sobie usilnie radość, z jaką kiedyś ujrzę znowu tę oto moją kochaną przyjaciółkę, i wtedy serce mi zaczęło walić, tętno raptownie się przyspieszyło, a oni ani rusz nie mogli zrozumieć, dlaczego mnie tak podnieca myśl o wchodzeniu po schodach i jądaniu *cannelloni*. Najpierw pozwolili mi się uspokoić, i dopiero później strzelili we mnie nazwiskiem Visconti. „Czy Visconti to pan?” „Czy pan jest Visconti, ten zbrodniarz wojenny?” Ale to nie wywarło na mnie żadnego wrażenia, bo przeszkoliłem moją starą sprzątaczkę, żeby co dzień rano, kiedy odsłaniała okna, mówiła mi „Visconti, ty zbrodniarzu wojenny, wstawaj!” Stało się to dla mnie tak swojskie, jak gdyby mówiła: „Zaraz panu podam kawę”. Następnie powrócili do pytania, czy brak mi tchu, kiedy wchodzę po schodach, i byłem tym razem bardzo spokojny, ledwie jednak zapytali, dlaczego lubię *cannelloni*, znów pomyślałem o mojej najmilszej i znów ogarnęło mnie szalone podniecenie. Ale przy następnym pytaniu, naprawdę już poważnym, kardiogram... jeśli tak to się nazywa... wykazał jeszcze większy spokój niż przy pytaniu o schody, bo myśleć o mojej miłej właśnie przestałem. W końcu wpadli we wściekłość... rozgniewali się zarówno na tę maszynę do wykrywania kłamstw, jak na mnie. Widzi pan, jaki jestem po szampanie gadatliwy. Mam teraz taki nastrój, że wszystko mógłbym panu powiedzieć.

- Przyszedłem tu, żeby zaproponować panu pewien układ. Miałem nadzieję, że na jakiś czas wyjdzie pan z obiegu i ja zdołam pod pańską nieobecność przekonać pannę Bertram.

- Na nic bym się nie zgodziła - rzekła ciotka - dopóki nie omówiłabym tego z panem Viscontim.

- Wciąż jeszcze moglibyśmy państwu tutaj narobić mnóstwo kłopotu. Za każdym razem, gdybyśmy wywierali nacisk na policję, kosztowałyby to was niemało pieniędzy w formie łapówek. Otóż przypuśćmy, że nakłonimy Interpol do zamknięcia pana kartoteki i że powiemy tutejszej policji, że już się panem nie interesujemy i że ma pan pełną swobodę poruszania się...

- Ja bym wam tak w pełni nie zaufał - rzekł pan Visconti - więc wolałbym zostać w tym kraju, tutaj. Zresztą pozyskałem tu sobie przyjaciół.

- Oczywiście, niech pan zostanie, jeżeli pan woli. Policja wtedy nie mogłaby już pana szantażować.



- Proponuje mi pan rzecz frapującą - powiedział pan Visconti - najwidoczniej w przekonaniu, że ja mam coś do zaoferowania w zamian? Pozwoli pan, że mu jeszcze raz napełnię kieliszek.

- Jesteśmy gotowi dobić z panem targu - oznajmił O'Toole.

- Jestem człowiekiem interesu - przytaknął mu pan Visconti. - W swoim czasie dobijałem targu z niejednym rządem. Arabii Saudyjskiej, Turcji, Watykanu...

- I z gestapo.

- To nie byli dżentelmeni - powiedział pan Visconti. - Zmusił mnie do tego wyłącznie napór okoliczności. - Sposobem mówienia przypominał ciotkę Augustę. Widocznie bardzo się ze sobą żyli w tamtych latach. - Zdaje pan sobie, oczywiście, sprawę, że otrzymywałem już inne propozycje o charakterze bardziej prywatnym.

- Człowiek w pana położeniu nie może sobie pozwolić na przyjmowanie propozycji prywatnych. Jeżeli pan nie dobieje targu z nami, nie będzie pan mógł nigdy mieszkać w tym swoim domu. Więc ja na pana miejscu nawet bym nie myślał o kupowaniu mebli.

- Meble - powiedział pan Visconti - już nie są problemem. Moja dakota nie wróciła wczoraj z Argentyny pusta. Panna Bertram załatwiła w firmie Harrods w Buenos Aires sprawę dostarczenia mebli do posiadłości swego znajomego. Żyrandole za papierosy. Łóżko kosztowało znacznie więcej. Ile skrzynek whisky myśmy zapłacili, kochanie? Temu znajomemu, rzecz jasna, a nie firmie Harrods. Bo firma Harrods jest bardzo szacowna. Trzeba jednak mnóstwo papierosów i whisky w naszych czasach, żeby umeblować kilka najbardziej potrzebnych pokoi i szczerze panu powiem, że przydałoby mi się trochę gotówki w rękę. Bo przecież befszytk nieraz jest bardziej niezbędny niż żyrandol. A tu Panama znów musi wstrzymać dostawy na dwa tygodnie. Powstaje więc taki paradoks, że chociaż prowadzę zdrowy interes otwierający przede mną wspaniałe perspektywy, nie mam drobnych.

- Ja panu ofiarowuję pewność jutra - rzekł O'Toole - nie pieniądze.

- Przywykłem do braku pewności jutra. Nie denerwuje mnie to. W mojej sytuacji tylko gotówka do mnie przemawia.

Zastanawiając się, jakiego kredytu udzieliłbym panu Viscontiemu, gdyby był moim klientem i przekroczył konto, nagle stwierdziłem, że ciotka ujęła mnie za rękę.

- Powinniśmy chyba - szepnęła - zostawić pana Viscontiego i pana O'Toole'a samych. Głośno powiedziała: - Henry, chodź ze mną na chwilę, chcę ci coś pokazać.

- Czy pan Visconti ma w żyłach trochę krwi żydowskiej? ~ zapytałem, kiedy oboje wyszliśmy z pokoju.

- Nie - odpowiedziała ciotka. - Trochę saraceńskiej być może. On zawsze potrafił się dogadać z Arabami Saudyjskimi. Polubiłeś go już, Henry? - zapytała tonem prośby. Wzruszyłem się, gdyż wiedziałem, że ciotka Augusta nie należy do kobiet, które lubią o cokolwiek prosić.

- Za wcześnie jeszcze, żebym mógł sobie wyrobić sąd o nim - odrzekłem wymijająco.  
- Nie wydaje mi się jednak szczególnie godny zaufania.

- Gdyby był godny zaufania, Henry, czyż ja bym go pokochała?

Przez kuchnię - z jednym krzesłem, półką do suszenia talerzy, starym piecem gazowym, puszkami z żywnością ustawionymi w stertach na podłodze - przeprowadziła mnie na tyły domu. Podwórze za domem pełne było dużych skrzyń. Z dumą powiedziała:

- Widzisz, to nasze meble. Wystarczy na umeblowanie dwóch sypialń i jadalni. Trochę też jest mebli ogrodowych na nasze zaplanowane przyjęcie.

- A co z jedzeniem i trunkami?

- O tym właśnie pan Visconti rozmawia teraz.

- Czy on naprawdę się spodziewa, że CIA zapłaci za ciocine przyjęcie? Co się stało z tymi wszystkimi pieniędzmi, które ciocia miała w Paryżu?

- Bardzo dużo kosztowało załatwienie sprawy z policją, a potem musiałam przecież znaleźć dom należycie reprezentacyjny, zważywszy stanowisko pana Viscontiego.

- Jakże on ma stanowisko?

-W swoim czasie obracał się wśród kardynałów i szejków - powiedziała ciotka. - Nie wyobrażasz sobie chyba, że taki mały kraik jak Paragwaj zatrzyma go na długo?

W głębi ogrodu światło zapaliło się i zgasło.

- Kto tam buszuje? - zapytałem.

- Pan Visconti niezupełnie ufa swemu współpracownikowi. Zbyt często bywał zdradzany.

Po prostu musiałem się zastanowić, ile osób sam pan Visconti już zdradził: moją ciotkę, swoją żonę, tych kardynałów i Arabów Saudyjskich, i nawet gestapo.

Ciotka usiadła na jednej z mniejszych skrzyń. Powiedziała:

- Taka jestem szczęśliwa, Henry, że przyjechałeś tutaj i że pan Visconti wrócił zdrów i cały. Może już się troszeczkę starzeję, bo na jakiś czas zadowolili mnie życie rodzinne. Ty i ja, i pan Visconti popracujemy sobie razem...

- Przemycając papierosy i whisky?

- Tak.

- I mając tego strażnika przybocznego w ogrodzie...

- Nie chciałabym, żeby dni moje wysychały, Henry, bez żadnych interesujących wydarzeń.

Z głębi domu doleciał głos pana Viscontiego:

- Kochanie, kochanie, czy słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Przynieś mi ten obrazek, moja droga.

Ciotka wstała ze skrzyni.

- Myślę, że musieli już dobić targu - powiedziała. - Chodźmy, Henry.

Pozwoliłem jej odejść beze mnie. Ruszyłem w stronę drzew. Gwiazdy świeciły jasno na niskim niebie, toteż musiałem być zupełnie widoczny dla każdego, kto by patrzył spośród drzew. Ciepły wietrzyk roznosił woń pomarańczy i jaśminów. Czułem się tak, jak gdybym wsadził głowę w pudło pełne ciętych kwiatów. Kiedy wszedłem w cień, światło latarki błysnęło mi w oczy, ale tym razem, chociaż zaraz zgasło, byłem na to przygotowany i wiedziałem dokładnie, gdzie stoi ów człowiek. Miałem już w ręce zapalną i natychmiast ją zapaliłem. Zobaczyłem małego staruszka z długimi wąsiskami, który stał oparty o pień lapacho. Osłupiał, rozdziawił usta, więc zanim zapalną zgasła, zdążyłem nawet dostrzec jego bezzębne dziąsła.

- *Buenas noches* - powiedziałem sięgając pamięcią do tych kilku zwrotów, jakich się nauczyłem z moich „Rozmówek hiszpańskich”.

Wymamrotał coś w odpowiedzi. Odwróciłem się, żeby odejść, i potknąłem się o jakieś wyboje, a on szybko zapalił latarkę i pomocnie oświetlił mi drogę. Wynioskowałem, że pan Visconti jak dotąd nie ma zbyt dużych funduszy na swoją straż przyboczną. Może po drugiej dostawie z Panamy będzie mógł postarać się o coś lepszego.

W jadalni zastałem ich wszystkich troje pochylonych nad fotografią portu Freetown. Z daleka ją poznałem po ramce, przez całe wszak cztery dni stała na toalecie w mojej kajucie.

- Nie rozumiem - właśnie mówił O'Toole.

- Ja też nie - powiedział pan Visconti. - Spodziewałem się fotografii Wenus z Milo.

- Przecież wiesz, że ja nie cierpię porąbanych aktów, kochanie - wyjaśniła ciotka. - Opowiadałam ci o tym morderstwie w pociągu. Tę fotografię znalazłam w pokoju Wordswortha.

O'Toole trochę się zirytował:

- Ja rzeczywiście nic z tego, do wszystkich diabłów, nie rozumiem. Jakie morderstwo w pociągu?

- Za długa historia, żeby teraz ją panu opowiadać - rzekła ciotka Augusta. - Zresztą Henry już ją zna i jakoś nie lubi słuchać moich opowieści.

- To nieprawda - zaprotestowałem. - Wtedy wieczorem w Boulogne byłem po prostu zmęczony...

- Słuchajcie państwo - powiedział O'Toole - nie interesuje mnie, jak to było wtedy w Boulogne. Złożyłem ofertę na obraz, który tu obecny pan Visconti ukradł...

- Wcale nie ukradłem - sprostował pan Visconti. - Książę dał mi go z własnej raczej nieprzymuszonej woli, żebym pokazał marszałkowi Goeringowi celem rozpoznania...

- No, pewnie, pewnie, to wszystko wiemy. Książę jednak nie dał panu fotografii gromady afrykańskich kobiet...

- To powinna była być Wenus z Milo - powiedział pan Visconti stropiony potrząsając głową. - Nie trzeba było jej zmieniać, kochanie. Takiej pięknej fotografii.

- To powinien być rysunek Leonarda da Vinci - powiedział O'Toole.

- Coś ty zrobiła z tamtą fotografią? - zapytał pan Visconti.

- Wyrzuciłam ją. Nie chcę, żeby mi jakieś kadłuby przypominały...

- Dopilnuję, żeby jutro zamknęli pana z powrotem - zagroził O'Toole - bez względu na łapówki, które pan płaci. Sam ambasador...

- Dziesięć tysięcy dolarów było ceną, na którą się zgodziłem, ale przyjmę wypłatę w walucie miejscowej, jeżeli tak będzie panu wygodniej.

- Za fotografię gromady czarnych kobiet! - wykrzyknął O'Toole.

- Jeżeli panu naprawdę zależy na tej fotografii, dorzucę ją do tamtego, niech już będzie za tę jedną cenę.

- Do czego tamtego?

- Do obrazka księcia.

Pan Visconti odwrócił ramkę i zaczął oddzierać spód. Ciotka zapytała:

- Napije się ktoś whisky?

- Nie po szampanie, miła moja.

Pan Visconti wyjął ukryty za fotografią portu Freetown mały rysunek. Nie większy niż osiem na sześć cali. O'Toole patrzył zadziwiony. Pan Visconti powiedział:

- No, proszę. Czy coś nie w porządku?

- Myślałem, że to będzie Madonna.

- Leonardo pierwotnie nie interesował się Madonnami. Był głównym mechanikiem w wojsku papieża Aleksandra VI. Wie pan coś o Aleksandrze VI?

- Nie jestem rzymskim katolikiem - wyjaśnił spokojnie O'Toole.

- To był ten papież Borgia.

- Niedobry?

- Pod pewnymi względami - powiedział pan Visconti - podobny do mojego protektora, marszałka Goeringa, nieboszczyka. Otóż ten obrazek, jak pan widzi, przedstawia pomysłowe urządzenie do atakowania murów miasta. Coś w rodzaju pogłębiarki prawie takiej samej, jak te na terenach budowlanych w naszych czasach, chociaż wtedy napędem były siły ludzkie. Otóż to tutaj wrywa fundament kamiennego muru tak, że kamienie wpadają do tej katapulty, która następnie wystrzeliwuje je w miasto. Krótko mówiąc, bombardowanie miasta jego własnymi murami. Pomysłowe, nieprawdaż?

- Dziesięć tysięcy dolarów za taką rzecz... Czy to by w ogóle działało?

- Nie jestem inżynierem - powiedział pan Visconti - o praktycznym zastosowaniu trudno mi się wypowiadać, wątpię jednak, czy ktokolwiek potrafiłby narysować pogłębiarkę tak przepięknie.

- Chyba ma pan rację - przyznał O'Toole i dodał z uszanowaniem: - A więc to jest ten oryginał. Szukaliśmy tego i pana prawie przez dwadzieścia lat.

- I dokąd to pójdzie teraz?

- Księżę umarł w więzieniu. Myślę, że prześlemy to rządowi włoskiemu. - O'Toole westchnął. Czy dał tym wyraz rozczarowaniu czy satysfakcji, nie wiedziałem.

- Ramkę możecie zatrzymać - okazał swój szeroki gest pan Visconti.

Ruszyłem z O'Toole'em przez ogród do furtki. Tym razem nie było ani śladu staruszka strażnika. O'Toole powiedział:

- To wbrew naturze... żeby rząd Stanów Zjednoczonych płacił dziesięć tysięcy dolarów za ukradziony obrazek.

- Kradzież trudno tu udowodnić - zauważyłem. - Może to miał być prezent dla Goeringa? Ciekawe, dlaczego oni zamknęli tego księcia.

Staliśmy już we dwóch przy jego samochodzie. Powiedział:

- Dostałem dzisiaj list od Lucindy. Pierwszy od dziewięciu miesięcy. Pisze o jakimś swoim chłopaku. Pisze, że oboje jadą autostopem do Goa, bo Wietnam jemu nie służy.

- On jest malarzem - wyjaśniłem.

- Malarzem? - Pieczołowicie położył Leonarda na tylnym siedzeniu.

- Temat obrazów, które maluje, to zupy Heinza w puszkach.

- Żartujesz.

- Leonardo narysował tylko pogłębiarkę, a wy za nią płacicie dziesięć tysięcy dolarów.

- Myślę, że nigdy nie zrozumieję sztuk pięknych - powiedział O'Toole ze smutkiem. - Gdzie jest Goa?

- Na wybrzeżu Indii.

- Ta dziewczyna to jedno wielkie piekło niepokoju - powiedział.

Ale gdyby ona nie istniała, pomyślałem, byłbyś tak samo niespokojny. Niepokój tak czy inaczej nękałby O'Toole'a zawsze, uporczywy jak muchy zlatujące się na otwartą ranę.

- Dziękuję za uwolnienie mnie z aresztu - powiedziałem.

- Każdy znajomy Lucindy to...

- Pozdrów Tooley ode mnie, kiedy będziesz do niej pisał.

- Jutro wpakuję twojego przyjaciela Wordswortha na statek. Może byś się z nim zabrał?

- Moja rodzina...

- Visconti to przecież nie twój krewny. I człowiek zgoła nie twojego pokroju, Henry.

- Moja ciotka...

- Pokrewieństwo z ciotkami to nie jest bliskie pokrewieństwo. Ciotka to nie matka. - O'Toole jakoś nie mógł sobie poradzić z rozrusznikiem. Powiedział: - Czas, żeby mi już dali nowszy samochód. Przemyśl to, Henry.

- Przemyślę.

Kiedy wróciłem do domu, pan Visconti śmiał się, a ciotka Augusta patrzyła na niego z dezaprobatą.

- O co chodzi?

- Zwróciłam mu uwagę, że dziesięć tysięcy dolarów za Leonarda to za mało.

- To nie była własność pana Viscontiego - powiedziałem. - I przecież za to uzyskał pewność jutra. Jego kartoteka jest już zamknięta.

- Panu Viscontiemu - rzekła ciotka - nigdy nie zależało na pewności jutra.

- Statek odpływa stąd za dwa dni. O'Toole ma na ten statek wpakować Wordswortha. Chce, żebym też wyjechał.

- Ona twierdzi, że powinienem być zażądać dwa razy tyle - śmiał się pan Visconti. - Za Leonarda!

- Bo powinieneś być.

- Sęk w tym, że to wcale Leonardo nie jest. To tylko kopia - wykrztusił pan Visconti. -1 właśnie dlatego księcia zamknęli. - Tchu mu już brakowało, tak serdecznie się śmiał. - Kopia prawie doskonała. Księżę bał się złodziei, więc oryginał trzymał w banku. Niestety bank zburzyły bombowce amerykańskie. Nikt z wyjątkiem księcia nie wiedział, że ten Leonardo też zginął od bomby.

- Jeżeli ta kopia była taka dobra, to jak w gestapo się na tym poznali? - zapytałem.

- Księżę był bardzo leciwy - powiedział pan Visconti z całą dumą swoich osiemdziesięciu paru zaledwie lat. - Kiedy do niego przyjechałem... w imieniu marszałka... błagał o zwrócenie mu tego obrazka. Powiedział, że to tylko kopia, a ja nie wierzyłem. Wtedy wyjaśnił mi. Jeżeli się popatrzy na tryb pogłębiarki przez szkło powiększające, widać na nim jakieś znaczki, które, kiedy się je odczyta w lusterku, są inicjałami tego podrabiacza. Zatrzymałem ten rysunek na pamiątkę po księciu, bo uznałem, że kiedyś mógłby mi się przydać.

- Pan poinformował gestapo?

- Przecież nie mogłem liczyć na to, że nie każą tego rysunku zbadać ekspertom - powiedział pan Visconti. - On i tak nie miał długiego życia przed sobą. Był bardzo stary.

- Tak jak pan teraz.

- On nie miał już nic, co by mogło w jego życiu stanowić jakiś cel - powiedział pan Visconti. - A ja mam pańską ciotkę.

Spojrzałem na ciotkę Augustę. Kącik jej ust drgał niepoohamowanie.

- To było bardzo nieładnie z twojej strony - rzekła tylko. - Bardzo nieładnie.

Pan Visconti wstał, wziął ze stołu fotografię portu Freetown i podarł ją w strzępki.

- A teraz udajmy się na dobrze zasłużony odpoczynek - powiedział.

- Chciałam odesłać to Wordsworthowi - zaprotestowała ciotka, ale pan Visconti objął ją ramieniem.

Razem ręka w rękę ruszyli po marmurowych schodach na górę, jak każda inna para starych ludzi, nie przestających się kochać przez całe długie i trudne życie.



## VII

- Oni pana określili słowem *zmija* - powiedziałem panu Viscontiemu.

- Ci dwaj ze Scotland Yardu?

- No, właściwie nie oni sami. Powtórzyli to za komendantem policji rzymskiej.

- Za faszystą - powiedział pan Visconti.

- W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym?

- Ach, więc za kolaborantem.

- Wtedy wojna już się skończyła.

- Niemniej to był kolaborant. Kolaboruje się zawsze ze stroną zwycięską. Przegrywających można tylko popierać. - To zabrzmiało znów jak cytaty z Machiavellego.

Piliśmy razem szampana w ogrodzie, gdyż siedzieć w domu było na razie niemożliwością. Robotnicy wnosili meble. Inni łazili po drabinach.

Elektrotechnicy naprawiali kontakty i zawieszali żyrandole. Ciotka z przejęciem nadzorowała ich wszystkich.

- Woląłem ucieczkę niż jakąś nową formę kolaboracji - powiedział pan Visconti. - Nigdy przecież nie wiadomo, kto wygra na końcu. Kolaboracja to zawsze sposób tylko chwilowy. Co nie znaczy, żeby mi tak bardzo zależało na pewności jutra, lubię jednak ze wszystkiego wychodzić z życiem. Otóż gdyby ten *questore* określił mnie słowem *szczur*, nie miałbym doprawdy nic przeciwko temu. Co więcej, szczury wzbudzają we mnie serdeczne uczucie braterstwa. Przyszłość świata to właśnie szczury. Bóg, przynajmniej tak jak ja sobie Boga wyobrażam, stworzył pewną ilość możliwości na wypadek, gdyby Jego prototypy zawiodły... na tym właśnie polega ewolucja. Jeden gatunek może przetrwać, inny wymiera. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego protestanci sprzeciwiali się tak bardzo teorii Darwina. Może Darwin przemówiłby do uczuć religijnych protestanta, gdyby skoncentrował się na owcach i kozach.

- Ale szczury... - zakwestionowałem.

- Szczury to stworzenia wysoce inteligentne. Jeżeli chcemy dowiedzieć się o organizmie ludzkim czegoś nowego, przeprowadzamy doświadczenia na szczurach. Co więcej, szczury pod jednym względem bezsprzecznie nas wyprzedzają... żyją pod ziemią. Myśmy zaczęli żyć pod ziemią dopiero w czasie ostatniej wojny. Szczury już od tysięcy lat

zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa przebywania na powierzchni. Kiedy bomba atomowa spadnie, szczury przetrwają. Jakież cudownie pusty świat pozostanie wtedy dla nich, chociaż mam nadzieję, że będą dostatecznie mądre, żeby siedzieć pod ziemią nadal. Wyobrażam sobie, że przejdą ewolucję bardzo szybko. Ale chyba nie zaczną powtarzać naszych błędów i nie wynajdą koła.

- Dziwne, jak my je pomimo to nienawidzimy - powiedziałem. Wypiłem już trzy kieliszki szampana i stwierdziłem, że potrafię rozmawiać z panem Viscontim nie mniej swobodnie, niż rozmawiałem z Tooley. - Nazywamy szczura tchórzem, a przecież to właśnie my jesteśmy tchórzami. My się ich boimy.

- Ten *questore* może się mnie nie bał, ale chyba doznawał niemilego wrażenia, że ja go przeżyję. Jest to przykra forma zazdrości, dręcząca tylko tych, którzy są w sytuacji rzeczywiście bezpiecznej. Chociaż jesteś znacznie młodszy ode mnie, nie czuję takiej zazdrości wobec ciebie, bo żyjemy tutaj w jednakowym błogostanie, jakim jest niepewność jutra. Ty odejdiesz pierwszy? Ja odejdę pierwszy? Czy może odejdzie pierwszy pan O'Toole? Chodzi tylko o to, kto z nas jest tym najlepszym szczurem. Dlatego w czasie nowoczesnych wojen starzy ludzie czytają listę poległych z satysfakcją, jakoś z siebie zadowoleni. Może przeżyją wnuków.

- Natknąłem się kiedyś na szczura w moim ogrodzie - zacząłem opowiadać i pozwoliłem, żeby pan Visconti znów napełnił kieliszek. - Stał nieruchomo, usiłował być niewidoczny na klombie. Futerko miał puszyste jak ptak, który nastroszył piórka dla rozgrzewki w zimie. Nie był taki wstrętny jak szczury z futerkami gładkimi. Bezmyślnie rzuciłem w niego kamieniem. Nie trafiłem i myślałem, że ucieknie, ale on wolno oddalił się kulejąc. Widocznie miał złamaną łapkę. W żywopłocie była dziura i dreptał tam pomalutku. Raz zatrzymał się wyczerpany i popatrzył w moją stronę. Wyglądał na przygnębionego, więc zrobiło mi się go żal. Już bym nie mógł rzucić drugim kamieniem. Kulejąc doszedł do dziury w żywopłocie i przeszedł przez nią. Wiedziałem, że w sąsiednim ogrodzie jest kot i że on tam nie ma żadnej szansy. Z taką godnością poszedł na śmierć. Wstyd mi było przez cały tamten poranek.

- To dobrze świadczy o tobie - powiedział pan Visconti. - Jako szczur honorowy mogę ci w imieniu innych szczurów wybaczyć ten kamień. Jeszcze kieliszek?

- Nie zwykłem pić szampana przed południem.

- Nic lepszego nie możemy zrobić w tej chwili, żeby wprowadzić się w dobry humor. Moja żona, zajęta przygotowaniami na to przyjęcie, jest w domu zupełnie szczęśliwa bez nas.

- Pana żona?

- Tak, mówię przedwcześnie, ale wczoraj w nocy zdecydowaliśmy się pobrać. Teraz, kiedy pociąg zmysłowy jest już za nami, małżeństwo nie grozi niebezpieczeństwem nudy bądź niewierności.

- Żyliście ze sobą tak długo bez ślubu.

- Nasze życie jest, jakby Francuzi powiedzieli, *mouvementé*. Sporo pracy przerzucę na twoje barki. Mojego współnika trzeba przypilnować, ale to już możesz zostawić mnie. I ja będę dbał o dobre stosunki z policją. Komendant policji będzie u nas jutro wieczorem. Ma czarującą córkę, nawiasem mówiąc. Szkoda, że nie jesteś katolikiem, bo on byłby teściem wartościowym, ale może to da się naprawić.

- Mówi pan tak, jakbym miał tu pozostać na całe życie.

- Ja wiem, że „na całe życie” brzmi dosyć ponuro, jak w zdaniu „uwięziony na całe życie”, tutaj jednak wiadomo, że „na całe życie” może znaczyć równie dobrze na jeden dzień bądź na tydzień, bądź na miesiąc. I nie umiera się w wypadku na jezdni.

- Mówi pan tak, jakbym był młodym człowiekiem szukającym przygód. O’Toole chce, żebym odpłynął jutro.

- Ale ty teraz należysz do naszej rodziny - odpowiedział pan Visconti, kładąc mi na kolanie rękę niczym ptasie szpony i z lekka wpijając palce w nogawkę spodni, żebym kolana nie wycofał. - Czuję się wobec ciebie zupełnie tak, jakbym był twoim ojcem. - Uśmiech okraszający te słowa, chociaż zapewne wyrażał czułość, nie był z tych uśmiechów, które można by sobie kojarzyć z miłością ojcowską: brak przednich zębów psuł wrażenie. Pan Visconti najwidoczniej spostrzegł, że patrzę na jego usta, bo wyjaśnił: - Miałem kiedyś złote zęby. Wspaniała robota. To jedyna forma biżuterii, jaką kobiety w pełni aprobują u mężczyzny. Te pieszczoszki lubią całować złoto. Na nieszczęście hitlerowcy okazywali dużą zaborczość i pod tym względem także, więc aczkolwiek się starałem utrzymywać z nimi stosunki przyjacielskie, uznałem, że bezpieczniej moje złote zęby usunąć. Był w gestapo pewien oficer, który miał pełną szufladę zębów. Zauważyłem, że zawsze patrzy mi nie w oczy, tylko w usta.

- Jak pan wytłumaczył brak zębów?

- Powiedziałem, że wymienię je na papierosy. Wprost nie wyobrażam sobie, co bym bez nich począł, kiedy musiałem uciekać. Zanim dojechałem do Mediolanu i do jezuitów, u których kształcił się Mario, został mi tylko już jeden ząb.

Ciotka Augusta przysłała z domu do nas.

- Też bym chętnie wypić kieliszek - powiedziała. - Mam nadzieję, że jutro nie będzie padał deszcz. Jadalnię zostawiam pustą, żeby można tam było tańczyć w razie czego. Twój pokój chyba już kompletnie umeblowany, Henry. Wszystko to idzie raczej wolno, bo są nieporozumienia. Stale używam słów włoskich, a oni nie rozumieją. Łapię się na tym, że zaczynam się rozglądać za Wordsworthem, żeby przetłumaczył. On potrafi być tłumaczem na swój sposób...

- Zdawało mi się, żeśmy uzgodnili, że jego imię już nigdy nie padnie.

- Wiem, ale to takie niedorzeczne robić sobie niewygodę z powodu zazdrości w naszym wieku. Czy wiesz, Henry, pan Visconti wręcz się zdenerwował, kiedy mu powiedziałam, że na statku spotkałam Achille'a. Biedny Achille. Nie mógł się ruszać, taką miał podagrę.

- Lubię, jak zmarli pozostają zmarłymi - powiedział pan Visconti.

- W przeciwieństwie do Pottifera - ciotka się roześmiała.

- Kto to był Pottifer? - zapytałem.

- Chciałam ci o nim opowiedzieć w Boulogne, ale tyś nie chciał słuchać.

- Niech mi ciocia teraz opowie.

- Za duży tu jeszcze rwetes.

Zrozumiałem, że okupić mój sprzeciw w restauracji na Gare Maritime mogę jedynie błagając ciotkę, żeby mi opowiedziała.

- Proszę, ciociu Augusto, tak bardzo chcę się dowiedzieć...

Błagałem jak dziecko, które się dopomina o bajkę, byle odwlec czas pójścia do łóżka. Ale co ja chciałem odwlec? Może ową chwilę, kiedy będę musiał ostatecznie się zdecydować i albo wsiąść na statek i wrócić do kraju, do moich dali i do majora Charge, i do korespondencji z panną Keene, albo też przejść przez granicę w świat mojej ciotki, gdzie dotychczas żyłem tylko jako turysta. Patrzyłem teraz, jak szampan z Panamy musuje kuleczkami, które unoszą się niczym piłki w wodzie na zabawie jarmarcznej, i niepojęte było dla mnie to, że mógłbym opuścić raz na zawsze rejony pułkownika Hakima, i Currana, i O'Toole'a...

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała ciotka.

- Myślałem o tym, że O'Toole zabiera dziś do Waszyngtonu fałszywego Leonarda.

- Nie dzisiaj. Dziś żaden samolot nie leci na północ. O'Toole będzie u nas na przyjęciu jutro wieczorem. Zaprosiłam go, zanim stąd wyszedł. Kiedy już zdobył to, co chciał, okazał się człowiekiem wręcz uroczym. I przystojny jest w jakimś smutnym stylu.

- Ale może dzisiaj, kiedy spokojnie obejrzy sobie ten obrazek...

- O'Toole nie zna się na sztuce - powiedział pan Visconti. - A ten, który to podrobił, był geniuszem. Analfabeta. Jeden z chłopów w dobrach księcia, ale obdarzony cudowną ręką i okiem. Księżę nawet nie wiedział, jaki skarb tam u niego mieszka, dopóki policja nie zjechała... to się działo w początkach Mussoliniego... żeby aresztować tego człowieka. Bo on podrabiał banknoty. Urządził sobie małą drukarenkę na tyłach kuźni księżęcej. Niezwykle dobrze te banknoty mu wychodziły, ale nie znał ich wartości, więc rozdawał je, gdzie popadło, swoim kolegom, robotnikom rolnym. Księżę nigdy nie mógł zrozumieć, jak się to dzieje, że jego włościanie są tacy zamożni... nie było tam ani jednego fornała, który by nie miał radia. W kołach socjalistycznych księżę zaczął cieszyć się wspaniałą opinią jako pracodawca oświecony... nawet chcieli, żeby wysunął swoją kandydaturę na deputowanego. A potem wszyscy ci chłopcy zaczęli kupować lodówki i nawet motocykle. I oczywiście posuwali się już za daleko. Któryś kupił sobie fiata. A papier, jakiego ten fałszerz używał, niezupełnie się nadawał. Kiedy on wrócił z więzienia, księżę powitał go z otwartymi ramionami i bardzo starannie wyszukał mu materiały odpowiednie do kopiowania Leonarda.

- Nadzwyczajne. I powiada pan, że analfabeta?

- To mu rzeczywiście pomagało przy podrabianiu. Bo nie znał przecież liter. Litera to był dla niego po prostu jakiś znak abstrakcyjny. Łatwiej zawsze kopiować coś, w czym się nie widzi sensu.

Robiło się coraz upalniej, woń kwiatów odurzała. Już prawie wykończyliśmy tę butelkę szampana. Kraina lotosu, pomyślałem.

*Słyszeć nawzajem swe słowa szeptane  
i jeść lotosy słodkie dzień za dniem.*

Co to były za strofy o tych „kwiatkach z długimi liśćmi, które płaczą”? Tutaj drzewa płaczą złocistymi łzami. Usłyszałem, jak pomarańcza spada na ziemię. Potoczyła się kilka cali i zatrzymała wśród dziesiątek innych.

- O czym myślisz, mój drogi?

- Mój ulubiony poeta to zawsze Tennyson. Kiedyś uważałem, że Southwood ma w sobie coś tennysońskiego. Ten stary kościół, być może, te rododendrony, panna Keene nad robótką. Zawsze lubiłem jego wiersz:

*A potem weź tamborek, na którym haftujesz,  
Szkarłatem zacznij zdobić tę papugę dziwną,*

choć, oczywiście, nie nad haftem panna Keene pracowała.

- Tęsknisz do Southwood nawet tutaj?

- Nie - odpowiedziałem - jest jeszcze inny Tennyson i znajduję go tu więcej niż tam w kraju. - Zacytowałem:

*Końcem życia jest śmierć. Ach, czemuż to życie  
Tylko pracą być musi?*

- Pan Pottifer wcale tak nie myślał... że śmierć jest końcem życia.

- Mnóstwo ludzi tak nie myśli.

- Tak, tylko że on zdecydowanie wprowadził to w czyn.

Pojałem, że ciotka Augusta namiętnie pragnie opowiedzieć mi o panu Pottiferze. Napotkałem wzrok pana Viscontiego. Bardzo nieznacznie wzruszył ramionami.

- Kto to był Pottifer? - znów zapytałem ciotkę.

- To był doradca w sprawach podatku dochodowego - odpowiedziała ciotka i umilkła.

- I nic poza tym?

- Był bardzo dumny.

Wiedziałem, że ciotka jeszcze jest rozjątrzona moją reakcją w Boulogne i że będę musiał wyciągać od niej tę opowieść po troszeczkę.

- Tak?

- Poprzednio pracował w urzędzie skarbowym... jako inspektor podatkowy.

Słońce świeciło na drzewa pomarańczy, cytryn i grejpfrutów. Pod różowymi lapachos kwitły białe i niebieskie kwiaty na jednym i tym samym krzaku jaśminu. Pan Visconti wlał resztki szampana do naszych trzech kieliszków. Przezroczyście księżyc osuwał się nad horyzont. Archiwum Londyńskie, podatek dochodowy... to było tak dalekie jak Mare Cristum albo Mare Humorum na tej bladej kuli na niebie.

- Proszę, niech mi ciocia o nim opowie, ciociu Augusto - powiedziałem niechętnie.

- On wpadł na pomysł - powiedziała ciotka - przedłużenia swego życia po śmierci za pośrednictwem biura usług telefonicznych na poczcie głównej. Niezbyt wygodnie dla jego klientów, do których należałam i ja. Właśnie wojna wybuchła i los rozdzielił mnie z panem Viscontim. We Włoszech wcale nie przywykłam do płacenia podatków. Więc podatki były dla mnie brutalnym wstrząsem. Zwłaszcza że ten mały dochód, jaki miałam, został uznany za nie pochodzący z zarobków. Kiedy pomyślę o moich nieustannych objazdach: Rzym, Mediolan, Florencja, Wenecja, zanim Jo umarł i połączyłam siły z panem Viscontim...

- Szczęśliwy to był dzień dla mnie, kochanie - powiedział pan Visconti - ale tyś mówiła Henry'emu o tym Pottiferze.

- Muszę przecież z grubsza nakreślić tło, bo Henry by nie zrozumiał, jak było z tą firmą.

- Z jaką firmą? - zapytałem.

- Wymyśloną przez pana Pottifera celem załatwienia sprawy zarówno w moim przypadku, jak w przypadku kilku innych pań w takiej samej jak ja sytuacji. Firma ta nazywała się „Produkty Meerkat, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Mianowałyśmy dyrektorów i nasze dochody (nie zarobione, doprawdy!) zostały zapisane jako pobory dyrekcji. Te pobory pojawiły się w książkach i pomagały wykazywać to, co pan Pottifer nazywał zdrową niewielką stratą. W tamtych czasach im większe straty, tym większą wartość miała firma, kiedy przyszedł moment, żeby ją sprzedać. Ja nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego.

- Twoja ciocia nie jest kobietą interesów - powiedział pan Visconti tkliwie.

- Ufałam panu Pottiferowi i miałam rację, że mu ufałam. W ciągu lat swojej pracy na stanowisku inspektora wyhodował w sercu sporą nienawiść do urzędu, któremu służył. Zrobiłby wszystko, żeby pomóc każdemu w sprawach podatków. Chlubił się umiejętnością omijania nowych ustaw. Zawsze przez trzy tygodnie po wejściu w życie nowych przepisów finansowych zadzierał nosa.

- Co to znaczyło „Meerkat” i co ta firma produkowała?

- Nic nie produkowała, bo inaczej musiałybyśmy wykazać zyski. Kiedy pan Pottifer umarł, poszukałam jednak słowa Meerkat w słowniku. Dowiedziałam się, że to mały ssak południowoamerykański taki jak ichneumon. Ponieważ nie wiedziałam, jaki jest ichneumon, poszukałam ichneumona także. Okazało się, że to jest stworzenie, które niszczy jaja

krokodyla... moim zdaniem zajęcie zgoła nieproduktywne. Myślę, że inspektorzy podatkowi uważali, że Meerkat to jakaś prowincja w Indiach.

Dwaj mężczyźni weszli do ogrodu niosąc czarną metalową ramę.

- Co to jest, kochanie?

- Krata do pieczenia.

- Olbrzymia jakaś.

- Musi być taka, jeżeli mamy upiec wołu w całości.

- Nie opowiedziała mi ciocia - przypomniałem - o tym biurze usług telefonicznych.

- To było bardzo kłopotliwe - rzekła ciotka. - Nakazy płatności podatkowych napływały... wygórowane jak zwykle i za każdym razem, kiedy próbowałam telefonować do pana Pottifera, damski głos mnie informował: „Pan Pottifer jest na zebraniu agentów handlowych. Zadzwoń później”. Trwało to prawie dwa tygodnie, aż kiedyś przyszło mi do głowy zadzwonić do niego o godzinie pierwszej po północy. Odpowiedź była zupełnie taka sama: „Pan Pottifer jest na zebraniu agentów handlowych...” Wtedy już wiedziałam, że coś nie jest w porządku. Wszystko to ostatecznie wyjaśniło się. On od trzech tygodni już nie żył, ale w testamencie zastrzegł sobie stanowczo, żeby brat płacił dalej za jego telefon i załatwił sprawę tej telefonicznej usługi.

- Ale po co?

- Myślę, że po części przyczyna tkwiła w jego pojęciu o nieśmiertelności, ale też, że to miała być nadal wojna, którą on toczył z urzędem skarbowym. Był wielkim zwolennikiem taktyki grania na zwłokę. „Nigdy nie trzeba odpowiadać na wszystkie ich pytania - mawiał. - Niech oni znów przyślą pismo. I trzeba odpowiadać niejasno. Zawsze można później zależnie od okoliczności zdecydować, co ta odpowiedź miała oznaczać. Im więcej akt w teczce, tym większa praca dla nich. Personel często się zmienia. Nowy urzędnik zaczyna przeglądać teczkę od początku. Miejsca w biurze nie ma zbyt wiele. Więc w końcu najłatwiej im zrezygnować”. Czasami, kiedy inspektor zanadto nas przyciskał, on mi doradzał, żebym w tej stosownej chwili napomknęła o jakimś nie istniejącym liście. „Urząd chyba nie zwrócił uwagi na mój list z dnia szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku”. Cały miesiąc mógł minąć, zanim inspektor przyznał, że nie może tego listu odnaleźć. Pan Pottifer przysyłał wtedy kopię owego jakoby zawieruszonego listu, a inspektor nadal bez skutku szukał w swoich papierach oryginału. Jeżeli to był nowy inspektor w okręgu, oczywiście zrzucał winę na swojego poprzednika; jeżeli nie był nowy, to po paru latach pasowania się z panem Pottiferem groziło mu



załamanie nerwowe. Myślę, że pan Pottiferem planując, co robić po swojej śmierci (oczywiście nekrologu w gazetach nie było i pogrzeb odbył się zupełnie cicho), zastosował właśnie tę taktykę zwlekania. Nie przeszło mu przez głowę, że to pociągnie za sobą komplikacje dla jego klientów, chciał tylko utrudnić życie inspektorowi.

Ciotka Augusta wydała głębokie westchnienie, równie niejasne jak owe listy pana Pottifera. Nie wiedziałem, czy wyraża ono smutek z powodu śmierci pana Pottifera, czy też satysfakcję, skoro wreszcie mi już opowiedziała do końca historię, którą zaczęła opowiadać na Gare Maritime w Boulogne.

- A w tym błogosławionym Paragwaju - pan Visconti przemówił tak, jakby wyciągał z tej historii morał - nie ma podatku dochodowego, więc żadne wykryty nie są potrzebne.

- Pan Pottifer nie byłby tutaj szczęśliwy - powiedziała ciotka Augusta.

Wieczorem, kiedy właśnie miałem się rozebrać, przyszła do mojego pokoju. Usiadła na łóżku.

- Masz tu teraz zupełnie wygodnie, prawda? - zapytała.

- Bardzo wygodnie.

Od razu zauważyła swoją fotografię, którą wyjąłem z „Rob Roya” i zatknąłem w sam róg ramy lustra. Sypialnia bez żadnych fotografii zawsze świadczy o tym, że sypia w niej człowiek bez serca, gdyż każdy człowiek zasypiając nieodmiennie od czasów dzieciństwa łaknie przecież obecności rodziny.

- Skąd to się tu wzięło? - zapytała ciotka.

- Znalazłem w jednej z książek.

- Twój ojciec mnie sfotografował.

- Tak myślałem.

- To był bardzo radosny dzień - powiedziała. - A niewiele dni radosnych było w tamtych czasach. Tyle tych kłótni o twoją przyszłość.

- Moją?

- Chociaż jeszcze się nie urodziłeś. Teraz znowu chciałabym wiedzieć, co z twoją przyszłością. Zostaniesz u nas? Jesteś taki wymijający.

- Za późno już na zarezerwowanie miejsca na tym statku.

- Z pewnością znajdzie się jakaś pusta kabina.

- Nie bardzo mam ochotę spędzić aż trzy dni z biednym Wordsworthem.

- Są samoloty...

- Właśnie - powiedziałem - więc sama ciocia rozumie, nie potrzebuję decydować się natychmiast. Mogę wyjechać za tydzień czy za dwa tygodnie. Poczekamy i zobaczymy, jak się wszystko ułoży.

- Zawsze myślałam, że kiedyś może będziemy razem.

- Zawsze, ciociu? Znamy się niecały rok.

- A dlaczego, jak ci się zdaje, ja przyjechałam na tę kremację?

- To była kremacja ciocinej siostry.

- Tak, oczywiście. Zupełnie o tym zapomniałam. - Jest jeszcze mnóstwo czasu, żeby robić plany - powiedziałem. - Może ciocia sama nie będzie chciała pozostać tu na stałe. Ostatecznie ciocia bardzo lubi podróżować.

- Tutaj jest kres moich podróży - rzekła ciotka Augusta. - Może podróż zawsze była dla mnie tylko namiastką. Nigdy nie chciałam podróżować, kiedy pan Visconti był przy mnie. Co ty takiego masz w Southwood, że cię tam ciągnie z powrotem?

Od kilku dni zadawałem sobie to pytanie, teraz więc nie bez wysiłku udzieliłem odpowiedzi. Opowiedziałem o moich daliach i nawet o majorze Charge i jego złotych rybkach. Tymczasem deszcz lunął szeleszcząc wśród gałęzi drzew w ogrodzie: grejpfruty ciężko spadały na ziemię. Opowiedziałem ciotce o ostatnim wieczorze u panny Keene, a potem o jej smutnym, niezdecydowanym liście spod Koffiefontein. Nawet kontradmirał przekradł się przez moje wspomnienia, zacerwieniony od Chianti i w koronie ze szkarłatnego papieru glansowanego. Paczki Orno leżały na moim progu. Z taką ulgą, jaką odczuwa chory po zaaplikowaniu pentotalu, pozwalałem bezwolnie, żeby każda przypadkowa myśl dyktowała mi słowa. Opowiedziałem o „Kurczaku” i o Peter i Nancy w restauracji „Opactwo” na Latimer Road, i o dzwonach kościoła Świętego Jana, i o tablicy dla uczczenia pamięci radnego Trumbulla, który opiekował się ponurym sierocińcem. Siedziałem na łóżku przy ciotce, a ona objęła mnie ramieniem, słuchając tej relacji z mego zgoła niesensacyjnego życia.

- Byłem bardzo szczęśliwy - zakończyłem, jak gdybym musiał się usprawiedliwić.

- Tak, mój drogi, tak, ja wiem - przytaknęła. Opowiedziałem, ile dobroci okazywał mi sir Alfred Keene, i opowiedziałem o banku, i o tym, jak sir Alfred zagroził, że przeniesie swoje konto do innego banku, jeżeli ja nie będę dyrektorem.

- Kochany chłopcze - rzekła - to wszystko już minęło. - I pogłaskała mnie po czole swoją starczą ręką, jak gdybym był uczniakiem, który uciekł ze szkoły i jak gdyby mi

przyrzekła, że już nigdy do szkoły nie wrócę, już nie będę miał żadnych trudności i mogę zostać w domu.

Dochodzę do schyłku wieku średniego. A przecież przytuliłem głowę do jej piersi.

- Cieszę się - powiedziała - ale setnie mnie wynudziłeś.

## VIII

Na przyjęciu było więcej gości, niż to uważałem za możliwe, pamiętając, jak zastałem ciotkę samotną w pustym, nieumeblowanym domu. Wy tłumaczyć mogłem to sobie tylko tym, że wśród stu zaproszonych osób nie ma ani jednego prawdziwego przyjaciela, chyba że przyjacielem dałoby się nazwać O'Toole'a. Patrzyłem na ten coraz większy tłok i dumałem, z jakich to gościńców, z jakich drózek wśród żywopłotów pan Visconti zwołał ich wszystkich. Na ulicy stały szeregi samochodów, między nimi dwa pancerne, ponieważ przybył komendant policji - zgodnie z obietnicą wprowadzając bardzo grubą i brzydką małżonkę i piękną córkę imieniem Camilla. Nawet młody policjant, który mnie aresztował, stawiał się także i klepnął mnie serdecznie w plecy na dowód, że ze swej strony nie żywi do mnie żadnej urazy (na uchu jeszcze miałem plasterk po jego uderzeniu przy tamtej wcześniejszej okazji). Pan Visconti chyba odwiedził wszystkie hotele w mieście i wielu przygodnych znajomych poprosił o sprowadzenie ich znajomych. To przyjęcie miało być jego apoteozą. Odtąd już nikomu po prostu nie będzie się chciało oglądać wstecz, żeby sobie przypomnieć, jak dawny pan Visconti leżał ubogi, chory w nędznym hoteliku przy żółtym, wiktoriańskim dworcu.

Wielką bramę oczyszczono z rdzy i otwarto na oścież. Żyrandole jaśniały roziskrzonym blaskiem w salonie, lampy paliły się w całym domu, nawet w pustych pokojach. Ogród oświetlały girlandy kolorowych żarówek, rozpięte od drzewa do drzewa wzdłuż alejek i nad parkietem do tańca ułożonym na trawie. Z tarasu dolatywały dźwięki harfy i gitary dwóch zaangażowanych muzykantów. Był O'Toole i Czech, który nie zdołał sprzedać dwóch milionów słomek plastikowych, przyjechał z żoną z hotelu „Guarani” i nagle zobaczyłem przemykającego w tłumie -jak gdyby ten ogród był królikarnią - owego importera-eksportera, z którym jadałem przy jednym stole na statku. Szary i chudy kręcił swym króliczym nosem zupełnie tak samo jak wtedy. Pośrodku trawnika parował i trzeszczał na żelaznej kracie pieczony wół i nie czuło się już woni jaśminów i pomarańczy, tak mocny zapach bił od wołowiny.

Wspomnienia z przyjęcia mam bardzo chaotyczne, może dlatego, że dosyć swobodnie piłem szampana przed kolacją. Jak się często zdarza w Paragwaju, gdzie męską ludność zdziesiątkowały dwie straszne wojny, liczebnie przeważały kobiety, toteż nie mogłem się uskarżać na brak sposobności do tańca i do rozmowy z piękną Camillą.

Muzykanci grali przeważnie polki i galopy, których figur nie znałem, zdumiałem się więc, kiedy ciotka Augusta i pan Visconti ni stąd, ni zowąd tak ruszyli w płasy, jakby taniec był ich drugą naturą. Camilla bardzo słabo mówiąca po angielsku usiłowała mnie uczyć kroków, ale na próżno; przejawiała zbyt wyraźnie poczucie obowiązku i to mnie krępowało. Próbowałem zabawić ją rozmową.

- Rad jestem, że dzisiaj nie siedzę w więzieniu.

- Ten młody człowiek tam pod tym drzewem wpakował mnie do celi.

- Jak?

- Widzi pani ten plasterek? W to miejsce mnie walnął.

Staralem się być błyskotliwy, ale kiedy tylko muzyka cichła, Camilla z pośpiechem odchodziła.

Raptem O'Toole stanął u mego boku.

- Wspaniała zabawa - powiedział. - Wspaniała. Żałuję, że Lucindy tu nie ma. Jej też by się podobało. Ambasador holenderski rozmawia z twoją ciotką. I przez chwilę widziałem ambasadora brytyjskiego. I nikaraguańskiego. Ciekaw jestem, jakim sposobem pan Visconti spędził tutaj cały korpus dyplomatyczny. Myślę, że podziałało jego nazwisko... jeśli to w ogóle jest jego prawdziwe nazwisko. Nawet ja, gdybym dostał zaproszenie od faceta, który się nazywa Visconti...

- Widziałeś Wordswortha? - zapytałem. - Prawie byłem pewny, że on także się tu pokaże.

- Chyba już jest na statku. Statek odpływa o szóstej, kiedy będzie zupełnie jasno. Nie sądzę, żeby on był tu mile widziany w obecnym stanie rzeczy.

- Raczej nie.

Goście tłoczyli się na schodkach tarasu, klaszcząc i wołając:

- Brawo!

Na szczycie schodków Camilla tańczyła z butelką kołyszącą się jej na głowie. Pan Visconti pociągnął mnie za rękę i powiedział:

- Henry, chcę żebyś poznał naszego przedstawiciela w Formosa.

Odwróciłem się i podałem prawicę temu człowiekowi z szarym pyszczkiem królika.

- Płynęliśmy jednym statkiem z Buenos Aires - przypomniałem mu, ale oczywiście nie znał angielskiego.

- Załatwia dla nas ruch rzeczny - powiedział pan Visconti, jak gdyby mówił o jakimś wielkim zalegalizowanym przedsiębiorstwie. - Często teraz będziecie się widywali. Ale chodź, to cię poznam z komendantem policji.

Komendant policji mówił po angielsku z akcentem amerykańskim. Wyjaśnił mi, że studiował w Chicago.

- Ma pan piękną córkę - stwierdziłem.

Uklonił się i odrzekł:

- Ona ma piękną matkę.

- Chciała nauczyć mnie tańczyć, ale ja nie mam słuchu i nie znam wcale waszych tańców.

- To tylko galop i polka. Nasze narodowe.

- Nazwy ich wydają mi się bardzo wiktoriańskie - powiedziałem. Miał to być komplement, ale komendant policji odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Węgiel drzewny pod wołem już szerniał, z wołu został prawie sam szkielet. Kolacja była pyszna. Siedzieliśmy w ogrodzie przy stołach na kozłach i podchodziliśmy z talerzami do kraty ogniska. Zauważyłem, że niski grubas zajmujący na ławce miejsce przy mnie, już czwarty raz poszedł tam po ogromny befsztyk.

- Cieszy się pan dobrym apetytem - powiedziałem. Pałaszował jak zacny żarłok na ilustracjach z epoki wiktoriańskiej, łokcie trzymał rozstawione szeroko, głowę spuszczał nad talerzem i serwetkę zatknął sobie za kołnierzyk. Odpowiedział mi:

- To nic nie jest. W domu zjadam osiem kilo wołowiny dziennie. Mężczyźnie potrzebna siła...

- Czym pan jest z zawodu? - zapytałem.

- Jestem głównym celnikiem - poinformował. Widelcem wskazał stół, przy którym siedziała smukła blada dziewczyna, bardzo młodziutka. - Moja córka - rzekł. - Wciąż jej powtarzam, żeby jadała więcej mięsa, ale to uparciuch zupełnie jak jej matka.

- Która z tych pań jest jej matką?

- Matka nie żyje. Umarła w czasie wojny domowej. Mało odporna. Bo mięsa nie jadała.

Nad ranem znów go zobaczyłem. Objął mnie ramieniem, jak gdybyśmy byli przyjaciółmi od lat. Powiedział:

- Oto jest Maria. Moja córka. Po angielsku mówi doskonale. Powinien pan z nią zatańczyć. Niech jej pan powie, że ona musi jeść więcej mięsa.

Odszedłem z Marią. Zacząłem:

-Pani ojciec mówi, że jada osiem kilo mięsa dziennie.

- Owszem - potwierdziła. - To prawda.

- Nie znam tego waszego tańca, obawiam się.

- Nie szkodzi. I tak już dosyć tańczyłam.

Ruszyliśmy ku drzwiom, gdzie zobaczyłem dwa wolne krzesła. Fotograf zatrzymał się przed nami i podniósł flesz. Twarz Marii w tym blasku była zdumiewająco biała, oczy jej były pełne przerażenia. Ale zaraz ściemniło się znowu i widziałem ją niewyraźnie.

- Ile pani ma lat? - zapytałem.

- Czternaście.

- Pani ojciec jest zdania, że powinna pani jeść więcej mięsa.

- Ja mięsa nie lubię - odpowiedziała.

- A co pani lubi?

- Poezję. Poezję angielską. Lubię poezję angielską bardzo. - Zadeklamowała z wielką powagą: - „Serca dębu to okręty nasze. Serca dębu to nasi mężczyźni”. - Dodała: - I „Córkę lorda Ullina” lubię. - I jeszcze dodała: - Często płaczę, kiedy czytam „Córkę lorda Ullina”.

- I Tennysona też pani lubi?

- Tak. Znam lorda Tennysona. - Nabierała już pewności siebie na płaszczyźnie naszych wspólnych zainteresowań. - On także jest smutny. Bardzo lubię smutne rzeczy.

Goście stłoczyli się na parkiecie, bo harfista i gitarzysta zaczęli grać znowu polkę. Widać było przez okna za tarasem, jak w salonie również podrygują tańczące pary. Teraz ja z kolei zadeklamowałem córce celnika „Maud”.

*Noc krótka mija na paplaninie*

*I na wesołej hulance przy winie...*

- Nie znam tego wiersza. Czy jest smutny?

- To wiersz bardzo długi i bardzo smutno się kończy. - Usiłowałem przypomnieć sobie co smutniejsze strofy, ale tylko jedna mi się nasunęła: „Nie cierpię strasznej rozpadliny za małym tym galkiem”. W oderwaniu od kontekstu może nie dość przejmująca. Powiedziałem: - Jeżeli pani chce, pożyczę to pani. Przywiozłem z kraju zbiór wierszy Tennysona.

Podszedł do nas O'Toole i ku swemu zadowoleniu, ponieważ byłem już zmęczony i ucho mnie bolało, zobaczyłem możliwość ucieczki. Przedstawiłem dziewczynę:

- To jest Maria. Studiuje literaturę angielską tak jak twoja córka.

O'Toole, pomyślałem, jest smutny i poważny. Dobrze im obojgu będzie rozmawiać ze sobą. Dochodziła godzina druga nad ranem i zapragnąłem znaleźć jakiś cichy ciemny kącik, gdzie mógłbym się trochę przespać, ale w połowie drogi przez trawnik natknąłem się na pana Viscontiego i Czecha zajętych ożywioną rozmową. Pan Visconti zatrzymał mnie.

- Henry, ten pan coś nam zaproponował.

- Zaproponował?

- Ma dwa miliony słomek plastikowych, które chciałby odstąpić za pół ceny.

- Dwa miliony to prawie cała ludność Paragwaju - zauważyłem.

- Ja nie myślę o Paragwaju.

Czech powiedział z uśmiechem:

- Gdybyście tylko zdołali ich nakłonić, żeby pili *maté* przez słomki plastikowe...

On tej rozmowy o interesach nie traktował zbyt serio, ale widziałem, że pan Visconti już daje się ponosić fantazji, podobnie jak ciotka Augusta, kiedy zaczyna haftować którąś ze swoich anegdot. Prawdopodobnie samo brzmienie bardzo okrągłej liczby - dwa miliony - tak go podnieciło.

- Myślę o Panamie - rzekł. - Gdyby nasz tamtejszy agent zdołał wprowadzić je do Strefy Kanałowej... Biorąc pod uwagę tych wszystkich amerykańskich marynarzy i turystów...

- Czy marynarze amerykańscy piją napoje niewyskokowe? - zapytał Czech.

- Nigdy pan nie słyszał - zapytał pan Visconti - o tym, że piwo jest znacznie bardziej wyskokowe, jeżeli się je pije przez słomkę?

- To chyba tylko legenda.

- Protestant przemawia przez pana - powiedział pan Visconti. - Każdy katolik wie, że legenda, w którą się wierzy, ma taką samą wartość i skutek, jak prawda. Niech pan tylko pomyśli o kulcie świętych.

- Ale ci Amerykanie może są protestantami.

- W takim razie dostarczymy świadectwo lekarzy. Legendę w formie nowoczesnej. O toksycznym działaniu alkoholu pitego przez słomkę. Jest tutaj niejaki doktor Rodriguez, który mi pomoże. Dane statystyczne o raku wątroby. A gdybyśmy tak jeszcze zdołali



przekonać rząd Panamy, że sprzedaż słomek do napojów alkoholowych powinna być zakazana. Wtedy słomki sprzedawano by nielegalnie spod lady. Zapotrzebowanie stałoby się ogromne. Odległe niebezpieczeństwo, to zawsze wielka atrakcja. Z zysków, które bym z tego ciągnął, ufundowałbym Instytut Naukowy imienia Viscontiego.

- Ale to są słomki z plastiku.

- Możemy je nazwać słomkami profilaktycznymi. I zaraz ukażą się w gazetach artykuły ostrzegające, że ta profilaktyka jest tak samo bezskuteczna, jak filtry w papierosach.

Zostawiłem ich dwóch, żeby sami to przedyskutowali. Idąc skrajem parkietu zobaczyłem, jak ciotka tańczy galop z komendantem policji: najwyraźniej wcale nie czuła zmęczenia. Córka komendanta, Camilla, sunęła w ramionach celnika, ale tańczyło już znacznie mniej osób i właśnie odjeżdżał któryś z samochodów z plakietką CD.

Znalazłem krzesło na podwórzu za kuchnią, gdzie jeszcze parę skrzyń z meblami stało nie otwartych i usnąłem prawie natychmiast. Śniło mi się, że człowiek-królik bada mi puls i mówi panu Viscontiemu, że umarłem na motylicę - cokolwiek to mogło znaczyć. Dla zadokumentowania, że żyję, usiłowałem się odezwać, ale pan Visconti szybko bełkocząc strofę z „Maud” polecił jakiejś mglistej postaci na drugim planie pogrzebać mnie „głębiej, jeszcze trochę głębiej”. Spróbowałem krzyknąć do ciotki Augusty, która stała tam brzemienna w kostiumie kąpielowym i trzymała pana Viscontiego za rękę... i w tej samej chwili, bez tchu, z ustami rozdziawionymi, żeby krzyknąć, obudziłem się. Dźwięki harfy i gitary dolatywały nieprzerwanie.

Spojrzałem na zegarek, dochodziła godzina czwarta. Słońce miało wzejść niebawem, światła w ogrodzie zgaszono i wydawało się, że kwiaty o tym świtanie, trochę chłodnawym, swobodniej oddychają swoją wonią. Poczulem dziwne uniesienie wobec faktu, że żyję i raptem nadszedł moment decyzji: już wiedziałem, że nigdy więcej nie zobaczę majora Charge ani dalii, ani tej pustej urny, ani paczki Orno na progu, ani żadnych listów od panny Keene. Ruszyłem do lasku drzew cytrusowych piastując decyzję w sercu - chociaż od razu chyba już doznałem przecucia, że jakąś cenę będę zapewne musiał za nią zapłacić. Goście, ci najwytrwalsi, tańczyli teraz w salonie, bo trawnik opustoszał. Samochody zniknęły też sprzed bramy i tylko słychać było warkot oddalający się w kierunku śródmieścia. I nagle w ten wczesny kwiecień wonny ranek przypomniała mi się jeszcze jedna strofa z „Maud”: „Głucho na piasku, głośno na kamieniach ostatnie echo turkotu ulata”. Zupełnie tak, jak gdybym był szczęśliwie z powrotem w świecie wiktoriańskim, w którym książki mojego ojca nauczyły mnie czuć się bardziej swojsko niż w naszej

nowoczesności. Teren lasu opadał ku drodze, żeby znowu wznieść się przed tylną furtką i właśnie tam, w tej niewielkiej kotlinie, nadepnałem na coś twardego. Schyliłem się, żeby ów przedmiot podnieść. To był scyzoryk Wordswortha. Przyrząd do wyjmowania kamyków z podków końskich sterczał wysunięty - może Wordsworth w pośpiechu pomylił się, chcąc wysunąć ostrze. Zapaliłem zapalną i zanim jej płomyk zgasł, ujrzałem ciało leżące na ziemi i czarną twarz gwiaździstą od białych płatków kwiecica pomarańczy, opadłych z drzew pod tchnieniem zarannego wietrzyka.

Przykląknęłam i zbadalam, czy serce bije. Nie było życia w tym czarnym ciele i rękę miałam mokrą od krwi z rany, której nie mogłam dojrzeć.

- Biedny Wordsworth - powiedziałam głośno chyba po to, by wykazać mordercy, jeśli był gdzieś w pobliżu, że Wordsworth ma przyjaciela. Cudaczna miłość do starej kobiety przywiodła Wordswortha sprzed kina Grenada Palace, gdzie stał u wejścia tak dumnie w paradnym mundurze, aż tutaj, gdzie czekała go śmierć wśród tych zroszonych traw nad rzeką Paragwaj. Wiedziałam jednak, że to właśnie jest cena, którą on musiał i był gotów zapłacić. Wordsworth, romantyk, potrafiłby w jedynej formie poezji, jaką znał, owej poezji wyuczonej w katedrze Świętego Jerzego w Freetown, znaleźć słowa właściwe, żeby wyrazić zarówno swoją śmierć, jak swoją miłość. Mogłam sobie wyobrazić, jak w tej ostatniej godzinie nie dopuszczając myśli, że ona odprawiła go raz na zawsze, szedł w stronę domu przez kotlinkę między drzewami i deklamował ku pokrzepieniu serca hymn:

*Jeśli poproszę ją, by mnie przyjęła,*

*czy ona powie: nie?*

*Nie powie, póki na ziemi pod niebem*

*trwać będą ludzkie dni.*

To uczucie zawsze było szczere, pomimo że zmiany zaszły na świecie zgoła nieliturgiczne.

W ciszy słyszałem tylko własny oddech. Zamknąłem scyzoryk i włożyłem do kieszeni. Czy Wordsworth ten scyzoryk wyciągnął, kiedy wszedł do ogrodu zamierzając rzucić się na Viscontiego? Woląłem myśleć, że nie - że przyszedł tu po prostu odwołać się do swojej miłości po raz ostatni, zanim straci wszelką nadzieję i dopiero wtedy, gdy usłyszał czyjeś kroki wśród drzew, wyciągnął scyzoryk szybko w samoobronie, ze skierowanym na niewidocznego wroga bezużytecznym przyrządem do wyjmowania kamyków z podków końskich.

Powoli wróciłem do domu, żeby możliwie najdelikatniej zawiadomić ciotkę. Harfista i gitarzysta zaspani nad swymi instrumentami jeszcze grali na tarasie, ale w salonie zastałem tylko jedną parę - ciotkę i pana Viscontiego. Przypomniało mi to ów dom na tyłach „Messaggero”, gdzie spotkali się po długiej rozłące i tańczyli pomiędzy kanapami, a te prostytutki patrzyły na nich ze zdumieniem. Teraz tańczyli walca angielskiego i nawet nie zauważyli, że wszedłem - dwoje starych ludzi związanych ze sobą głębokim, nieuleczalnym egotyzmem namiętności. Światła zgasili. Pośród szerokich smug brzasku, padających z okien, ciemniały w tym wielkim pokoju jeziorka mroków. Tańcząc oboje zatracali twarze, po czym odzyskiwali je znów. W pewnej chwili cienie nadały ciotce zwodniczo młody wygląd; stała się zupełnie taka jak tamta dziewczyna na fotografii w książce ojca, brzemienna szczęściem, ale już w chwili następnej poznałem w niej tę staruszkę, która stanęła przed panną Paterson zazdrosna tak bezlitośnie i okrutnie.

Kiedy w tańcu zbliżali się do mnie, zawołałem:

- Ciociu Augusto!

Nie odpowiedziała na to wezwanie: niczym nawet nie okazała, że je słyszy. Tańczyli dalej z tą swoją niezmordowaną namiętnością, przesuając się znowu w mrok.

Ruszyłem trochę dalej w głąb pokoju i kiedy w tańcu wracali, zawołałem po raz drugi:

- Matko, Wordsworth nie żyje.

A ona tylko spojrzała sponad ramienia swego partnera i rzekła:

- Tak, kochanie, ale wszystko w swojej porze. Czy nie widzisz, że ja teraz tańczę z panem Viscontim?

Flesz rozdarł raptownie cienie. Mam jeszcze dzisiaj tę fotografię - troje nas skamieniałych, zespolonych błyskiem magnezji w grupkę rodzinną. Widać wielką lukę w uzębieniu pana Viscontiego, który uśmiecha się do mnie jak do współnika zbrodni. Ja trzymam rękę wyciągniętą, znieruchomiały, kiedy tak apelowałem bez skutku, a moja matka patrzy na mnie karcąco i czule. Wyciąłem z tej fotografii twarz jeszcze kogoś, kto był z nami w pokoju, chociaż przedtem go tam nie widziałem - twarz małego staruszka z długimi wąsiskami. On pierwszy przyniósł tę wiadomość. Pan Visconti później na moje naleganie wyrzucił go z pracy (matka nie brała udziału w naszym sporze, będącym, jak powiedziała, jedną ze spraw, jakie mężczyźni powinni załatwić między sobą), więc Wordsworth został w pewnej mierze pomszczony.

Co nie znaczy, żebym mógł często rozmyślać o tym biedaku. Pan Visconti jeszcze nie zbił majątku i nasze przedsiębiorstwo importowo-eksportowe zabiera mi coraz więcej czasu. Miewamy wzloty i upadki, przy czym fotografie tamtego wielkiego przyjęcia oraz naszych znakomitych gości już niejednokrotnie bardzo się nam przydawały. Dakota stanowi naszą wyłączną własność, odkąd wspólnik nasz nie żyje. Zastrzelony przypadkiem przez policjanta, bo nie umiał zrozumiale wysłować się w języku guarani, z którego też powodu ja teraz poświęcam na naukę tego języka wszystkie wolne godziny. Mam ożenić się z córką szefa komory celnej w przyszłym roku, kiedy ona ukończy lat szesnaście, związkowi temu udzielili już błogosławieństwa zarówno jej ojciec, jak pan Visconti. Daje się odczuć oczywiście duża różnica wieku, ale to panienka delikatna i posłuszna, i w ciepłe, wonne od kwiatów wieczory czytujemy razem Browninga:

*Bóg w swoich jest niebiesiach*

*- Na świecie wszystko tak jak trzeba!*